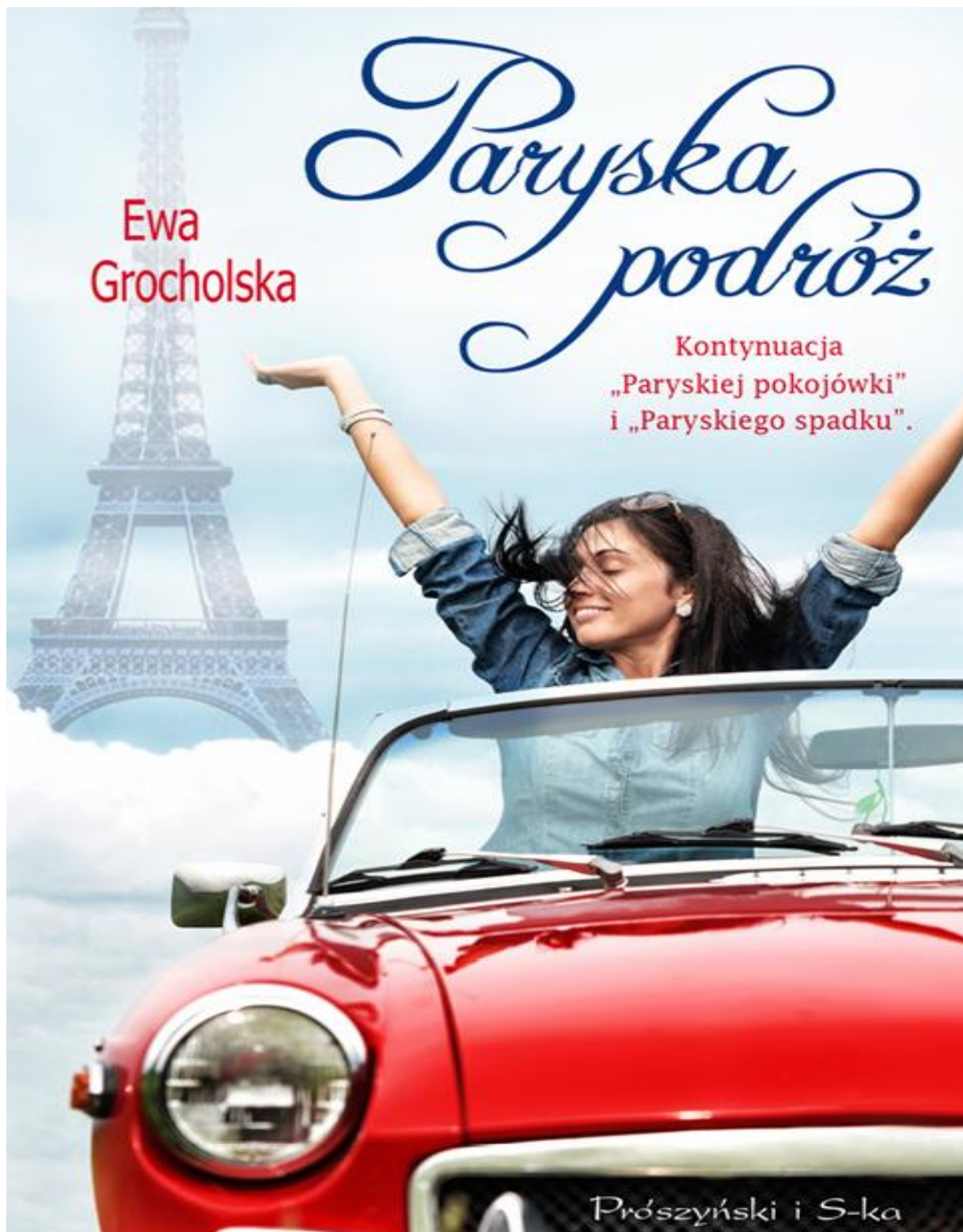


Ewa  
Grocholska

# Paryska podróż

Kontynuacja  
„Paryskiej pokojówki”  
i „Paryskiego spadku”.



Prószyński i S-ka

Ewa Grocholska

*Paryska  
podróż*

Prószyński i S-ka

# 1

Czytałam właśnie ostatni rozdział *Pasji życia* Irvinga Stone'a i nie mogłam uwierzyć, że Vincent van Gogh umarł aż w takiej biedzie. Jego grób na północy Francji porasta bluszcz, mech zżera pomnik, skromny, taki na miarę krótkiego i żalosego życia. Pomyśleć, że dzisiaj obrazy malarza warte są kilkadziesiąt milionów dolarów... Czy naprawdę trzeba umrzeć, aby ktoś nas docenił?

Mój narzeczony zachrapał tak głośno, że od wibracji zadrżał budzik na półce. Nie chciałam, żeby znów spadł mu na głowę, więc przesunęłam zegarek w bezpieczne miejsce. No tak, facet śpi, podczas gdy ja pochłaniam powieść przy małej lampce skierowanej prosto na jej stronie. Dochodzi czwarta nad ranem, a mnie ogarnia smutek, że to już koniec...

Odłożyłam książkę i zgasila światło. Artur zachrapał jeszcze mocniej i przewrócił się na prawy bok, ale nie otworzył oczu. Co jak co, ale spać to on potrafi! Przymknęłam powieki, czekając na sen, który nie nadchodził. Van Gogh i jego pokiereszowane życie nie przestawały mnie nękać. We wspomnieniach powróciła twarz fałszerza jego obrazów, którego przed laty dopadła, dzięki mojej pomocy, francuska policja. Jak on miał na imię...? Emil? Tak. Emil Fleselle. Nigdy nie zapomnę jego zimnego wzroku podczas przesłuchania w paryskim więzieniu, mimo że czasami mam wrażenie, że to był tylko sen.

A jednak tak właśnie było! Pojechałam do Paryża, aby przejąć schedę po Napoleonie, kloszardzie, który zapisał mnie i mojej przyjaciółce Ewce swoją mansardę na Montmartrze, a naprawdę zdemaskowałam fałszerza! Wspomnienia w błyskawicznym tempie atakowały mój mózg. Zamiast zasnąć, czułam powracającą falę emocji.

I wielką, okrutnie bolesną tęsknotę.

Odpłynęłam, gdy za oknem świtało, a kiedy wstałam, Artura już nie było. Pojechałam do pracy. Poczłapałam do naszej miniaturowej kuchni i zastałam to, co zawsze: brudne talerze, okruchy na stole, bajzel wszechobecny. Upłynęły właśnie trzy lata od mojego powrotu z Francji. Daliśmy sobie z Arturem drugą szansę, ale wciąż nie byliśmy małżeństwem. Moja mama początkowo oburzała się głośno, potem trochę ciszej, aż wreszcie (chyba) odpuściła sobie temat. Marzyła zapewne o naszym ślubie, takim prawdziwym, przed ołtarzem, ale Artur był niewierzący i nie zależało mu na kościelnej ceremonii.

A ja?

Ja wciąż nie wiedziałam, czy rzeczywiście chcę przypieczętowania naszego związku, nieważne: w kościele czy w urzędzie. Choć na swój sposób kochałam Artura, coś w głębi duszy szeptało mi, abym nie nalegała na ślub. Dopóki nie ma dzieci, jest nam obojgu – co tu owijać w bawełnę? – wygodniej.

Aż przyszedł dzień, w którym zmieniałam zdanie.

Osiemnastego marca bawiłam się na urodzinach u mojego brata Waldka, razem z moim drugim bratem Adamem i jego żoną Anią oraz kilkoma Waldkowymi kolegami, tymi od brydzyka i piwka. Zabawa była całkiem, całkiem, nawet chłopaki jakiegoś grilla na topniejącym śniegu pod domem wyczarowały (mój brat mieszkał w starym domku z ogródkiem po naszych dziadkach i miał gdzie urządzać balangi). Były drinki, piwo i kiepskie jedzenie, bo u Waldka zwykle bywało tak, że jak ktoś sam żarcia nie przyniósł, głodował. Tak czy inaczej było wesoło.

Aż nagle wstał mój rozbawiony Arturek, wszem i wobec oświadczając, zapewne

pod wpływem alkoholu, że oto zamierza się ze mną wreszcie ożenić, po czym wznosił toast na tę okoliczność. Uznałam to za żart, ale pozostali uczestnicy imprezy podchwycili temat. No i się zaczęło! A kiedy ten ślub? Dobrze, że w końcu. Mama się ucieszy i w ogóle! Postanowiłam nie brać udziału w głupiej dyskusji, która jednak rozgorzała tak, że nie sposób jej było powstrzymać. Narastała wbrew mojej woli jak kula śniegowa puszczona po zboczu góry. Na dodatek Artur oświadczył, że zamierza mnie zabrać w podróż poślubną. Natychmiast zaczęły się spekulacje dokąd.

– Jak to dokąd? Do Paryża! – wykrzyknął głośno Artur. Jak zawsze rozkręcał się w miarę postępu imprezy, ale tym razem naprawdę przesadził. – Moja kochana Agusia tak przecież kocha to miasto, że gdzie niby miałbym ją zabrać? – kontynuował, zadowolony z konceptu.

Miałam już dość i chciałam wracać do domu. Powstrzymał mnie Adam, mój starszy brat i autorytet w jednym, łapiąc mnie za rękę.

– Dokąd to, siostra? Przecież to wspaniały pomysł! Zostańcie!

Usiadłam grzecznie i pozwoliłam sobie na jeszcze jednego drinka.

Artur spoważniał.

– Pobierzmy się w końcu, Aguś – powiedział całkiem serio, obejmując mnie ramieniem. – Przecież już i tak żyjemy jak małżeństwo. A do Paryża pojedziemy zaraz po ślubie. Najlepiej jeszcze w lipcu albo sierpniu. Chciałbym wreszcie zobaczyć to cudowne miasto i poznać twoich znajomych...

– My też chcemy! – krzyknęli równocześnie moi bracia.

Nagle wszyscy obecni, jak jeden mąż, zapragnęli wyjechać z nami do Paryża!

Poczułam się jak zwierzę w potrzasku.

– Muszę się zastanowić... – jęknęłam, przyparta do muru.

– Ale nad czym, siostra? – zapytał Adam. – Bierz wreszcie ten ślub i do Paryża! Kto jest za?

Wszyscy byli za. I dali temu wyraz, wznosząc kolejny toast za „młodą parę”. Zupełnie jakby zapomnieli, po co się spotkaliśmy tamtego dnia! Nawet Ania zapaliła się do pomysłu, choć, jak sądzę, ona jedyna wahała się nieco. Bo trzeba będzie zamknąć firmę, bo to przecież wydatek, bo kto się zajmie w tym czasie jej kotami. Ania zawsze martwiła się wszystkim i o wszystko, choć zwykle ustępowała. Dla Adama.

W taki oto sposób urodziny Waldka przerodziły się w spontaniczną aranżację wspólnej wyprawy do Paryża. Ślub zrobił się jakby mniej ważny. Moi bracia planowali, co zwiedzą i w jakiej kolejności. Adam uwielbiał wszystko, co wielkie i szybkie, więc marzył o wieży Eiffla i przejazdzie TGV. Waldek również zapalił się do podróży, bo jak dotąd za granicą był tylko w Odessie, gdzie zresztą okradziono go już na dworcu z zegarka i zapasowych spodni. Wyjazd na zgniły Zachód wciąż pozostawał dla Polaków atrakcją.

Waldkowi kumple wreszcie zostawili nas samych. Chwała Bogu, odetchnęłam, tylko ich brakowałoby w tym Paryżu! Posiedzieliśmy jeszcze chwilę nad pustymi talerzami, zamówiliśmy taksówkę i wróciliśmy z Arturem do naszego blokowiska.

– Naprawdę chcę się z tobą ożenić, Agusiu... – zdążył jeszcze wybełkotać przed snem i padł jak kawka.

Myślałam, że następnego dnia mu przejdzie, ale wrócił po pracy do domu z bukietem róż i pierścieniem zaręczynowym. Wypadki potoczyły się jak gązdy z urwiska w trakcie kontrolowanego wybuchu. Miałam nadzieję, że kontrolowanego...

Ustaliliśmy datę ślubu na koniec lipca, datę wyjazdu zaś kilka dni później. Uradowana mama zrobiła uroczysty obiad. Sądziłam, że przynajmniej moi bracia na trzeźwo odwołają swój

wariacki pomysł, ale nie miałam racji – ich zapal rósł z minuty na minutę. Cóż, zamiast podróży poślubnej czekała mnie rodzinna wyprawa... Adam z Waldkiem nie odpuszczali, mówili, że w kupie weselej, a poza tym tylko ja znam ten żabojadzki język, więc jeśli nie teraz ze mną, nie wybiorą się do Francji nigdy.

Jadę w podróż poślubną czy jako tłumaczka?, buntowałam się w duchu.

Ale dla Paryża gotowa byłam się poświęcić...

Moja przyszła teściowa szła dla mnie suknię ślubną osobiście, twierdząc, że „te ze sklepu są byle jakie”. W sumie miała rację. Z zawodu była wprawdzie radiologiem dziecięcym, ale obdarzonym niezwykle talentem do szycia i haftowania. I równie niezwykle cierpliwością – jeden obrus potrafiła wyszywać przez dwa lata! Jej prace wystawiano nawet w Pałacu Kultury.

Lubiłam ją. Akurat do teściowej nigdy nie miałam obiekcji. Fajnie nam się gadało, gdy Artura nie było w pobliżu, bo jak był, zagłuszał nasze myśli. Przyszły teść też był w porządku – lekarz neurochirurg, przez lata ordynator w szpitalu w Tarnowskich Górach. Niedawno powrócił z wygnania do domu i moja biedna teściowa musiała na nowo przyzwyczajać się do obecności męża... A że uwielbiała ład i tak zwany święty spokój, zapewne nie było jej lekko. Tak czy inaczej wzięła się do mojej ślubnej kreacji z zapalem i po miesiącu zaprezentowała mi swoje dzieło.

Omiałem nie zemdląłem z zachwytu! Sukienka była niby biała, a jednak écru, klasyczna, ze wstawkami ręcznie dzierganej koronki. Arcydzieło! Na podobną gotową nie miałam szans, a już na pewno nie w peerelowskich sklepach. Teraz, choćby z powodu tej sukienki, nie mogłam się już wycofać... Bo nachodziły mnie takie myśli i wciąż się wahałam, czy nie odwołać ślubu. Cóż, moja przyszła teściowa przypieczętowała sprawę.

## 2

Dzień był gorący – trzydzieści stopni w cieniu, makijaż, nerwy, samochód, kwiaty, gonitwa i w końcu urząd stanu cywilnego. Niewygodne rzeźbione ławki, najbliższa rodzina, podniosłe słowa i podpis na akcie małżeństwa.

Stało się! Zostałam żoną Artura, który wciąż mieszał brudne skarpetki z czystymi, mówił tak głośno, że nie potrzebował telefonu, by się porozumieć na odległość, i uwielbiał powtarzać, że „najlepszym przyjacielem człowieka jest kobieta”. Z tego bon motu śmiał się zawsze, nieważne, czy ktoś mu zawtórował.

Po ślubie pojechaliśmy na kameralne przyjęcie do restauracji „Myśliwska”, jedynej, która w tamtych czasach trzymała formę, na obiad dla najbliższej rodziny i kilkorga przyjaciół. Wreszcie mogłam odetchnąć, że nie przydepnę sobie sukni na schodach. Za nic, przenigdy nie mogłabym pracować jako modelka na wybiegu!

Goście się rozgadali, a ja wyłączyłam się z tego zgiewku. Myślałam o Ewce, o Paryżu. I o Marco. Ciągłe za nim tęskniłam, ale na życie patrzyłam trzeźwo. Listy przestały przychodzić dwa lata temu, ja też nie pisałam, zajęta pracą i domem. Tamte paryskie czasy schowałam do szuflady. Nie, nie zakopałam ich pod ziemią. Szufladę zawsze przecież można otworzyć...

Z zamyślenia wyrwał mnie kelner, mówiąc, że jest do mnie telefon w recepcji na górze. Kto może dzwonić w dniu mojego ślubu? Przeprosiłam gości, uniosłam suknię i ruszyłam po schodach. Młody kelner wskazał mi aparat i oddalił się dyskretnie. Podniosłam słuchawkę.

- Aguś, to ty? – Natychmiast rozpoznałam głos przyjaciółki. Ewka dzwoniła ze Stanów. Zaskoczyła mnie totalnie.
- Ewka? Skąd wiedziałaś, że...
- Przecież wysłałaś mi zaproszenie! Nie mogłam przyjechać, więc dzwonię.
- Jesteś kochana! – jęknęłam wzruszona.
- Aguś, życzę ci wspaniałego małżeństwa i w ogóle! No wiesz! Żałuję, że mnie tam nie ma, ale może kiedyś jeszcze się spotkamy? W Paryżu?
- Och, Ewka, tak o tym marzę! Tylko jak i kiedy?
- Nie wiem. Zaimprovizujemy coś, jak zawsze. Najlepiej nam wychodzi bez planu.
- Tak się cieszę, że zadzwoniłaś! A co u ciebie?
- U mnie okej. Stawiamy nowy dom na przedmieściach Chicago. Och... Napiszę, bo teraz nie dam rady ci opowiedzieć. Tęsknię za tobą i za naszym Paryżem!
- Ja też!
- Spotkamy się na pewno! Ale teraz ciesz się ślubem. I przekaz życzenia ode mnie Arturowi. I koniecznie pozdrów rodzinę, zwłaszcza mamę!
- Dzięki, Ewcia!
- Muszę kończyć. Miłej zabawy, Aguś!

Odwiesiłam słuchawkę i poczułam, że mam lekko mokre oczy. Ewka pamiętała! Nie mogła przyjechać, ale zadała sobie trud, by odnaleźć numer restauracji. Niesłychane! Telefon od niej był najmiłszym prezentem.

Wróciłam do gości.

- Kto dzwonił? – zapytał Artur.

### 3

Czwarta rano, lekki wiaterek, upalna sierpniowa aura. Bagaże załadowane do jedynego auta nadającego się do podróży, do poloneza Adama. Nasz maluch za nic nie pomieściłby pięciu osób.

Mieliśmy do przejechania ponad tysiąc sześćset kilometrów, ale zamierzaliśmy zatrzymać się na nocleg w Heidelbergu. Adam profilaktycznie odświeżył wcześniej znajomość z naszymi dalekimi kuzynami wyłącznie po to, abyśmy mieli gdzie spać. Oni akurat wyjechali na wakacje do Hiszpanii, więc niewielkie mieszkanie stało puste, ale aby do niego dotrzeć, trzeba było pokonać tysiąc kilometrów jednym ciągiem.

Na szczęście na granicy obyło się bez kłopotów, choć na widok niemieckich celników i budzących grozę bramek włosy zjeżyły mi się na karku. Siedziałam cichutko na tylnym siedzeniu, wciśnięta między Anię i Waldka.

Wszyscy mieliśmy legalne paszporty i nic złego na koncie, ale instynkt kazał się bać. Niepotrzebnie, jak się okazało po chwili, bo nawet nie sprawdzono, czy nie przewozimy czegoś zakazanego.

Znów przekroczyłam granicę! Potem pas ziemi niczyjej i druga, również bez kłopotów. Najwyraźniej cała nasza piątka nie wyglądała na przestępców czy agentów obcego wywiadu. Byłam podniecona i pełna nadziei, że będzie to udana wyprawa.

Na celników najwyraźniej działało hasło „podróż poślubna”, bo uśmiechali się tylko i uchylali szlabany.

Wreszcie Adam mógł sprawdzić, ile fabryka dała jego polonezowi. Pędziliśmy autostradą na zachód. Zmęczona i niewyspana, a jednocześnie mocno podekscytowana patrzyłam przez okno. Powróciły wspomnienia. Podobne łąki i czyściutki niemieckie wioski mijałam po raz kolejny. Najpierw z Ewką i jej koleżankami. Drugi raz sama. A teraz jadę z mężem, braćmi i bratową. Znów odwiedzę Paryż, tyle że z balastem, którego nie przewidywałam.

Na moim palcu lśniła obrączka.

Dojechaliśmy do Heidelbergu późnym popołudniem. Dzielny polonez prawie się zagotował, ale dał radę. Trochę potrwało, zanim znaleźliśmy osiedle naszych krewnych, których prawdę mówiąc, kompletnie nie kojarzyłam i wchodząc do ich mieszkania, czułam się nieswojo. Klucze zostawili u sąsiadki, poinformowanej, że przyjedzie „rodzinka” na nocleg.

Na stoliku zastaliśmy kartkę: „Czujcie się jak u siebie, dla pary młodej szampan w lodówce”. Niesamowite! Adam był dumny jak paw, że załatwił taki fajny nocleg. Ania wyjęła z torby kanapki, które wiozła przez tysiąc kilometrów, więc niestety, nie było szans, by wyskoczyć do jakiejś knajpki...

W mieszkaniu była tylko jedna sypialnia, w dodatku zagracona deską do prasowania i ciuchami, ale odstąpiono ją nam wspaniałomyślnie. To znaczy mnie i Arturowi. Adam i Waldek położyli się w przedpokoju na dmuchanym materacu, a Ania na kanapie w salonie. Przedtem jednak opróżniliśmy butelkę szampana i kilka piw, które Adam kupił przezornie na stacji benzynowej.

– We Francji piwo jest o wiele droższe – oświadczył przy wieczornej uczcie z polskiego chleba.

– Więc trzeba kupić zapas – stwierdził rzeczowo Waldek.

– Słusznie!

W łazience naszych dobroczyńców panował niezły bałagan – na pralce porzucane kosmetyki, na podłodze ręczniki. Najwyraźniej bardzo im się śpieszyło do tej Hiszpanii. Dobrze, że chociaż było jak opłukać się po lepkiej podróży. Tak czy siak w obcym mieszkaniu nie czułam się najlepiej. Adamowi i Ance to nie przeszkadzało.

Nie tak wyobrażałam sobie podróż poślubną. Nie w łóżku nieznanym krewnym i nie przy chlebie z serem. No cóż, wszystko rozbija się o koszty. Anka liczyła każdego wydanego feniga.

Na szczęście byłam zbyt zmęczona, żeby myśleć nad tym dłużej. Padłam w obce łóżko, niechętna jakimkolwiek amorom. Artur coś sugerował, ale jęknęłam tylko, że chce mi się spać.

Pierwszą nocą naszej wspianej podróży poślubnej mieliśmy za sobą.

Na śniadanie zjedliśmy resztę rozmiękłych kanapek mojej bratowej i wypiliśmy po kawie. Posprzątaaliśmy gniazdko kuzynostwa, zostawiliśmy kartkę z podziękowaniem i kilka piw w lodówce. Do Paryża pozostało jakieś siedemset kilometrów.

Ale zanim wyruszyliśmy na dobre, postanowiliśmy przejść się jeszcze po mieście.

Na widok uroczych knajpek w rynku odzyskałam humor. Kamieniczki były piękne i zadbane, w powietrzu unosiły się smakowite zapachy. Ale i tym razem obyło się bez konsumpcji, bo przecież wszystko takie drogie! Za to moi bracia załadowali tyle niemieckiego piwa z supermarketu, ile pomieścił bagażnik poloneza. Aż się resory ugięły.

Wreszcie ruszyliśmy w drogę.

Autostrada była równa jak stół bilardowy, Adam z Arturem zmieniali się za kierownicą. Polonez dostawał skrzydeł, więc niebawem zobaczyliśmy graniczne szlabany. Po okazaniu paszportów przejechaliśmy bez problemu, celnicy życzyli nam szczęśliwej drogi. Miłe doświadczenie.

A więc już jesteśmy we Francji? Tak po prostu? Z każdą minutą bliżej Paryża!

Na jego przedmieściach drogę przeciął nam ogromny samolot. Takie mieliśmy wrażenie, bo w rzeczywistości startował z pasa tuż nad autostradą. Niesamowity widok! Znajdowaliśmy się przy lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Waldek, zafascynowany, gapił się w okno.

– Jezu, myślałem, że się z nim zderzymy! – jęknął.

Po chwili równolegle do drogi przemknęło coś srebrnego. Śmignęło i już było przed nami.

– Co to takiego? – zapytała przerażona Ania.

– TGV – wyjaśniłam. – Francuski szybki pociąg.

Po obu stronach autostrady zaczęły się mnożyć napisy, pojawiły się nowoczesne budynki, siedziby wielkich koncernów. Co i rusz jakiś drogowskaz, informacje o zjazdach, odwracające uwagę reklamy. A my potrzebowaliśmy tylko bezpiecznie wjechać do miasta i nie zgubić się w tej kapitalistycznej dżungli. Nie było to wcale łatwe i proste. Trzymałam mapę na kolanach i mówiłam Adamowi, jak jechać. Byle do *périphérique*, czyli obwodnicy Paryża. Jeśli nam się uda, będę wiedziała co dalej. Problem polegał na trafieniu w odpowiedni zjazd.

Najwyraźniej go przegapiliśmy i wylądowaliśmy w kompletnie nieznanym miejscu. Napisy na mapie i na drodze rozjechały się, zabłądziliśmy. Wjechaliśmy do miasta nie od tej strony, co trzeba, i byliśmy w jego południowo-wschodniej części. Obcej mi i nieodwiedzanej.

– Zatrzymaj się! – krzyknęłam do Adama. – Chyba musimy wysiąść i zapytać!

Polonez przystanął na jakiejś ulicy, w otoczeniu niezbyt okazałych domów. Prędko się domyśliłam, że to dzielnica slumsów, przedmieście kolorowych. Nasz niecodzienny pojazd natychmiast wzbudził zainteresowanie mieszkańców. Zanim zdążyłam wysiąść, otoczyła nas gromadka ciemnoskórych młodzieńców w skórzanych kurtkach nabijanych ćwiekami. Nie wyglądali przyjaźnie.



Tylko spokojnie, pomyślałam. Natychmiast przypomniała mi się tygodniowa mordęga, Ewki i moja, w podobnej dzielnicy. I lokum, jakie zafundował nam Marian, gdy nie miałyśmy się gdzie podziąć. Po prostu déjà vu!

Wysiadłam i rozłożyłam na dachu auta plan Paryża, udając, że nie zwracam uwagi na zbiegowisko. Wiatr podwijał papier, a ja stałam bez pojęcia, gdzie się znajdujemy.

Podszedł do mnie młody Mulat z fryzurą przypominającą kopiec termitów. Zaraz nas okradną!, spanikowałam.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał łagodnie, ku memu zdumieniu.

Odwróciłam się w kierunku rosnącego młodziana w skórach i łańcuchach i całej gromadki mu podobnych. Przypomniałam sobie ostrzeżenia Alaina, znajomego policjanta. W takich dzielnicach nie wolno się zatrzymywać i lepiej nie zapuszczać się tam bez broni.

Trudno. Najwyżej nie wjedziemy do miasta, a nasze ciała znajdzie francuska policja. Będzie miała do rozgryzienia kolejny problem. Zwalczyłam strach.

– Owszem – powiedziałam z uśmiechem. – Chyba się zgubiliśmy. Mam tu plan, ale nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy – jęknęłam, patrząc błagalnie.

Nie, nie wyciągnął noża ani nawet nie rąbnął mnie kastetem między oczy. Zerknął na mapę i wskazał ciemnym palcem ze złotym sygnetem. TU. Tu jesteśmy.

– A jak stąd wjechać na *périphérique*? – Odważyłam się po raz drugi.

Zaczął wyjaśnienia, wodząc palcem po mapie, a ja kiwałam głową, udając, że rozumiem. W rzeczywistości bałam się tej gromadki tak bardzo, że niewiele do mnie docierało.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziałam, zwijając plan.

– Nie ma za co – odparł. – I miłych wakacji! – dodał.

Po czym oddalił się wraz ze swoimi kumplami.

– Ruszaj! – wrzasnęłam na Adama, wsiadając do poloneza.

– Ale gdzie?

– Prosto!

Uff! Niepotrzebnie tak się bałam.

Odjechaliśmy kawalek, a dalej prowadziłam Adama według wskazówek ciemnego chłopaka. Niebawem moje oczy pojaśniały na widok strzałki oznaczającej zjazd na wymarzoną obwodnicę. No, teraz wystarczy zjechać wprost do osiemnastej dzielnicy. Wiedziałam, gdzie, tyle że przedtem musimy okrążyć prawie całe miasto!

Zmęczony Adam dzielnie dzierżył stery poloneza. Wszyscy byliśmy już zmęczeni i głodni. Nad Paryżem zapadał mrok, a my wciąż tkwiliśmy w samochodzie. Gdy wreszcie wypatrzyłam właściwy zjazd, skręciliśmy i od razu utknęliśmy w ogromnym korku trąbiących aut. Czułam, że Adamowi puszczają nerwy.

– Jeszcze chwila i hotel – próbowałam go uspokoić.

No cóż, chciał do Paryża, to ma. O tej porze stolica Francji stawała się jednym wielkim ciągiem aut. Uśmiechnęłam się pod nosem. Witaj, ukochane miasto!

Przedzierał się uliczkami do celu. Adam musiał kilka razy ostro hamować, parę razy zakląć. Miał tej naszej wyprawy serdecznie dość. Nie powiedział tego na głos, ale znam go od urodzenia i wiem, co oznacza ta mina.

Znienacka nasz polonez zadarł nos pod górę, a to znaczyło, że znaleźliśmy się na wzgórzu Montmartre. Hotel powinien być tuż-tuż.

Wjechaliśmy jednak w niewłaściwą uliczkę, bo nagle znaleźliśmy się na samym szczycie. W dodatku utknęliśmy w jakimś zaułku. Ani do przodu, ani do tyłu! Adam zatrzymał się przed dwoma kamiennymi pachołkami, wysiadł i zbadał teren, stwierdzając, że jeśli mocno się postara, może się jakoś między nimi przecisnąć. Za pilota miał robić Waldek,

więc dawał Adamowi znaki. Ciut w lewo, okej, teraz w prawo...

Jakimś cudem wydostaliśmy się z tego potrzasku. Zjechaliśmy z powrotem w dół i po kilku rundkach po już całkiem ciemnych uliczkach znaleźliśmy wreszcie tę właściwą.

Rue Aristide Bruant.

Małeńka i wąska, przy której trwał nic niezmienny przez ostatnie trzy lata mój pocziwy hotel Utrillo.

Umęczony Adam zatrzymał auto na podjeździe, blokując przejazd innym. Znałam to z autopsji. Kiedy tu mieszkalam, goście często musieli czekać, aż inni wypakują się i odjadą. Nie było innej możliwości.

Poderwałam Waldka, Artura i przysypiającą Anię.

– Musimy się szybko zebrać i odstawić auto na jakiś parking! – krzyknęłam.

Za nami trąbiła już jakaś półcieżarówka.

Towarzystwo chyba wreszcie pojęło, że nie żartuję, i w tempie błyskawicy wnieśliśmy nasze bagaże do hallu. Ogromny karton z piwem pozostał w bagażniku. Recepcjonistce oznajmiłam, że mam rezerwację i zaraz wrócę, tylko odstawię auto, a młoda kobieta skinęła głową ze zrozumieniem. Nie my pierwsi, nie my ostatni.

Ania z Waldkiem zostali w hallu, a Adam, Artur i ja ruszyliśmy na poszukiwania najbliższego parkingu. W sumie sytuacja nawet zaczynała mnie bawić, choć mój brat był cały spięty i niezadowolony. A co, spodziewał się lokaja w liberii i orkiestry na powitanie?

Kręciliśmy się po okolicy, aż w końcu ujrzałam napis: „Parking podziemny”. Adam skręcił, lecz zaraz zahamował, bo z budki wyszedł czarnoskóry stróż, oświadczając, że wszystkie miejsca zajęte. Podpowiedział jednak litościwie, że dwie przecznice dalej może coś się jeszcze znaleźć.

Adam był u kresu wytrzymałości, więc próbowałam go uspokoić.

– Już za chwilę hotel wynagrodzi ci tę mękę – powiedziałam.

Nawet nie jęknął. Nie miał siły.

W końcu ulokowaliśmy auto na ogromnym podziemnym parkingu, kilka przecznic od naszego lokum. Uiszczyliśmy opłatę za całe dziesięć dni (było taniej, jeśli płaciło się z góry), zabraliśmy z bagażnika nasze bluzy i kilka piw, i ruszyliśmy krętymi uliczkami.

– Mam nadzieję, że hotel okaże się lepszym doświadczeniem niż wjazd do miasta – westchnął Adam.

– No, jestem ciekaw – odparł Artur sceptycznie.

Paniuszka oświadczyła, że klucze zabrali moja bratowa i Waldek, którzy wynieśli już bagaże z recepcji. Poprosiła mnie o wpisanie się do księgi gości i uiszczenie opłaty za pobyt. Podobnie jak na parkingu, gotówka i należność z góry dawały spory rabat, więc zapłaciłam bez wahania, po czym, z wyćwiczonym rutynowym uśmiechem, recepcjonistka skierowała nas do apartamentu dla nowożeńców, jedyne z widokiem na wieżę Eiffla.

– Znam ten pokój – odparłam, odwzajemniając się równie szerokim.

Pewnie dziewczyna pomyśli sobie, że to moja któraś z kolei podróż poślubna, westchnęłam w duchu, ale nie miałam siły tłumaczyć co i jak. Poprowadziłam męża i brata do windy. Zapewne każde z nas marzyło o tym samym: rozpakować się, wziąć prysznic i pójść coś zjeść.

Nadjechała winda.

– Jezu! – wykrzyknął Artur. – Nie zmieścimy się we trójkę!

– Wy razem, a ja pójdę schodami – oświadczyłam.

Zanim zaprotestowali, wepchnęłam ich do najmniejszej windy świata i nie czekając, aż zaczną wołać o ratunek, zatrasnęłam za nimi drzwi. Podreptałam na górę kręconymi ciasnymi

schodkami, mijając te same reprodukcje Utrilla, co trzy lata temu.

Złapałam chłopaków w maleńkim korytarzu.

– To szóste piętro? – zapytał mój mąż.

– O rany! – jęknął Adam. – Przyciski w windzie były tak blisko oczu, że nie mogłem złapać ostrości!

– Nie marudź. Twój pokój jest piętro niżej. Idź się rozpakować. Spotykamy się za pół godziny na dole.

Weszliśmy z Arturem do naszego apartamentu.

Nie mam pojęcia, co myślał mój mąż, ale mnie dopadły wspomnienia. Clementine, płacząca i poprawiająca moją pościel, kartka od tajemniczego mężczyzny...

– Podoba ci się? – zapytałam nieśmiało.

– Najważniejsze, że wyrko jest wygodne – odparł, badając materac.

Wstał i objął mnie ramionami.

– Chyba zaczynam cię rozumieć, Agus – szepnął mi do ucha.

– To chodź! Zobaczmy, czy wieża jest tam, gdzie powinna. – Pociągnęłam go do okna.

Wychyliłam się, jak dawniej, ale tym razem trzymał mnie Artur.

Była! Rozświetlona, majestatyczna.

– Łał! – wykrzyknął zachwycony.

– Pięknie, prawda? – wyszeptalam.

– Teraz już kumam, dlaczego tak cię to wzięło!

Wpatrywaliśmy się w granatowe niebo nad Paryżem.

Sielankę zakłóciło pukanie do drzwi. Adam.

– Chciałem sprawdzić, jak u was. O, macie szafę? U nas jest tylko mała wnęka w murze i dwa wieszaki. Pójdziemy coś zjeść?

– Jasne. Dostaliście kiepski pokój?

– Chodźcie zobaczyć – odparł ponuro.

Lokum Adama i Ani okazało się gorsze, niż sądziłam. Niemal całe wypełniało łóżko, zaś z mikroskopijnej toalety należało korzystać przy otwartych drzwiach, bo siedzącemu na sedesie nogi wystawały za próg. Przez okno zaglądała nie wieża Eiffla, ale szara, obdrapana kamienica.

Cóż, nie była to pora na narzekania. Wszyscy chcieliśmy jak najprędzej wyjść na kolację, bo aż burczało nam w brzuchach.

Po drodze zapukaliśmy do Waldka. Jego pokój okazał się całkiem fajną jedyką, wprawdzie bez widoku, ale za to z przestronną łazienką. Mój brat zdążył już nawet przebrać się i odświeżyć.

– Idziemy coś zjeść – oznajmiliśmy chórem.

Po chwili, już na pełnym luzie, pieliśmy się pod górę brukowaną uliczką.

Zaprowadziłam ich na sam szczyt Montmartre'u, bo jakżeby inaczej! Moja pierwsza kolacja w Paryżu po trzech latach posuchy! Tu i nigdzie indziej! Znalazłam wolny stolik w ulubionej knajpce i wypatrywałam znajomego kelnera.

Niestety, przyszedł inny, podał menu i ulotnił się czym prędzej. Ale i tak byłam szczęśliwa i podniecona.

– Pojęcia nie mam, co tu piszą! – jęknął Artur, wpatrując się w kartę dań.

– Ani ja – powiedziała rozbawiona Anka.

Nie wiedziałam jak i kiedy, ale zdążyła się przebrać w świeże ciuchy i poprawić makijaż.

– Mianuję cię przewodnikiem naszej wycieczki – zwrócił się do mnie Adam całkiem serio.

Skąd wiedziałam, że tak będzie? Zamówiłam *boeuf bourguignon* i *soup à l'oignon*. Był ciepły sierpniowy wieczór. Plac du Tertre otulało ciemne, rozgwieżdżone niebo, wiał lekki wiatr. Zewsząd dochodziły smakowite zapachy. Anka rozglądała się dokoła.

- Więc to tutaj rysowałaś? – zapytała.
- Tak. W tamtym kącie, o tam. – Wskazałam.
- I jak się teraz czujesz?
- Jakbym wróciła do domu – odparłam bez zastanowienia.

Zupa cebulowa okazała się, jak zawsze, wspaniała. Waldek, dla którego dzień bez zupy był dniem straconym, pochłaniał ją ze szczególnym zapałem. Od lat przyjeżdżał na obiady do naszej mamy, ale cebulową we francuskim wydaniu jadł zapewne po raz pierwszy.

Na placu było tłoczno od turystów i portretujących. Nie zauważyłam Mariana, ale też nie szukałam go na siłę. Znów byłam jak lwica przyczajona wśród wysokich traw. Nie, nie zmarnuję szansy!, postanowiłam. Moja podróż poślubna to jedno, ale dawni paryscy przyjaciele to tajna misja, o której jeszcze nie wie nikt.

Adam poskarżył się na wołowinę, która rzeczywiście była zbyt twarda, więc zaproponowałam, abyśmy od jutra chodzili na kolacje do Le Buffet. Pokazałam im lokal podczas schodzenia ze szczytu, ciekawa, czy wciąż jest prowadzony przez znanych mi braci. Ledwie weszliśmy, by się rozejrzeć, a oni mnie rozpoznali! Natychmiast wzięli się do zestawiania stolików, lecz powstrzymałam ich gestem. Od jutra! Od jutra czekała na mnie stała rezerwacja w Le Buffet, gdzie spędziłam tak wiele godzin z Marco i Nicole. I z naszymi flikami.

Zbyt wiele wspomnień naraz.

Mijając głośne knajpki, nieśpiesznie doszliśmy do hotelu, zmęczeni wrażeniami. W końcu rankiem snuliśmy się jeszcze po uliczkach Heidelbergu...

Poszliśmy spać, bo jutro czekała nas wspólna przygoda. Czyli moja podróż poślubna połączona z ich oczekiwaniami.

Ciekawe, co z tego wyniknie?

Artur padł, zanim się wykąpałam. I dobrze, bo wcale nie miałam ochoty na jakiegokolwiek figle. Przed zaśnięciem raz jeszcze wyjrzałam za okno. Niebo jaśniało powoli, ale wieża wciąż jarzyła się na jego tle. Wspomnienie samotnego pobytu sprawiło, że westchnęłam.

Obawiałam się, że tym razem nie będzie tak romantycznie jak wtedy. Przyciągnęłam ze sobą aż z Polski wycieczkę do oprowadzenia. A przecież nie tego pragnęłam!

## 4

Śniadanko w kafeterii, poziom minus jeden. Ania w ładnej sukience, Adam też jakiś inny, pełen energii, świeży. Waldek zaspał, jak zwykle. Nic nowego.

– Pójdę go obudzić – zaofiarował się Artur.

– Powiedz, że za chwilę wyruszamy. – Adam nałożył sobie na talerz ciepłe parówki.

Nic tak nie poprawia nastroju w Paryżu jak dobre śniadanko. Rzuciliśmy się na kawę i chrupiące rogaliki. Były jeszcze jajka na miękko, parówki i konfitury. Wszystko świeżutkie i pyszne. Obsługiwała nas młoda Mulatka. Upłynęły trzy lata, Clementine mogła już tu nie pracować... Mimo obaw zagadnęłam dziewczynę.

– Clementine? – odparła z uśmiechem. – Clementine ma dziś wolne, ale będzie jutro.

Niesłychane! Niewiele się jednak zmieniło od mojego ostatniego pobytu! A jeśli Clementine pracuje tu nadal, zapewne wie coś na temat Alaina, mojego flika wybawcy. Trzy lata temu mieli się ku sobie, ciekawe, czy coś im wyszło?

– O co chodziło? – zainteresowała się Ania.

– Pytałam o dziewczynę, która tutaj pracowała.

– To ważne?

– W pewnym sensie...

Waldek pojawił się na dole zaspany, ale, o dziwo, ogolony. Normalnie sypia do szesnastej, więc jego obecność przed dziesiątą była jak objawienie.

– Nalej sobie kawy i coś przekąś, bo zaraz idziemy zwiedzać – powiedział Adam z pełnymi ustami.

– Ale ja po śniadaniu muszę jeszcze na kibelek! – oświadczył Waldek.

– No to będziesz zwiedzał Paryż sam – podsumowałam.

– Cholera! – wykrzyknął mój młodszy brat i czym prędzej pobiegł nałożyć sobie na talerz śniadaniowe dobra. On zaczynał jeść, my kończyliśmy.

– Przebieramy się i za kwadrans na dole, okej? – Inicjatywę przejął mój mąż, świeżutki, wyspany i pachnący. Garnął się do zwiedzania jak nikt z naszej piątki.

– Zaczekajcie, niech zjem! – wrzasnął Waldek.

– Wybacz, braciszku, ale jest nas pięcioro. I decyduje większość. Wychodzimy za kwadrans – odparłam stanowczo.

Zrobiłam to celowo. Waldek zawsze się spóźniał, nigdy nie liczył się z cudzym czasem. Nie miał żadnych obowiązków, obiady jadał u mamy, wstawał po południu. W nocy oglądał filmy i mecze. I nigdy, przenigdy nie czekał na żadne z nas, za to my zawsze czekaliśmy na niego. Więc teraz dostanie szkołę.

Artur zapakował co trzeba, ja się szybciotko ogarnęłam i po kwadransie zjechaliśmy miniaturową windą na dół. Ania z Adamem już byli. Waldka, naturalnie, brakowało.

Dochodziła jedenasta, a przecież mieliśmy wyruszyć grubo wcześniej. Zaplanowałam na ten dzień długą trasę.

– Czekamy czy idziemy do metra? – zapytałam serio.

– Dajmy mu jeszcze pięć minut – poprosił litościwy z natury Adam.

Waldek zdążył w ostatniej chwili.

Ruszyliśmy do stacji metra Abesses, pod górkę, po drodze chłonąc paryskie poranne klimaty: gwarne kafejki, kolorowe stragany pełne warzyw i owoców, ludzi z dobrą energią.

Dzień był gorący, więc od samego rana wszystko parowało. Na chodniku siedział pies, a obok niego krukowate ptaszysko zdziobywało rzucone na trotuar ziarenka. Skąd ja znam takie widoki? Najwyraźniej w Paryżu zmiany zachodzą wolniej, niż sądzę. Sytuacje oglądane w drodze do metra idealnie pasowały do tych zapamiętanych przed trzema laty. Jak choćby kloszard myjący się w publicznej fontannie...

Waldek chyba dopiero teraz obudził się na dobre. Po roześmianej Ance widać było, że jest zadowolona. Adam patrzył na te paryskie kurioza z pewnym powątpiewaniem. A Artur? Artur omal się nie zabił na nierówności chodnika, zapatrzony w kobietę prowadzącą na smyczy kota.

– Nie! – wrzasnął. – To chyba jakieś wariatkowo?

– Jeszcze niejedno dziwo zobaczysz – odparłam ze śmiechem.

Na Abesses pokonałam po schodach trzy piętra w dół. Z zadowoleniem stwierdziłam, że na ścianach wciąż jest znane mi graffiti.

Skład nadjechał po pół minucie, co wprawiło moich towarzyszy w niebotyczne zdumienie.

No tak, oni wciąż jedną nogą tkwią w komunie, gdzie nic nie przyjeżdża od razu, pomyślałam. Zagoniłam ich całą czwórkę do wagonu i ruszyliśmy ze świstem typowym dla paryskiego metra. Waldek w ostatniej chwili złapał wiszący nad nim drążek. Chyba się jednak jeszcze nie obudził...

Każdy dzień we Francji zaplanowałam na długo przed naszą podróżą, w końcu miałam być przewodnikiem, tłumaczem i jedynym guru w razie jakiegokolwiek wpadki jednocześnie. Moje towarzystwo nie miało wyboru, musiało podążać za mną. Dziś zaproponowałam pieszą wędrówkę po mieście, zaczynając się pod École Militaire. Dalej: wieża Eiffla, Avenue Kleber, Łuk Triumfalny, przemarsz Polami Elizejskimi, plac Zgody, Opera. No, może metro, jeśli zaczną jęczeć... Łącznie jakieś siedem, osiem kilometrów na piechotę. Ale na przyjemną piechotę. Po drodze jest tyle atrakcji, że zmęczone nogi są nieistotne.

Czworo dorosłych ludzi podążało za mną grzecznie, jak stadko gąsek. Ale kiedy weszliśmy na zielone Pola Marsowe i w oddali ukazała się wreszcie majestatyczna wieża Eiffla, Waldek nie wytrzymał napięcia.

– O rany! – westchnął i natychmiast wyciągnął aparat. – Ale widok!

Chyba im się ta wędrówka spodobała. Nie narzekali, szli za mną w ciemno i chłonili Paryż z perspektywy nowicjuszy, czyli według przewodnika. Pierwszego dnia nawet nie próbowałam im opowiedzieć, co naprawdę kryje to miasto. Te niewspominane na mapach zakątki, jak choćby Cour de Rohan, gdzie mieszkał Guillotin, twórca „humanitarnej maszyny do zabijania”...

I inne.

Na razie dałam im to, co powinien zaliczyć każdy turysta.

Pod wieżą Eiffla wiała się stumetrowa kolejka po bilety na wjazd.

Adam uwielbiał wszystko, co wysokie, wielkie i nietuzinkowe.

– Chyba dziś nie da rady wjechać na górę... Jak myślisz, Aga? – zapytał, sceptycznie oceniając szanse na kupno biletu.

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli bardzo wam zależy, może się udać. Ja dziękuję. Nigdy tam nie wjadę.

– Co o tym myślisz? – Adam zwrócił się do Ani.

– A będziemy mieć jeszcze okazję?

– Dziś jest niedziela, więc kolejka jest zapewne o wiele dłuższa niż w tygodniu. Możecie się ustawić, a ja tymczasem połażę sobie po okolicy i przekąszę coś dobrego – wyjaśniłam reszcie moje stanowisko w tej kwestii.

Zerknęłam na Artura. Wzruszył ramionami.

Waldek robił wieży zdjęcia od dołu.

Adam naradził się z Anią i po chwili zapadła decyzja.

– Dziś idziemy dalej, ale jeszcze tu wrócimy.

– Jak chcecie. Ale beze mnie, mam lęk wysokości. To co, ruszamy?

Wróciliśmy na szlak. Minęliśmy fontanny, potem plac Trocadéro, Avenue Kleber i udaliśmy się w kierunku Łuku Triumfalnego. Przeszliśmy obok polskiego konsulatu (łezka zakręciła mi się w oku na wspomnienie wizyty w tym budynku razem z Ewką) i obok salonu Ferrari. Nie, nie przeszliśmy. Adam z Waldkiem przystanęli jak wryci na widok kręcącego się w witrynie nowiutkiego czerwonego marzenia każdego faceta. Nawet Artur, zwykle do wszystkiego nastawiony sceptycznie, zapatrzył się na to чудо.

– To co, wchodzimy i prosimy o próbną jazdę? – zażartował.

– W tych ciuchach nawet nie wpuszczą nas do środka – stwierdziła Ania.

Wokół Łuku Triumfalnego przetaczała się szeroka rzeka aut. Trąbiły, ostro hamowały, czasem nawet ocierały się o siebie zderzakami przy nieudolnej próbie zmiany pasa. Staliśmy na chodniku w oczekiwaniu na zielone światło. Trochę to trwało.

– Zaczynam się cieszyć, że zostawiłem auto w garażu – powiedział Adam, patrząc na te paryskie samochodowe przepychanki. Niektórzy kierowcy przeklinali głośno przy otwartych oknach.

– Zielone! – krzyknęła Ania.

Pobiegliśmy żwawo, żeby zdążyć, i po chwili znaleźliśmy się na najdroższej ulicy Paryża.

Avenue de Champs-Élysées.

Szeroka na sto metrów, rozdzielona pasem zieleni. Prosta kreska na mapie, wyznaczająca najważniejsze punkty miasta: Luwr, place de la Concorde, Łuk Triumfalny, i dalej nową dzielnicę – ginącą w błękitnej mgiełce, nowoczesną La Defense. Paryż najwyraźniej planowano z liniijką w rękę: od zabytkowego centrum do najnowszej dwudziestowiecznej architektury.

Czułam, że moje owieczki tracą siły, coraz częściej wspominając o kuszących zapachach z pobliskich knajpek. Ja zresztą też konałam z głodu. Minęliśmy słynną restaurację Fouqueta, zazdroszcząc szczęśliwcom spożywającym posiłek przy okrągłych stolikach obsługiwanych przez zwinnych kelnerów. Nie omieszkałam na chwilę przenieść się w czasy, gdy wpadliśmy tam z Ewką na piña coladę.

Doczłapaliśmy jakoś do placu Zgody, po drodze kupiwszy po kanapce, i padliśmy na chwilę na ławeczkach przy Polach Elizejskich. Tuż obok całowała się namiętnie młoda para, jakby w pobliżu nie było nikogo. Uśmiechnięty Adam objął Anię.

– Dość tego odpoczywania, ruszamy dalej – zakomenderowałam. – Pamiętajcie, że na porządną kolację idziemy do Le Buffet – pocieszyłam towarzystwo.

Kanapki kanapkami, ale wszyscy marzyliśmy o prawdziwym jedzeniu.

Im bliżej było wieczora, tym Waldek stawał się bardziej aktywny. Nawet mówić zaczynał.

– Więc jesteśmy na placu Concorde? – zapytał pod ogromnym obeliskiem.

– Owszem – przytaknęłam. – To miejsce szczególne. Podczas rewolucji francuskiej ścięto tu publicznie króla Ludwika XVI, Marię Antoninę, a później także przywódców rewolty – Dantona i Robespierre'a. I tysiące innych. Gilotyna stała tu przez ponad dwa lata,

a do okolicznych rynsztoków spłynęło całe morze krwi. Starą nazwę – plac Rewolucji – zmieniono na plac Zgody dopiero po pojednaniu.

– Chyba poproszę dziś o krwisty befsztyk! – Artur roześmiał się głośno.

– Czy widzisz coś zabawnego w ścinaniu głów? – zapytałam oburzona.

– Ogromny ten plac! – stwierdziła moja bratowa.

Waldek robił zdjęcia, a Adam sprawdzał, czy widać Luwr.

– To co? Macie jeszcze siły na plac Vendôme?

– Ten z filmu *W kręgu zła*? – Podchwycił czujnie Waldek.

– Ten sam. W dodatku w niezmienionej od stuleci formie – oświadczyłam.

– Pamiętam ten film – rzekł Adam. – Niesamowity! A jak to daleko stąd?

Chyba jednak mieli już dość tej pieszej przebieżki...

– Niedaleko. A potem wsiadamy do metra i wracamy na Montmartre.

– Chcę zobaczyć. – Zdeklarował się Adam.

– Koniecznie! – wołał coraz bardziej ożywiony Waldek.

– No dobra, chodźmy – mruknął, i tak już przegłosowany, Artur.

Po drodze mijaliśmy słynny hotel Inter Continental i nie oparliśmy się pokusie zerknięcia na cennik przed wejściem. Jedna doba kosztowała tu tyle, co całe nasze wakacje! Tak czy siak fajnie było go zobaczyć. Wspomnienie akcji z wielkim projektantem mody Carlem Legrandem wywołało u mnie gęsią skórę. Drzwi obrotowe Inter Continentalu były jak raz już zdobyta twierdza.

Tylko po co o tym mówić? I tak by mi nie uwierzyli. Większość moich paryskich ekscesów nadal pozostawała tajemnicą. Moją i Ewki. No i Mariana, naszego miejscowego przyjaciela. Ciekawe, co on teraz robi? Wczoraj na placu go nie było. Może nie wycina już czarnych profili?

Idąc w stronę placu Vendôme, coraz bardziej pogrążałam się we wspomnieniach. *Mon Dieu!*, krzyczała moja dusza. Jestem w Paryżu już drugi dzień, a jeszcze nie zrobiłam niczego dla siebie!

Ale zrobię.

Tylko znajdę odpowiedni moment.

Plac Vendôme rzeczywiście wyglądał jak w filmie, w którym Ives Montand miał oddać pojedynczy celny strzał do sejfu Cartiera. Nadal mieściły się tutaj siedziba i sklep firmy, a także jeden z najdroższych hoteli świata – Ritz.

Obeszliśmy plac dokoła i przystanęliśmy przed zamkniętym już sklepem jubilerskim, podziwiając drogocenne klejnoty w witrynie. Szukałam wysadzanego szafirami zegarka, który tak mi się spodobał kilka lat temu, ale nie znalazłam. Pewnie kupił go jakiś szejk dla kolejnej żony.

Waldek nie mógł oderwać się od wystawy.

– Planujesz napad? – Śmiejąc się, trącił go w ramię straszny brat.

Najwyraźniej pogodził się już z typowymi dla Paryża niedogodnościami – z ciasnym kibelkiem, małym pokojem, brakiem samochodu – i zaczął doceniać naszą włóczęgę po ulicach. Anka, jak zwykle, niczego nie komentowała. Rzadko okazywała emocje. Waldek był małomówny z natury, natomiast Artur dowcipkował za nas wszystkich. Zupełnie jakbyśmy zwiedzali Legoland, a nie Paryż.

Nie martwiło mnie to wcale. Moim zadaniem było im pokazanie tego i owego, a czy było warto, niech odpowiedzą sobie sami.

Wsiedliśmy do metra na stacji Opéra i niezmiernie zmęczeni powróciliśmy do naszego hotelu. W recepcji dyżurował dziwnie znajomy młody mężczyzna. No tak, ten sam,



który proponował mi kiedyś darmowe bilety do Musée d'Orsay, bylebym tylko nie wyprowadzała się z Utrilla! Miał, zdaje się, na imię Jacques?

– *Bonsoir, monsieur Jacques!* – zaryzykowałam, przechodząc.

Poderwał się natychmiast. A więc dobrze zapamiętałam!

– *Bonsoir, madame...* – zająknął się zakłopotany.

– Agnieszka – odparłam z uśmiechem.

Skłonił się i choć z pewnością mnie nie skojarzył, wspaniale nadrabiał miną. Zupełnie jakby witał stałego i w dodatku ważnego gościa w hotelowych progach.

– Prawie ci zasalutował! – stwierdziła zaskoczona Anka, kiedy wcisnęłam przycisk windy.

– Przynajmniej w tym hotelu mogę się poczuć jak królowa – parsknęłam śmiechem.

Głód pędził nas w stronę Le Buffet. Nawet Waldek był gotów na czas, a nawet przed, w dodatku przebrany w świeżą koszulę i pachnący wodą toaletową. Wprawdzie nie Givenchy ani Diorem, ale i tak miło było poczuć bijącą od braciszka świeżość. Stał na chodniku wąskiej uliczki, palił papierosa i podziwiał uroki wieczornego, wolnego od trosk miasta, w którym milicja nie sprawdza co chwila dowodów osobistych zwykłych obywateli.

Niebo już pociemniało, ale wciąż było gorąco i bezwietrznie. W Le Buffet już czekały dwa złęczone stoliki i karafka wina na koszt firmy, co nadzwyczaj spodobało się moim mężczyznom. Adam wychylił dwa kieliszki duszkiem, Waldek z Arturem nie pozostali w tyle.

Rozejrzałam się po znajomym wnętrzu, ale nie zauważyłam zmian. Knajpka była pełna po brzegi i tak samo głośna jak przed trzema laty. Na ścianach wisiały te same fotografie. Adam, głodny do bólu jak my wszyscy, przeglądał menu, udając, że rozumie.

Po chwili, zrezygnowany, rzucił kartę na stół.

– Weź i coś zamów, Aga! – powiedział zniecierpliwiony.

Anka była w dobrym nastroju. W nowej bluzeczce wyglądała na odprężoną. Waldek palił, rozglądając się po ścianach. Artur przez moment studiował kartę, ale również się poddał.

– Masz rację, Adam. Zamów coś, Aga, bo za chwilę padniemy!

Gospodarz zaoferował nam menu dnia, czyli zupę cebulową i bukiet mięs z grilla z warzywami. Wszyscy zgodzili się ochoczo, choć tylko ja rozumiałam, co zamawiamy. Na stole pojawiła się kolejna butelka.

Kerim nie pytał o towarzyszącą mi zgrają. Kelner w Paryżu może sobie myśleć i wiedzieć wiele, ale nie ma prawa tego komentować. Trzy lata temu widywał mnie i z Marco, i z Nicole, i z młodymi policjantami. Mimo to uznałam, że powinnam mu przedstawić moich bliskich.

Przedstawiłam ich po kolei.

Monsieur Kerim z uśmiechem podał kolejno dłoń każdemu, mówiąc że jest *enchanté*. Oznaczało to tyle co „szczęśliwy, że może nas gościć”.

– *C'est mon mari.* – Wskazałam na Artura. A gdy dodałam, że jesteśmy w podróży poślubnej, Kerim aż podniósł ogromne krzaczaste brwi.

– W takim razie szampan na koszt firmy! – krzyknął.

Moi czujni bracia natychmiast wyłowili słowo „szampan”, kwitując je gromkimi oklaskami.

W jednej chwili nasz stolik stał się centralnym punktem restauracji.

Jedzenie było przepyszne, bąbelki mieszały się z winem. A jeszcze, zupełnie jakby na moją cześć, do knajpki weszła Quasimodo! Nie mogłam uwierzyć! Ta sama obszarpana kobietka w grubych okularach, tym razem odziana w jakąś kolorową kieckę i czerwone sandały. Taśma na szyi podtrzymywała ten sam ogromniasty kosz z papierosami,

a Quasimodo, jak dawniej, namawiała niskim głosem do zakupu fajek po podwójnej cenie. Waldek zamarł, Anka skuliła się ze strachu. Adam, lekko już podchmielony, a więc odważny, jako jedyny niepalący zamierzał odprawić handlarzkę. Sęk w tym, że nie miał pojęcia, jak to zrobić, przecież nie znał francuskiego. Machnął dłonią przed hardym obliczem kobieciny, myśląc, że to wystarczy. Przeliczył się. Quasimodo prawie wetknęła palec w jego talerz i tubalnym głosem zażądała wyjaśnień.

– Precz z łapami! – krzyknął Adam.

– Pozwól, że z nią pogadam. – Powstrzymałam go.

Oczy Quasimodo ciskały pioruny. Przewisko pasowało do niej jak ulał. Była upiornie brzydka i straszna.

– Pamięta mnie pani? – zapytałam zadziornie.

– Panią? A gdzie tam! Sprzedaję *les cigarettes* od trzydziestu lat i miałabym każdego pamiętać? – Omal nie napluła nam do talerzy. – To jak? Kupuje pani?

– Już mam – odparłam zgodnie z prawdą. Ale doskonale wiedziałam, co zaraz nastąpi.

– A on? – Wskazała kościstym paluchem na Adama.

– Co ona mówi? – zapytał.

– Pyta, czy palisz. On nie pali – wyjaśniłam.

– Nienormalny jest?

– Normalny, ale niepalący – odparłam, coraz bardziej rozbawiona.

Quasimodo oparła się o stolik, nie zamierzając odejść. Artur najwyraźniej załapał, bo pokazał jej swoje marlboro.

– My już mieć co palić! – Popisał się, ubawiony po pachy.

W odpowiedzi Quasimodo przeszła go wzrokiem. Drgnęła i odsunął krzesło.

– Co on mówi? – zapytała tym swoim ochryplym głosem, zerkając na mnie ponownie.

– Że mamy co palić – wyjaśniłam po żabojadzku.

Zdawałam sobie sprawę, że nie pozbędziemy się babiny, dopóki nie kupimy choć jednej paczki papierosów.

Kobieta omal nie zabiła Artura wzrokiem. Bawiłam się świetnie, widząc, jak mój ślubny kurczy się ze strachu.

– Madame Quasimodo – powiedziałam wreszcie łagodnie. – Daj jedną paczkę cameli i idź dręczyć innych ludzi. Mamy co palić, więc i tak wyświadczam pani grzeczność.

– Dwie paczki – syknęła.

– W takim razie ani jednej – odparłam twardo.

Małe oczka zapłonęły gniewem.

– Barbarzyńcy! – warknęła wściekle, po czym rzuciła na blat paczkę cameli, zgarnęła należność i odeszła, złorzeczając pod nosem.

Natychmiast przykleiła się do kolejnego stolika.

– Możesz mi wyjaśnić, co to było? – zapytał oniemiały Adam.

– Tutejszy folklor. Ale teraz lepiej jedźmy, zanim wystygnie.

O Quasimodo opowiedziałam im dopiero w drodze powrotnej do hotelu.

Waldek stwierdził, że czuł się przez chwilę jak w filmie grozy. Rozumiałam go. Kiedy zobaczyłam tę kobietę po raz pierwszy, czułam się podobnie. Po drodze zapaliliśmy po jednym z przepłaconych podwójne cameli. Podziwialiśmy paryską noc.

W okolicznych knajpkach tętniło życie. Zwłaszcza w jednej, zauważonej już wczoraj. Głośna muzyka wydobywała się z niej na chodnik jak gorąca para. Dudniło w całej okolicy. Ciekawe, jak śpi się w takich warunkach mieszkańcom pobliskich domów?

Minęliśmy mały brukowany skwer, oświetlony stylowymi latarenkami, na którym

zaparkowano motocykle: hondy, suzuki, kawasaki. Same wypasione maszyny. Pewnie w którymś z lokalików mają bazę ich właściciele.

Nasi panowie, podpici po winie w Le Buffet, nie mogli się powstrzymać, by nie przystanąć i nie obejrzyć takiej rzadkości. A ja przypomniałam sobie „księżniczkę” Marco, którą mknęliśmy razem przez Pola Elizejskie po nocy. I rozmowy na La Defense o wspólnej przyszłości.

Może powinnam wtedy ulec?

Z zamyślenia wyrwała mnie Anka.

– Są jak duże dzieci – stwierdziła, patrząc na trzech rozbawionych facetów wśród motocykli.

Stałyśmy na skraju placu.

– Opowiadałaś o tym Marco... – powiedziała zniecierpliwiona moja bratowa. – Gdzie on teraz jest?

– To już przeszłość, Aniu.

– Nie wierzę. Widzę, jak się rozglądasz. I te motory... Mówiłaś, że jeździł czymś takim.

– Bo jeździł. Ale to już historia. Chodźmy wreszcie do hotelu, jutro sporo zwiedzania.

Oczekiwała chyba czegoś więcej, ale na szczęście nie drążyła tematu.

Popędziłyśmy facetów i przed północą wszyscy wyładowaliśmy w pokojach.

W apartamencie dla nowożeńców, bo tylko on był w stanie pomieścić jakoś pięć osób, strzeliliśmy sobie piwko przed snem i zakończyliśmy wieczór około drugiej w nocy. Miałam nawet ochotę na małe szaleństwo, ale kiedy wróciłam z łazienki, mój mąż chrapał głośno. To cud, że od tych wibracji nie rozlecą się mury, pomyślałam.

Wyjrzałam przez okno. Rozświetlona wieża lśniła na tle czarnego nieba. Jej blask przyćmiewał nawet gwiazdy.

Wychyliłam się niebezpiecznie za parapet, zupełnie jak trzy lata temu. Wtedy jeszcze nie byłam pewna, jak ma wyglądać moja przyszłość. A teraz? Czy jest już przyklepana na amen?

Spojrzałam na chrapiącego Artura.

Chyba niezupełnie o tym marzyłam.

## 5

Było dokładnie tak, jak się spodziewałam. Po wczorajszym kilkukilometrowym tournée po ulicach Paryża wszyscy mieliśmy zakwasy, więc trzeba było zmienić plany. Zamiast wycieczki do Luwru popłyniemy rekreacyjnie barką po Sekwanie, postanowiłam.

Z trudem zeszliśmy do kafeterii na śniadanie, na jajka na miękko i przepyszne chrupiące bagietki. Do tego konfitury i rogaliki. Pomieszczenie wypełniał cudowny aromat świeżo parzonej kawy.

Zebraliśmy się przy stoliku.

– Nie dam rady nigdzie iść! – jęknął Waldek.

Ale po jajeczka i kawusię pobiegł ochoczo!

– Mnie też wszystko boli – powiedział Adam.

I krzyknął do Waldka, żeby ten przyniósł przy okazji porcję dla niego.

Patrzyłam na nich z litością i ubolewaniem. Jeśli już teraz wymiękli, co będzie dalej?

Anka nie marudziła. Przyniosła dzbanek z kawą, rogaliki i masło.

– Ja tam mogę iść na kolejną wyprawę – stwierdziła, przysiadając pod sztuczną palmą.

– Ja też się nie skarżę – dołączył do niej Artur. – Choć szczerze, wołałbym dziś coś mniej pieszego.

– Co powiecie na rejs statkiem po Sekwanie? – zaproponowałam.

– Super! – wykrzyknął Waldek. – Ej, mogę tego rogalika? Bo chyba to ostatni?

A więc postanowione.

Kupiliśmy bilety na nabrzeżu i po półgodzinnym oczekiwaniu zaokrętowaliśmy na *bateaux mouches*.

Te urocze środki lokomocji nazywane są statkami muchami prawdopodobnie dlatego, że obsiadają całą rzekę na podobieństwo tych owadów.

Zanim weszliśmy na pokład, dopadł nas jeszcze wścibski fotograf. Odprawiony grzecznie (w końcu mieliśmy własny aparat), oznajmił, że zrobi nam zdjęcia, a my po zakończonym rejsie zdecydujemy, czy je kupimy. Popatrzyliśmy po sobie zdumieni.

W Polsce nachalna akwizycja usług dopiero raczkowała. Wolność rynkowa była nieznanym zjawiskiem, podczas gdy w Paryżu panoszyła się na każdym polu. Ot, choćby taka Quasimodo.

Stateczek podpłynął, turyści ruszyli po wąskim trapie. Po sprawdzeniu biletów dopadliśmy miejsc na przedzie, pośród sztucznych roślin. Waldek wyciągnął aparat.

Trzy lata temu nie miałam okazji popłynąć po Sekwanie, a zresztą wcale o tym nie marzyłam, zwłaszcza gdy dowiedziałam się, że wyłowiono z niej mojego przyjaciela Napoleona. Teraz jednak musiałam zadowolić spragnioną podobnych rozrywek rodzinę.

Ruszyliśmy. Stary silnik zakaszłał jak nałogowy palacz w stanie agonijnym, ale statek oderwał się od przystani. Niemal natychmiast odezwała się nasza przewodniczka, rycząc przez tubę, jak się jej wydawało, po angielsku, że oto mijamy Pont Neuf.

Słoneczko przypiekało, pod nami pluskały ciemne wody Sekwany, budynki na nabrzeżach przewijały się jak w kalejdoskopie. Przewodniczka nie przestawała mówić nosowym głosem.

Waldek pstrykał fotki, Adam rozglądał się z zainteresowaniem, Artur siedział rozparty z nogą na nodze i mrużył oczy, udając obojętność. Jedyne Anka była ożywiona i podekscytowana.

Niebawem dopłynęliśmy do zakola Sekwany przy wyspie z katedrą Notre-Dame. Anka wstała.

– Niesamowite! – wykrzyknęła. – Patrzcie!

Podobnie jak reszta, ja również po raz pierwszy w życiu oglądałam tę świątynię z takiej perspektywy. Łuki przyporowe i wieżyczki wyglądały zupełnie inaczej niż na popularnych widokówkach. Nawet Artur podniósł głowę, podziwiając ten cud średniowiecznej architektury. Milczący Waldek w zachwycie cykał zdjęcie za zdjęciem.

Nasz stateczek opłynął katedrę i zawrócił, po drodze mijając kolejno piękny budynek La Samaritaine, gdzie kupowałam swego czasu ciuchy i szminki w towarzystwie Ewki, Luwr, ogrody Tuileries, aż w końcu wieżę Eiffla, aby zawrócić na miejsce startu. Przewodniczka przez cały czas nadawała łamaną angielszczyznę, gdzie się akurat znajdujemy albo co mijamy. Nie omieszkała wspomnieć o Musée d'Orsay, widocznym po prawej, oszałamiająco pięknym budynku. Może Adam i Artur byli nieco znudzeni, ale ja czułam, jak na ten widok serce mi rośnie.

Wreszcie dobiliśmy do brzegu. Wychodząc, musieliśmy podać rękę naszej przewodniczce, a kto chciał, wrzucał parę franków do puszek na jej dodatkowe wynagrodzenie. Zostawiłam z grzeczności jednego. Mogłaby trochę lepiej opanować angielski i tak nie krzyżeć. Bez jej nachalnego głosu wycieczka byłaby z pewnością bardziej romantyczna.

Dopał nas i fotograf, ale podziękowałam mu stanowczo. Waldek robił zdjęcia, a pięćdziesiąt franków w kieszeni mogło nam się przydać na cokolwiek bardziej sensownego.

Generalnie moja rodzinka zakończyła przejażdżkę raczej zadowolona.

Dała się jeszcze namówić na krótki spacer wzdłuż Sekwany i zerknięcie na stragany bukinistów. Ale chyba tylko Anka podzielała mój entuzjazm przy oglądaniu niesamowitych starych map i rycin. Panowie szli przodem, absolutnie na te unikatowe dzieła obojętni.

– Spójrz na to! – wykrzyknęła moja bratowa na widok starego atlasu świata.

Podeszłam, oderwawszy się od dziewiętnastowiecznych sztychów z ziołami.

– Fantastyczny – przyznałam.

– Spytaj, ile ten pan za niego chce – szepnęła rozochociona.

– *Monsieur* – zagadnęłam sprzedawcę. – *Combien ça coûte?*

– *Troi cent francs* – odparł.

– Czyli ile? – spytała Anka.

– Trzysta franków.

– Och!

– Ale możemy się potargować... – zaproponowałam.

– Mogę dać sto pięćdziesiąt – palnęła moja bratowa.

Przetłumaczyłam. Sprzedawca uśmiechnął się z przekąsem. Nie ma mowy, to wyjątkowe dzieło. No, ostatecznie za dwieście.

Przetłumaczyłam.

Teraz i mnie naszła ochota na ten wyjątkowy atlas. Nasi faceci kiwali na nas z daleka. Pewnie zgłodnieli i śpieszno im było na lunch.

– Dam sto osiemdziesiąt i ani centyma więcej – zdecydowała Anka.

– Sto dziewięćdziesiąt.

Widzę, że moja bratowa jest naprawdę napalona.

- Okej, kupuję.
- I zrobiła naprawdę dobry interes. Taka gratka nie zdarza się co dzień.
- Co tam tak długo robiliście? – zapytał poirytowany Adam.
- Kupowałyśmy książkę.
- A po co? – Spojrzał pytająco na żonę. – Przecież w Polsce też są księgarnie.
- Anka puściła do mnie oko. Nie ma sensu komentować, mówiła jej mina.
- Chodźmy wreszcie na jakiś lunch – powiedział Adam.
- Najwyższa pora – poparł go Artur.

Gdy chodzi o jedzenie, na facetów zawsze można liczyć, choć najlepszą paryską księgarnię nad Sekwaną ominęli szerokim łukiem.

- Niedaleko stąd jest miły lokal. Byłam w nim już kiedyś.

Zamówiłam chrupiące zapiekanki, kawę i szarlotkę. Usiedliśmy przy oknie z widokiem na rzekę. Po napełnieniu brzuchów jako pierwszy przemówił Waldek.

- Mam kupę fajnych ujęć.
- A podobała się wam wycieczka? – zapytałam nieśmiało.
- Mnie bardzo – odparła Ania.
- Niesamowite widoki – przyznał Adam.

Artur jadł w milczeniu. Zupełnie jakby Paryż był dla niego bułką z masłem...

Wieczorem poszliśmy na kolację do Le Buffet, gdzie Kerim już od progu wskazywał na wino i połączone stoliki. Witął nas szerokim uśmiechem. Po sutym posiłku powróciliśmy do hotelu, aby kontynuować popijanie w naszym pokoju numer 63 na szóstym piętrze. Było miło i wesoło, ale mnie dopadły prywatne zmartwienia. Dwie doby pobytu w Paryżu, a ja nie spotkałam jeszcze żadnego z dawnych znajomych! A tak bardzo za nimi tęskniłam! Żeby choć zobaczyć Mariana, tylko jak urwać się z tej rodzinnej smyczy?

Tej nocy nie myślałam o niczym innym. I przestała mi się podobać rola, w jakiej pozwoliłam się obsadzić. Byłam tłumaczką, przewodniczką, i dobrze. Tylko gdzie w tym wszystkim moje marzenia?

Popatrzyłam na śpiącego jak aniołek Artura, podeszłam do okna i wyjrzałam. Wieża jeszcze jaśniała, choć podejrzewałam, że już niedługo. Nic nie trwa wiecznie, westchnęłam i poszłam spać, zastanawiając się poważnie, czy nie warto zmienić planu paryskiej włóczugi.

Tak abym i ja miała z niej coś dla siebie.

## 6

Clementine?

Nie mogłam uwierzyć, a jednak. To była ona. Wpadłam na nią na schodach, gdy schodziliśmy z Arturem do kafeterii na śniadanie.

Rozpoznała mnie natychmiast.

– Madame Agnieszka?

Najwyraźniej nie zmieniłam się bardzo przez te trzy lata.

– To ja!

– *Mon Dieu!* – wykrzyknęła zaskoczona.

– Wciąż tu pracujesz? – zapytałam.

– Tak. Ale już nie jako *femme de chambre*. Teraz jestem *prémière*.

– Moje gratulacje, awansowałaś! Miło cię widzieć. Pięknie wyglądasz!

Artur stał za mną, przestępując z nogi na nogę.

– Poznaj mojego męża – przedstawiłam go onieśmiałej Clementine.

Z długimi czarnymi włosami, upiętymi nad ciemnoskórą twarzą, wyglądała kwitnąco.

Skinęła lekko głową. Artur mruknął coś niechętnie.

– Możemy już iść na to śniadanie? – zapytał.

– Chcesz, to idź.

– A ty?

– Zaraz do ciebie dołączę.

Pobiegł schodami na dół.

Zostałyśmy z Clementine same. Ta dziewczyna była moim mostem pomiędzy teraz a wtedy. Przed trzema laty wiele się wydarzyło. Spotkanie z nią nie mogło być dziełem przypadku czy przeznaczenia.

– Jak widzisz, jestem już po ślubie. A co u ciebie?

Zawahała się.

– Nadal jesteś z Alainem? – zapytałam, nie czekając na odpowiedź.

Ostatnio widziałam ją w jego objęciach, więc pytanie wydawało się na miejscu.

– Nie. Już nie.

– Przepraszam, nie powinnam pytać. Ale dopiero co przyjechałam i bardzo chciałabym odświeżyć dawne znajomości. Czy Alain wciąż pracuje w policji?

– Z tego co wiem, tak. Ale nas już nic nie łączy – odparła. – Przepraszam, muszę wracać do pracy.

– Wybacz.

– Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia – rzekła pośpiesznie i pobiegła na górę.

No to sobie pogadałyśmy...

Zeszłam do kafeterii, gdzie reszta naszej gromadki radośnie wcinała francuskie rogaliki. Rozgadani i weseli, czyhali na mnie jak sępy, z nadzieją na pokazanie kolejnego kawałka Paryża.

– Hej! – powiedziałam na powitanie. – Wyspani?

– I żądni dalszych przygód! – powiedział Waldek, racząc się kolejną kawą.

Kafeteria była pełna ludzi. Obok nas rozmawiała głośno niemiecka rodzina.

– Należę ci kawy – zaproponowała Ania, świeżutka, umalowana i uczesana. Adam, zajęty jedzeniem, milczał.

– Dzięki.

– To co dzisiaj w planach? – zapytał z przekąsem mój mąż.

Siedział w kącie pod sztuczną palmą i udawał, że croissanty nie robią na nim wrażenia. Ten typ tak miał – nigdy nie przyznawał, że coś mu smakuje albo że jest szczęśliwy. A przecież jego twarz aż jaśniała szczęściem. Znałam go, wiedziałam. Dlaczego zatem zawsze neguje moje starania?

– Nie wiem – powiedziałam po chwili.

Bo rzeczywiście nie miałam pojęcia. Wczoraj zmieniłam plan, bo podobno męczyły ich zakwasy. Popłynęliśmy barką po Sekwanie, zamiast pójść do Luwru. Więc Luwr zafunduję im dzisiaj!

– Przed wyjazdem mówiłaś, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik – mruknął Artur.

– Bo miałam. Dopóki nie zbuntowały się wasze mięśnie!

– Ja się nie skarżyłam – odezwała się Ania.

– Wiem. Za to oni stękali jak inwalidzi.

– Czy ja narzekałam? – zapytał Adam.

– Nieważne. Zabieram was dziś do Luwru. Macie coś przeciwko? Kto nie chce zobaczyć Mony Lisy, ręka w górę!

Najwyraźniej chcieli ją ujrzeć wszyscy.

Kilka godzin później staliśmy w tłumie gapiów przed największym dziełem Leonarda. Gioconda spoczywała za grubą szybą, więc wszelkie wysiłki Waldka, aby ją dobrze sfotografować, spełzły na niczym. Skutecznie uniemożliwiało to również morze głów.

Towarzystwo obejrzało Nike z Samotraki, dzieła Rubensa, Rembrandta i ogromne klejnoty francuskich królów. Próbowałam przystanąć na chwilę przy Renoirze, ale pęd do zaliczenia jak największej liczby sal był silniejszy. Żeby tylko pochwalić się po powrocie do domu, że było się w Luwrze i widziało co trzeba.

Szybko, szybko, bo pogania głód!

Po kilku godzinach wyszliśmy na dziedziniec.

– Za duże muzeum jak na jeden dzień – stwierdził Adam.

– Odparzyłem stopy! – jęknął Waldek, przysiadając na pierwszej napotkanej ławce.

– A ja czuję niedosyt – powiedziała Anka. – Przecież raczej już tutaj nie wrócimy.

Chciałam jeszcze zejść do tych sal na dole, tych z egipskimi sarkofagami! Czemu jesteście tacy?

– Jacy? – zapytał Adam.

– Tacy durni! – podniosła głos.

Bardzo mi zaimponowała. Bo panowie rzeczywiście byli durni. Zamiast wykorzystać bilet do oporu i za te trzydzieści franków obejrzeć o wiele więcej, woleli wyzerkę! Ja też byłam głodna, nie powiem. Ale żeby Luwr przegrał z byle knajpą? Zbrodnia!

Powoli docierała do mnie smutna prawda. Niby przyjechałam do Paryża w podróż poślubną, ale tak naprawdę byłam zakładniczką rodziny. Wcale mi się to nie podobało.

Przycupnęłam obok umęczonego Waldka. Nad nami jaśniało niebieściutkie niebo, obok przewalały się tłumy sierpniowych turystów.

Dołączył do nas Adam. Przywołałam kręcącego się w pobliżu Artura.

– Co jest? – zapytał.

– Siadaj.

– Wolę chodzić. Jestem zbyt zmęczony, żeby usiąść...



– Więc stój albo chodź. Ale słuchaj, bo nie zamierzam się powtarzać.

Spojrzał zaskoczony. Ja i taki ton?

– Od tej chwili zwiedzacie Paryż beze mnie – oznajmiłam głośno i wyraźnie.

– Co takiego? – wykrzyknął.

Pozostali również patrzyli na mnie jak na zdrajcę. Nawet Anka.

– Bez przerwy narzekacie! Bołą was nogi, macie zakwasy, nie chcecie oglądać Renoira!

Mam tego dość! To mój miodowy miesiąc, a nie robota jako pilot wycieczki! Znam tu wiele ciekawych miejsc, które chętnie odwiedzę, a wy od dziś możecie chodzić sobie własnymi ścieżkami. Nie zamierzam was dłużej męczyć muzeami ani innymi atrakcjami. Po prostu mam tego dość!

Zapadła cisza.

Milczał nawet Artur.

Kalkulowali sobie w głowach skutki mojego buntu. Żadne nie znało francuskiego.

Zostają bez przewodnika.

Pierwszy odezwał się, naturalnie, mój mąż.

– Zostawiasz nas na łodzie? – warknął.

– Skoro macie gdzieś moje starania...?

Zaniemówił. Może jednak coś do niego dotarło.

Emocje opadły nieco dopiero przy kolacji. Właściciel Le Buffet podał nam wspaniałe mięsa z pieczonymi ziemniakami i napoił francuskim winem po same uszy. Do hotelu wracaliśmy w śpiewającym nastroju.

O zatargu pod Luvrem nie pamiętał już nikt.

Oprócz mnie.

Porzucenie członków naszej wycieczki korciło mnie bardziej z każdą godziną. Marzyłam o spotkaniu z Marianem i Nicole, chciałam wreszcie pojechać na grób Napoleona. Chciałam... No właśnie! Czy miałam prawo spotkać się z Marco?

Na razie jednak, po kolejnym pysznym śniadaniu, grzecznie udaliśmy się do La Defense. Niech sobie wreszcie Adam zobaczy to nowe i wielkie! Beze mnie nie miał na to szans, bo nie potrafił kupić samodzielnie biletu do metra! Dobrze, poświęcę się ten ostatni raz!

Wysiedliśmy na końcowej stacji metra i ruszyliśmy dalej na piechotę.

Wokół nas zniecała wyrosła architektura jak z filmu science fiction. Adam patrzył w górę oniemiały na zlewające się z niebem wieżowce. Błękitne szkło i stal igrały blaskiem i cieniem, przystrzyżona geometrycznie roślinność sprawiała wrażenie, jakby dbały o nią roboty. Pod betonowym chodnikiem słychać było delikatny szum niewidocznej wody. Nie widziało się tu ani samochodów, ani mieszkańców. Sami turyści. W wymarłym mieście, jak z *Wehikułu czasu*.

Panowie milczeli.

– Brakuje jedynie Morloków! – Waldek odzyskał głos jako pierwszy.

Chyba czytał w moich myślach.

– Niesamowite! – wykrzyknął Adam.

Artur złapał mnie za rękę.

– Czy ktoś tu w ogóle mieszka?

– Tutaj nie, bo to siedziby finansjery i wielkich koncernów. Ale na tyłach owszem.

Widzicie ten budynek po prawej? Ten z napisem ELF na samej górze?

Wszyscy podążyli wzrokiem za moją ręką.

– Tam pracowałyśmy z Ewką przez dwa tygodnie. Sprzątałyśmy biura od piątej do ósmej rano, a potem jechałyśmy jeszcze na całą dniówkę ścielić łóżka w Sheratonie.

– I dawaliście radę? – zdziwiła się Ania.

Wzruszyłam ramionami.

Niewyspane, wciąż zmęczone zasuwałyśmy, żeby dorobić. To były chyba nasze najgorsze dni w Paryżu, na szczęście nie trwały długo. Uciekłyśmy z ELF-a, gdy tylko się zorientowałyśmy, że możemy przeżyć bez niego, unosząc w kieszeni fantastyczną taśmę samoprzylepną Mirage (wciąż miałam w domu jej resztki). Równie fantastyczny był nowatorski środek do czyszczenia łazienek, testowany wówczas przez firmę, a którym dziś szoruje kible cała Europa.

Obeszliśmy tę niesamowitą dzielnicę, ciesząc oczy każdym jej kamykiem, drzewkiem i budowlą. Nie było gdzie zjeść lunchu, za to można było wyczołgać nogi w futurystycznej sadzawce robiącej wrażenie potoku unoszącego się nad chodnikiem. Waldek robił zdjęcia, Anka chętnie pozowała, Artur podziwiał w milczeniu. Wreszcie poczułam na ramieniu jego dłoń.

– Wiem już, co cię tak zachwyciło w tym mieście – szepnęła mi do ucha.

– Nie sądzę – odparłam.

Bo nie La Defense mnie uwiodło i nie jego wspaniała architektura. Doskonale pamiętałam wieczór, gdy przywiózł mnie tutaj Marco na swojej hondzie, po to, by opowiedzieć o swoich marzeniach. Że chciałby otworzyć tu własną galerię sztuki. I prowadzić ją razem ze mną...

Tymczasem pozostawałam w objęciach nic nierozumiejącego męża, który nie miał szans, by kiedykolwiek zrozumieć moje rozterki. Chowałam twarz, nie chciałam, aby zobaczył łzy, które znieacka, bez udziału woli, nawiedziły moje oczy. Zateęskniłam za tamtą chwilą aż do bólu. Za pocałunkami Marco.

Nawet za spaghetti zjedzonym w jego domu.

W Le Buffet podano tego wieczoru doskonale szaszłyki z jagnięciny i przepyszną sałatkę nicejską. Wino na koszt firmy czekało jak zwykle w pękatej butli na stoliku. Gospodarz wiedział, jak sobie zaskarbić naszą wdzięczność. Był na zawołanie, zawsze wesoły, czytał w naszych myślach i dogadzał podniebieniom. Na deser zaserwował naleśniki z czekoladą i kawę. I kolejną butelkę.

Zrobiło mi się słodko i wesoło. Cóż, jestem żoną Artura i nic tego nie zmieni. Dawne przeżycia muszę upchnąć w najdalszych zakamarkach duszy... Najlepiej pomiędzy jednym kieliszkiem wina a drugim.

Wracaliśmy do hotelu w znakomitych nastrojach. Anka przylepiona do Adama, rozgadany do nieprzytomności Waldek, opowiadający jakieś zabawne historyjki. Artur siedł u mego boku chętny na dalszy ciąg wieczoru, gdy tylko znajdziemy się sami.

– Paryż szumi mi w głowie – wyszeptał mi do ucha. – Cieszę się, że tu przyjechaliśmy.

Minęliśmy gwarny lokalik, zawsze pełen gości do późna, gdy nagle ujrzałam coś, co mnie zmroziło.

Na poboczu stała „księżniczka”. Honda Marco.

Moje serce zaczęło bić jak zwariowane.

– Zaczekajcie! – krzyknęłam.

Podeszłam i sprawdziłam. Pamiętałam namalowane na baku skrzydła, takie same jak te u Nike z Samotraki. Nie myliłam się, to była „księżniczka”.

– Ładna. Ale musimy już iść, Agus – usłyszałam Artura.

Waldek, który uwieczniał każdy nasz krok na paryskich ulicach, wyciągnął aparat.

– Chodźmy już – powiedział Adam.

Ruszyliśmy. Choć noc była jeszcze młoda, a w knajpce, którą właśnie minęliśmy, mógł być Marco!

Wchodząc do Utrilla, miałam wrażenie, że nie jestem świeżą panną młodą, a eskortowanym do celi więźniem.

Pożegnaliśmy się na schodach. Artur otworzył drzwi naszego wspaniałego apartamentu z widokiem na wieżę Eiffla i poszedł się wykapać. Nawet nie spytał, czy może chciałabym wejść do łazienki pierwsza...

Otworzyłam okno. Niebo nad Paryżem błyszczało milionem sierpniowych gwiazd. Na ich tle jaśniała wieża. Słyszałam klaksony i wycie pędzącej w oddali karetki. Powietrze było nadal gorące, naładowane energią lata. I nagle poczułam ogromną tęsknotę – za miastem i jego niespodziankami. Dusiałam się w ciasnym pokoju.

I wcale nie miałam ochoty na seks z Arturem.

Chwyciłam hotelowy folder i napisałam na odwrocie:

„Idę na spacer, wrócę niebawem. A”.

Położyłam karteczkę na łóżku i uciekłam. Szybko, zanim Artur wyjdzie z łazienki!

Po chwili byłam już na ulicy. Na małej i wąskiej rue Aristide Bruant.

Sama. Nareszcie!

Pobiegłam, nie tracąc czasu. Może honda wciąż stoi tam, gdzie ją zobaczyłam? Była. Pozostawało mi odnaleźć knajpkę, w której mógł siedzieć Marco.

Było ich w okolicy kilka. I wszystkie tętniły życiem.

Weszłam do pierwszej z brzegu. Wrzało w niej jak w ulu. Ktoś zaproponował, abym się przysiadła, grzecznie odmówiłam. Jego tam nie było. Weszłam do następnej i też nic. Może to jednak nie jego motor? Może pamiętałam nie dość dokładnie?

Sprawdziłam trzecią rozwrzeszczaną restaurację, ale i tu nie było śladu po moim – co tu owijać w bawełnę – dawnym paryskim kochanku.

Zrezygnowana wyszłam na plac i zawróciłam do hotelu. Artur już pewnie zakończył ablucje i przeczytał kartkę. I zapewne zastanawia się, kogo poślubił niecałe dwa tygodnie temu. Nie, jeszcze chwila... Jeszcze tylko przez moment powłóczę się po ulicy. Nawet jeśli nie spotkam Marco, nawdycham się chociaż zapachów paryskiej nocy.

Zapaliłam camela i poczułam się jak kiedyś. Wolna i szczęśliwa. Och, gdyby była przy mnie Ewka! Poszłybyśmy na sangrię na plac du Tertre, niepoganiane przez nikogo do powrotu! Cóż, taka swoboda była dziś nieosiągalna.

Zgasiłam papierosa i ruszyłam w dół brukowanej uliczki.

I wtedy dobiegł mnie doskonale znajomy dźwięk!

Nie do pomylenia z innym. Z takim dźwiękiem startowała „księżniczka”!

Odwróciłam się i ujrzałam mężczyznę na motorze. W ciemności szybko przebiegłam na drugą stronę ulicy i omal nie wpałam mu pod koła.

Honda zatrzymała się z piskiem.

– *Merde!* Co pani wyprawia!

– Przepraszam – wysapałam. – Myślałam, że to motor mojego przyjaciela...

Nieznajomy w czarnym kombinezonie i kasku, siedzący okrakiem na piekielnej maszynie, spojrzał na mnie uważnie.

– Ma pani na myśli Marco? – zapytał.

Omala nie dostałam zawału.

– Skąd pan wie?

– Bo to jego motor.

– Gdzie on jest?

– Od paru lat na prowincji. A hondę zostawił w dobrych rękach, czyli moich. Szuka go pani?

– Nie. Myślałam tylko... – zaplątałam się.

Choć naprawdę szukałam Marco od chwili, gdy na autostradzie zobaczyłam tabliczkę „Paris”. A to, że nie chcę go widzieć już nigdy więcej, tylko sobie wmawiałam. W La Defense odżyły wspomnienia, jak sawanna po ulewnym deszczu.

– Mam jego adres, jeśli pani chce – powiedział łagodnie nieznajomy.

– Wprawdzie nie wybieram się w tamtym kierunku, ale na wszelki wypadek poproszę. Zsiadł z motoru i zapisał coś na wyciągniętej z kieszeni karteczce.

Już odjeżdżał, gdy nagle przyhamował z piskiem opon. Odwrócił się.

– Czy pani ma może na imię Agnieszka? – zapytał.

– Owszem – odparłam zdumiona.

– W takim razie już wiem, dlaczego Marco wyjechał...

– Dlaczego? – zawołałam, ale on dodał gazu i tyle go widziałam.

Wracałam do hotelu nieśpiesznie, ściskając w dłoni karteczkę z adresem.

– Jezus, Maria! Gdzieś ty się podziewała! – przywitał mnie Artur.

– Miałam ochotę na spacer.

– Mogłaś powiedzieć, to wyszedłbym z tobą! Wiesz, jak się martwiłem?

– A ty mogłaś nie wskakiwać pierwszy do łazienki...

– Słucham?

I było po kolejnej „nocy poślubnej”. Artur się wściekł na mnie, ja na niego. Ale nie było nam dane porządnie się pokłócić, bo do drzwi zapukali nasi drodzy współtowarzysze podróży.

– Hej, nie śpicie jeszcze? – usłyszałam to samo, co wczoraj. – Mamy piwko i chcemy ustalić jutrzejszą trasę!

Artur otworzył, zły jak osa.

– U was przynajmniej jest na czym usiąść – powiedział z rozbrajającą szczerością Adam.

Przynajmniej wybawił mnie od trudnej rozmowy z mężem. Anka była cała w skowronkach, a Waldek o tej porze dopiero zaczynał myśleć racjonalnie, więc nie opuścili nas do świtu. Nad rozłożonym na łóżku planem Paryża, przy drinkach i niemieckim piwie, po które moi bracia ganiłi na parking do samochodu, planowaliśmy kolejny fantastyczny dzień.

Nawet gdybyśmy z Arturem stanowili idealną parę kochających się na zabój nowożeńców, i tak nie mieliśmy szansy, by skonsumować małżeństwo...

Najgorsze jednak było odkrycie, że wcale tego nie żałowałam.

Wieżę wygaszono, a za oknem pokazała się szaroniebieska panorama miasta zasnutego poranną mgłą. Zasnęłam mniej więcej o czwartej nad ranem, kiedy robiło się jasno. Artur chrapał, jak zwykle, ale wcale się tym nie przejęłam. Powtarzałam w myślach nowy adres Marco.

La Baule-Escoublac, Avenue des Platanes 10, La Baule-Escoublac, Avenue des Platanes 10, La Baule...

## 8

Przy śniadaniu Adam studiował mapę.

– Mieliliśmy w planach przejażdżkę TGV nad Atlantyck... – przypomniał, nie mając pojęcia, jak mnie ciągnie w tę stronę. Omal się nie roześmiała.

Jako tako wyspana, gotowa byłam ruszać w drogę.

Kierunek zachód!

Zjadłam jajko na miękko i bagietkę z konfiturą pomarańczową.

– Naprawdę chcecie tam jechać dzisiaj? – zapytałam, niepewna, czy nie żartują.

Podróż szybką francuską koleją zaplanowałam pod koniec naszej wyprawy. Przedtem mieliśmy jeszcze odwiedzić kilka muzeów i zobaczyć całe mnóstwo innych paryskich atrakcji.

– A masz z tym jakiś problem? – zapytał Artur.

Wzruszyłam ramionami. Nie, nie miałam. Zwłaszcza teraz.

– A bilety? – odezwała się Anka. – Czy można je kupić i od razu jechać? Może trzeba najpierw zarezerwować?

– Nie mam pojęcia, nigdy nie jeździłam TGV. Ale co nam szkodzi zapytać na dworcu?

Podniecony perspektywą podróży Waldek pobiegł po drugi dzbanek kawy. On również marzył o wycieczce nad ocean. Żadne z nas dotąd nie widziało Atlantyku.

– To co? Po śniadanku na dworzec? – zaproponował Adam.

Poparcie było jednogłośnie.

Godzinę później wysiedliśmy z metra na Montparnasse, w pobliżu dworca, z którego wyjeżdżają pociągi na zachód. Dla mojej grupki nowością było tu wszystko, a ja bawiłam się świetnie, obserwując ich miny. Artur, zapatrzony na kolorowe billboardy z reklamami, omal nie wyrznął jak długi na końcu ruchomego chodnika.

– Cholera! – wrzasnął.

Waldek pstrykał zdjęcie za zdjęciem.

– Mam nadzieję, że to uwieczniłeś? – wyraziła nadzieję rozbawiona Anka.

Po kilku rundkach w podziemnym tunelu trafiliśmy wreszcie do dworcowej hali.

W informacji spytałam, czy dziś złapiemy jeszcze pociąg do La Baule-Escoublac.

– *Oui* – odparła grzecznie panienska za kontuarem. – Ale poranny właśnie odjechał, a następny będzie za dwie godziny.

– *Merci beaucoup* – podziękowałam.

Przekazałam wiadomość moim drogim współtowarzyszom.

– To do dupy! – wykrzyknął Waldek.

– Zastanówmy się – wtrąciła Ania. – Jeśli mamy przeznaczony na ten Atlantyck tylko jeden dzień, lepiej wyjechać jak najwcześniej, żeby tam trochę pobyc i jeszcze wrócić przed nocą. Dziś już nie ma sensu. Może zarezerwujemy bilety na jutro?

Nie powiem, żebym była zachwycona tą sugestią. Przebierałam nogami do tego wyjazdu, ale musiałam przyznać bratowej rację.

– Fakt. W dodatku przy rezerwacji pewnie dostaniemy rabat – stwierdziłam.

– Okej. To idź po te bilety! – rozkazał Adam.

Jasne! Idź i rezerwuj! Czy pojechałam w podróż poślubną tylko po to, by spełniać ich polecenia?

To jednak akurat mi pasowało. Podeszłam ponownie do milej panienski i zapytałam.

O bilety i o zniżkę.

– Jeśli dzisiaj kupi pani bilety na jutro, a jutro jest wtorek, zaoszczędzi pani nawet trzydzieści procent – usłyszałam.

– W takim razie poproszę pięć miejsc na poranny pociąg – zdecydowałam natychmiast.

– Pierwsza czy druga klasa?

– Druga.

Rabat ucieszył wszystkich, tylko Waldek zamarudził na wstawanie o świcie.

– Wobec tego co robimy z dzisiejszym dniem? – zapytał rzeczowo Adam.

– Zaraz się dowiecie, tylko wyjdźmy na powierzchnię.

Chwilowo miałam dość podziemi, choć budziły miłe skojarzenia. To tutaj kupowałam z Ewką prezenty dla rodziny w przeddzień wyjazdu, to tu znalazłam płytę *Ricochet* Tangerine Dream. Tutaj przyjeżdżałyśmy każdego ranka, by potem biec do pracy w Sheratonie. Jakże dobrze znałam tę stację! Wzruszenie zamgliło mi oczy.

Tym razem Artur pilnował się na ruchomym chodniku, aby ponownie nie wyjść na durnia. Opuściliśmy zatłoczone metro i wyszliśmy na nagrany słońcem plac.

Przed naszymi oczami, w całej okazałości, pojawiła się monumentalna szklana wieża Montparnasse. Jak na komendę zadarliśmy głowy.

– O Boże, ona zlewa się z niebem! – wykrzyknęła Anka.

Rzeczywiście. Szklano-stalowy, błyszczący, strzelisty, najwyższy budynek w Paryżu.

– Chcecie popatrzeć na miasto z góry? – zapytałam.

– A można?

– Jasne! Nawet przez lunety, i to na wszystkie strony!

Winda wiozła nas na szczyt tak szybko, że zatkało uszy. Wcześniej należało jeszcze kupić bilety, bo nie ma nic za darmo, ale dziś był dzień rabatów. Tego pięknego, słonecznego dnia odkryłam, że w Paryżu słowo *reduction* ma magiczną moc. A w naszej sytuacji każdy zaoszczędzony frank był na wagę złota.

Na górze mieściła się urocza restauracja z widokiem, ale od dachu dzieliły nas jeszcze dwa piętra po schodach. Poszliśmy. Owiał nas lekki wiaterek, nasze głowy znalazły się bliżej nieba...

Nie byłam tu nigdy wcześniej, takie atrakcje ani mnie, ani Ewki nie rajcowały. Ale to, co ujrzałam teraz, warte było pokonania lęku wysokości.

Paryż leżał u naszych stóp! Błękitny, szarawy i złoty tam, gdzie jaśniały kopuły bazylik i kościołów. Niekiedy zielony albo szaroniebieski, zwłaszcza w pobliżu wijącej się Sekwany. Można go było obejrzeć z bliska, przez lunety skierowane na cztery strony świata. Za franka od zerknięcia.

Nie zbliżałam się do barierki, ale przez lunety popatrzyłam.

– Musimy koniecznie wjechać na wieżę Eiffla – powiedział zapatrzony w nią Adam.

Była ogromna, górująca nad miastem i nad nami. Ponad sto metrów wyższa od dachu, na którym staliśmy.

Spędziliśmy na tarasie widokowym jeszcze dobre pół godziny. Waldek biegał z aparatem, a ja objaśniałam Ance, gdzie jest nasz Montmartre; nawet stąd nie można było pomylić kopuły Sacré Coeur z czymkolwiek innym. Z sentymentem popatrzyłam na lśniący w słońcu niedaleki Sheraton. Ciekawe, czy wciąż pracuje tam Isabelle, moja przełożona? Czy nadal obowiązują różowe fartuszki?

Moi bracia i bratowa przeżywali te widoki po swojemu. Oni robili zdjęcia, a ja przez krótką chwilę znów byłam początkującą pokojówką na jednym z hotelowych pięter.

Zmieniałam pościel, szorowałam umywalki, pucowałam lustra. Ech... Wtedy byłam, choć mikroskopijną, ale jednak częścią paryskiego organizmu. Dziś jestem jedynie insektem, który nadleciał, by przysiąść na jego skórze.

Z zamyślenia wyrwał mnie Waldek, namawiając do wspólnej fotografii na tle panoramy miasta. Pstryk!

Dzięki Bogu, istnieje coś takiego jak głód. Gdyby nie istniał, zapewne zostalibyśmy na szczycie wieży do rana, a ja zwariowałabym od wspomnień.

Zjechaliśmy szybką windą i dla ludzi na tarasie wieżowca zrobiliśmy się malutcy jak mrówki. Zerknęłam stamtąd przed chwilą tylko raz i omal nie zemdlałam, ale zdążyłam zarejestrować obraz: samochody – małe robaczki, ludzie – insekty. Niemal jak u Vonneguta: w *Śniadaniu mistrzów*. Choć, jeśli się głębiej zastanowić, jego wizja pasożytowania gatunku ludzkiego na autach wcale nie była taka fantastyczna...

Na poziomie zero odzyskałam równowagę i zaprowadziłam bractwo do niedalekiej knajpki, z której okien widać było wieżowiec. To w niej spotkałyśmy się z Migułkami i odkryłyśmy, że nie chcą wracać do kraju. Oraz że Migułka Starsza pragnie związać się z Turkiem, który wcześniej bajerował Ewkę. Uff! Wspomnienia atakowały w każdym niemal skrawku tego miasta!

Usiłowałam być twarda i nie poddawać się wzruszeniu.

Usiedliśmy w ogródku na wiklinowych krzeselkach. Panowie rzucili się na menu, jak na koło ratunkowe w morzu pełnym szalejących rekinów. Po namyśle złożyli je w moje ręce.

Była pora lunchu, więc zaproponowałam *crocque madame*. Nikt nawet nie zapytał, co to takiego.

Waldek zapalił papierosa, ja również. Nawet Ania, która zwykle nie paliła. Dymek w paryskiej knajpce smakował wyśmienicie.

– Nie ma popielniczki – stwierdziła moja bratowa.

– Monsieur! – zawołałam do kelnera. – Poproszę o popielniczkę!

– Popielniczka jest na podłodze – usłyszałam absolutnie poważną odpowiedź.

Czyli – na chodniku!

Oto cały Paryż!

Wieczorem śmieci po prostu zmiotano albo splukiwano.

Zapiekanek okazały się przepyszne. Zamówiliśmy jeszcze kawę i szarlotkę i jako tako najedzeni udaliśmy się na przechadzkę narzuconym przeze mnie szlakiem. Nikt z moich bliskich nie miał o tym pojęcia, że ruszyliśmy właśnie śladem moich wspomnień...

Szliśmy Rue du Cherche Midi (ulicą Szukającą Południa), gdy w pewnej chwili przystanęłam przed witryną sklepu z biżuterią. To tutaj kupiłam naszyjnik z lapis lazuli i sprowadziłam wredną ekspedientkę na ziemię. To było piękne!

Tym razem na wystawie nie było już niebieskich klejnotów królowej Egiptu, wyparły je żółtawe onyksy w srebrnej oprawie. Najwyraźniej sezon na lapis lazuli skończył się trzy lata temu.

Zasmuciło mnie to, lecz dzielnie prowadziłam moją małą wycieczkę. Wkrótce doszliśmy do Sekwany i dalej, nabrzeżem, do najbliższej stacji metra. Tym razem bukinistów minęliśmy bez zainteresowania.

Na Montmartrze czekała nas jeszcze uczta w Le Buffet.

Minął kolejny dzień paryskiej włóczędzy. Przypieкло nas słońce, Kerim nakarmił po korek, dobiło piwo wypite w apartamencie dla nowożeńców. Spać poszliśmy o świcie, modląc się, aby zdążyć na pociąg. Rzecz jasna ani ja, ani Artur nie mieliśmy sił na cokolwiek poza tym.



## 9

Zdążyliśmy cudem!

Srebrzystoniebieski superpociąg wjechał na peron punktualnie co do minuty. Odszukaliśmy nasz wagon i zajęliśmy miejsca, miękkie i przytulne, oddzielone maleńkimi stoliczkami. Z niepokojem oczekiwałam startu tej francuskiej rakiety. Słyszałam o TGV niejedno, ale nie jechałam nigdy.

Czułam ogromne podniecenie. Moi współtowarzysze zapewne też, choć Waldek jeszcze się na dobre nie obudził, a Artur sprawiał wrażenie, jakby mu było wszystko jedno, dokąd się wybieramy.

Tylko Anka wydawała się zadowolona i ożywiona.

– Wygodnie tutaj – powiedziała, kiedy się już rozsiedliśmy w fotelach. – I czyściutko – dodała.

Wreszcie ruszyliśmy. Najpierw powoli, dzięki czemu mogliśmy podziwiać za oknem zachodnie dzielnice Paryża, ale zaraz przyśpieszyliśmy i widoki zlały się w rozmazany film.

– Jezu! Ale to zapierdala...! – jęknęła siedząca naprzeciwko Ania.

Słowa może nieparlamentarne, ale ze wszech miar pasujące do sytuacji. Pociąg mknął jak burza. Grubo później dowiedzieliśmy się, że skład na tej trasie pobił rekord szybkości – ponad pięćset kilometrów na godzinę!

Adam był w siódmym niebie, że pochwali się znajomym przejażdżką najszybszym pociągiem świata. Choć w sumie wszyscy byliśmy pod wrażeniem. Waldek już całkiem oprzytomniał i teraz chłonał każdą chwilę niezwyklej podróży. Zmierzaliśmy nad Atlantyk najnowszym pędzidłem wszech czasów, w dodatku za dwie trzecie ceny.

Skład zatrzymał się na stacji w Nantes, gdzie przypadkiem trafiliśmy na scenę aresztowania dwojga młodych ludzi. Francuscy policjanci wyciągnęli ich z naszego pociągu, skuli kajdankami i poprowadzili przez peron. Widzieliśmy wszystko przez okna, ale zanim przyjrzelśmy się dokładnie, nasza rakietka ruszyła ponownie. Panorama za oknem śmigała jak szalona.

– Macie ochotę na kawę? – zapytałam.

– Jasne! – odkrzyknęli chórem.

Poszliśmy do wagonu restauracyjnego, by przy okazji dowiedzieć się, że przejście przez łącznik między wagonami na zakręcie jest niezłym wyzwaniem. Pociąg zniemacka wpadł w wibracje i ledwie utrzymaliśmy się na nogach. Po chwili jednak drgania ustały i mogliśmy zamówić małą czarną w żabojadzkim odpowiedniku rodzimego „Warsa”.

Wagon kawiarniany wyposażony był w ladę i przytwierdzone do podłogi stołki. Zamówiłam kawę dla mnie, Adama i Waldka. Artur na razie nie chciał, Anka wolała colę.

Młody kelner podał nam napar w maleńkich filiżankach, czarną smołę, najbardziej czarną kawę na świecie. Usiadłam obok braci na wysokim stolku przy oknie.

– Ale siekiera! – wykrzyknął Waldek.

– To chyba najmocniejsza kawa, jaką w życiu piłam – przyznałam.

– Uhm... – mruknął, zapatrzony w okno.

W tej samej chwili wyminął nas jadący z naprzeciwka inny pociąg, ale nie zdążyliśmy go ujrzeć. Przy tej szybkości oba składy w mgnieniu oka przeleciały obok siebie ze świstem trwającym może ułamek sekundy.

Niesamowite wrażenie!

Wróciliśmy na miejsca, pociąg zwolnił. Jechał teraz przez małe miasteczka historycznej Bretanii. Linia kolejowa wiała się jak wąż, a za oknami wreszcie było coś widać – najdłuższy most na Loarze i ujście rzeki, a później już tylko małe wioski i zielone pagórki. Aż w końcu zatrzymaliśmy się na stacji La Baule-Escoublac.

Wysiedliśmy.

Mały peron, prawie taki jak w Luboniu pod Poznaniem, i nieduża, za to śliczna, zabytkowa stacja. Tyle że ciepło jakieś inne, bardziej południowe. Wiał lekki wiatr, ciepły, słonawy.

Powiew Atlantyku.

Nie mogłam uwierzyć, że dotarliśmy aż tak daleko! Za studenckich czasów nie mogłam sobie pozwolić na taką ekstrawagancję. Zwyczajnie nie było mnie stać. A teraz wymusili na mnie tę atrakcję moi bracia. Chcieli szybkiego pociągu, to się przejechali.

– I jak wrażenia? – rzuciłam pytanie w przestrzeń.

– No, to z pewnością nie był podmiejski Poznań–Dębiec – zażartował Waldek.

– Niesamowicie cichy – powiedział Adam. – I te mijanki z innymi składami! Nawet nie zdążyłem ich zauważyć!

– Skoro my jechaliśmy ponad dwieście na godzinę, a ten z przeciwka też, to w sumie mamy czterysta – wyjaśnił uprzejmie Waldek.

– Co ty nie powiesz? – fuknął Adam. – Jakbym tego nie wiedział!

Artur rozglądał się po małej przytulnej stacyjce. Wszędzie pełno było zielonych palm i kwiatów.

– Ładnie tu – przyznał.

– Jazda była super – powiedziała Anka. – Ale teraz gdzie? Jakies pomysły?

– Myślę, że za tłumem turystów. – Wskazałam na kolorowo ubranych Japończyków z nikonami na szyjach.

– To chodźmy, zanim nam uciekną! – Popędził nas Adam.

Szliśmy prosto na południe urokliwymi uliczkami małej nadmorskiej miejsciny, urzeczeni ogromnymi klombami przed dworcem i równiutkimi chodnikami.

A domy? Cóż, piękne, zadbane minirezydencje. Każda inna, ale zawsze w otoczeniu drzew i kwiatów. Wiatr robił się coraz bardziej słony, co zwiastowało bliskość morza. Japońscy turyści przestali nam być potrzebni, bo stało się jasne, że niebawem ujrzymy plażę. Droga prowadziła łagodnie w dół, aż błękitne niebo zlało się z taflą oceanu. Horyzont zniknął. Dotarliśmy do celu.

Do samego nabrzeża.

Och!

Widok zapierał dech w piersiach. Lazurowoniebieska woda, otulona szeroką plażą, a na niej szykujący deski surferzy.

Zeszliśmy po schodach na plażę, szeroką na sto metrów.

Natychmiast zdjęłam buty i wrzuciłam je do torby. Anka zrobiła to samo, a zaraz potem nasi panowie. Przecież trzeba przywitać się z morzem!

Piasek był drobny, mokry i miękki, a woda ciepła jak w wannie. Postanowiliśmy iść pieszo wzdłuż plaży tak długo, aż zgłodniejemy. Wybiła zaledwie jedenasta, więc mogliśmy sobie pozwolić na długi spacer. Poczulałam pod stopami kwarcową delikatność i nagły przypływ radości. Najcudowniejsza akupresura pod słońcem! Na lewo ocean, na prawo nabrzeże i białe hotele z tarasami. I palmy. Wyobraziłam sobie, że jestem w Nicei. Albo w Cannes. Niesamowite, mgnienie od Paryża, a tak odmienny klimat!

Pierwszy raz od naszego przyjazdu do Francji poczułam się szczęśliwa i odprężona.

Po jakiejś godzinie beztroskiego marszu znienacka zachmurzyło się i zaczął padać deszczyk, tak delikatny, że niemal niezauważalny. Nie przeszkadzał nam, więc kontynuowaliśmy spacer, delektując się Atlantykiem i frajdą z przebywania w tym magicznym miejscu. Anka co chwila pochylała się, zbierając muszelki. Podeszłam do niej, przytrzymując smagane wiatrem włosy.

– Zobacz. – Pokazała mi kilka.

W porównaniu z tymi nadbałtyckimi były ogromne. Zabrałam kilka na pamiątkę.

Przez chwilę zapomniałam, że gdzieś tam, w miasteczku, znajduje się aleja Platanowa, a na niej numer 10, pod którym mieszka teraz Marco...

Popatrzyliśmy przez chwilę na zatrzęsienie surferów na ich kolorowych deskach, w naszym kraju widok niespotykany, i ruszyliśmy dalej.

Po dwóch godzinach leniwej wędrówki dotarliśmy do portu. Nie sposób było iść dalej brzegiem oceanu, bo brzeg w tym miejscu rozdarła jachtowa przystań. Musieliśmy wejść na nabrzeże i zawrócić w stronę miasteczka Le Pouliguen. Ono i La Baule zlewały się w jedno na mapie i w rzeczywistości, choć zachowały różne nazwy. Dzielił je jedynie kanał.

A w nim cumowały jachty – większe, mniejsze i całkiem małe. Wszystkie białe i pięknie utrzymane. Stały w kanale, przymocowane do drewnianych pomostów, które podnosiły się wraz z przyływem. Patrzyliśmy na nie z góry i podziwialiśmy ich piękno. Zanim doszliśmy do mostu, minęliśmy ich całe setki.

Przeszliśmy na drugą stronę i wpadliśmy prosto w gwarny tłum turystów, sklepiki z pamiątkami i liczne, kuszące zapachami knajpki. Zgłodnieliśmy wystarczająco, by rozejrzeć się za miejscem na posiłek.

– Nie popływamy w oceanie? – rzuciłam.

– Jasne! Bylebyśmy coś przedtem zjedli – odparł Artur.

Głód sprawił, że wyboru lokalu dokonaliśmy błyskawicznie. Zasiedliśmy w pierwszej, w której były wolne miejsca, w ogródku pod markizą.

Chętnie przystałam na takie rozwiązanie, kąpiel mogła poczekać. Najważniejsze, że moi towarzysze dobrze się bawili i korzystali z miejscowej kuchni z każdym dniem chętniej. Rozsiedliśmy się w miłym cieniu pod czerwono-białym zadaszeniem. Krzeselka z kutego metalu trochę się chygotały na nierównym podłożu z kamieni, ale to było tak uroczo francuskie! Młody kelner w zielonym fartuchu do samej ziemi powitał nas szerokim uśmiechem i wręczył każdemu z osobna opasłe menu.

– Czego się państwo napiją? – zapytał, co natychmiast przetłumaczyłam, patrząc pytająco na moją trzódkę.

– Piwa! – krzyknęli jednogłośnie panowie.

Zamówiłam dla wszystkich, tym razem żabojadzkie. Ważne, żeby zimne.

Deszczyk przestał siąpić i znów zalała nas fala gorącego powietrza.

– Pięknie tutaj! – westchnęła Anka.

– A kto się uparł na tę wycieczkę? – dopominał się pochwał Adam, sączący zimne piwo, zadowolony i rozparty na żelaznym krześle jak na tronie.

– Czy mam rozumieć, że wybaczyłeś mi ciasny kibelek w naszym paryskim hotelu? – zapytałam.

– Och, Aga... Nie widzisz, że świetnie się bawię? Jest naprawdę super! A jak jeszcze wjedziemy na wieżę Eiffla, będę usatysfakcjonowany absolutnie.

– Ja też się cieszę z naszej wycieczki nad ocean – dodałam.

Gdyby tylko wiedzieli, o czym myślałam w tej chwili! Gdzieś tutaj jest Marco. Może

nawet je obiad w pobliskiej restauracji?

Zamówiłam steki z ziemniakami i sałatką, choć kelner proponował ostrygi. Nikt jakoś nie miał odwagi ich skosztować. Nie byliśmy jeszcze gotowi na *les moules*.

Przyniesiono dania, a Adam poprosił o jeszcze jedno piwo. Moim głosem, rzecz jasna. Jedliśmy, piliśmy i relaksowaliśmy się na maksa. Nagle kelner potknął się na nierównej nawierzchni i bursztynowy napój wylądował na mnie.

– Przepraszam! – wykrzyknął przerażony. – Zaraz przyniosę ręcznik!

Przybiegł i wytarł mnie, może nawet zbyt dokładnie... Wyrwałam mu ścierkę, żeby mi nie grzebał w dekolcie.

– Przepraszam raz jeszcze! Podam państwu dodatkowe piwa na koszt firmy – wykrztusił speszony.

Poszłam do łazienki, by się obmyć i zauważyłam w lustrze młodą, całkiem jeszcze atrakcyjną kobietę. Czy, jeśli odnajdę Marco, mam u niego jeszcze szanse? A co z moim małżeństwem? Bądź co bądź przyjechaliśmy tu z Arturem w naszą, jak by nie było, podróż poślubną. Czy mi kompletnie odbiło?

Pewnie tak, pomyślałam, wracając do stolika. W Paryżu to norma, że człowiekowi miesza się w głowie. Bo jeśli nie tu, to gdzie? W naszym szarym polskim mieście? Tam moim najbardziej irracjonalnym posunięciem była kradzież żarówki do radzieckiej lodówki, która kosztowała mnie kupę nerwów. W naszym kraju nie mieliśmy wielu powodów do szaleństwa.

Najedzeni i opici ruszyliśmy w drogę powrotną. Młody kelner raz jeszcze przeprosił mnie i zaprosił ponownie. Skinęłam ręką na znak, że nie mam żalu i że nic się nie stało.

Za mostem znów znaleźliśmy się po stronie La Baule-Escoublac. Przeszliśmy obok mariny, mijając jachty, które sprawiały wrażenie, jakby opadły dwa piętra w dół. Wkrótce zrozumiałam dlaczego, ale dopiero gdy doszliśmy do plaży. Bo plaża też się zmieniła. Teraz miała przynajmniej dwieście albo i więcej metrów szerokości! Podczas naszego pobytu w knajpce nastąpił odpływ. A my, durni i nieobeznani, mieliśmy nadzieję, że woda na nas poczeka! Przyptywy i odpływy. Zapomnieliśmy o takim zjawisku. To dlatego jachty zapadły się razem z pomostami. Teraz, żeby wejść do wody, musielibyśmy zasuwać pół kilometra w głąb oceanu!

– Gdzie się podział Atlantyk? – Anka stanęła jak wryta.

– Odpłynął! – roześmiał się, nie wiadomo z czego, Artur.

Pozostała nam pieszka przebieżka wzdłuż brzegu. W oddali migały maleńkie sylwetki surferów. Wiatr się wzmógł i znów kropił lekki deszcz.

Ocean uciekł, podobnie jak mi z każdym dniem uciekała szansa na spotkanie Marco.

Do pociągu powrotnego mieliśmy jeszcze dwie godziny. Usiedliśmy na piasku, wdychając wilgotno-ciepłe powietrze i obserwując szaleńców na deskach. Dwie godziny. Mogłabym w tym czasie odszukać Avenue des Platanes. I Marco. Ale jak się urwać?

Serce waliło mi jak oszałałe. Artur usiadł obok mnie na piasku i niespodziewanie objął mnie ramieniem.

– Jest cudownie, Aguś. Byłem trochę sceptyczny przed wyjazdem, ale teraz jest naprawdę bosko.

Co z tego, jeśli ja byłam myślami gdzie indziej?

Teraz albo nigdy!

– Mam ochotę na spacer po mieście – powiedziałam, starając się ze wszystkich sił, aby mój głos zabrzmiał naturalnie.

Czas uciekał, a powrót do Paryża pociągiem o wpół do ósmej zbliżał się nieubłaganie.

– A po co? Tu jest tak przyjemnie! – odparł mój mąż.

- Nie lubię siedzieć w miejscu. Wolę się przejść i pooglądać te śliczne wille.
- Dobrze, to chodźmy.
- Wolałabym sama... – jęknęłam.

Spojrzał zdziwiony.

- Zwariowałaś? A jeśli się zgubisz?
- Nie zgubię się. I wrócę za godzinkę. Obiecuję.
- Adam, wytłumacz siostrze, że nie powinna się oddalać! – krzyknął.

Musiał krzyczeć, bo wiatr zagłuszał słowa.

- A co? – odezwał się mój brat, przytulony do Anki i wpatrzony w ocean.
- Ona chce się przejść po miasteczku!
- I co z tego?
- Nie wiem, czy powinna.

– Umówmy się na stacji o siódmej dwadzieścia i tyle. Przecież to prosta droga stąd – wtrącił się Waldek.

- No właśnie – poparł go Adam.

– Będę tam nawet wcześniej – powiedziałam stanowczo. – A teraz dajcie mi godzinkę luzu, dobrze?

- Spoko – powiedział Adam. – Tylko się nie zgub!

Artur nie miał zielonego pojęcia, o co mi chodzi, ale w końcu uległ. A ja natychmiast wykorzystałam tę możliwość.

Cudowne uczucie!

Pędziłam pod górkę urokliwymi uliczkami La Baule, wreszcie nie ciągnąc za sobą całej zgrai. Czulałam się lekka jak ptak. Czekало mnie półtorej godziny cudownej wolności!

## 10

Biegłam jak szalona. Szukałam adresu z kartki, ale bez powodzenia. Wreszcie dopadłam jakiejś kobiety, wyglądającej na miejscową, i zapytałam. Okazało się, że to niedaleko. A zatem mogę zdążyć!

Zasuwałam jak mały samochodzik wzdłuż rzędów ślicznych białych domków ze schludnymi ogródkami i zacienionymi oknami. A przy okazji dowiedziałam się, że każda ulica w La Baule to „aleja”. Taki miejscowy zwyczaj. Pytałam przechodniów jeszcze dwukrotnie, czy zmierzam w dobrym kierunku, aż w końcu ujrzałam napis: „Avenue des Platanes”.

Aleja Platanowa. To tu!

Znalezienie adresu przyszło mi z równą łatwością jak schrupanie paryskiej bagietki...

Dom był nieduży, ale ciekawy. Elewacja z kamienia, białe okna, drewniane ogrodzenie, wokół mnóstwo roślin. Czy to tu mieszka Marco?

Stałam przy pomalowanej na biało furtce i zawahałam się.

A jeśli kogoś ma? Albo nie jest już kawalerem? Mógł się przecież ożenić... Ja wyszłam za męża. Minęły trzy lata i wiele się mogło wydarzyć. Jezu! Po co ja tu w ogóle przyszłam? Co zrobię, jeśli z okna wychyli się atrakcyjna kobieta i powie, że męża nie ma w domu? Albo co gorsza Marco stwierdzi, że nie chce mnie znać?

Walczyłam z emocjami przez prawie kwadrans. A czas uciekał. Co ma być, to będzie!, pomyślałam, raczej nie przyjadę ponownie do La Baule, więc co mi tam! Raz kozie śmierć, jak mawia mój ojciec.

Nacisnęłam dzwonek.

Jak się spodziewałam, w progu pojawiła się ładna blondynka. Na proste pytanie, o co chodzi, odpowiedziałam, durna, że szukam Marco.

– Marco? – Uśmiechnęła się.

– Jego kolega w Paryżu powiedział, że tu właśnie mieszka – wyjaśniłam najkrócej, jak się dało. Nic innego nie przyszło mi na myśl.

– Nie ma go, ale... Może pani wejdzie?

Zawahałam się. Po co mi znajomość z dziewczyną Marco?

– Jestem Carolle. A ty?

– Agnieszka.

– Ta Polka?

– Słucham?

– Marco wiele o tobie opowiadał.

– Naprawdę? Więc nie jesteś jego...

– Nie! – przerwała mi ze śmiechem. – Jestem żoną Yanna, przyjaciela Marco. Nie wspominał o nas?

Dopiero teraz przypomniałam sobie, jak Marco namawiał mnie na wyjazd do swego przyjaciela Yanna.

– Och tak, już kojarzę...

– Wejźmy. Porozmawiamy w środku.

– Nie mam zbyt wiele czasu – wyjaśniłam, podążając za Carolle do kuchni.

– A ile go masz?

Spojrzałam na zegarek.

- Pół godziny.
- W takim razie zaparzę szybką kawę.

Carolle była zgrabna, szczupła i niezbyt opalona jak na mieszkankę La Baule. Miała jasną cerę i liczne piegi. I blond włosy z lekkim rudym odcieniem. Na pierwszy rzut oka robiła wrażenie osoby cieplej i życzliwej.

Uruchomiła mały ekspres do kawy w kuchni, zagraconej, ale przytulnej i swojskiej. Na ścianach wisiały liczne obrazy (zauważyłam akwarele), na parapecie stały zwykłe gliniane doniczki pełne kolorowych roślin. Panował tu lekki półmrok, przecinany jedynie smużkami światła sączącego się przez niewielkie okno. Pachniało bazylią, czosnkiem i mieszanką jakichś ziół. Spojrzałam na kuchenkę. To pewnie z tych garnków, domyśliłam się.

Usiadłam na starym wyplatany krześle i niemal natychmiast poczułam się jak w izbie, którą malował van Gogh. Sznurkowe siedzisko wpijało się w pośladki. Francuski wiejski standard...

- Kiedy przyjechałaś? – zapytała Carolle, wyjmując kubki z szafki.
- Och, dopiero kilka dni temu. Mieszkam w Paryżu, a tu jestem na jednodniowej wycieczce.
- Jaką pijesz?
- Czarną. I bez cukru.
- To tak jak ja.

Zamilkłam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. I nadal nie wiedziałam, gdzie jest Marco. Carolle wyczuła mój niepokój.

- Agnieszka? Dobrze mówię? – Uśmiechnęła się zaciekawiona.
- Czy miałam wypisane na twarzy imię?
- Owszem – odparłam.

Czas uciekał, a nie miałam ochoty tracić go na uczenie Carolle poprawnej wymowy mojego imienia. Agnieszka byłam w Paryżu, mogłam nią być i w La Baule.

- Pewnie chcesz wiedzieć, gdzie się podziewa Marco?
- A gdzie jest? – zapytałam wprost.
- Pływają z Yannem. Pewnie wrócą wieczorem.
- Pływają? – Nie rozumiałam.

Carolle roześmiała się i napelniła kubki parującą kawą.

– Nie, nie łowią ryb, jeśli o tym pomyślałaś. Yann pracuje jako skipper, a Marco często mu pomaga.

- Skipper? A kto to taki?
- Najprościej?

Przytaknęłam.

– To taki żeglarz do wynajęcia. No wiesz, taki, który potrafi nawigować i robi to za tych, którzy tego nie umieją, ale stać ich na własny jacht. Albo, jeśli wolisz, taki żigolak od sterowania, dla bogaczy.

– Nie miałam pojęcia, że istnieje takie zajęcie... – powiedziałam. – I wybacz, Carolle, ale nie rozmawiałam po francusku od kilku lat. Pewnie ledwie mnie rozumiesz?

- Idzie ci całkiem nieźle. Zjesz kawałek szarlotki? Sama piekłam.

Jakże mogłabym odmówić!

- Więc Marco, on też jest tym, jak to nazwałaś, skipperem?

Omam nie spadła z krzesła. Śmiała się, ale naturalnie i bez podtekstu.

- Marco jest raczej, hm, balastem. Ale dobrze sobie radzi. I niebawem również zostanie

skipperem.

Chyba zrozumiałam.

– Mieszka u was? – drążyłam.

Skinęła na tak.

Postawiła na stole dwa talerzyki z kawałkami szarlotki. Ciasto wyglądało apetycznie.

– Marco prowadzi własną galerię sztuki w Pouliguen. Zaraz za kanałem. Ale czasami wypływa z Yannem w rejsy. To zawsze dodatkowy zarobek, w sumie nawet chyba lepszy niż z marszandowania. Wiesz, ci bogacze...

– Więc sprzedaje sztukę... – stwierdziłam, kosztując ciasta. Było równie pyszne, co ładne.

– Nie wiesz? Myślałam, że do ciebie pisał – powiedziała zdziwiona.

Patrzyłam z niedowierzaniem.

– To najładniejszy sklep na tamtym brzegu. Nazywa się Agart, od twojego imienia, jakbyś miała wątpliwości.

Zatkało mnie.

„Agart”? Marco założył tu galerię pod taką nazwą?

Boże, a ja myślałam, że te jego marzenia to tylko wariackie bzdury! A jednak spełnił je! Tyle że nie w La Defense, ale tutaj.

Na chwilę odebrało mi mowę.

– Nie miałam pojęcia... – wyszeptałam po chwili.

– No to już wiesz – podsumowała Carolle.

– Muszę uciekać! – wykrzyknęłam, spojrzawszy na zegar na kamiennej ścianie nad piecem.

– A Marco? Nie zaczekasz, aż wróci?

– Nie mogę. Za kwadrans odjeżdża mój pociąg.

– Czy mam mu coś przekazać?

– Nie wiem. Nie. Lepiej nic nie mów. Nie mów mu, że tu byłam.

– Jak chcesz, ale...

– Tak będzie dla niego lepiej. Dzięki za gościnę i wspaniałą szarlotkę. Muszę pędzić, wybacz!

Wybiegłam z kamiennego domu przy Avenue des Platanes jak wystrzelona z procy. Do odjazdu miałam niecałe siedem minut. Na szczęście z grubsza znałam drogę, choć dawno minęły czasy, kiedy w szkole byłam dobra na setkę. Ten cholerny pociąg nie może odjechać beze mnie!

Na peronie nie było żywego ducha, ale skład jeszcze czekał. Wpadłam do drugiej klasy w ostatniej sekundzie. Gdy zdyszana znalazłam właściwy przedział, Artur przeszył mnie wzrokiem, który mógł zabić.

– Czyś ty kompletnie zwariowała? Szukaliśmy cię przez ponad kwadrans!

Moi bracia i bratowa również patrzyli ze zgrozą.

– Aga, tak się martwiliśmy! – powiedziała Anka.

– Przepraszam! – jęknęłam i padłam na miejsce. Nie na to przy oknie, zajęte przez Waldka. Było mi wszystko jedno, ważne, że zdążyłam.

Sekundę po moim wejściu na pokład TGV ruszyło. Początkowo nieśpiesznie, jakby chciało dać mi szansę na pożegnanie z La Baule-Escoublac i z Marco, którego nie spotkałam i nie spotkam już nigdy. Wciśnięta w miękki fotel walczyłam ze łzami, nieproszonymi gośćmi. Udawałam, że ich nie ma, ale cóż... Piekły niemiłosiernie. Odwróciłam głowę w stronę okna.

– Żałuj, że nie posiedziałaś z nami na plaży – powiedział Adam, już za miasteczkiem.



– Oglądaliśmy jachty – dodała Anka.

– I surferów – dołożył Waldek.

Gdzieś tam być może pływał Marco, pomyślałam. Tak blisko...

## 11

Pociąg mknął niczym bełt wystrzelony z kuszy Wilhelma Tella, wycelowanej prosto w Paryż. Za dwie godziny powita nas dworzec Montparnasse, wsiądziemy w metro, wrócimy na Montmartre i zjemy kolację w Le Buffet. Tego właśnie oczekiwali moi bracia, mąż i bratowa.

A ja wciąż pozostawałam myślami w tej przytulnej kuchni Carolle i czułam aromaty kawy, ciasta i ziół. Od rewelacji wirowało mi w głowie. Galeria Marco nazywa się Agart, pisał do mnie. Dlaczego nic nie wiedziałam?

Pociągjechał cicho, jakby sunął po maśle, a nie po szynach. Adam delektował się szybkością, Waldek liczył mijane zamki. Każdy czymś się zachwycał, tylko ja siedziałam zachmurzona i nie podziwiałam widoków.

Już nigdy nie spotkam Marco i nie dostanę szansy, by wytłumaczyć, dlaczego wyszłam za mąż. Nie zrozumiałby. Nie znał komuny od podszewki...

*Merde!*

Nie tak miało wyglądać moje życie!

Pociąg wypluł nas na Montparnasse punktualnie co do minuty. Później, równie dokładne, podjechało paryskie metro. Ohydna punktualność paryskiej komunikacji zaczynała mnie wkurzać. A gdzie miejsce na niespodziankę? W Polsce na przystanek potrafił podjechać niespodziewanie inny autobus. Albo nie przyjeżdżał wcale i musiałam zasuwać do domu pieszo. Tu wszystko działało jak w szwajcarskim zegarku. Nuda!

Wsiedliśmy do wagonika pełnego zmęczonych paryżan i dojechaliśmy na Abesses. Windą na górę, jeszcze kilka uliczek i hotel. Powinnam czuć radość z powrotu do magicznego miejsca, ale zamiast niej dopadł mnie przytłaczający smutek. Wlokłam się za współtowarzyszami podróży noga za nogą. A przecież to ja miałam być przewodnikiem wycieczki!

Wzięcie się w garść okazało się trudniejsze, niż sądziłam.

Odświeżyliśmy się i poszliśmy na kolację.

Kerim podał tego wieczoru grillowane mięska i cudowne sałatki, ale ja nie byłam ani rozmowna, ani chętna do żartów. Nie uszło to uwagi moich bliskich.

– Aga, co się tam stało? Znaczy: w La Baule? – Pierwszy zapytał Adam.

– Nic.

– Przecież widzę. Jesteś nieswoja i smutna.

– To przez ten sprint do stacji. I nie jestem smutna, tylko... trochę zmęczona.

– Gdybyś się nie uparła, wszystko byłoby okej. Zawsze musisz wymyślić coś głupiego!

– Dołożył mi Artur.

– Dajcie jej spokój! – wtrąciła Anka, choć i ona zerkała na mnie z niepokojem.

Waldek, jak zwykle, nie mówił nic. Wolał jeść.

Na deser podano *crêpes au chocolat*, ja jednak pozostałam przy kawie; mój naleśnik wylądował na Waldkowym talerzu. Napiliśmy się wina i wreszcie mój nastrój utonął w ogólnej wesołości.

Próbowałam walczyć z natrętnymi myślami, próbowałam nie zerkać za okno w nadziei, że zaparkuje tam znieścacka czarna honda z Marco w skórzanym kombinezonie, ale nikt się już nie przejmował moimi humorami. Towarzystwo czuło się w Le Buffet jak u siebie.

Zestawione stoliki czekały każdego wieczoru, gospodarz częstował darmowym winem. Adam, dotąd raczej zwolennik piwa, jak za naciśnięciem przycisku przestawił się na narodowy francuski trunek.

Około północy, gdy już uiściłam rachunek za ucztę (jako jedyna znałam dyskretną różnicę pomiędzy *deux cent* a *trois cent francs*, no i w końcu ktoś musiał pilnować kasy!), nasza rozbawiona grupka wypełzła na brukowaną uliczkę Trzech Braci w wyśmienitych nastrojach. Nikt, poza mną, nie miał ochoty wracać do hotelu tak wcześnie. W Paryżu północ to pora odpowiadająca mniej więcej dziewiętnastej w naszym kraju. Chociaż nie! W Polsce o siódmej wieczorem można było co najwyżej napić się piwa na Starym Rynku...

A tu? O rany!

Adam zniecacka przejął pałeczkę. Jakby wiedziony instynktem, prowadził nas po krętych uliczkach w dół. Co w sumie nie było dziwne, w końcu znajdowaliśmy się na szczycie wzgórza...

Razem z Anką, rozbawieni, ciągnęli za sobą pozostałych. Szli przytuleni do siebie. Miły widok. Mój starszy brat i bratowa. W jakiś sposób jestem odpowiedzialna za ten związek, pomyślałam, na szczęście w dobrym znaczeniu. Gdy kilka lat temu zrezygnowałam z opłaconego z góry kursu angielskiego, nie mając jak pogodzić go ze studiami, namówiłam na naukę Adama. Pojechał na dwie pierwsze lekcje, poznał Ankę i angielski się skończył, a zaczęły randki.

Zatem okazałam się swatką mimo woli. Jak widać – utalentowaną.

Ankę polubiłam bardzo, choć wydawała się moim przeciwieństwem: uporządkowana, konkretna, zawsze słowna i dbająca o szczegóły. Ja byłam trochę zwariowana i bardziej emocjonalna, ona stonowana. Dlatego teraz dziwiły mnie jej reakcje. Przyjemnie było patrzeć, jak się śmieje i cieszy, uwolniona od narzuconych sobie reguł. Jakby Paryż ją otworzył.

Wylądowaliśmy w zatłoczonym miejscu, pełnym turystów jak my. Najedzonych, napitych, niemających najmniejszej ochoty na sen. Staliśmy, ni mniej, ni więcej, dokładnie na placu Clichy.

Punkt ten nie cieszy się sławą najgrzeczniejszego w Europie, raczej odwrotnie. Można tu spotkać najdziwniejsze ludzkie okazy, jakie istnieją na naszej planecie. W Polsce nie było takich atrakcji, tutaj aż się od nich roiło.

Ja już to widziałam. Widziałyśmy obie z Ewką. Ale dla Adama, Anki i podążającego kilka kroków za nimi Waldka rzecz była całkowitą nowością. Choć moje myśli krążyły gdzie indziej, musiałam dać im szansę na łyknięcie odrobiny paryskiego klimatu.

Paryż w tym miejscu przypominał pszczeli ul – głośny, jasny i kolorowy. Zapachy z czynnych wciąż barów i ulicznych straganów mieszały się z widokami i snującą się nie wiadomo skąd muzyką. Mijaliśmy niezliczone nocne kluby, kina porno i inne podobne rozrywki. Czasami jakiś namolny gość wyciągał długie łapska i namawiał do odwiedzenia jednego z tych przybytków.

Zatrzymaliśmy się przed witryną (jedyne chyba w Europie?) Muzeum Erotyki.

– Może zwiedzimy? – zapytał rozochocony Adam.

Nie miałam nastroju, ale nie potrafiłam mu odmówić.

Waldek też był chętny, a Artur już wchodził do środka.

Przejęłam stery. Byłam za przewodniczkę, więc w kasie poprosiłam o *reduction*. Zniżka okazała się rewelacyjna, bo pięćdziesięcioprocentowa, lecz jednocześnie poinformowano nas, że za pół godziny zamykają. Pomknęliśmy schodami w górę.

No, było czym się pozachwycać!

Sześć pięter w górę i dwa pod ziemią; oblecenie całości w pół godziny było nie lada

wyzwaniem. Pożałowaliśmy, że nie trafiliśmy tu wcześniej.

Akty robiły nastrój, były jak tło. W gablotach stały eksponaty jak żywcem wyjęte z wyuzdanych eksperymentów markiza de Sade. W każdym kącie stały afrykańskie odwzorowania penisów, niektóre wykonane ze sporym artyzmem. Ruchome dzieła współczesnych artystów, kojarzące się z wiadomo czym, kobiece pośladki, pocięte na plasterki, jako wirujące rzeźby, rozliczne narzędzia przemocy seksualnej, ale również przepiękne fotografie miłosne... Wszystko to migało nam przed oczami jak krajobrazy za oknami TGV, bo czas naglił.

Wyszliśmy po czterdziestu minutach, oszołomieni odkryciem, że erotyka może być też sztuką. Żadne z nas nie odebrało tego jako porno. Byliśmy pod wrażeniem. Gdybym miała podsumować te niezwykle zbiory jednym zdaniem? Polecam każdemu dorosłemu. Erotyka jest urocza, to w końcu spora część naszego życia. I lepiej ją oglądać w muzeum niż na ekranie, w hardkorowym filmie.

Do hotelu dotarliśmy grubo po pierwszej w nocy. Adam i Anka poszli do siebie, samotny Waldek sam nie odważył się nas nachodzić. Po raz pierwszy byłam w małżeńskim apartamencie sam na sam z moim mężem. Za oknem wciąż świeciła się wieża Eiffla.

Artur nabrał chęci, ale ja nie miałam ochoty.

Po długiej kłótni leżeliśmy znów odwrócenii do siebie plecami.

Z okna sączyła się poświata nocnego paryskiego nieba, a ja nie mogłam spać. Wstałam i usiadłam przy oknie. Obracałam na palcu obrączkę, do której wciąż nie mogłam się przyzwycząić. Jestem w mieście moich marzeń z mężem, którego, jak mi się wydaje, Kocham. Jest noc, jest nastrój, a ja jestem tak bardzo daleko.

Chyba jestem nienormalna.

## 12

Nie było sensu udawać.

Artur oznajmił mi rankiem, że się pomylił i że nie powinien był tu ze mną przyjeżdżać. Znów się pokłóciliśmy, więc na śniadanie zeszedłam schodami, a on zjechał windą. Prawem kontrastu Adam z Anką siedzieli już, jak dwa gołąbki, pod sztuczną palmą i uśmiechnięci smarowali masłem chrupiące francuskie rogaliki.

Przynajmniej ta nasza wyprawa ma jakiś sens, pomyślałam na ich widok.

W przeciwieństwie do mnie, Anka wyglądała na szczęśliwą.

– To jakie plany na dziś? – zapytała radośnie.

– Jeszcze niesprecyzowane – odparłam, rozglądając się za dzbankiem z kawą.

Artur usiadł naprzeciwko. Milczący, naburmuszony.

– Jeśli się pośpieszycie, na barze są jeszcze ciepłe parówki – odezwał się Adam.

Żadne z nich nie zauważyło, że między mną a Arturem wisi w powietrzu niewidzialny topór.

– Gdzie Waldek? – zapytałam.

– Pukaliśmy, ale nie dał się dobudzić – wyjaśniła Anka.

– Odsypia muzealne atrakcje! – roześmiał się Adam. – Pewnie ma kompleksy po tym, co tam zobaczył... – dodał.

– Może po niego pójde? – zaproponowałam.

Lecz jakby w odpowiedzi mój brat wmaszerował do kafeterii. Nieogolony, oczy podkrążone. Balował całą noc czy co?

– O wilku mowa! – wykrzyknął Adam. – Siadaj. I pośpiesz się, bo za chwilę nie będzie już nic na ciepło.

Wszystkie stoliki były zajęte; goście rzucili się na jedzenie jak wataha głodnych wilków, i nic dziwnego. W paryskich hotelikach, gdzie trudno było się zmieścić w łazience w jednym kawałku, chrupiące rogaliki rekompensowały wszystko. A zapach porannej kawy był jak obietnica nowego, pełnego wrażeń dnia.

Opodal siedziała grupka Japończyków, zagapionych w plan miasta. Trochę dalej siedziało starsze małżeństwo z Niemiec, spierając się, co zobaczyć.

Jeśli chodziło o mnie, najchętniej wróciłabym do La Baule.

Zjadłam parówkę i rogalika z konfiturą, wypłam dwie kawy i już miałam zamiar uciec na górę, gdy nagle mignęła mi Clementine. Dziewczyna stała za futryną w drzwiach kuchni i wydawała komuś polecenia. Chyba naprawdę jest tu szefową. Nie tak jak trzy lata temu, kiedy jako zwykła pokojówka bała się ze mną porozmawiać, żeby nie wylecieć z pracy.

Poderwałam się z miejsca.

– A ty dokąd? – jęknął Adam. – Musimy ustalić plan dnia!

– Zaraz wracam.

Dopadłam ją na korytarzu, niedaleko windy. Na mój widok przystanąła.

– Pani Agnieszka! Czym mogę służyć? Coś nie tak?

– Clementine... – Wzięłam głęboki oddech. – Przecież wiesz, że nie o to chodzi.

Z obsługą wszystko jest okej. No i cieszę się, że awansowałaś. Ale... *Merde!* Nie wiem, jak to powiedzieć. Jesteś jedynym łącznikiem pomiędzy mną dzisiejszą a tą sprzed trzech lat.

Chciałabym odwiedzić Mariana i Sabine, tyle że nie napisałam im, że przyjeżdżam. Wiesz

może, co u nich? Albo u Alaina? Byliście wtedy parą. Nie mam do wypełnienia żadnej misji, nikt mnie nie śledzi, ja nie chodzę za tobą. Tamte sprawy już nie istnieją. Mimo to mam wrażenie, że wciąż się mnie boisz.

Clementine stała jak posąg, z ręką na przycisku windy.

– Z tego co wiem, Alain nadal mieszka tam, gdzie mieszkał. Państwo Marian i Sabine też – powiedziała.

– A ty? Jesteś szczęśliwa? – Wyrwało mi się.

– To nie pani sprawa – ucięła.

Weszła do windy i tyle ją widziałam.

No to w temacie szczęścia jesteśmy we dwie, podsumowałam w duchu i zawróciłam do stolika.

Wszyscy już dawno skończyli śniadanie, tylko Waldek dolewał sobie zimnej kawy i szukał ocalałych rogalików. Niemcy sobie poszli, Japończycy też, została tylko jakaś młoda para, szepcząca sobie czułe słówka, i my. Zgrana wycieczka z Polski, która ma określone plany. Miała nawet rozpiskę na każdy dzień! Tyle że plany się posypały, bo moi drodzy bliscy dostali zakwasów po długiej pieszej wędrówce. Nie pozostawało mi nic innego jak improwizować.

– To może dziś wjazd na wieżę Eiffla? – zapytałam z nadzieją na chóralne „tak”.

Nie zawiodłam się. Za byli wszyscy.

Zawiozłam ich metrem na Pola Marsowe i zostawiłam w stumetrowej kolejce po bilety.

– A ty dokąd? – zdumieli się, że ja naprawdę nie mam ochoty uczestniczyć w tym wariackim przedsięwzięciu.

– Dacie sobie radę.

– Zwariowałaś? – Artur chwycił mnie za ramię. – Nie możemy się rozdzielać, bo się zgubimy.

Martwiła się nawet Anka.

– Aga, zostań z nami. Nawet nie wiemy, jak kupić bilety – prosiła.

– Pokażcie cztery palce i gość zrozumie. Spotykamy się wieczorem w Le Buffet.

Wsiądziecie z metra na stacji Abesses, a dalej to już chyba pamiętacie?

– Chyba tak, ale...

– To o siódmej na kolacji! – zawołałam jeszcze i znikłam w tłumie turystów.

Zrobiłam to! Urwałam się z tej idiotycznej wycieczki! A niech oni stoją sobie trzy godziny w kolejce po bilety, potem jakieś dwie spędzą na zdobywaniu wieży i podziwianiu widoków. Kolejne dwie zajmie im powrót do hotelu i dojście do naszej restauracji. Przyparci do muru poradzą sobie, nawet bez znajomości języka. Mają jeszcze ręce do wymachiwania i rozum.

Spojrzałam na zegarek: jedenasta trzydzieści. Przede mną jakieś osiem godzin spokoju.

Cudownych godzin, tylko dla siebie!

Uświadomiłam to sobie i poczułam się lekka jak ptak.

Zostawiłam za plecami zgromadzony na Polach Marsowych tłum i pognałam do najbliższego metra. Mój prywatny czas! Muszę się zastanowić, jak go wykorzystać.

Pierwszą myślą był Marian. Mój niezastąpiony paryski przyjaciel, z którym chowałam obraz van Gogha pod podłogą w jego garsonierze. Ostatnie listy wymieniliśmy jakieś dwa lata temu. A Nicole? Z nią też nie miałam kontaktu. Pisała do mnie kilka razy, ale korespondencja w końcu przestała przychodzić. Tak to już jest. Przyjaciele są jak delikatne rośliny doniczkowe – niepodlewane regularnie usychają. Pewnie sporo w tym mojej winy, więc czy mam prawo ich teraz nachodzić?

Mimo tych wątpliwości w tempie błyskawicy dotarłam na Montmartre, wybiegłam z metra i pieszo ruszyłam w stronę domu Mariana i Sabine. Zadzwoiłam domofonem i pomodliłam się, żeby ktoś się odezwał. Nic. Nie było ich w domu. Może Marian pracuje na placu du Tertre? Już chciałam tam pobiec, gdy nagle ktoś wyszedł z kamienicy. Przemknęłam do środka, nie zwracając uwagi na konsjerżkę, i popędziłam kręconymi schodami na górę, aż pod znajome drzwi. Serce biło mi jak młot. Przycisnęłam dzwonek w nadziei, że może jednak kogoś zastanę.

I stał się cud. Drzwi się uchyliły na tyle, na ile pozwalał łańcuch. Przez niewielką szparkę dostrzegłam twarz. Sabine.

– Kto tam? – zapytała zaszpanym głosem. Najwyraźniej wciąż lubiła sobie pospać do południa.

– To ja, Agnieszka.

– Kto?

– Agnieszka. Nie pamięta mnie pani? Byłam tu trzy lata temu.

Po drugiej stronie drzwi zapadło kilkusekundowe milczenie. Przestraszyłam się, że Sabine zatrzaśnie mi je przed nosem.

– Agnieszka? – Patrzyła, jakby ujrzała ducha.

– Owszem. Przepraszam, że bez uprzedzenia, ale mam mało czasu, a bardzo chciałam się z wami zobaczyć...

– Ależ niespodzianka! Wejdz!

Wkroczyłam do przedpokoju, w którym kiedyś omal mnie nie zabiła, rzucając wazonem.

Dom wyglądał tak samo – ciepłe wnętrza z mnóstwem obrazów na ścianach, dużo roślin i okna, w których przeglądał się Montmartre. Gospodyni zaprowadziła mnie do salonu. Ten sam szklany stół i okno z widokiem na Sacré Coeur... O tej porze dnia bazylika jaśniała nieskalaną bielą na tle lazurowego nieba. Poczulałam ucisk w gardle.

– Kiedy przyjechałaś? – zapytała Sabine.

– Cztery dni temu.

– Z Ewką?

A więc pamiętała. Miała powody, aby nas nienawidzić, ale, koniec końców, chyba nam wybaczyla?

– Nie. Z mężem i braćmi – wyjaśniłam.

Zrobiła wielkie oczy.

– I z bratową – dodałam.

– Och... Nie wiedziałam, że wyszłaś za męża. – Sabine była zdezorientowana. –

Napijesz się kawy?

– Chętnie. Ale czy na pewno nie przeszkadzam?

– Nie. Marian wyszedł po klan do fajki, powinien zaraz wrócić. Usiądź w salonie.

Marian wyszedł po klan do fajki... Jak to miło zabrzmiało! Jakbym wcale nie wyjeżdżała, a on na chwilę wybiegł z domu. Z prawdziwym zadowoleniem odnotowałam, że Sabine i Marian wciąż są razem. Przetrwali, choć ich małżeństwo kilka lat temu wisiało na włosku z powodu szalonego romansu Sabine z dyktatorem mody.

Usiadłam przy stole z grubego szkła. Kiedyś siedział tu także Marco... A potem obejmował mnie na balkoniku, pośród paryskiej nocy. Nigdy tego nie zapomnę.

Gdzie jesteś, Marco? Pływasz po oceanie czy siedzisz w galerii, którą nazwałeś moim imieniem? Wspominasz mnie czasem? A może byłam tylko chwilowym kaprysem?

Wstałam, podeszłam do okna i zapatrzyłam się na lśniąca kopułę Sacré Coeur.

Niedaleko stamtąd był nasz plac, gdzie chodziłam rysować i skąd zgarnęły mnie paryskie fliki. Ty mnie ratowałeś, woziliś hondą do prefektury, niewyspany po szalonej nocy. Czy to możliwe, abyśmy się nie zobaczyli?

Sabine postawiła kawę na stole. Czekala, aż wrócę z obłoków na ziemię.

– Przepraszam – szepnęłam, odwracając się od okna. – Za dużo wspomnień...

Przyjrzałam się jej uważnie. Nie była tak kolorowa, jak trzy lata temu. Jej oczy zdradzały zmartwienia, a ciemne odrosty we włosach – brak powodów, by być atrakcyjną.

– A więc wyszłaś za mąż... – zagadnęła.

– Dwa tygodnie temu.

– Moje gratulacje. Jesteś w podróży poślubnej?

– Tak. Ale...

Nie miałam pojęcia, skąd mi się wzięło to „ale”.

Sabine nalała nam kawy z dzbanka.

– Ale nie jesteś pewna – powiedziała.

Ona w roli psychologa?

A jednak. Trafiła w czuły punkt.

Rozpłakałam się. Sama nie wiem dlaczego właśnie w jej obecności, kobiety, która miała powody, by mnie nie lubić. Ale wyszło, jak wyszło, była pierwszą osobą z tamtych czasów, na którą trafiłam. Z czasów, kiedy jeszcze byłam wolna, a serce nie było pewne zamiarów. Tak bardzo potrzebowałam kogoś, kto mnie zrozumie i pocieszy! Sabine przeżyła niejedno, więc na pewno mnie zrozumie.

Zaskoczyła mnie. Podeszła i przygarnęła mnie do siebie.

W tej samej chwili wszedł Marian. Zobaczywszy, kto tonie w objęciach jego żony, omal nie padł z wrażenia.

– Agnieszka? Co ty tu robisz?

– Wyżalam się... – chlipnęłam i rozbeczałam się na dobre.

Mogło być już tylko lepiej. Marian też mnie przytulił, jak córkę. Jak dawną przyjaciółkę, jak dziewczynę, którą wielokrotnie chronił przed niespodziankami paryskiego życia. Kiedy przestałam w końcu ronić łzy, zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziałam mu, co się ze mną działo. Kiedy doszłam do ślubu, zapalił fajkę. Miło było ponownie poczuć aromat jego ulubionego tytoniu. Salon Mariana i Sabine wypełnił się zapachem... wolności.

– A gdzie jest Nicole? – zapytałam, kiedy jako tako opanowałam emocje.

– Chcesz się z nią zobaczyć? – mrugnął gospodarz.

– To ona nie jest w Mediolanie?

– Och, Agnieszka! Wiele się zmieniło przez te trzy lata. Nicole i Mario założyli własny interes. Ale nie we Włoszech, tylko tutaj, w Paryżu. Nie wiedziałaś?

Pokręciłam głową. Nie miałam pojęcia.

– Mają już nawet własną markę i nieźle prosperujący sklep nad Sekwaną.

– Kreacje dla puszystych kobiet? – Przypomniałam sobie marzenia Nicole.

– W rzeczy samej.

– I jak? Dobrze jej idzie ten biznes?

– Całkiem nieźle, choć większość projektantów miesza ją z błotem.

Uśmiechnęłam się, po raz pierwszy od początku wizyty.

– Muszę się z nią zobaczyć!

– W takim razie lepiej trafić nie mogłaś. Jutro ma pokaz w Galerii Lafayette.

– Co takiego?

– Nie żartuję.



Powoli wtapiałam się w to, co kiedyś było moim żywiołem. Zjadłam z gospodarzami lunch, jak zwykle niejadalny, bo Sabine, odkąd odeszła Clementine, nie nauczyła się gotować. Potem wymknęliśmy się z Marianem na spacer po placu du Tertre, gdzie wciąż wycinał te swoje profile. Zapomniałam, że przyjechałam do Paryża z rodzinnym ogonem.

Zwierzyłam się Marianowi z moich trosk.

– Miewałaś gorsze problemy – powiedział nad szklaneczką sangrii w naszym dawnym lokalu.

– Nie. Właśnie przeżywam najgorszy z możliwych koszmarów. Chyba wyszłam za mąż za nie tego faceta.

Marian spojrzał na mnie ze współczuciem i zamówił kolejną sangrię.

## 13

Spóźniłam się na kolację w Le Buffet o cały kwadrans, ale ku mojemu zadowoleniu moja trzódka szczęśliwie siedziała na miejscach i raczyła się winem. No proszę, jednak dali radę beze mnie!

- Jak widzisz, nie potrzebujemy już przewodnika – powiedział sarkastycznie Artur.
- Zamówiliście już coś? – zapytałam.

Waldek ryknął śmiechem. Po chwili dołączyła do niego reszta.

- O co chodzi? Zamówiliście, tak? – powtórzyłam pytanie.
- Owszem. – Zdobył się na odpowiedź mój starszy brat. – Ale nie mamy pojęcia co. Zapanowała ogólna wesołość.
- Jak będzie niejadalne, to twoja wina – warknął Artur.

A niech tam! Kilka godzin spędzonych z Marianem sprawiło, że Paryż znów mi się podobał.

- Wjechaliście na wieżę?
- Po czterech godzinach stania po bilety – odparł Adam.
- I jakie wrażenia?
- Żałuj, że się nie dałaś namówić – powiedział Waldek.
- A ty gdzie się szlajałaś? – dociekał Artur.
- Odwiedziłam starych znajomych.
- Tego malarza od siedmiu boleści?

Pożałowałam, że opowiedziałam mu o Marco. Oczywiście, nie wspomniałam o romansie, ale coś musiałam mówić, przynajmniej dopóki Marco przysyłał listy. Nazywałam go przyjacielem, podobnie jak wielu innych. Ale mój mąż, choć może nie umiał wyprać skarpetek, bo nie wiedział, jak nastawić pralkę, ale analityczny rozum miał. I pewnie nie do końca wierzył w te czysto przyjacielskie relacje.

- Artur, daj jej spokój – wtrąciła się Anka.
- I w tej chwili Kerim postawił na stole zamówione w ciemno dania.
- Co to jest? – Skrzywił się Waldek, obwąchując talerz.
- Chyba to, co pokazaliśmy palcem. – Adam też spoglądał z rezerwą.

Natychmiast rozpoznałam danie.

- Zamówiliście *choucroute*. Nie wiem jak wy, ale ja jem, bo padam z głodu.
- Wygląda całkiem, całkiem – stwierdziła Anka.

*Choucroute* to potrawa nieco zbliżona do naszego bigosu, też z kapusty i kiełbasy, ale inaczej wymieszana i przyprawiona. W bigosie wszystko jest pocięte na drobne kawałeczki, w wersji żabojadzkiej kiełbaski są całe, a kapusta posiekana grubiej.

- Nawet niezłe – stwierdził Adam.

Deser zamówiłam już ja, znów w roli opiekuna wycieczki. A potem wzięliśmy w obroty kolejną butelkę wina i moja całodzienna nieobecność poszła w zapomnienie.

Nie pamiętał nikt. Z wyjątkiem Artura.

Adam i Anka opowiadali o widoku ze szczytu wieży.

- Żałuj, że nie pojechałaś. – Kiwał głową mój brat, sącząc (a raczej żłopiąc) kolejny kieliszek zagadkowej odmiany bordeaux, które nasz gospodarz co chwila donosił z piwnicy. Może ma tam tajną rozlewnię?, wpadło do mojej lekko ubzdryngolonej głowy.

Jeszcze zabawniej zrobiło się, gdy nagle przemówił Waldek. Mój młodszy brat zaczyna gadać dopiero pod wpływem. Wszystko jedno, emocji czy alkoholu.

– Aga... – westchnął, po czym dał znać, że teraz jego kolej. – Jakbyś tam była, zrozumiałabyś, o czym mowa. Ten widok jest jak... Jak... No, nie wiem! Jest niesamowity! Sekwana z góry wygląda jak cieniutka nitka spaghetti. A ten wieżowiec, na którym byliśmy, no ten...

– Montparnasse – odpowiedziałam.  
– No właśnie! Montpart coś tam. On wyglądał jak mały domek! Wyobrażasz sobie?  
– Nie. Już wam mówiłam, że nigdy nie wjadę na wieżę Eiffla.  
– Dlaczego? Tam są kraty, zabezpieczenia – wtrącił się Adam.  
– Mam lęk wysokości. Czy tak trudno to zrozumieć?  
– To tylko wymówka. Po prostu dałaś sobie na luz i poleciałaś do tego chłystka z Montmartre'u! – Wypunktował Artur.

– Słucham? Nazwałeś Mariana chłystkiem? – warknęłam wściekle.  
Nikt wokół nie rozumiał po polsku, ale i tak kilka osób spojrzało w naszą stronę.  
– Ej, wyluzujcie! – odezwał się mocno już podchmielony Adam. – Jesteśmy na wakacjach!

– Które są jednocześnie naszą podróżą poślubną, jakby ktoś zapomniał – dokończył Artur.

– Może zapłacimy i pójdziemy na spacer? – Próbowała łagodzić Anka.  
– Jeszcze nie dopiłem kawy – wycedził Waldek.

No to się porobiło!

W drodze do Utrilla między nami iskrzyło jak po potężnej burzy. Właściwie trudno było orzec, które z nas jest najbardziej naładowane. Nie było już tak luzacko jak wczoraj, podczas powrotu z muzeum erotyki.

Niemal na rue Aristide Bruant Adam stwierdził nagle, że muszą jeszcze z Waldkiem pójść po piwo do samochodu.

– Nie macie dość? – zapytała przerażona Anka.  
– O północy? W Paryżu? – roześmiał się Adam.

Moi bracia ochoczo ruszyli na odległy o dwie przecznice podziemny parking, gdzie stał sobie nasz poczciwy polonez, wciąż przechowujący w bagażniku całkiem spory zapas taniego niemieckiego browaru.

W apartamencie na szóstym piętrze poczułam się jak ptak w klatce, uwięziona pomiędzy pragnieniami a rzeczywistością. Artur zamknął się w łazience. Usłyszałam szum wody, otworzyłam okno.

Niebo nad miastem pociemniało, pojawiły się pierwsze gwiazdy. Noc była ciepła, bezwietrzna. Gdybym była tu sama, nie siedziałabym w hotelu, pomyślałam. Poszłabym z Nicole na plac i piła sangrię. Albo pojechałabym z Marco do La Defense.

Pomysł, żeby ciągnąć tu rodzinę, okazał się niewypałem. Tym większym, że to mój miodowy miesiąc. Jak mogłam być aż taką idiotką i myśleć, że Paryż wynagrodzi mi wszystko! Że obojętne, z kim tu przyjadę, będę się czuła jak wtedy!

Teraz rozumiałam, że tęskniłam nie za miastem, ale za ludźmi, których tu poznałam. Owszem, Paryż jest cudowny, piękny, tajemniczy i pełen obietnic. Każdego ranka obiecuje coś nowego. Coś, co na zawsze utrwali się w głowie i w sercu. Ale bez ludzi, którzy czynią go tak niezwykłym, nie jest już tym samym Paryżem. Dokładnie tak jak w wyświechtanym powiedzonku: nieważne, co jesz, ale z kim. Miasto bez moich paryskich przyjaciół było jak teatr bez aktorów. Jak smutna, od dawna nieczynna, zakurzona scena.

Musiałam ją ożywić.

Artur wyszedł z łazienki, a ja natychmiast się w niej ukryłam. Fajna podróż poślubna! Zero czułości, zero seksu, wieczne utarczki i mijanie się w biegu.

Zanurzyłam się w puszystej pianie, usiłując rozgrzeszyć się z myśli, które nie powinny mnie nawiedzać zaledwie dwa tygodnie po ślubie. Ciekawe, co by mi poradziła Ewka, gdyby tu była? Pewnie powiedziałaaby: „Oj, głupia ty, Agus”.

I miałyby rację.

Na szczęście, zanim doszło do konfrontacji z mężem, do naszego „apartamentu” zapukała reszta towarzystwa.

– Hej, nie śpicie jeszcze? – wyszeptał Adam przez szparę w drzwiach.

– Nie – mruknął Artur.

– Przynieśliśmy piwo. Można na chwilę?

Jak niemal każdej poprzedniej nocy nasz pokój zamienił się w niemiecką piwiarnię. Moi braciszekowie nigdy nie mieli dość. Rozłożyli mapę na małżeńskim łożu i maltretowali mnie pytaniami. Co jutro zwiedzamy? A może jednak nie muzeum, ale lotnisko? A po cholere nam Galeria Lafayette, przecież nie robimy zakupów? I tak bez końca.

Miałam tego serdecznie dosyć. Za oknem wyłączono iluminację wieży, czas najwyższy położyć się i zasnąć. Nic z tego. Rozeszli się po pokojach, dopiero gdy zabrakło piwa.

Jedyny pożytek z tej wizyty był taki, że Artur padł jak kawka. Zanim zasnęłam, przypomniałam sobie jeszcze zapach tamtych ziół i Carolle parzącą kawę w tamtym domu. Gdybym mogła zostać w La Baule jeszcze kilka godzin! Może Marco wróciłby z tego rejsu i wpadł prosto na mnie? Jak zareagowałby na taką niespodziankę?

Tego się nie dowiem, westchnęłam. Na ponowną wyprawę nad Atlantyk nie było szans.

Kac. Ale nie mój. Ja piłam niewiele, natomiast męska część mojej ekipy nie była w stanie zejść na czas do kafeterii. Śniadanie wydawano do jedenastej trzydzieści, a było już prawie południe. Zjechałam na poziom minus jeden sama i od razu spotkała mnie nagroda.

Clementine, w dobrym nastroju, krzątała się pomiędzy stolikami, podśpiewując pod nosem znaną mi skądinąd starą piosenkę. Na początku nie mogłam przypomnieć sobie, co to takiego, aż w końcu mnie olśniło. *Paroles!* Stary przebój Dalidy.

*Paroles, paroles, paroles...*

– Też ją lubię – powiedziałam z uśmiechem, zajmując stałe miejsce przy stoliku.

Oprócz mnie na sali były tylko dwie osoby – para młodych turystów, łąpczywie pijąca sok. Najwyraźniej nie tylko moi zabalowali wczorajszego dnia...

Clementine wyglądała na zmieszaną.

Nie rozumiałam tej dziewczyny. Sprawia wrażenie, jakby się mnie bała, a przecież w poprzednim moim wcieleniu, to znaczy podczas ostatniego tutaj pobytu, pomogłam jej wybrnąć z całkiem niezłego szamba. Gdyby nie ja... No cóż, ludzka pamięć jest krótka.

Niechętnie, ale jednak podeszła.

– Życzy sobie pani coś szczególnego? Bo mamy dziś to co zawsze. Jajka na miękko, parówki, rogaliki, konfitury.

– Nie – odparłam, patrząc prosto w jej śliczne ciemne oczy.

Mogłaby zostać modelką tego zadufanego w sobie projektanta od Sabine, Carla Legranda. Nie, chyba jednak nie. Clementine była śliczna, ale stanowczo zbyt normalna wagowo, a Carl zdecydowanie wolał chude patyki bez biustu i bioder. Przypomniałam sobie o dzisiejszym pokazie Nicole.

– A gdzie pani towarzysze? Zaraz kończymy podawanie śniadania.

– Zabalowali wczoraj. Mogę zabrać coś dla nich na górę?

– Zapakuję pani. Kawa jest w dzbanku, ale jutro proszę go odnieść. Zgoda?

– *Merci*, Clementine. – Uśmiechnęłam się.

Mulatka przez chwilę udawała, że pracuje, ale to nie ona zbierała puste kubki i talerze. Drobnitka i cicha dziewczyna uwijała się nad stolikami jak pszczołka Maja.

– Masz do mnie o coś żal, Clementine? – zapytałam, patrząc, jak pakuje rogaliki, masło i jajka na wynos.

– Skąd to pani przyszło do głowy? – odburknęła, nie odrywając wzroku od bufetu.

– Nie wiem, ale czuję.

– To źle pani czuje. Nic do pani nie mam.

– Ucieszyłam się, kiedy cię spotkałam. Sądziłam, że i ty...

– Ostatnio, kiedy panią spotkałam, zaczęły się dziać różne dziwne rzeczy... – mruknęła. No tak, rozumiałam aluzję. Bała się powtórek.

– To było trzy lata temu. – Uśmiechnęłam się. – Nie mam już mansardy po Napoleonie, nie chodzi za nami przestępca. Jestem w podróży poślubnej. Nie musisz niczego się obawiać.

– Niby wiem, ale...

Och ta przesądna Clementine, wierząca w wyimaginowane duchy albo nieszczęścia! Zapewne dziedzictwo jej afrykańskiego pochodzenia.

– Dlaczego nie jesteś z Alainem? – zapytałam odruchowo. – Przepraszam, to nie moja

sprawa. – Zreflektowałam się.

– Czy tyle wystarczy? – Clementine wskazała na spory koszyk pełen jedzenia.

– Jesteś kochana! A oni za karę pościelą dziś łóżka. Już ja im dam popalić!

Tym razem oczy Clementine patrzyły ciepło i dobrodusznie.

– Pani Agneszio... Zerwałam z Alainem krótko po pani wyjeździe. A powodem była pani.

– Ja? – Wytrzeszczyłam oczy. – Przecież nic mnie z nim nie łączyło!

– Może pani z nim nie, ale on... Nie, nawet nie chcę o tym mówić.

– Clementine, przysięgam, że nie było między nami nic, co...

– On miał inne zdanie. Nie przestawał o pani myśleć. A ja nie mogłam tego znieść! Nic pani nie zauważyła? Że ten flik zadurzył się w pani po uszy?

– Alain? We mnie?

Rzeczywiście, przypomniałam sobie, jak kiedyś spotkali się przed moim domem oko w oko z Marco, a ja musiałam któregoś odprawić. Wybrałam Marco, choć to Alain był bohaterem tamtej nocy. Musiało go to zabołec. Ale uczucie? Nigdy bym nie podejrzała!

– Owszem, byliśmy razem – kontynuowała Clementine. – Nawet się w tym draniu zdążyłam zakochać. Niezły z niego gość, prawda? Ale czułam, że coś jest nie tak. Bez przerwy wspominał te wasze przygody, niby w zabawie czy żartem. Aż któreś nocy zamiast „Clementine” wyszeptał mi do ucha „Agneszia”! Wtedy pojęłam, na co jest chory...

Postawiła przede mną pakunek.

– Nie mam do pani żalu, żeby było jasne. A teraz muszę pędzić na górę i dopilnować nowych pokojówek.

Znikła, zanim otworzyłam usta.

Alain?

Niemożliwe.

Jechałam na górę najmniejszą windą świata, obładowana wałówką dla skacowanych facetów. Przy okazji skorzysta i Anka. No tak, do obowiązków przewodnika doszedł jeszcze room service! Odpokutują za to, obiecałam sobie w duchu. Już ja o to zadbam!

Artur wciąż chrapał, więc nie budziłam go. Zeszłam piętro niżej i zapukałam do Adama i Anki. Moja bratowa dawała radę, ale musiała niańczyć ledwo ciepłego męża. Waldek wyglądał jeszcze podlej. Ale kiedy dotarło do nich, że w moim pokoju czekają soczek pomarańczowy, kawa i rogaliki, zmobilizowali się natychmiast. Po kwadransie apartament *soixante-trois* znów się zaludnił. A że brakowało w nim stołu, moi bliscy jedli i pili nad małżeńskim łóżem, w którym przecierał oczy dopiero co obudzony i jeszcze rozmemłany Artur.

– Śniadanie do łóżka? – zawołał, czując aromat kawy. – Czy przeprowadziliśmy się do Ritza?

Anka siedziała na jedynym krześle przy mojej toaletce. Popijała soczek.

– To co dziś robimy z naszą szmatławą egzystencją? Idziemy coś zwiedzać?

– Najpierw muszę odzyskać ostrość widzenia – jęknął Artur.

Wciąż jeszcze nie wypełził spod kołdry.

– A ja muszę poczekać, aż mój mózg powróci ze stanu płynnego do stałego – powiedział Waldek, absolutnie serio.

Za oknem iskrzyły się w słońcu paryskie blaszane dachy. Naprzeciwko Utrilla stał stary, zniszczony budynek, zapewne niezamieszany, bo w nocy nie paliły się tam żadne światła.

Okna ziały martwą pustką, a pokrzywione okiennice resztką sił opierały się o odłazące tynki. Siedziałam na parapecie, czekając, aż moja brać się pozbiera, i myślałam o tym domu. Ktoś w nim kiedyś żył. Ktoś kiedyś z pewnością podlewał kwiaty w tych pustych i potłuczonych

doniczkach.

Wychyliłam się. Wieża trwała na posterunku.

– Aga, dzięki! – powiedziała Anka, dojadając rogalika z konfiturą.

Clementine nam nie pożałowała. Pewnie chciała się mnie jak najprędzej pozbyć.

W końcu według niej byłam winna rozpadu jej związku...

Alain. Przystojny młody policjant. Bardzo go lubiłam. Zawsze pomagał mi w potrzebie, mnóstwo mu zawdzięczam. Ale nigdy nie dawałam mu odczuć, że będzie z tego coś więcej.

– Aga! Ziemia do Agi! – wrzasnął Adam.

Nie ma to jak dobre francuskie śniadanko. Od razu wszyscy zdrowieją.

Wróciłam na tę ziemię.

– To co dzisiaj w planach?

– Plany poszły w diabły, bo już trzynasta.

– No dobra, trochę zaspaliśmy. Tobie się nigdy nie zdarzyło?

Gdybyście tylko wiedzieli, ile razy!, pomyślałam. I natychmiast przed moimi oczami

pojawił się Marian, wpadający do mansardy po Napoleonie i popędzający na spotkanie

z notariuszem. Jak ten facet się nazywał? Aha, Jacques Ponselet. Notariusz z amnezją.

Ciekawe, czy wciąż żyje, biedaczek. Na szczęście tym razem nie przywiodły mnie do Paryża sprawy notarialne. Choć w sumie, może tamten powód był lepszy?

Zerknęłam na Artura. Wydawał się zadowolony, pomimo naszej wczorajszej sprzeczki. Zapewne tak właśnie będzie wyglądać nasze dalsze małżeństwo...

– To co? Na lotnisko? – zapytał Waldek, wpychając w siebie rogalik za rogalikiem.

– A po co? Lotniska są wszędzie. Może impresjoniści? Mieliliśmy zwiedzić Musée d'Orsay.

Adam westchnął.

– Skoro musimy...

– Niczego nie musicie – odparłam. – Macie ochotę na pokaz mody?

– Żartujesz? – wyseplenił Waldek z pełnymi ustami.

Anka się ożywiła.

– Paryski pokaz mody? Taki prawdziwy? – zapytała.

– Dziś wieczorem w Galerii Lafayette moja dawna przyjaciółka będzie prezentować swoją kolekcję. Ja się wybiorę na pewno. Z wami albo bez.

– Idę z tobą! – Zapaliła się moja bratowa.

– Mam oglądać jakieś chude wieszaki na wybiegu? – Skrzywił się jej mąż.

Rozśmieszył mnie. Chude wieszaki!

– Będiesz mocno zdziwiony – odparłam.

Stało na tym, że pójdziemy na ten pokaz, ale przedtem zwyczajnie powłóczymy się po Montmartrze. Na żadną dłuższą wycieczkę nie było szans. W grę wchodził wyłącznie spokojny spacer, połączony z relaksem co jakieś sto metrów.

Zaciągnęłam ich na plac du Tertre.

Roilo się na nim od zwiedzających, ale ja w tym zwariowanym tłumie czułam się jak ryba w wodzie. Oglądaliśmy malunki i rysunki, pastele i akwarele. Spozrzęłam szkic, który mógł wykonać tylko jeden człowiek. Akira. O rany, on siedział wciąż w tym samym miejscu i akurat portretował jakąś kobietę! Nawet moją bratową zachwyił jego kunszt.

– Niesamowite! – szepnęła mi do ucha.

– Chcesz taki portret? – zapytałam.

Pokręciła przecząco głową.

– Dlaczego nie? To najlepszy spec na całym Monmartrze – kusiałam. – Anka, daj się

namówić. Warto. Powiesz go sobie na ścianie. Przecież nikt nigdy nie zrobi ci lepszego!

Zawahała się.

Rozejrzałam się dokoła. Aha, nasi panowie gdzieś przepadli! Trudno, znajdą się i tak.

W tej samej chwili Akira spojrzał w naszym kierunku.

– Agnieszka? – wykrzyknął, podrywając się z małego krzeselka. – Przepraszam na moment. – Uspokoił gestem dłoni pozującą dziewczynę.

Uściskaliśmy się, jak na parę starych przyjaciół przystało.

– Miło cię znów wiedzieć – powiedziałam szczerze.

Ciekawe, ile przez te trzy lata namalował portretów? W ilu domach na świecie wiszą?

– Kiedy przyjechałaś?

– Kilka dni temu.

– Namalować cię?

– Nie, dzięki. Na twoim ostatnim rysunku jestem piękna absolutnie. Oprawiłam go w ramkę i powiesiłam w pracowni. Ale może przekonasz moją bratową? Poznajcie się. Anko, to Akira, najlepszy portrecista na Montmartrze.

Akira skłonił się grzecznie, po japońsku. Nic się nie zmienił. Wciąż nosił zabawny czarny warkoczek. Jego oczy się śmiały.

– Tylko skończę z tą panienką. – Mrugnął.

Powrócił do pracy.

– W co ty mnie wrabiasz? – syknęła Anka. – Nie chcę żadnego portretu!

– Chcesz, chcesz. Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

– Nie i już. Nie zamierzam tu siedzieć jak na cenzurowanym!

No, miała trochę racji – za plecami każdego z modeli Akiry zbierał się tłum gapiów. Ale skoro ja to przeżyłam, i ona da radę.

– Popatrz chociaż, jak on to robi.

Anka stała jak wryta, podziwiając zręczne ręce Japończyka.

A on rozcierał kreskę palcem, gdzie trzeba, dodawał kontrastu tam, gdzie powinien, na koniec tu i tam rzucił kilka blików, aż oczy portretowanych ożywały. Teraz złożył podpis i utrwalił rysunek specjalnym werniksem w aerozolu.

Młoda dziewczyna wstała z krzeselka i z zachwytem spojrzała na siebie widzianą oczami artysty. Jej chłopak, mąż albo kochanek, a w każdym razie facet, który z nią był i podobnie jak zgraja gapiów, patrzył na ręce Akiry, bez ociągania i ceregieli wręczył zapłatę. Zwinął świeżutki portret w rulon i podziękował.

Jeśli to nie przekonało mojej bratowej, trudno. Nic na siłę.

– Zapraszam! – Akira skierował wzrok na Ankę.

– Ale ja nie...

– Siadaj, do cholery! – syknęłam. – Jeszcze mi za to podziękujesz! – Popchnęłam ją delikatnie.

Usiadła. Niepewna, jak się zachować, patrzyła to na mnie, to na Akirę.

Nie знаła francuskiego, więc robiłam za tłumacza.

– On mówi, żebyś się odprężyła i pomyślała o czymś miłym. I masz patrzeć na jego ołówki.

– Dobrze – zgodziła się pokornie.

Po sekundzie siedziała nieruchomo jak posąg, zapatrzona w jakąś niewidzialną przestrzeń, odprężona i co tu dużo gadać – śliczna. Kasztanowłosa, o delikatnych rysach.

Minęło dwadzieścia minut, a ja już miałam pewność, że modelce portret się spodoba. Ciekawe, czy ktokolwiek odszedł z tego krzeselka niezadowolony? Śledziłam ostatnie ruchy rąk



Akiry z nieskrywaną zazdrością. Kiedyś i ja rysowałam portrety na tym placu. Ewka również, ale żadna z nas nie miała takiego talentu jak on.

Dzieło było skończone.

– Och! – wykrzyknęła Anka. – To naprawdę ja?

Tłumaczyłam na bieżąco.

Japończyk upewniał się, czy klientka jest zadowolona.

– Powiedz mu, że nie jestem zadowolona – odparła Anka. – Jestem zachwycona!

Powiedziałam.

Nie chciał pieniędzy. Próbowaliśmy mu je wcisnąć siłą, ku rozbawieniu gawiedzi, ale się zaparli.

– Od przyjaciół moich przyjaciół nie biorę nawet centyma – powiedział.

Potomek szogunów! Jeśli taki uniesie się honorem, dyskusja nie ma sensu.

Podziękowaliśmy zatem i udałyśmy się na poszukiwanie naszych facetów.

– I co, żałujesz tych dwudziestu minut na krzeselku? – zagadnęłam.

– Skądże! Dzięki, że mnie namówiłaś. – Anka tuliła pod pachą cenne trofeum. –

Powieszę ten portret nad stołem w jadalni, obok zdjęcia dziadka Adama. – Puściła oko.

Znałam tę fotografię na pamięć. Stara i pożółkła, przedstawiająca powstańca wielkopolskiego z sumiastym wąsem, siedzącego na koniu.

– Uważaj! – krzyknęłam, bo jakiś gbur w tłumie omal nie zgniótł dzieła Akiry.

– Możemy się jakoś stąd wydostać?

– Chodź za mną! – rozkazałam, łapiąc ją za łokieć.

Po chwili znalazłyśmy się przed bazyliką Sacré Coeur.

– Przysiadziemy na schodach? – zapytałam z rozpędu.

Niepotrzebnie. Anka już przycupnęła i zapatrzyła się w panoramę Paryża.

– Jezu, ale widok! – powiedziała oczarowana.

Usiadłam obok. Pod sobą miałyśmy miasto otulone niebieskawą mgiełką. W oddali, ponad innymi budynkami, górowały wieża Eiffla i wysokościowiec na Montparnasse. Oto mamy u swych stóp cały Paryż! Tysiące dachów, kominów i uliczek, kłębiących się jak gigantyczny labirynt niezbadanych zakątków. Po ulicach jeździły auta, trąbiąc i wymuszając pierwszeństwo, po rzece płynęły statki muchy, w hotelach kochały się setki turystów. Nie wiem dlaczego, ale przyszli mi na myśl paryscy kloszardzi. Ilu z nich szuka w podziemiach metra ławeczki na nocleg?

Przez kilka minut trwałyśmy w milczeniu. Anka odezwała się pierwsza.

– Zaczynam to rozumieć, Aga – westchnęła.

Weszłyśmy do wnętrza bazyliki i cichutko zapaliłyśmy po świecy w intencji naszych marzeń. Dziwne, ale dopiero teraz poczułam, że obok mnie stoi nie bratowa, ale siostra.

Po wyjściu przyłożyłyśmy się solidniej do poszukiwań naszych panów. Zaczęłyśmy od placu. Ani śladu.

– Jak myślisz, trafią do hotelu? – zapytała Anka niespokojnie.

– O ile już nie trafili...

Zeszłyśmy w dół brukowanymi uliczkami, gadając o różnych głupotach. Śmiałyśmy się jak szalone. Było fajnie.

Do chwili gdy przed jedną z restauracji zobaczyłam „księżniczkę”.

– Co się dzieje? – zapytała Anka.

– Zaczekaj chwilę.

Weszłam do gwarnej knajpki, rozejrzałam się i poznałam tego samego młodego mężczyznę, którego spotkałam trzy dni temu.

– *Bon soir* – powiedziałam grzecznie. – Pamięta mnie pan?

– Jakżeby nie! To pani pytała o Marco – odparł wesoło.

Był w towarzystwie kilku kolegów i dwóch rozbawionych dziewczyn. Włosy jednej z nich lśniły pomarańczowo na tle baru. Skinęłam dłonią wszystkim obecnym.

– Nie chcę przeszkadzać, ale... Byłam w La Baule i nie spotkałam Marco. Czy wie pan może, kiedy wróci do Paryża?

– Oby jak najpóźniej! – ryknął nieznany mi facet, ubrany w skórzany kombinezon. Towarzystwo zawtórowało.

Co było śmiesznego w moim pytaniu?

– Nieprędko – odparł zapytany.

– Skąd pan wie?

– Bo sam mi to powiedział przed wyjazdem. Zresztą założył tam galerię.

– I tak po prostu zostawił swój ukochany motor?

Mężczyzna spojrział na mnie uważnie. I odrobinę spoważniał.

– Już pani mówiłem, że zostawił go pod moją opieką. Nic więcej nie wiem o jego planach.

– Okej, przepraszam za najście – powiedziałam i kiwnęłam głową na do widzenia.

Rudowłosa dziewczyna przyglądała mi się podejrzliwie. Jakbym była co najmniej agentką KGB albo Stasi.

– Możesz mi powiedzieć, o co chodzi? – Anka dopadła mnie na chodniku.

A niech tam, opowiem jej po drodze o Marco i jego hondzie. Komuś muszę zaufać.

– O cholera! – podsumowała relację.

– No to już wiesz. – Mrugnęłam porozumiewawczo i chwyciłam ją za ramię. –

Pośpieszmy się, bo przegapimy pokaz Nicole.

– Myślisz, że Marco nie mógłby zostawić swojego motoru na tak długo? – zapytała, kiedy pędziłyśmy do hotelu.

– Nie wiem. Ale coś mi tu nie pasuje.

Nasi bynajmniej niezagubieni panowie spokojnie popijali piwo w pokoju numer 63 i nawet nie zauważyli naszego wejścia. No, pięknie! Anka dopadła do Adama z pretensjami, ale usłyszała tylko tyle, że miał dość przeciskania się przez tłum. Ja odetchnęłam z ulgą, że jesteśmy w komplecie. Za to, w obliczu okupacji apartamentu, nie miałam się gdzie przebrać.

– Nie wiem jak wy, ale ja idę na pokaz mody do Galerii Lafayette – zakomunikowałam.

– Ja z tobą – odezwała się Anka.

– Chcecie, to idźcie – powiedział Artur. – Nas to nie bawi.

– Więc marsz popijać do pokoju Waldka! – krzyknęłam. – Muszę się wykapać i przebrać!

Ani drgnęli.

Zabrałam świeże ciuchy do łazienki i umówiłam się z Anką za kwadrans w recepcji na dole. Nie musimy ciągnąć za sobą facetów. Niech sobie gniją w hotelu.

Niecałą godzinę później wysiadałyśmy z metra, skąd już tylko kilka kroków dzieliło nas od najpiękniejszego paryskiego domu towarowego. Galeria Lafayette od czasu do czasu używała swoich przepięknych wnętrz zwariowanym kreatorom mody.

Dochodziła dwudziesta. Wewnątrz zgromadziły się tłumy. Ledwie znalazłyśmy z Anką stojące miejsce. Moja bratowa zerknęła w górę.

– Boże, to sklep? – zapytała mnie. – Wygląda raczej jak muzeum albo świątynia!

– Na piętrach są przeróżne butiki. Tu, na dole, zwykle sprzedają perfumy. A czasami

po wybiegu paradują modelki – odparłam.

Ale i mnie samą zaskoczyła metamorfoza parteru. Kilka lat temu kupowałam tu po raz pierwszy w życiu flakonik Poisson Diora, Ewka któryś numer Chanel. Mieszały się wszystkie zapachy świata. Dziś pośrodku stanął podest, po bokach krzesła dla ważniejszych gości, a u szczytu scena podświetlona białym światłem. I wielki napis: NICOLE.

Serce dudniło mi w piersi.

Nawet nie wiedziałam, że nazwała firmę swoim imieniem.

Anka była podniecona. W Polsce o takich rozrywkach nie miała co marzyć.

– To ta twoja znajoma? Ta Nicole?

– Aha. Ciekawa jestem tego jej pokazu – powiedziałam. – Wymyśliła, że będzie dobrze ubierać puszyste kobiety. Wpadła na pomysł kilka lat temu w Mediolanie, a realizuje go w Paryżu.

Chciałam dodać coś jeszcze, ale zamilkłam, bo światła przygasły, a reflektory skierowano na scenę wybiegu. Rozległa się muzyka. Obie zastygłyśmy w bezruchu.

Zza kulis wyszła pierwsza modelka. Ubrana w kolorową sukienkę z ręcznie malowanego jedwabiu, przepłynęła po scenie jak motyl. Zaraz za nią ruszyła kolejna. Ta wyglądała jak ważka. Przepiękna tkanina o niebieskich odcieniach otulała ją jak mgła deszczowy poranek. Rozległy się pierwsze oklaski.

– Czy ja dobrze widzę? – szepnęła Anka. – Przecież to nie są typowe modelki!

– A nie mówiłam, że Nicole wybrała modę dla puszystych? To właśnie jest jej misja.

I dlatego jest tak kontrowersyjna. Ale sama popatrz, czy one nie wyglądają zjawiskowo?

– Są prześliczne!

Przestałyśmy gadać, żeby nadażyć za tym, co dzieje się na wybiegu. Kreacje Nicole były naprawdę niesamowite! Każda jak unikatowe dzieło sztuki.

Zerknęłam na gości siedzących w pierwszym rzędzie, tych z branży. Ich reakcje ciekawiły mnie najbardziej. Ale wśród rozświetlonych reflektorami twarzy nie było nikogo znajomego.

Muzyka świetnie tworzyła nastrój, towarzysząc kolejnej modelce – z czarną parasolką w białe grochy, w białej sukience w czarne grochy i białych butach na wysokim obcasie. Dziewczyna miała zgrabne i smukłe nogi, choć dźwigały kawał ciała. Poruszały się jednak lekko i z wielką gracją. A sama modelka przykuwała uwagę zgromadzonych szelmowskim uśmiechem i burzą czarnych kręconych włosów. Nie wiem dlaczego, ale miałam wrażenie, że nagle znalazłam się na Sycylii i piję włoskie wino.

Patrzyłam oniemiała z wrażenia. Anka też przestała zagadywać. I ją wchłonęła magia widowiska.

Nagle dojrzałam znajomą postać. Nie do wiary! W pierwszym rzędzie siedział nie kto inny, a sam wielki Carl Legrand! Niekwestionowany paryski autorytet i kreator mody, obecny na rynku od kilkunastu lat! Powróciły wspomnienia.

Na scenie pojawiła się panna młoda. Pulchna, ale piękna i romantyczna. Kreacja musiała zrobić wrażenie, bo galerię wypełniły burzliwe oklaski. A ja miałam dylemat – patrzeć na modelkę w pięknie udrapowanej sukni écriu czy na Legranda. Dostrzegłam jego skrzywioną twarz i kpiący uśmiech, znakomity materiał dla paparazzich na jutrzejsze okładki brukowców. Flesze dopadły go, gdy wstał i z twarzą człowieka bliskiego torsji opuścił pokaz przed zakończeniem.

Podążyło za nim mnóstwo oczu, ale drugie tyle nie oderwało się od pokazu Nicole.

– Dlaczego on wychodzi? – wyszepnęła Anka, zapewne domyślając się, że to ktoś ważny.

– Bo jest idiotą – wyjaśniłam najkrócej.

W tej samej chwili na scenę wyszli Nicole i jakiś facet. To pewnie ten jej Mario, włoski wspólnik i kochanek w jednym, cholera wie kto. Nawet przystojny, choć nieco od niej niższy.

Nicole miała włosy krótsze niż przed laty, ale wyglądała pięknie. Kłaniała się zgromadzonej publiczności pośród stuprocentowo zasłużonych owacji. Nietrudno uszyć ładne kiecki dla chudych anorektyczek, na których wszystko ładnie wisi, ale ubrać kobiety z nadwagą, tak aby budziły podziw, to już wyzwanie dla prawdziwej artystki. A Nicole mu sprostowała.

– Musimy się do niej dostać! – oznajmiłam Ance po pokazie, kiedy zaczął się odwrót i zrobiło się totalne zamieszanie.

– Chętnie poznam tę twoją Nicole.

Tylko gdzie jej szukać?, pomyślałam. Na szczęście w tłumie zauważyłam Sabine i Mariana.

Nicole na mój widok omal nie zemdląca.

– Agnieszka! *Oh, Mon Dieu!* Co ty tu robisz? – wykrzyknęła, zobaczywszy mnie za kulisami.

Dotarłam tu dzięki Sabine, która o pokazach mody wiedziała wszystko. Marian gdzieś się kręcił w tle. Przyszedł tu wyłącznie ze względu na córkę.

– Przyjechałam kilka dni temu i od razu trafiam na twój pokaz! Och, Nicole, był niesamowity!

Podszedł do nas ciemnowłosy mężczyzna.

– Poznajcie się. To Mario, a to Agnieszka – przedstawiła nas Nicole.

– A to moja bratowa, Anka – powiedziałam.

Anka skinęła głową.

Nicole przez chwilę przetwarzała dane.

– Czy dobrze rozumiałam? Bratowa?

– Dobrze rozumiałaś. Nie wiesz, ale mam brata. A nawet dwóch. I męża. – Najlepsze zostawiłam na koniec.

Anka nic nie rozumiała. Nieważne, wytłumaczę jej wszystko później.

– Chyba musimy się spotkać w jakiejś w knajpce – powiedziała Nicole.

– Jeśli znajdziesz czas...

– Dla ciebie zawsze. Może jutro, w Le Buffet? Jak za dawnych czasów?

– Co wieczór jadamy tam kolację.

– Och, to wspaniale. Możemy do was dołączyć z Mario?

– Jasne, ale nas jest cała zgraja – uprzedziłam.

Nicole wlepiła we mnie wzrok. Jej jasne spojrzenie wcale się nie zmieniło. Poczułam, jakby przeszył mnie laser.

– W takim razie zestawimy stoliki – powiedziała radośnie.

– Gratuluję pokazu. Był fantastyczny.

– A widziałas Legranda?

– Widziałam, jak ucieka.

– Boi się konkurencji. – Pokiwała głową Nicole.

Kiedyś takie skinienie głową sprawiało, że świat tonął w burzy jej rudych loków... Dziś, choć z krótkimi włosami, też była piękna. I wciąż mogłaby pozować Botticellemu do *Narodzin Wenus*.

– I słusznie.

– Pani pokaz był wspaniały – powiedziała Anka.

Przetłumaczyłam natychmiast.

– *Merci* – podziękowała Nicole. – Ale nie żadna „pani”. No i do jutra. W Le Buffet? Będę tam z Mario o ósmej – oznajmiła. – Pasuje wam?

– Jasne! – odparłam szczęśliwa.

– Och, Agnieszka... Tak za tobą tęskniłam! – Przytuliła mnie mocno.

– Mamy sobie wiele do opowiedzenia – powiedziałam, gdy się od siebie odkleiłyśmy.

– Wybacz, ale muszę teraz pójść dopilnować moich modelek. I w ogóle.

– Rozumiem. Zatem do jutra!

Wyszłyśmy z Anką z Galerii Lafayette lekko odurzone. Ani ona, ani ja, nigdy nie bywałyśmy na podobnych imprezach. Szłyśmy nieśpiesznie w kierunku metra, rozmawiając o tym, co widziałyśmy przed chwilą.

– Te kobiety były naprawdę atrakcyjne – mówiła Anka. – Biegały po wybiegu tak lekko i zgrabnie... Kto by pomyślał?

– Tak czy inaczej Nicole miesza w modowym świecie, więc nienawidzą jej wszyscy promujący standard, czyli ciuchy dla chudzielców. Zaczęła tę kruczającą kilka lat temu we Włoszech, bo Włoszki to nie zawsze chude patyki. No i zaczęło się. Napadło na nią całe stado projektantów, którzy wymagają od modelek rozmiaru 34. Dziewczeta się głodzą, czasami padają z wycieńczenia na wybiegu. A Nicole ma rozum i wie, że ciuchy kupują przede wszystkim normalne kobiety.

– Niesamowita dziewczyna!

Doszłyśmy do metra.

– Chcesz wracać do hotelu? – zapytałam.

– Wcale. Nie pali mi się, żeby dołączyć do naszych zblazowanych samców.

Ta trafna uwaga ubawiła mnie serdecznie.

– W takim razie zapraszam cię na sangrię w moim ulubionym lokaliku na Montmartrze. Idziemy?

– Z miłą chęcią.

Siedziałyśmy na wysokich stołkach przy barze i opróżniałyśmy drugi już pucharek kolorowego napitku. Anka rozgadała się na dobre.

– Tu nie warto spać! – przekrzykiwała głośną muzykę.

Miała rację. Paryż dawał nocą turbodoładowanie.

– Ciekawe, co teraz robią chłopcy? – zagadnęłam z lekkim sarkazmem.

– Piją piwo w hotelu – stwierdziła moja bratowa, śmiejąc się jak wariatka.

Ja też się śmiałam. Z ich głupoty. Mogli z nami pojechać i łyknąć kawałek prawdziwego paryskiego życia za friko, ale nie.

Woleli niemieckie piwo.

– Zagadnęłam cię kiedyś... Może czas, żebyś opowiedziała mi o tym Marco? – wypaliła znienacka Anka.

Westchnęłam.

– Sorry, jeśli nie chcesz... – dodała, widząc moje wahanie.

– Nie, nie. To żadna tajemnica. Ale ten lokal...

– Przywodzi wspomnienia, czy tak? – Domyśliła się.

W sumie to nawet dobrze, że zrobiliśmy sobie babski wieczór. Przy facetach nie zbliżyłybyśmy się tak bardzo.

Rozejrzałam się. Lokalik nie zmienił się od mojej pierwszej wizyty. Kiedy zaciągnął mnie tu Marco.

– Wciąż za nim tęsknię – wyznałam.

Anka nie wyglądała na zdziwioną. Czekwała na całą historię.

Więc jej opowiedziałam...

Kolejne dwa drinki sprawiły, że w końcu z zalem podjęliśmy próbę powrotu do hotelu tanecznym krokiem. Było mi lżej na sercu i jakoś weselej. Anka chyba mnie rozumie?, pomyślałam. Też jest kobietą.

– I nie zamierzasz go odszukać? – zapytała, gdy dochodziłyśmy do naszej uliczki.

– Szukałam.

– Kiedy? Przecież nie odstępujemy cię na krok! No chyba że...

Pokiwałam głową.

– To on tam teraz mieszka? W tym ślicznym La Baule?

– Nie spotkałam go, bo akurat wypłynął jachtem.

– Ma własny jacht? – gwizdnęła Anka.

– Nie, pływa jako skipper. Taki żeglarz do wynajęcia. I mieszka u przyjaciół.

– Ale chyba zostawiłaś mu wiadomość, że jesteś w Paryżu? Przekazą mu, tak?

Moja mina nie pozostawiała złudzeń.

– Nie zostawiłaś? – Anka nie dowierzała.

– Nie wprost. A co ty byś zrobiła na moim miejscu?

Spojrzałam na nią już w progu hotelu. Musiała zauważyć wilgotne oczy.

– Nie wiem! – jęknęła.

W drodze do windy objęła mnie ramieniem.

Dyżurujący w recepcji niejaki Jacques przysypiał nad gazetą z nagą kobietą na okładce. Nawet na nas nie spojrzał.

Najmniejsza winda świata zawiozła nas na szóste piętro.

Było tak, jak się spodziewałyśmy – podpici panowie gapili się bez zrozumienia na jakiś film w telewizorze wiszącym wysoko na ścianie. Dodatkowa atrakcja w postaci telewizji była przypisana wyłącznie apartamentowi dla nowożeńców. Dla mnie oznaczało to tyle, że każde przejście pod zawieszonym u sufitu odbiornikiem powodowało przyływ adrenaliny i obawę, że to ustrojstwo spadnie mi na głowę. Dobrze, że nie wisiał nad łóżkiem.

Musieli mieć nieźle w czubie, bo nawet nie zapytali, gdzie byliśmy tak długo. Po podłodze walały się pogniecione puszki po piwie, z popielniczki wysypywały się niedopałki na małżeńskie łóżko. Artur, oparty na poduchach, podskakiwał radośnie przy każdym gągu na ekranie, moi bracia równie radośnie pokrzykiwali.

W telewizji leciał stary film z Louisem de Funèsem. Nawet go rozpoznałam: *Skrzydeltko czy nóżka?* De Funès grał w nim inspektora francuskiego sanepidu, chadzającego po restauracjach incognito i noszącego pod marynarką próbówki.

Anka potrząsnęła Adamem.

– W Polsce też mamy telewizor – powiedziała. – A tu szkoda czasu. Żałujcie, że nie poszliście z nami na ten pokaz.

– Cisza! – wrzasnął Artur. – Dajcie nam pooglądać! Jest jeszcze piwo?

Waldek, prawdopodobnie odpowiedzialny za dostawy, powiódł po tym bajzlu mętym wzrokiem.

– Jest druga w nocy! – krzyknęłam.

– Siadajcie i zamknijcie buzie, bo nie słychać dialogów – warknął mój mąż.

– Przecież to po francusku!

– Znamy ten film na pamięć, więc wiemy, co mówią! – Dobił mnie Adam.

Złapałam za kabel, żeby wyciągnąć wtyczkę z gniazdka, ale pomyślałam, że nie warto.

- Chodźmy do mnie – zaproponowała Anka.
- Nie, dzięki. Chcę się położyć.
- To musisz ich wypędzić. Adam, do diabła, marsz ze mną do pokoju!
- Jeszcze tylko chwilka! Idź, ja zaraz...
- Kładź się, Anka. I dzięki za dzisiejszy wieczór – powiedziałam.

Anka poszła do siebie; usłyszałam, jak otwiera drzwi. A ja? Nawet nie miałam na czym usiąść, o pójściu do łóżka nie wspominając.

Chwila namysłu i już byłam w łazience, poprawiałam włosy i makijaż. Odświeżyłam się i po cichutku zbiegłam po kręconych schodach.

Mojego wyjścia nikt nie zauważył.

Ulica pachniała ciepłym, letnim deszczem. Musiał spaść przed chwilą. Była prawie trzecia, ale Paryż bawił się w najlepsze. Tuż za rogiem tętniła muzyka z pobliskiej kawiarenki, w której ostatnio widziałam faceta od hondy Marco. Nie, nie zamierzałam go śledzić ani nawet szukać. Wysłałam na samotny spacer, bo po stokroć wolałam się powłóczyć, niż dusić się w ciasnym pokoju z trzema facetami przedkładającymi telewizor i piwo nad zwiedzanie miasta. Na myśl, że to moja podróż poślubna roześmiałam się głośno. Mogłam przewidzieć, że tak będzie! Ciągnięcie ze sobą rodziny okazało się idiotycznym pomysłem. Jeszcze niedawno lubiłam zwariowane pomysły Artura, a nawet dzięki temu, że był właśnie taki lekko pokręcony, zdecydowałam się na wspólne życie. Ale czym innym są ekscesy w szarej komunie, a czym innym picie piwa w mieście, gdzie tyle jest innych atrakcji! Piwo mógł sobie pić w domu, oglądać film z de Funèsem też, w dodatku z lektorem, ale tutaj? Czy nie powinien pójść ze mną na pokaz Nicole? Albo na wieczorny spacer po Montmartrze?

Na ławce opodal maleńkiej fontanny siedziało kilka postaci. Kłoszardzi? Podeszłam bliżej. Chyba tak. Urzędowali tu często, popijając tanie wino. Aż mnie korciło, żeby się do nich przysiąść.

Było ich troje, dwaj mężczyźni i kobieta. Śmiali się, rozlewając wino do papierowych kubków. Usłyszałem fragment rozmowy.

- Ech, Giselle, na pewno nie masz szluga?
- Szukam, ale chyba już nie. *Merde!*
- A ty, Księżę?

Gość o ksywie Księżę kiwnął głową. Na prawdziwego księcia raczej nie wyglądał. Wszyscy troje wydawali się swojscy i niegroźni. Przypomniałam sobie o noszonej w torebce paczce gitanów na szczególne okazje.

– *Les cigarettes?* – zapytałam, wyciągając w ich kierunku dłoń z otwartą paczką supermocnych fajek. Gitany dawały mózgowi takiego kopa, że od razu, zamiast prozą, mówiło się wierszem.

- Chętnie. – Zobaczyłam troje wyciągniętych rąk.
- Mogę się na chwilę do was przysiąść? – zagadnęłam nieśmiało obdarowanych.
- Ależ jasne, panienko – powiedział ten drugi facet.

Ścisnęli się i zrobili miejsce.

- *Merci* – podziękowałam i też zapaliłam.

Ręce mi drżały, ale tylko przez kilka sekund. Zaciągnęłam się dymkiem, spojrzałam w górę i poczułam, że znów jestem tam, gdzie trzeba. W Paryżu, pod granatowym niebem, na ławce, na placu, który nie raz i nie dwa wydeptywały moje nogi.

Kłoszardzi palili w milczeniu, a ja upajałam się chwilą. Wspominałam Napoleona, Ewkę i Marco, który ratował mnie po upadku na nierównym paryskim bruku. Gdyby paryskie ławeczki umiały mówić...

Ciszę przerwał Księżę.

– Dziękujemy. Bardzo nam tego dymka brakowało. Chce pani łyk? – Wyciągnął w moją stronę butelkę.

Był chyba dość młody, choć w trudnym do określenia wieku, bo długie włosy zakrywały mu twarz. Ale jego głos brzmiał dziwnie znajomo. Jakbym już gdzieś go słyszała...



– Dzięki, ale dziś już swoje wypiałam – odpowiedziałam grzecznie. – Ale jeśli pozwolicie mi trochę z wami posiedzieć, będę wdzięczna.

– Ławka do nas nie należy – wymamrotał drugi, nieco starszy, ukryty za brodą i wąsami, które skutecznie maskowały wiek.

Kobieta miała rude włosy i też nie wyglądała na staruszkę. W niebieskawym świetle pobliskiej latarenki trudno było dojrzeć cokolwiek.

– Może pani tu siedzieć, ile pani chce. – Ponownie odezwał się Książę.

Dopaliłam gitana i postanowiłam uwolnić ich od swego towarzystwa, lecz coś mnie powstrzymało. Ten głos. Tak podobny...

– Dziękuję. Lubię to miejsce.

– Naprawdę?

– Przed laty często właśnie tutaj rozmawiałam z przyjacielem. Bardzo mi go brakuje... – oznajmiłam spontanicznie.

– Och, rozumiem. Ale nie mieszka pani w Paryżu na stałe?

– Przecież słyszać, że kaleczę język. – Uśmiechnęłam się. – Nie, nie mieszkam.

Przyjeżdżam co jakiś czas. A teraz jestem tu po raz ostatni.

Spojrzałam w niebo. Ponad ogromnym kasztanowcem przewijały się sierpniowe gwiazdy. Tak samo jak wtedy gdy wraz z Ewką rozmawialiśmy z Napoleonem przed jego śmiercią.

– Kim był ten pani przyjaciel, jeśli to nie tajemnica? – zapytał Książę.

– Kloszardem.

– Takim obszarpańcem jak my?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie chciałam nikogo urazić.

– Nie, nie był obszarpańcem. Był mądrym i bardzo interesującym człowiekiem. Miał ksywkę Napoleon.

Zapadła cisza. Książę odstawił butelkę. Szkło spotkało się z kostką brukową, wydając głuchy odgłos.

– Może go znaliście? – spytałam.

– Jeszcze jak! – parsknął śmiechem Książę. I poprosił o kolejnego gitana.

Poczęstowałam go.

– Więc znaliście Napoleona?

Książę zapalił. Płomyk zapałki oświetlił jego twarz. Ułamek sekundy wystarczył, aby przeszył mnie dreszcz.

Wiedziałam już, co usłyszę za chwilę. Nie pomyliłam się.

– Napoleon był moim ojcem – odparł młody człowiek, podobny do Pierre'a Fourcheta jak dwie krople wody.

W innych okolicznościach pomyślałabym, że stroi sobie żarty, ale teraz zaschło mi w gardle z wrażenia.

– Może jednak pociągnie pani łyk? – zaproponowała rudowłosa.

– Poproszę.

Kobieta bez słowa nalała wina do jednorazowego kubka. Uff, przynajmniej nie muszę pić z tej samej butelki! Spróbowałam, było słodkie. Nie cierpię słodkiego.

Milczałam.

Najogłędniej rzecz ujmując, byłam w szoku.

To przecież niemożliwe! Napoleon nie żyje od lat. A Sophie, jego żona jeszcze dłużej. Odeszła z ich jedynym dzieckiem, którego nie zdążyła urodzić... Nie, z tym synem to jakieś oszustwo! Przetwarzałam w głowie dane na wszelkie sposoby.

– Jeśli znała pani mojego ojca, wie pani, że nie miał dzieci ze swoją żoną Sophie. – Ponownie odezwał się Książę, a ja zadrżałam. – Mnie spłodził wcześniej. Zanim jeszcze ją poznał.

Miałam wrażenie, że to sen. Ale przeczyły temu chłodny wiatr, zwiastujący zmianę aury, i gęsia skórka na moich ramionach.

– Nie wiedział, że ma syna – dodał szybko. Głos mu się łamał.

Nie wytrzymałam.

– Przecież zawsze marzył o dziecku!

– Ale nie z prostytutką.

Nie miałam ochoty na ciąg dalszy. Mieszkałam w mansardzie po Napoleonie, śledziłam jego życie, poznawałam listy, aż odkryłam tajemnicę jego śmierci. Ale nigdzie nie znalazłam nawet najmniejszej wzmianki o synu!

– Matka oddała mnie do sierocińca, bo nie miała czasu się mną zajmować. Odwiedziła mnie kilka razy. Nawet pamiętam jej perfumy. Do dziś czuję ten mdląco-słodki zapach jej odwiedzin... Ostatni raz, kiedy miałem pięć lat, a potem już nigdy. Adoptowali mnie nowi rodzice, jeśli tak można ich nazwać. Byli całkiem w porządku i bardzo się starali. Miałem własny pokój, książki, zabawki, nawet autko na baterie, ale wciąż chodził za mną zapach rodzonej matki. Skończyłem szkołę, poszedłem na studia. Domyśla się pani, co studiowałem?

Bałam się zgadywać.

– Archeologię! Tak, wdałem się w ojca, nie mając pojęcia, kim był! Studiowałem pieprzoną archeologię! Aż któregoś dnia wpadłem na niego w metrze. Podniosłem upuszczoną książkę i spojrzałem mu w oczy. I wie pani co? Ujrzałem swoją twarz za kilkanaście lat. Byliśmy tak podobni, że nie mogłem nie zapytać...

Myślałam, że za chwilę spadnę z ławki. Pociągnęłam kolejny łyk słodkiego świństwa.

– Pierre, daruj sobie – upomniała go nagle ruda. Dopiero teraz zauważyłam ładną i młodą buzię.

– A co mi szkodzi? On i tak już nie żyje – obruszył się Książę, o prawdziwym imieniu Pierre.

Więc matka dała mu je po swoim kochanku Pierze Fourchecie, zwanym Napoleonem.

– I jak zareagował? – spytałam.

– Naprawdę chce pani wiedzieć?

Skinęłam twierdząco głową.

– Jakby zobaczył ducha. Był jak rażony piorunem. Zląkł się i wysiadł na najbliższej stacji. Ale ja już wiedziałem, co chciałem wiedzieć. Tak mógł się zachować tylko mój ojciec.

– Jeśli pan sobie nie życzy, nie musi pan opowiadać – powiedziałam, wstając.

Chyba jeszcze nigdy żadna paryska ławeczka nie miała takiej siły rażenia.

– Pana ojciec był mi bliski. Był moim przyjacielem. Trzy lata temu załatwiałam tu sprawy związane z jego testamentem. Myślałam, że Napoleon był sam jak palec, a teraz dowiaduję się, że miał syna. To dla mnie szok, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Bo może to nie ja powinnam przeglądać jego rzeczy, ale pan!

Książę wykonał gest, na który w głębi duszy liczyłam. Zatrzymał mnie delikatnym ruchem dłoni.

– Ależ ja niczego po nim nie chciałem! I nie chcę. Dostałem od niego jedną jedyną rzecz, kiedy wreszcie przyznał, że jestem jego dzieckiem. Ale to już całkiem inna opowieść. Trochę potrwało, zanim spotkaliśmy się ponownie...

Zaciekawiał mnie.

– Zdjęcia i zapiski z wyprawy do Egiptu – wyjaśnił Książę.

– Odręczne? – próbowałam zgadywać.  
– Owszem. Pewnie sobie myślał, że w ten sposób wynagrodzi mi kilkanaście lat życia bez rodziców.

- Kiedy to było?
- Kilka dni przed jego śmiercią.
- Wybaczył mu pan?
- To temat na osobną rozmowę...
- Robi się jasno – stwierdziłam, zerknąwszy w niebo.
- Rzeczywiście...
- Pierre... – spytałam nieśmiało. – Możemy się spotkać jutro? Tutaj?
- A przyniesie pani papierosy?
- Nawet wino przyniosę.
- W takim razie jutro po północy.
- Na pewno?
- Słowo kloszarda! – roześmiał się Książę, młodsza wersja Napoleona.

Artur leżał w poprzek łóżka ubrany kompletnie i nieprzytomny. Adama i Waldka nie było, choć wszędzie walały się ślady ich bytności, w postaci pogniecionych puszek po piwie. Umyłam zęby, zmyłam makijaż i wyjrzałam przez okno. Wieża Eiffla już spała. Na niebie pojawiły się pierwsze poranne chmurki. Wiał lekki wiatr na zmianę pogody.

Przepchnęłam Artura na jego część materaca i otuliłam się cienką francuską kołdrą. W zasypianiu towarzyszył mi Pierre zwany Księciem, siedzący na tej samej ławce, na której kiedyś siadywał jego ojciec. Te same oczy, ten sam głos.

Czy to się dzieje naprawdę?

## 16

Śniadanie czekało na nas wyłącznie dzięki uprzejmości Clementine. Było już po czasie, ale po starej znajomości zostawiła dla nas nakryty stolik. Kiedy zagroziłam, że tym razem nie będzie dostawy do pokoju, zwał się z pościeli nawet Waldek.

Siedzieliśmy w naszym kącie pod sztuczną palmą w nastroju nie do pozazdroszczenia.

– Chcecie dziś zwiedzać Paryż czy nadal pić piwo w hotelu? – zapytałam rzeczowo przy aromatycznej kawie i maślanych rogalikach.

– Okej, przegięliśmy wczoraj – jęknął Adam. – Chcemy zwiedzać.

– Słuszna decyzja. Popijecie sobie w Polsce. To co, Centrum Pompidou? Nowoczesne muzeum nauki i sztuki? A może coś innego? Ja mogę się dostosować, ale muszę wiedzieć co i jak. W razie czego znajdę sobie zajęcie.

– Jasne – powiedział mój mąż.

Żał było na niego patrzeć. Wyglądał, jakby przejechał po nim francuski czołg marki Renault.

Koniec końców nieco po południu pojechaliśmy metrem w kierunku Centrum Pompidou. Supernowoczesny budynek, niczym ostry nóż w miękkie ciasto, wcinął się w starą zabudowę Paryża drastyczną formą. Był z całkiem innej bajki niż jego otoczenie. Ale, choć paryżanie mieli na jego temat sprzeczne odczucia, w niczym nie umniejszał rangi tego, co stało w pobliżu od wieków.

Paryż to miasto, które potrafi łączyć style i epoki. Stare i nowe przeplata się w nim jak wątek z osnową. Efekt jest taki, że wszyscy wzdychają z zachwytu i nie ma mowy o nudzie, bo co chwila jakieś architektoniczne szaleństwo każe zwolnić kroku.

Eklektyzm nad Sekwaną ma swój osobliwy urok.

Podobnie jak Centrum Pompidou.

W pobliskiej fontannie szalały ruchome rzeźby. Żyły własnym życiem, dzięki wodzie i powietrzu.

– Niesamowite! – wykrzyknął Waldek.

Dzisiejszego ranka panowie ledwie dali się dobudzić, ale kiedy dojechaliśmy do dzielnicy Beaubourg, wrócili do żywych i nabrali ochoty na zwiedzanie.

– Pójdę kupić bilety – oznajmiłam.

Nie usłyszeli, zajęci podziwianiem pstrokatego, furczącego i pryskającego wodą mobil art.

Wróciłam z niczym. Zamknięte z powodu remontu!

Na dodatek niebo nad Paryżem pociemniało gwałtownie i lunął gęsty deszcz. Schowaliśmy się pod daszkiem pobliskiej restauracji.

– I co teraz? – zapytała Anka.

– Muzeum sztuki nowoczesnej nie dla nas, przykro mi – powiedziałam. – Ale w pobliżu mamy nieduże muzeum Picassa. Chcecie tam zajrzeć?

– Jasne! – przyklasnął Waldek.

– Jedno małe muzeum nam chyba nie zaszkodzi? – zażartował Artur w swoim stylu.

Ponieważ nie zanosilo się na przejaśnienia, przebiegliśmy kilka uliczek w deszczu i po chwili znaleźliśmy się na muzealnym dziedzińcu. Budynek w porównaniu z Luvrem okazał

się malutki. Idealny, aby przecześć w nim deszcz.

Ale „malutki” może być pojęciem mylącym. Okazało się, że muzeum ma siedem pięter i jeszcze dwa pod ziemią. Całość przypominała ogromną willę wypełnioną płótnami. Oprócz dzieł Picassa było tu sporo innych cennych eksponatów. Nigdy bym nie podejrzewała, że znajdę tutaj obrazy Renoira, Cézanne’a, Degasa czy Matisse’a!

Przechodziliśmy z sali do sali po skrzypiącym zabytkowym parkiecie, oglądając obrazy i rzeźby Picassa, dowody na szaloną wyobraźnię artysty. Natknęliśmy się na jego słynną kozę i od tamtej pory wiem jedno – moim zdaniem był lepszym rzeźbiarzem niż malarzem.

Kiedy po dwóch godzinach spędzonych pośród sztuki wyszliśmy na dziedziniec, znów świeciło słońce.

Było jeszcze wcześnie, a nasza wycieczka żądna wrażeń. Pewnie skończy się na narzekaniu, że chodzimy tyle godzin, że bolą nogi, że doskwiera głód, ale po powrocie do Polski każdą chwilę tej włości będziemy wspominać z sentymentem.

Co do tego nie miałam wątpliwości.

A że znaleźliśmy się w dzielnicy Marais, która fascynowała mnie od dawna, poprowadziłam niczego nieświadomą rodzinę jak na smyczy.

Uliczki były rozkoszne – wąskie, ciche, pełne urokliwych sklepików, galerii sztuki i straganów. Skręciliśmy i nagle weszliśmy w zaułek pełen kosznego dobra. Sprzedawcy, brodaci i pejsaci, w fartuchach do ziemi, wyglądali jak z minionego stulecia. W jednej chwili przenieśliśmy się w dziewiętnastowieczną scenografię, jakby czas zatrzymał się tutaj sto lat temu. Nasze niebieskie dzinsy były absolutnie nie na miejscu.

– Jezu, gdzie my jesteśmy? – zapytała podekscytowana Anka.

– Niesamowite, prawda?

Mijaliśmy właśnie witrynę sklepu z kosznym mięsem, a kawałek dalej kramik z owocami, jakby żywcem wyjęty z powieści Balzaka.

Zauroczeni, pobłądziliśmy jeszcze bez celu, podziwiając drewniane okiennice i szyldy tutejszych sklepików. Bajka skończyła się zniemacka i oto znów znaleźliśmy się wśród eleganckich domów i schludnych placików, na których, o dziwo, prawie nie było turystów. Przypomniałam sobie to miejsce, choć nie potrafiłam go początkowo skojarzyć. Niedaleko mieszkał przecież jeden z ekspertów, który miał ocenić obraz odnaleziony w mieszkaniu po Napoleonie! To tutaj zaciągnął mnie Marian. Jak się nazywał ten staruszek, nie umiałam sobie przypomnieć, ale to było właśnie tutaj, w jednej z tych cichych uliczek.

– Może w końcu coś zjemy? – Wyrwał mnie z zamyślenia głos Artura.

– Umieram z głodu – poparł go Adam.

– Okej, poszukajmy wobec tego jakiejś miłej knajpki – powiedziałam, zwłaszcza że i ja byłam głodna jak wilk.

W okolicy nie było zbyt wielu restauracji, ale dopisało nam szczęście. Mały lokalik za rogiem zapraszał kuszącymi zapachami. Na chodniku czekały na gości wolne stoliki.

Chmury nad nami przerzedziły się, odsłaniając lazurowy błękit.

– Piękne były te uliczki... – powiedziała Anka, sadowiac się na wiklinowym krzeselku.

– Prawda? – przytaknęłam pytająco.

Dla mnie ten spacer był czymś więcej niż zwykłym podziwianiem okolicy. Powróciły wspomnienia ze wspólnej wyprawy z Marianem, gdy niosłam pod pachą dzieło van Gogha. Jednak nie uraczyłam moich bliskich tą historią. Złapałam menu w obawie, że jeśli zaraz czegoś nie zamówię, zostanę zlinczowana.

Zamówiłam *crocque madame*, tarty i kawę.

Waldek rozsiadł się jak basza i zapalił gitana.

– Ja też chcę. – Wyciągnęła rękę Anka.

Zaczynała się zachowywać podobnie jak ja kilka lat temu. Zwykle nie paliła, ale w Paryżu raz po raz sięgała po dymka.

Na stoliku nie było popielniczki, więc przywołałam kelnera.

– *Le cendrier est sur la terre!* – Wskazał na chodnik.

Popielniczka jest na ziemi.

Skąd ja to znam?

Siedzieliśmy pod parasolami przy niewielkim skwerze w dzielnicy Marais. Niebo jaśniało, czekaliśmy na dania znakomitej francuskiej kuchni, paliliśmy gitany. Czegóż więcej można chcieć od życia?

Była to jedna z tych chwil, które wspomina się na starość. Cudowny moment całkowitej bez troski, sierpniowa aura i zniewalający aromat jedzenia. Kac poszedł w diabły, wcześniejsze spory przestały mieć znaczenie. Znowu byliśmy zgodną rodziną.

Lunch okazał się wyśmienity. Przy kawie pozwoliliśmy sobie posiedzieć tak długo, że kelner trzy razy pytał, co do niej podać. Wstaliśmy niechętnie i równie niechętnie opuściliśmy przytulną restaurację. Kierując się mapą, dotarliśmy do najbliższego metra.

Jednak dzień się jeszcze nie skończył, a każdy dzień w Paryżu należało wykorzystać do cna.

Pospacerowaliśmy zatem po lewym brzegu Sekwany. Anka zatrzymała się przy straganach bukinistów, wiedzona przymusem zakupu. Panowie poszli przodem, aż do Pont des Arts, jedyne drewniane mostu nad rzeką. Dogoniłyśmy ich po chwili. Zadowolona Anka ścisnęła w rękę stary plan Paryża, reprint na pierwszy rzut oka, za który sprzedawca zażądał sto franków, ale dzięki mnie zapłaciła tylko czterdzieści. Zaliczyła kolejną lekcję survivalu w Paryżu: jak nie dać się oszukać sprytnym naciągaczom.

Pod mostem przepływały statki muchy wypełnione głośnymi turystami. Oparty o balustradę Artur przesyłał im pozdrowienia. Waldek robił zdjęcia, a Adam próbował utrwalić widoki w pamięci. Słońce odbijało się w wodzie jak w lustrze, aż raziło w oczy. Powoli nadciągał kolejny, bajkowy paryski wieczór.

Stałam obok i napawałam się chwilą. Trzeba przecież zostawić coś sobie na później, udziierać malutkie, kolorowe wspomnienia na starość.

Nagle przypomniałam sobie, że przecież umówiłam nas na dzisiejszy wieczór z Nicole! Musimy szybko wracać do hotelu!

O planowanym spotkaniu wiedziała wyłącznie Anka, która była ze mną na pokazie mody. Naszym panom oznajmiłam to dopiero teraz.

– A fajna laska ta Nicole? Chętnie poznałbym jakąś miłą paryżankę! – stwierdził coraz bardziej otumaniony miastem Waldek.

– Bardzo fajna, ale nic z tego, braciszku. Ona już ma faceta – wyjaśniłam.

Ledwie ujrzał nas w progu, Kerim od razu przybiegł z butelką wina. Teoretycznie na koszt firmy, choć tak naprawdę po zakrapianej kolacji żadne z nas nie było w stanie dopatrzeć się na rachunku, co jest za co. Mimo to niezmiennie ulegaliśmy magii miejsca, a gospodarz chyba jednak dawał nam jakiś rabat. Anka, z zawodu ekonomistka, nie miała jak dotąd zastrzeżeń. Albo, i to raczej podejrzewałam, na czas wakacji dała sobie spokój z liczeniem czegokolwiek.

Rozsiadliśmy się w naszym stałym kącie przy zestawionych stolikach i zamówiliśmy, jak zwykle *plateau du jour*, czyli danie dnia. Czekaliśmy, wspominając żydowskie sklepiki w dzielnicy Marais. Moi bracia rozgadali się nagle, Artur również. Włóczęga podobała się wszystkim. Może jeszcze nie wszystko stracone? Może urok Paryża zadziała i na nich?

Do Le Buffet weszła Nicole. Podbiegła do nas od razu.

- A gdzie Mario? – zapytałam.
- Musiał niespodziewanie wyjechać do Włoch. Wczoraj zmarła jego babcia.
- Och, tak mi przykro...
- Ale ja jestem. Przedstawisz mnie swojej rodzinie?

Nicole, jak dawniej, natychmiast zjednywała sobie nowych przyjaciół. Adam, Waldek i Artur nie odrywali od niej oczu. Wprost pożerali ją wzrokiem. I dobrze, przynajmniej coś w Paryżu wreszcie poruszyło ich do głębi! A ponieważ nie znali francuskiego, mogłam pozwolić sobie podczas tłumaczenia na dowolną interpretację. Choć, prawdę mówiąc, nie poimprovizowałam sobie, bo Nicole okazała się bardzo powściągliwa.

Zjedliśmy podane pyszności, a potem na stół trafiały wyłącznie kolejne dostawy wina. Nicole opowiadała o swojej drodze do kariery, ja tłumaczyłam, Artur usiłował ją oczarować dociekliwymi pytaniami, ja tłumaczyłam, Waldek milczał, gapiąc się na nią jak na jakieś bóstwo. Tego tłumaczyć nie musiałam.

Przy zdrowych zmysłach pozostawała tylko Anka.

- Twój pokaz był niesamowity – powiedziała.
- I już mam za swoje – odparła Nicole. – W dzisiejszych gazetach co nieco o nim piszą. Że lansuję nadwagę. I że jestem „wybrykiem w świecie prawdziwej mody”.
- Niemożliwe! – wykrzyknęłam oburzona.
- Ale są też recenzje pochlebne.
- I dzięki Bogu! – dodała Anka.
- W sumie wisi mi, co o mnie piszą. Najważniejsze, że mam zamówienia z całej Europy, a nawet ze Stanów!

- Tam jest najwięcej grubasów – wtrącił Artur.
- No właśnie! – Ucieszyła się Nicole. – A to mój target.

W tej samej chwili próg Le Buffet przekroczyła Quasimodo, tym razem przypominająca stracha na wróble. Cała w szarościach, owinięta ażurowym, czarnym szalem, zsuwającym się z krągłych ramion.

- *Les cigarettes?* – warknęła i łypnęła na nas wzrokiem godnym prokuratora.
- Owszem – powiedziałam, z trudem usiłując powstrzymać się od śmiechu. – Paczkę cameli poproszę.
- Tylko jedną?
- Okej, dwie. Ale z rabatem. – Podkusiło mnie.
- Rabat? A co to takiego? O tej porze tylko ja dostarczam papierosy! Nie ma mowy o żadnym rabacie!

Skuliłam się w sobie. Przegrałam. Zapłaciłam, ile chciała. Odzyskaliśmy wolność.

- Jezu, ona jest gorsza niż ruski czołg! – jęknął Waldek, gdy wreszcie Quasimodo dała nam spokój.
- To zwykła naciągaczka – śmiała się Nicole. – Ale przynajmniej uczciwa.
- Uczciwa naciągaczka? – zdumiał się Adam.

Waldek parsknął śmiechem.

Paliliśmy camele od Quasimodo i piliśmy wino z piwniczki naszego gospodarza. Gdy Nicole się pożegnała, była już prawie północ. Wszyscy zdążyli ją polubić. Podcięty Waldek chciał się nawet umówić na randkę, ale w porę kopnęłam go pod stołem w kostkę.

Nicole wyszła, a przy naszym stoliku zrobiło się dziwnie pusto.

Chryste Panie, a moje nocne spotkanie z kloszardami?

- Płacimy i wracamy do hotelu! – zakomenderowałam.

- A ja mam ochotę na jeszcze jedną butelkę wina – wymamrotał podпиты Adam.
- Niech ci będzie.

Przywołałam kelnera i zamówiłam jeszcze wino dla wszystkich. I dodatkowo butelkę na wynos, pomna mojej wczorajszej deklaracji.

Raz po raz zerkałam na zegarek. Gdy tylko kelner doniósł zamówiony trunek, poderwałam się na równe nogi.

- A ty dokąd? – Złapał mnie za rękę Artur, sądząc – i słusznie! – że coś kombinuję.
- Mam spotkanie ze znajomymi.

Wszyscy spojrzeli na mnie jak na wariatkę.

- Z kim?
- Później wam opowiem. Jak chcecie, możecie tu siedzieć i pić, ale ja spadam.
- Idę z tobą. – Podniósł się mój mąż.
- Nie! Muszę iść sama. Mógłbyś mieć do mnie choć trochę zaufania.

Chwyciłam butelkę i znikłam.

Powietrze po ulewie wypełniało płuca kojącą świeżością. Było już grubo po północy, ale miałam nadzieję, że zastanę moich nowych znajomych na ławeczce. Pięłam się pod górę, ociężała po sutej kolacji, dziwnie przekonana, że mój wysiłek ma sens.

Doszłam do placyku i poczułam ogromny zawód. Z samotnej fontanny kapiała woda, a ławeczka ziała pustką.

*Merde!*, zakląłam w duchu. Spóźniłam się! Być może już nigdy nie spotkam ani Księcia, ani jego kumpli. A może on nie jest synem Napoleona? A co, jeśli paru kloszardów zmówiło się, żeby zrobić mi kawał? Niemożliwe, przecież nie wiedzieli, kim jestem. I po co mieliby mnie zwodzić? A podobieństwo Księcia do Napoleona? Uderzyło mnie, kiedy jeszcze nie wiedziałam, obok kogo usiadłam.

Zzajana po biegu, padłam na ławce. Niebo nad Paryżem rozświetlały tysiące gwiazd.

Co ja właściwie tutaj robię?, zastanowiłam się. Po co mi te tajemnice? Czy nie powinnam zwyczajnie zwiedzać Paryża, cieszyć się dobrym jedzeniem, pogodzić się z mężem? Tak byłoby najprościej i zapewne najbezpieczniej. Ale ja nie mogłam! W Paryżu zawsze dopadał mnie przedziwny przymus odkrywania prawdy...

Otworzyłam butelkę i pociągnęłam z gwinta. Zapewne wyglądałam jak kloszardka. Może cały ten Książę był jedynie mirażem? Fatamorgana, snem? Uszczypnęłam się, aby sprawdzić, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

Na skraju placyku stała budka telefoniczna.

Ewka! Muszę do niej zadzwonić!

Zegarek wskazywał pół do pierwszej w nocy. W Stanach dopiero wieczór, powinna być w domu.

Na szczęście miałam w kieszeni kilka monet. Wybrałam długi numer do Ameryki. Przerwany sygnał i głos Ewki w słuchawce.

- Ewka? – Upewniłam się.
- Aga? – Usłyszałam po drugiej stronie.
- A któż by inny! Nie uwierzysz! Jestem na naszym ukochanym Montmartrze i czekam na spotkanie z synem starego przyjaciela. Zgadniesz, o kogo chodzi?
- Alex, do diabła, ścis� ten telewizor! – krzyknęła Ewka. – Co mówiłaś?

Powtórzyłam.

– Aguś, nie żartuj sobie. Właśnie leci mecz NBA i zanosi się na świetny finał. Więc jesteś w Paryżu?

- A niby gdzie? Siedzę na naszej dawnej ławeczce.



– Zaczekaj. Tu jest za głośno, przejdę do kuchni. Nie rozłączaj się!  
– Okej! – wyśpiewałam do słuchawki, wrzucając kolejną monetę. Zostały mi tylko dwie jednofrankówki.

– No, jestem. Mów do rzeczy.

– Wczoraj poznałam syna Napoleona. Ma ksywkę Książę i też włóczy się po Montmartrze.

– Piłaś?

– Tak. Ale wiem, co mówię.

– Aga, wiem, że zwykle masz rację. Ostatnio też miałaś, choć na początku nie wierzyłam. Ale to, o czym opowiadasz, zakrawa na szaleństwo!

– Gdybyś go zobaczyła! To istny klon własnego ojca! I głos ten sam. A poza tym ma jakiś notatnik Napoleona z Egiptu. Wciąż myślisz, że oszalałam?

Usłyszałam westchnienie Ewki. W sąsiednim pokoju Alex oglądał mecz. Żyją sobie w tej Ameryce spokojnie, a ja ten spokój ciągle burzę. Poczulałam się jak intruz.

– A jeśli uwierzę, to co? Czego ode mnie oczekujesz?

Słuszne pytanie.

– Niczego. Chciałam się tylko podzielić odkryciem...

Automat zażądał doładowania. Wrzuciłam ostatnią monetę.

– Wiesz, że tęsknię za Paryżem okrutnie... – szepnęła Ewka nieco cieplejszym głosem.

– Ale nie mogę teraz wyjechać.

– Wiem, Ewcia, wiem. Muszę kończyć, bo pożarło mi ostatnią monetę. Trzymaj się i pozdrów Alexa.

– Zadzwoń, jak będziesz wiedzieć coś więcej! – krzyknęła jeszcze.

Połączenie zostało przerwane.

Wróciłam na pustą ławeczkę przy fontannie. Najwyraźniej coś mi się ubzdurało, pomyślałam. Omiotłam spojrzeniem niebo i ciemne kamienice dokoła. Wypiłam dwa łyki wina i zdecydowałam się wracać do hotelu.

I wtedy się pojawił.

Przestraszył mnie tak, że niemal spadłam z ławki.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, wynurzając się z mroku.

Był sam.

– A już myślałam, że mi się pan przyśnił – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Moja przyjaciółka miała wypadek. Musiałem ją zawieźć do szpitala.

– Coś poważnego?

– Raczej nie. Upadła na schodach i zwichnęła nogę. Trochę potrwało, zanim założyli jej gips. Pędziłem tu jak wariat.

– Może powinien pan z nią zostać?

– Jest pod dobrą opieką.

– To pana dziewczyna? – zapytałam.

– Można tak powiedzieć. O, widzę, że pani nie żartowała? – Wskazał na butelkę.

– W kwestiach związanych z moim przyjacielem Napoleonem nie jestem skłonna do żartów – odparłam cierpko.

– Rozumiem.

– Usiądziemy? – Wskazałam na pustą ławkę.

– Po to tutaj pędziłem.

Przyjrzałam mu się uważnie.

Dziś nie wyglądał jak kloszard. Miał białą koszulę i całkiem porządne spodnie. I był

ogolony, co i tak nie pozbawiło go podobieństwa do Napoleona.

Usiedliśmy na dwóch biegunach ławeczki. Podałam mu napoczętą butelkę, pękatą, zakupioną z myślą o kilku osobach. A co tam, na okoliczność tak niezwykłego spotkania warto było zainwestować.

Książę łyknął wina.

– Nawet niezłe. A pani?

– Ja już dość dziś wypiałam. Dzięki.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Rozumiem, że chciałaby pani poznać moją historię? I dowiedzieć się czegoś o moim ojcu?

– Bardzo tego pragnę – odparłam szczerze.

– Dobrze. Opowiem. Na pewno nie ma pani ochoty na wino? – Wyciągnął z kieszeni plastikowy kubek.

– No dobrze, ale tylko mały łyk.

Zapaliliśmy po gitanie. Gdy pierwsze kółka dymu poszły w górę, Książę zaczął mówić.

– Nienawidziłem go – zaczął. – Nienawidziłem mojego ojca. Nic o nim nie wiedziałem, ale go nienawidziłem. Przez całe siedemnaście lat! Wyobraża to pani sobie?

W odpowiedzi pokręciłam głową. Nie, nie wyobrażałam sobie.

– Wiedziałem, że jestem adoptowanym dzieckiem. Moi przybrani rodzice powiedzieli mi o tym, kiedy skończyłem osiem lat. Zapewne uznali, że ośmiolatek jest dostatecznie dorosły, aby zaakceptować ten stan rzeczy. *Merde!* Nie byłem! Nie byłbym gotów, nawet gdybym był kilka lat starszy! Oni nie byli źli, nie, ale do mnie dotarło, że to nie moi prawdziwi starzy. Zacząłem snuć domysły. Dopadały mnie natrętne myśli, w szkole nie potrafiłem się skupić. Na lekcjach, zamiast słuchać nauczycielki, myślałem o biologicznych rodzicach. W mojej duszy kotłowały się wściekłość, żal i niemoc. I tak przez lata.

Przybrani rodzice załatwili mi wizyty u psychologa. Nie chciałem tam chodzić, bo wkurzały mnie te wszystkie pytania i to wdzieranie się w moje ja. Ale chyba w końcu pomogło. Skończyłem siedemnaście lat i postanowiłem, że dam sobie z tym radę. Zdałem egzamin na studia. Już pani wie, na archeologię. Pieprzone geny! Na drugim roku poznałem Giselle, tę, która właśnie zwichnęła nogę. Ona nie studiuje, nie ma domu ani rodziny. Wpadliśmy na siebie na schodach na Montmartrze któregoś wieczoru i tak już zostało. Chodziłem na uczelnię, spotykałem się z Giselle, ale coraz częściej lądowałem na ulicy. Najwyraźniej to też odziedziczyłem...

O spotkaniu w metrze też pani wie. Później było drugie, też przypadkowe. Podszedłem i stanąłem z nim twarzą w twarz, on też mnie poznał. Poblądł i zaproponował, żebyśmy wysiedli i poszli porozmawiać.

Wysiedliśmy na Concorde.

Wyszliśmy na plac Zgody w milczeniu. Miejsce pasowało do sytuacji. On nie bardzo wiedział, co zaproponować, bo wokół były same drogie knajpy. Poszliśmy więc na lewy brzeg Sekwany, przez most Aleksandra, i usiedliśmy w małej, przytulnej kafejce. Pamiętam, że zanosilo się na deszcz. Wiał dość silny wiatr i śmieci na ulicy wirowały, zupełnie jak myśli w mojej głowie. Tym razem nie uciekł i nie powiedział, że to pomyłka, że czepiam się go bez powodu...

Książę zamilkł i spojrzał na rozgwieżdżone niebo nad Montmartre'em. Jaskrawy księżyc przysłoniła mała chmurka i placyk pociemniał.

Pierre pociągnął spory łyk z butelki i potrząsnął gniewnie głową. Miał ciemne, lekko kręcone włosy.

– Zaklinał się, że nie wiedział o moim istnieniu. Że tylko raz poszedł na plac Clichy, gdzie pracowała moja matka. Mówił, że tamtego dnia był przygnębiony, szukał pociechy i trafił akurat na nią. Jasne! Co za ironia losu! Okazałem się owocem niemądrego wyskoku profesora Sorbony! Ale przyznał się, pamiętał nawet datę. Pasowała. Wszystko pasowało. Nasze podobieństwo, dzień mojego poczęcia i moich urodzin.

– Kiedy to było? To znaczy: kiedy się spotkaliście?

– Mówiłem już. Krótco przed jego śmiercią.

– Byłam wtedy w Paryżu.

– Zabawne, jak popieprzone są ludzkie losy... Przeplatają się ze sobą jak przypadkowe nitki. A może jednak ktoś tym steruje i od początku robi nas w konia?

Prawdę mówiąc, też odnosiłam takie wrażenie.

– Spotkaliście się jeszcze? – zapytałam i wyciągnęłam z torebki paczkę cameli mocno przepłaconych u Quasimodo.

– Jeden raz. Zaprosił mnie do siebie.

– Do mansardy, którą w zostawił w spadku mnie i mojej przyjaciółce...

– Nie miałem o tym pojęcia. O waszym istnieniu również. On niewiele mówił o sobie.

Byłem tam zresztą tylko raz. Pokazał mi ulubione książki dotyczące archeologii i niemal padł z wrażenia na wieść, co studiuję. Już od kilku lat nie pracował na uczelni, więc skąd mógł wiedzieć? Zaparzył kawę, taką okropną, mocną siekierę, i usiedliśmy w starych fotelach. Zupełnie jak ojciec z synem. Tego wieczoru miałem w planach kolację z Giselle, ale tak się z nim zagadałem, że nie zdążyłem i musiałem ją później przeproszać. Nie przewidziałem, że pozostanę u niego aż tak długo.

Wyobraziłam sobie mansardę Napoleona, którą pamiętałam w najdrobniejszych szczegółach. I tę jego kawę, piłą zapewne w tych samych kubkach. Jakie to niesprawiedliwe, że Pierre Fourchet musiał umrzeć wkrótce po odnalezieniu jedynego syna! Strata żony przygnębiła go do tego stopnia, że nawet policja myślała, iż popełnił samobójstwo. Teraz już wiedziałam – nie mógłby tego zrobić. Nie wtedy, kiedy znowu miał dla kogo żyć.

– O czym rozmawialiście? – zapytałam.

– O Egipcie, o mojej nienarodzonej przyrodniej siostrze... O wszystkim. Chyba miał nadzieję na coś w rodzaju spowiedzi. Nie kojarzyłem Sophie, choć na uczelni wisiała jej fotka w korytarzu. Załapałem dopiero, kiedy mi o niej opowiedział.

– Wspomniał pan, że...

– Proszę mi mówić Pierre.

– Wspomniałeś, Pierre, że ojciec dał ci jakiś zeszyt z zapiskami?

– Tak. Kiedy już wychodziłem, grubo po północy, wyciągnął ten zeszyt zza książek na półce. „Weź to, synu. I wybac, że nie było mnie przy tobie przez te wszystkie lata. Weź ten kawałek mnie, niech przyniesie ci szczęście”, powiedział.

Książkę zamilkł.

Bałam się otworzyć usta.

– Pytał, czy mam gdzie mieszkać i czy mógłby mi w czymkolwiek pomóc. Odparłem, że mam własny kąt i pieniądze. Przybrani rodzice załatwili mi mieszkanie i sfinansowali studia.

– I to był ten ostatni raz?

– Tak.

– Rozumiem...

– Nic pani nie rozumie! Kilka dni później, gdy przyszedłem, przed domem stał policyjny samochód. Już miałem wejść, pomimo zakazu, do kamienicy, ale usłyszałem, jak jeden glina wymówił głośno jego nazwisko. Oraz że ktoś utonął w rzece. Spojrzałem w górę, zobaczyłem

zapalone wszystkie światła i pojąłem, że go już nie ma. A naprawdę miałem nadzieję, że porozmawiamy. Że mi pomoże przygotować się do egzaminu. Nie wiem, jak długo tam stałem, w grupce przypadkowych gapiów. W końcu odwróciłem się i odszedłem.

Od tego czasu często uciekam z domu na ulicę. Nie jestem włóczęgą. Ale na ulicy czuję się najlepiej.

Zaschło mi w gardle.

Musiałam łyknąć wina.

– Teraz pani kolej – powiedział Pierre, przerywając milczenie.

Opowiedziałam mu o Ewce i o naszej przygodzie. O przypadkowym spotkaniu z Napoleonem, a potem o następnych, podczas których raczył nas swoją wiedzą i specyficznym humorem. Wspomniałam, jak opowiadał o tragicznej śmierci żony, a kilka dni później sam nie żył. I że nam, choć nigdy nie pojmę dlaczego, zapisał w testamencie swoje mieszkanie.

Książkę czy Pierre, w każdym razie syn Napoleona, pokiwał głową.

– Może napiszemy o nim książkę? – zażartował.

– Niezły pomysł. – Uśmiechnęłam się.

– A teraz? Co pani robi w Paryżu?

– Nie uwierzysz...

Chyba zabiłby mnie śmiechem, gdybym wyjawiała prawdziwy powód.

Spojrzał uważnie, odgarniając z policzka niesforne włosy. Zupełnie jak kiedyś

Napoleon!

– Jestem w podróży poślubnej – wykrztusiłam.

– I siedzi tu pani ze mną o pierwszej w nocy, zamiast...

Pokiwałam głową.

– No nie! – jęknął. – Pani mąż na pewno będzie wściekły!

– Już jest. Ale co tam. On mnie nie rozumie.

Pierre poprosił o kolejnego gitana. Przez chwilę wpatrywał się w niebo i delectował dymkiem.

– To niebo jest sto razy lepsze niż wytapetowane ściany poddasza, które dzielę z Giselle. Kimkolwiek był mój ojciec, też musiał to wiedzieć – powiedział.

Moje małżeństwo wisiało na przysłowiowym włosku.

Wróciłam do pokoju numer 63 na paluszkach, żeby przypadkiem nie zbudzić śpiącego Artura. Niepotrzebnie, nie dobudziłby go nawet wystrzał z armaty. Chrapał tak głośno, że wprawiał w wibracje zawieszony na ścianie telewizor. Spadnie czy nie spadnie?, zainteresowałam się. Spojrzałam na zegarek: druga trzydzieści. Cholera, późno. Ale nie żałowałam ani minuty spędzonej z Pierre'em. Żyła w nim część Napoleona.

Kolejny szalony dzień zaczął się około dziesiątej, gdy wstałam i przystąpiłam do ustawiania do pionu reszty rodziny. Waldek oświadczył, że zamierza się wreszcie wyspać i nigdzie się nie rusza, Adam marudził, że ma po francuskim jedzeniu straszne zatwardzenie i posiedzi jeszcze z godzinę na tronie, a Artur, choć wstał bez słowa, był na mnie śmiertelnie obrażony. Domagał się wyjaśnień, gdzie się włóczyłam po nocy, nie przebijając w słowach. Posadziłam go i możliwie najkrócej wyjaśniłam powody nieobecności.

– Jezu Chryste! – wrzasnęła, choć był niewierzący. – Syn Napoleona? Co za brednie!  
 – Tak mówiłam na mojego przyjaciela. Przecież wiesz, o kogo chodzi. O tego, po którym odziedziczyłam mansardę. Myślisz, że bym to sobie wymyśliła?  
 – Może nie tamto, ale jego potomka na pewno!  
 – On istnieje. Czy ci się to podoba, czy nie.  
 – Dobrze! – Artur podniósł głos. Nienawidziłam tego, bo z natury rzeczy był wystarczająco głośny. – Niech sobie więc istnieje! Ale do licha, po cholere się nadal w tym grzebiesz? Zostaw wreszcie te dawne historie i zajmij się nami! Odkąd tu jesteśmy, czuję ciągle napięcie! Nie spiamy ze sobą, nie rozmawiamy. Nawet nie kończymy wspólnie kolacji!

Cóż mogłam odpowiedzieć? Miał rację.

– To chodźmy przynajmniej na śniadanie. Za chwilę zamkną kafeterię – odparłam.  
 – W dupie mam to francuskie śniadanko! Te rogaliki i kawusie! Chcę wiedzieć, czy nadal jesteśmy małżeństwem, czy mam szukać prawnika od rozwodów?

Usłyszałam pukanie do drzwi, otworzyłam. Adam z Anką.

– Co u was tak głośno? – zapytał mój brat.  
 – Nic, nic. Już idziemy – odparłam.

Po drodze raz jeszcze zapukaliśmy do Waldka. Było jak wcześniej.

– A śniadanko? – zapytała przez drzwi Anka. – Przepadnie.  
 – Chcę spać.

Na dole wszystko było pachnące i chrupiące, ale, choć Adam i Ania prezentowali dobry nastrój, nad naszym stolikiem zawisło coś niepokojącego.

– To jakie plany na dziś? – padło sakramentalne pytanie.

– To zależy od was. Ja jestem tylko przewodniczką – burknęłam.

Nie byłam zbyt miła dla brata i bratowej. Niesłusznie, bo akurat oni nigdy nie grymasili.

– Agnieszka ma własne plany. – Uprzedził dalszy ciąg Artur.

Adam spojrzał pytająco.

– Zostawiasz nas?

– Skądże. – Wściekła łypnęłam na męża. – Tylko czasami mam ochotę

na spotkanie z dawnymi przyjaciółmi – wyjaśniłam. – Tak czy inaczej to wy jesteście na pierwszym planie. Więc co dzisiaj?

– Nie wiem – odezwała się Anka. – Moim zdaniem lepiej niczego nie planować z góry. Pójdziemy sobie na spacer ulicami Paryża, jak wczoraj. Dzielnica Marais była niesamowita!

Przynajmniej ona rozumiała.

– Ja tam mam ochotę pojechać na lotnisko – oznajmił Adam.

– A co tam jest ciekawego? – zdziwiła się Anka.

– Jak to co? Samoloty!

– Lotniska i samoloty są wszędzie. A tu jest Paryż!

– Lotnisko de Gaulle’a jest tylko tutaj.

– Tracić taki piękny dzień na oglądanie startujących samolotów? Zwariowałaś!

– Nie zwyczajnych samolotów! Chcę zobaczyć z bliska start concorde’a. Widziałaś kiedyś?

– Jasne! W telewizji – odparowała Anka.

– To nie to samo, co na żywo – upierał się Adam.

– Adam ma rację – wtrącił Artur. – To nie to samo.

Słuchałam ich sprzeczki w milczeniu. Jeśli przegłosują lotnisko, przynajmniej będę miała wolny dzień. Nasza niepisana umowa dotyczyła centrum miasta.

Z niecierpliwością czekałam na decyzję.

– To na czym stanęło? – zapytałam, kiedy wrzawa ucichła.

– Na tym, że dasz nam mapę i powiesz, jak dojechać. A wy z Anką możecie sobie pójść na zakupy do Cartiera – podsumował Artur.

– A dacie nam na nie kasę? – Zamrugła rzęsami moja bratowa.

Zatem dzień bez facetów! I chwała Bogu, bo z Anką mogłam się włóczyć po Paryżu jak dawniej z Ewką.

– Waldek wam nie daruje, jeśli go nie obudzicie – zwróciłam się do Adama i Artura, dopijając kawę.

– Zapukamy do niego jeszcze.

– A zatem wieczorem w Le Buffet, tak? – Mój mąż spojrzał z ukosa.

– Oczywiście – odparłam.

Panowie wyciągnęli Waldka z łóżka siłą i wszyscy trzej ruszyli do metra. Pozostawało mieć nadzieję, że się nie zgubią i bezpiecznie wrócą do hotelu.

Tymczasem Anka weszła do apartamentu, pachnąc delikatnymi perfumami, ubrana w białe szorty i niebieską bluzeczkę. Miło było pomyśleć, że niechcący przyłożyłam rękę do znalezienia Adamowi tak ładnej żony!

– Za sekundę będę gotowa! – krzyknęłam, walcząc z włosami w łazience.

Na ulicy narastał przedpołudniowy zgiełk, ale Ance to nie przeszkadzało. Zastałam ją wychyloną przez nasze jedyne okno, wychodzące na wieżę Eiffla.

– Uważaj! – ostrzegłam.

– Nic mi nie będzie. Idziemy?

– Zabieram cię na spacer, którego nigdy nie zapomnisz.

Pojechaliśmy metrem na drugi brzeg Sekwany, wysiadliśmy na stacji Odéon i stamtąd ruszyliśmy w kierunku St. Michel.

Na lewym brzegu Anka podziwiała maleńkie sklepiki, restauracje i kawiarenki jak z bajki. Jakby życie przystało tu w biegu sto albo i więcej lat temu. Prawdziwy stary Paryż w pigułce.

Moja bratowa przystawała co chwila. Cieszyło ją każde drobne odkrycie.

– Och, zobacz, Aga, jakie cudne ciasteczka! A tam, patrz, pieką małego prosiaka!  
No tak, w witrynie jakiejś restauracji obracał się rożen. Jeszcze nie zdążyłam uświadomić Anki, że Francuzi to barbarzyńcy wszech czasów!

– Zgłodniałaś? – zapytałam, kiedy doszliśmy do bulwaru Voltaire’a.

– Jak diabli!

– Znam tu niedaleko miłą knajpkę. Chodźmy na coś pysznego.

– Masz może ochotę na małe zakupy w Galerii Lafayette?

Zadałam to pytanie już po cudownie chrupiącej zapiekance, gdy piłyśmy małą czarną i delektowałyśmy się prawdziwą francuską szarlotką.

– Paryż bez zakupów to nie Paryż – odparła.

– To tuż za mostem. A więc, ruszamy?

Pół godziny później Anka nie mogła się oderwać od perfum na parterze. A ja patrzyłam na nią z uśmiechem, bo dokładnie tak samo zachowywałam się parę lat temu. Moja bratowa buszowała pomiędzy stoiskami, wdychając zapachy całego świata. Wąchałam je i ja, znajdując w tej czynności dużą frajdę. Ostatecznie Anka wybrała całkiem miłą nutę Givenchy i wpadła w ekstazę, bo jako bonus dostała próbki innych zapachów firmy, zapakowanych w maleńkie pudełeczka. Dobrze znałam to uczucie. W naszej peerelowskiej Polsce zaledwie raz zdarzyło mi się dostać coś w ramach promocji. Był to przeterminowany przecier jabłkowy w ogromnym słoiku, który musiałam kupić, jeśli chciałam dostać kilka rolek papieru toaletowego...

– Ciekawe, co Adam na to powie? – zastanawiała się moja bratowa, zadowolona z zakupów.

Nie zdawała sobie sprawy, że to dopiero początek. Kiedy zobaczyła, co kryje piętro z damską bielizną, zawyła z zachwytu. Puściła się biegiem wzdłuż regałów i rozpoczęła polowanie. Wyłowiła w końcu śliczne koronkowe body w kolorze écru, czyli odcieniu, którego jeszcze w naszej ojczyźnie nie odkryto.

– Jezus, Aga, ale to kosztuje dwieście franków! – Szukała u mnie rozgrzeszenia.

– Bierz! Adam padnie z zachwytu, jak cię w tym zobaczy.

Kupiła. Ja jakoś na nic nie miałam ochoty, ale cieszyłam się, że mogę Ance pomóc. Tłumaczyłam przy kasie, kiedy panienki pytały o drobne, albo między półkami, gdy próbowały coś polecić.

Przed wyjściem z galerii pozwoliłam sobie jedynie na nowy błyszczący do ust i kilka mydełek zapachowych. Anka za to wyszła objuczona papierowymi torbami jak prawdziwa paryżanka.

– Adam mnie zabije! – jęknęła już za drzwiami.

– A ja myślę, że się ucieszy. – Uspokoiliam ją.

Wróciłyśmy do hotelu jakieś dwie godziny przed kolacją w Le Buffet. Naszych facetów wciąż nie było, miałyśmy więc czas na odpoczynek, kąpiel i chwilę relaksu. Napuściłam wody do wanny i cieszyłam się chwilą spokoju. Z torby podróżnej wyjęłam białą koronkową bluzeczkę i świeże dżinsy. Postanowiłam trochę o sobie zadbać.

I po co mi było wychodzić za mąż?, myślałam, zanurzona w aromatycznej pianie, skoro najlepiej mi tutaj samej? Uczucie było naprawdę miłe. Podobnie jak kilka lat temu, kiedy nie musiałam nikomu tłumaczyć się z tego, co robię.

Niewiele brakowało, abym zasnęła, ale do przytomności przywróciły mnie odgłosy na korytarzu.

Sąsiad wchodzi do siebie? A może przyszła już Anka?

Nie, Anka nie. Ona też z pewnością korzysta z chwili relaksu i stoi przed lustrem w nowej bieliźnie. Ponownie przymknęłam oczy, ale wizja moich utopionych zwłok przeważała.

Wyszłam z kąpieli i też spojrzałam w lustro. Hm, nie jestem jeszcze stara, stwierdziłam.

Ubrałam się i umalowałam starannie. Nareszcie nie musiałam się śpieszyć.

Powoli zbliżał się czas wyjścia do Le Buffet, a Artura i moich braci ani widu, ani słyhu. Pewnie ominą hotel (bo niby po co mieliby się przebierać i myć?) i będą na nas czekali w knajpce. Postanowiłam zejść do Anki.

I wtedy znalazłam list. Wsunęły pod drzwi.

Obejrzałam go zaniepokojona i otworzyłam kopertę. Oby nie jakieś złe wieści...

Rozpoznałam pismo.

„Aga, może nie powinienem się mieszać, ale mam wiadomość od Marco. Nie wiedział, gdzie Cię szukać, więc zadzwonił do mnie z błaganiem, żebym przekazał Ci tę wiadomość. Więc przekazuję: będzie w Paryżu 16 sierpnia i będzie na Ciebie czekał w waszej ulubionej knajpce (nie wiedziałem, że taką mieliście?) przez cały wieczór. Dodał, że koniecznie musi się z Tobą spotkać. Ściskam Cię mocno. Marian”.

Nie!

Tylko nie to! Nie teraz, kiedy jakoś się pogodziłam z faktem, że nie spotkam go więcej!

Moje serce waliło jak oszalałe.

Włożyłam list do torebki i zapukałam do Anki. Podobnie jak ja, była gotowa do wyjścia.

– Pewnie czekają na nas w restauracji... – powiedziała w powietrze, gdy już tkwiłyśmy jak dwie sardynki w najmniejszej windzie świata.

– Słucham? – Błądziłam myślami zupełnie gdzie indziej.

Zatem Carolle musiała się wygadać! A tak ją prosiłam!

Szesnasty sierpnia jest przecież już jutro!

W Le Buffet, jak każdego wieczoru, było wszystko, co trzeba. Z wyjątkiem naszych facetów.

– Pewnie gdzieś zabalowali – stwierdziła kwaśno Anka.

Jakoś się tym nie przejęłam.

Jutro. Jutro mam się spotkać z Marco w naszej ulubionej knajpce! Jasne, że wiem gdzie, dopiero co byłam tam z Anką. Upiłyśmy się przy tym samym barze, przy którym kilka lat temu po raz pierwszy zatonąłam w zielonych oczach...

Nie, nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki! A może jednak?, korciło mnie. Przecież pakowanie się w kłopoty to moja specjalność.

– Zamawiamy czy czekamy? – zapytała Anka.

Gapiłam się w okno, czy nie podjeżdża przypadkiem znajoma honda.

– Co mówiłaś?

– Kelner pytał, czy coś zamawiamy? – powtórzyła. – Aga? Co się dzieje?

– Nic. Zamówmy dla siebie. A dla nich – jak dotrą.

– Gdzie oni się podziewają? Mam nadzieję, że nie poszli na plac Pigalle!

– Uspokój się. Na pewno zaraz tu będą.

Dania pachniały bosko, ale co z tego, skoro my martwiłyśmy się już na poważnie.

– Może zabłądzili? – jęknęła Anka.

– Przecież mają plan Paryża.

– Może ktoś ich napadł?

– Wszystkich trzech naraz?

– Jezus, Aga! Im na pewno coś się stało!

I wtedy pojawili się w progach. Cali, zdrowi i bardzo weseli.

– Gdzie się podziewaliście, do jasnej cholery! – Rzuciła się na nich Anka.



– Mieliliśmy przygody. Ale zanim opowiemy, musimy coś zjeść – odparł zadowolony z siebie Adam.

Mieli przygody? A to ci nowość! Ja w Paryżu zawsze miewałam jakieś przygody. Jak nie porwanie Ewki, to pożar w hotelu albo nieprzytomna Japonka w łazience. Zawsze coś krzyżowało moje plany, więc wcale się nie zdziwiłam. Ciekawe, co to było? Uśmiechnęłam się pod nosem.

Anka nie wyglądała na uspokojoną.

– Żądam wyjaśnień! – wrzasnęła, przerywając kelnerowi, który pytał, co podać spóźnialskim.

Artur zerknął na nasze apetyczne szaszłyki.

– Zamów dla nas to samo. Byle szybko, bo za chwilę padniemy z głodu!

Moi bracia nie wyrazili sprzeciwu.

– O rany, żałujcie, że was nie było na lotnisku! – zaczął Adam, gdy zaspokoił pierwszy głód. – Lądowania tych kolosów co kilka minut! Ale concorde'a widzieliśmy tylko podczas startu. Niesamowite wrażenie! Oczywiście patrzyliśmy zza ogrodzenia, bo stamtąd wszystko najlepiej widać. Potem wróciliśmy do metra i dojechaliśmy do centrum, tyle że wysiedliśmy nie na tej stacji co trzeba. Poszliśmy na piechotę zastanawiając się, gdzie właściwie jesteśmy, a wtedy dopadły nas te panienki... – Zaczął się śmiać.

– Panienki?! – krzyknęła Anka.

– Nie takie, o jakich myślisz – sprostował natychmiast.

Zerknęłam na równie ubawionych Artura i Waldka.

– Dwie młode japońskie dziewczyny, które też się zgubiły. I w dodatku niezbyt elegancko zaczepiane przez jakichś namolnych Latynosów. Musieliśmy im pomóc, prawda? Popędziliśmy tych popaprańców, a one z wdzięczności zaciągnęły nas na kawę.

Dobrze, że nie do łóżka, pomyślałam.

– Okazało się, że są siostrami. Przyjechały tu na wakacje. Kiepsko, bo kiepsko, ale dogadaliśmy się po angielsku...

Miałam ochotę im pogratulować. Dogadali się z Japonkami? Super, od jutra koniec z prowadzeniem ich po Paryżu jak stadka niemot.

Za to Anka była wściekła z zazdrości.

– I co? Umówiliście się z nimi?

– Zwariowałaś? – oburzył się Adam.

– Ja próbowałam – wtrącił Waldek.

No, akurat jemu dziewczyna by się przydała.

– Nawet ładne były te Japoneczki... – dodał Artur, patrząc na mnie złośliwie.

Chyba powinnam poczuć ukłucie zazdrości? Może i powinnam, ale nic z tego.

– Nie masz się o co martwić – szepnęłam do spiętej Anki. – Przecież oni nawet nie potrafia samodzielnie zamówić kolacji...

Chyba zrozumiała, bo wkrótce, odprężona, delektowała się winem.

A mnie trochę dziwiło, że nasi panowie ani słowem nie spytali, jak my bawiłyśmy się bez nich. Namówię Ankę i wciśniemy im opowieść o randce z przygodnie poznanymi przystojnymi Włochami, postanowiłam złośliwie. Albo z Japończykami?

Tej nocy Artur był tak miły i przylepny, że uległam. Po raz pierwszy od przyjazdu nasi współtowarzysze dali nam święty spokój i nie przyszli z piwkiem na tak zwane after. Ale co z tego, jeśli po skonsumowaniu podróży poślubnej wcale nie czułam się szczęśliwa? Mój mąż zapewne też. Leżeliśmy w ogromnym łóżu, zapatrzeni w rozgwieżdżone niebo za oknem. Nie, nie było źle, ale czegoś z pewnością zabrakło.

Może po prostu miłości?

## 18

Od samego rana myślałam o Marco: podczas śniadania na poziomie minus jeden, w windzie wielkości skrzynki na owoce, a nawet wtedy, kiedy Artur pocałował mnie tuż przed kolejną wyprawą w miasto.

W planach było zwiedzanie katedry Notre-Dame. Musieli ją zobaczyć.

Dla mnie nie był to tylko kolejny zabytek. Ta niezwykła świątynia budziła bardzo osobiste wspomnienia. Przyszliśmy tu z Ewką, by się wypłakać, kiedy źli Francuzi zabrali nam paszporty. Przychodziłam tu sama trzy lata później, modląc się w intencji szczęśliwego rozwiązania zagadki śmierci Napoleona. To tu zawsze znajdowałam chwilę ukojenia. Katedra Notre-Dame była moją paryską oazą spokoju. Miejscem, które pozwalało mi zebrać myśli, odrodzić się i wyjść na zewnątrz z optymistycznym nastawieniem.

A dziś miałam ją zaliczyć z moją wycieczką, jako jeden z zabytków architektury.

Zwątpiłam w tę misję już w progu. Wystarczyło go przekroczyć, by zawładnęły mną wspomnienia.

Mimo to dzielnie prowadziłam stadko przez nawy i zakamarki. W powietrzu unosił się ciężki zapach średniowiecza, mijane nisze wciąż sugerowały niepoznane tajemnice. Na końcu kupiłam świeczkę, jak kiedyś, za dziesięć franków, i zapaliłam. Tym razem za... Nie byłam pewna za co. W końcu wyszeptalam:

– Za dobre życiowe wybory!

Wyszliśmy na rozgrzany słońcem plac, pełen turystów, i moje wcześniejsze skupienie poszło w diabły. Adam z Waldkiem domagali się lunchu, więc pilnie szukaliśmy odpowiedniej knajpki. Czyli nie za drogiej, przytulnej i z dobrym widokiem. Mijając budynek Prefektury Generalnej, nie mogłam nie wspomnieć komisarza Antoine’a Guide’a. Gdybym tylko mogła, chętnie bym go odwiedziła.

Zasiedliśmy w bocznej uliczce z dala od oblegających katedrę tłumów. Stolik przy oknie, całkiem miły lokal. Zamówiłam danie dnia i piwo, bo panowie po raz kolejny zapragnęli skosztować piwa innego niż niemieckie. Daniem dnia okazał się całkiem dobry stek z frytkami i sałatką, za to piwo – w ocenie znawców – parszywe. Na szczęście wzięliśmy z Anką po kieliszku chardonnay.

Dalej poszliśmy na piechotę i w efekcie zobaczyliśmy całkiem spory kawałek miasta. Zawędrowaliśmy na lewy brzeg Sekwany, gdzie nieoczekiwanie wpadliśmy prosto na plan jakiegoś filmu. Przez otoczoną taśmą ulicę maszerowała orkiestra dęta. Jakiś młody chudzielec z ekipy niósł mikrofon otulony różowym futerkiem na ogromnie długim wysięgniku. Ciekawe, do jakiego filmu kręcono tę scenę i czy kiedykolwiek go zobaczą?

Orkiestra przedefilowała w rytm marsza, a ja pociągnęłam wycieczkę na bulwary bukinistów. Tym razem przystanął przy nich nawet Artur, zaciekawiony starymi rycinami żaglowców. Jak przystało na zapalonego miłośnika jachtingu, nie zastanawiał się długo i bez targowania się przepłacił za piękny album. Później postaliśmy chwilę na drewnianym Pont des Arts, pozdrawiając machaniem turystów na stateczkach. Słońce zachodziło powoli, odbijając się w Sekwanie złotym blaskiem.

Po raz kolejny poczułam bolesne *déjà vu*. Paryska tęsknota to najwyraźniej choroba nieuleczalna...

Wieczór przechodził w noc, a ja wciąż nie znalazłam pretekstu, żeby się wyrwać.

Rzecz nie była łatwa, bo Artur nagle zrobił się przylepny i do rany przyłóż, zaś moi bracia podczas kolacji w Le Buffet nadzwyczaj rozmowni.

„...będzie czekał na ciebie przez cały wieczór...”, dudniło mi w głowie.

Walcząc z rosnącymi emocjami, cudem wytrzymałam do dwudziestej drugiej.

– Mam umówione spotkanie ze znajomymi! – Zdesperowana poderwałam się z miejsca. – Wybaczcie, ale muszę pędzić.

– Zwariowałaś! – Nie wytrzymał Artur.

– Znowu nas zostawiasz? – zapytał z żalem Adam.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze będę w Paryżu, więc nie gniewajcie się, ale muszę trochę pobiegać własnymi dróżkami...

– Aga...! – wykrzyknął mój mąż.

Anka złapała go za rękę.

– Daj jej trochę swobody. Dla niej Paryż to także jej starzy znajomi. – Powstrzymała go.

Podziękowałam jej wzrokiem i tyle mnie widzieli.

Złapałam łyk chłodnego powietrza i popędziłam po stromych schodach jak torpeda. Po chwili, zdyszana, wpadłam na wciąż gwarny plac du Tertre, ale nie zatrzymałam się tym razem, by spojrzeć, czy Marian wycina profile. Biegłam prosto do knajpki.

Lokal, jak zwykle, był totalnie zatłoczony. Z głośników płynęła głośnie muzyka, którą i tak zagłuszał gwar głosów. Przedzierałam się pomiędzy gośćmi jak przez gęstą dzunglę. Nigdzie nie widziałam Marco. No jasne, nie przyszedł. Albo był i poszedł...

Serce waliło mi jak dzwon Notre-Dame. Smutna, zawróciłam do wyjścia.

I wtedy poczułam na ramieniu jego dłoń. Odwróciłam się gwałtownie.

– Chodźmy stąd – powiedział.

I znów, podobnie jak wtedy, ciągnął mnie za sobą jak bezwolną owieczkę. Biegliśmy w milczeniu wśród tłumu ludzi, aż w końcu opadliśmy na schody u stóp Sacré Coeur.

Marco delikatnie otoczył mnie ramieniem.

– Pamiętasz?

Jasne, że pamiętałam.

Nie potrafiłam wykrztusić słowa. Jego ciepło paraliżowało zmysły.

To niemożliwe!

To nie dzieje się naprawdę!

A jednak.

– Carolle ci powiedziała? – zapytałam, gdy ochłonęłam nieco.

– Tak.

– Przecież ją prosiłam!

– Uważasz, że tak byłoby lepiej?

– Nie powinna, skoro obiecała.

– Aguś... Czy ty masz pojęcie, że ja na ciebie wciąż czekam?

Po plecach przeleciał dreszcz.

– A może Carolle powiedziała ci również, że jestem tutaj w podróży poślubnej? – wyrzuciłam z siebie jak wyznanie grzechu.

– Powiedziała.

– I co?

– Jesteś głupia, Aguś. Powinnaś dać nam szansę.

Poczułam znajomy zapach i dotyk jego rąk.

Chyba rzeczywiście jestem głupia. Bo właśnie teraz czułam to, co powinnam czuć. To, czego mi brakowało wczorajszej nocy z Arturem.

Zapatrzyłam się w nocne światła Paryża. Z tego miejsca nawet wieża Eiffla wyglądała jak mała płonąca zapalka. Oboje podziwialiśmy nocną panoramę przez długą chwilę. Z oddali dobiegały stłumione klaksony aut i porykiwania motocykli. Oczami wyobraźni zobaczyłam ogromne mrowisko z milionem mrówek pędzących każda w swoją stronę. Miasto zdawało się żyć własnym życiem. Światła migotały, drżały, znikały, by rozbłysnąć na nowo. Ciekawe, ile par właśnie postanowiło się rozejść? Albo ile się zeszło? Ilu ludzi się kocha, a ilu kłóci? Tego nie wie nikt, ani ja, siedząca tu i teraz na kamiennych schodach pod Sacré Coeur. Jak bogini na szczycie Olimpu.

– Czy to prawda, że masz w La Baule własną galerię? – Przerwałam ciszę.

– Prawda.

– I że nazwałeś ją Agart?

– Też prawda.

– Carolle mówiła, że to od mojego imienia...

– Nie kłamała.

– Opowiesz mi, co się działo po moim wyjeździe?

Westchnął i zapatrzył się w przestrzeń.

– Kiedy wróciłeś do domu, w Paryżu zrobiło się smutno... Wyjechałem więc do moich przyjaciół. Pisałem do ciebie, ale ty przestałaś odpowiadać. W końcu uznałem, że wystarczy. Ale mimo to nie związałem się na stałe z żadną kobietą. A ty, co ty sobie myślałaś?

– Że o mnie zapomniałaś. Przecież przestałaś pisać.

– To ty przestałaś!

– Czy to ważne kto? Jakże ja miałam szansę tutaj z tobą?

– A jakie masz z nim?

Zamilkłam.

Ciepło ramienia Marco sprawiło, że znów byłam Agnieszką, która nie kalkulowała, ale żyła.

– Nie jestem z nim szczęśliwa – bąknęłam w końcu.

Nie odpowiedział, tylko przygarnął mnie silniej.

W takiej pozycji, niemal w milczeniu, doczekaliśmy na zimnych schodach Sacré Coeur wschodu słońca nad Paryżem.

– Jutro wracam do La Baule – powiedział już pod hotelem.

Nie zastanawiałam się, co powie Artur, kiedy wpełzną cichaczem do łóżka o czwartej nad ranem. Miałam nadzieję, że śpi mocno i się nie obudzi. Na razie wciąż jeszcze obok był Marco, ciepły, prawdziwy, niewyimaginowany. Pytający: co z nami?

– Przyjedź do mnie – wyszeptał.

– Wiesz, że nie mogę. Dwa tygodnie temu wyszłam za mąż.

– Ale nie jesteś szczęśliwa.

Rozplakałam się.

– Chyba nie mam wyboru – wyjąkałam przez łzy. – Mieszkam w Polsce, a tam jest cała moja rodzina, rozumiesz? Tam mam pracę, dom i rodziców, do których jeżdżę na niedzielne obiady. Nie mam siły tego zmienić, nawet dla ciebie. Wybacz. – Rozplakałam się na dobre.

– Ciii... Nie płacz, Aguś. Rozumiem.

– Nie sądzę.

– Rozumiem twoje rozterki. Ale jeśli jeszcze za wcześnie na ostateczne decyzje, przyjedź do mnie choć na kilka dni. Wypłyniemy razem jachtem, popływamy w oceanie i zjemy mule w mojej ulubionej knajpce. A potem się na spokojnie zastanowisz nad życiem.

Boże, jak ja tego chciałam!

– Moja rodzina nie poradzi sobie beze mnie. Nie znają języka. Obiecałam, że będę ich przewodnikiem...

– Wyrwij się jakoś. Choć na dwie doby. Proszę!

W oczach mojego paryskiego kochanka pojawiła się znajoma tęsknota. Poczułam się, jakbym wróciła do domu. Moje serce zalała fala ciepła.

– A twoja „księżniczka”? – zapytałam zniechęta. – Dlaczego nie zabrałeś jej ze sobą?

– Bo się zepsuła. Dałem kumplowi kluczyki, żeby ją naprawił. Teraz już działa jak trzeba. Jutro wsiadam na nią i wracam do La Baule. A dlaczego pytasz?

– Bo widziałam tego twojego kumpla, jak sobie na niej używa.

– A to drań! A mówił, że honda stoi w garażu!

Przypomniałam sobie, jak Marco posadził mnie po raz pierwszy na motorze.

Chyba czytał w moich myślach.

– Pamiętasz nasz rajd po Paryżu? – zapytał. – Powiedziałem ci wtedy o moich planach.

Nie otworzyłem wprawdzie galerii w La Defense, jak mi się marzyło, ale nad Atlantykiem.

I wiesz co? Tam żyje się lepiej. Mniej nerwowo. Niewiele potrzeba do szczęścia. Jest słońce, woda i klienci na rejs. Nie muszę już pałętać się po placu du Tertre ani rysować portretów, żeby zarobić na czynsz. Wkrótce zamierzam wyprowadzić się od moich przyjaciół. Znalazłem dom nad samym oceanem. Musisz go zobaczyć! Jest mały, cały z kamienia, otoczony dziką zielenią. Dlatego muszę wracać, bo jeśli jutro nie podpiszę umowy z agencją, przepadnie.

Staliśmy pod drzwiami hotelu Utrillo i nie mogliśmy się nagadać. Ze snu budziły się paryskie gołębie, a my wciąż nie potrafiliśmy powiedzieć sobie dobranoc.

– Przyjedź, Aguś. I pomóż mi urządzić ten dom – wyszeptał Marco, całując mnie czule na do widzenia.

I zniknął bez podania adresu.

## 19

Artur spał jak suseł.

Zacisnęłam powieki, starając się zasnąć. Nic z tego! Kamienny domek nie dawał mi spokoju, a gdy wreszcie odpłynęłam, poczułam, że potrząsa mną mój mąż.

- Aga!
- Chcę spać...
- Za chwilę przypadnie nam śniadanie!
- To mi je przynieś! – jęknęłam. – Ten jedyny raz chyba mi się należy?

Jakiś czas później obudził mnie zapach kawy. Otworzyłam oczy. Na tacy, którą Artur podsuwał pod mój nos, leżały pachnące rogaliki, jajko na miękko i konfitura z pomarańczy.

- Dziękuję.
- To tylko mały rewanż. A jak twoje wczorajsze spotkanie?

Zaskoczył mnie. Musiałam szybko coś wymyślić. W naszym zaledwie dwutygodniowym małżeństwie zaczynało się roić od kłamstw. I, co tu owijać w bawełnę, głównie moich.

– Och, było super! Znajomi zaciągnęli mnie do jednej z knajpek i trochę zabalowaliśmy – zełgałam. – A wy? Co robiliście po wyjściu z Le Buffet?

Artur chyba mi nie uwierzył.

- Kim oni są? Ci twoi znajomi?
- Przecież ci mówiłam. Marian, jego żona, Nicole...
- Nie kłam!
- Nie kłamię...
- Kłamiesz. Nicole wpadła do nas wczoraj przed północą. Szukała cię wszędzie.

Podobno jej ojciec miał zawał i wyładował w szpitalu. Ciekawe, że nic o tym nie wiesz, skoro spędziłaś z nimi wieczór!

- Marian miał zawał? Jezu, co z nim?
- A więc jednak. Kłameczucha! Z kim się spotkałaś?
- Powiedz, gdzie leży?
- Nie pamiętam. Zapisałem na serwetce.
- Masz ją?

Wyciągnął z kieszeni wymięty świstek.

- La Sal-pê-triè-re... – przesylabizował. – Czy jakoś tak.
- Muszę tam jechać! – Zerwałam się.
- Zwariowałaś? I tak cię nie wpuszczą. Nie jesteś nikim z rodziny. Lepiej mi powiedz, co naprawdę robiłaś wczoraj w nocy? I zjedz coś. Cokolwiek dolega temu Marianowi, nie pomożesz mu, rezygnując ze śniadania.

Zaskoczyła mnie ta nagła troska.

– Dzięki, że pozwoliłeś mi pospać. – Podziękowanie nie przyszło mi łatwo, ale było szczerze. – I przepraszam za wczoraj. Gdybyś wiedział, do kogo pędzę, nie pozwoliłbyś.

Upiłam łyk kawy i posmarowałam rogalik konfiturą. Artur stał twarzą do okna.

- To on, prawda? Ten twój kochaś sprzed trzech lat?

No cóż, Artur najwyraźniej nie nabrał się na moje bajki o jednym z wielu paryskich

przyjaciół. Widocznie faceci też czują takie rzeczy.

Wpadłam w pułapkę. Wyznać prawdę czy iść w zaparte? Stchórzyłam.

– Spotkałam się z synem Napoleona.

– Z tym Pierre'em? A po jaką cholere? Mieliliśmy miło spędzać tu czas, a ty... Ech!

Niech diabli porwą tę naszą wycieczkę! Chyba pójdę się przejść – powiedział. – Jakoś tu ciasno.

Wyszedł z naszego pokoju numer 63 na szóstym piętrze, zamykając z hukiem drzwi.

I wiedząc doskonale, że nie zastanie mnie po powrocie.

Już kwadrans później na pobliskiej stacji metra próbowałam się dowiedzieć o drogę.

– *L'Hôpital Salpêtrière*? – powtórzyła moje pytanie jakaś miła starsza pani.

Zaczepiłam ją, bo wyglądała na kogoś, kto o szpitalach wie wszystko. Siedziała na plastikowym stacyjnym krzeselku, przygarbiona zupełnie jak mały paryski gołąbek. W ręce dzierżyła laseczkę, bladymi oczami wpatrywała się w naklejony na murze afisz. Na plakacie młoda baletnica w stroju łabędzia zapraszała na premierę rosyjskiego baletu w Operze.

– A to ci heca! – Staruszka uniosła głowę, zaskakując mnie całkiem młodzieńczym uśmiechem. – Właśnie tam się wybieram!

Trzeba poszukać innego informatora, bo starsza pani robi sobie żarty, pomyślałam.

Tymczasem nadjechał skład. Kobieta zerwała się z krzeselka jak młódka.

– Niechże pani wsiada! – Popędzała mnie. – Zawiozę panią do tego szpitala.

I tak nie miałam wyboru, bo kursowała tu tylko jedna linia metra.

Starsza pani szybciotko zajęła miejsce przy oknie i poklepała żylastą dłonią miejsce obok. Usiadłam.

– Jest pani turystką? – zagadnęła.

– Właściwie tak – odparłam.

Nie czułam potrzeby nawiązywania bliższej znajomości. Chciałam jak najprędzej zobaczyć Mariana.

– Proszę się nie martwić, nie będę zadrećcać pani pytaniami – powiedziała staruszka. –

Wkrótce przesiadka do metra pod sam szpital.

Odwróciła głowę do okna, a mnie zrobiło się głupio.

– Przepraszam panią. Nie chciałam...

– Wypadek? – Zareagowała natychmiast.

– Bliski mi człowiek miał zawał.

– Zawały, zatory, wylewy, udary! Wciąż się to komuś przydarza. Współczuję pani. To ktoś z rodziny?

– Nie, mój paryski przyjaciel. Artysta. Wycina profile na Montmartrze – powiedziałam, sama nie wiedząc po co.

– Monsieur Marian? – Uniosła wysoko brwi.

– Zna go pani?!

– A któż go nie zna! Mnie samą wycinał kilka razy! Choć czasy ładnego profilu już dawno za mną – roześmiała się.

Przyjrzałam się jej uważnie. Była pomarszczona jak somalijska ziemia podczas suszy, ale profil wciąż miała całkiem, całkiem. Mały, zgrabny nosek i wysokie czoło.

– Naprawdę jedzie pani do Salpêtrière? – zapytałam, zaciekawiona coraz bardziej.

– Mam wizytę u mojego ulubionego doktora. Cierpię na bóle stawów i artretyzm. Ale to mały problem, kiedy ma się prawie osiemdziesiąt lat.

– Nie wygląda pani na tyle – powiedziałam szczerze.

I rzeczywiście, dałabym jej co najwyżej siedemdziesiątkę.

Pociąg zahamował. Część pasażerów ruszyła do wyjścia, zderzając się z wchodzącymi.



– To dopiero Pigalle, a my wysiadamy za pięć stacji, na Madeleine. Tam się przesiądziemy na Châtelet – wyjaśniła starsza pani.

Jakie to szczęście, że ją spotkałam!

Przez chwilę pomyślałam o Arturze. Nie zostawiłam mu żadnej wiadomości. Adam, Waldek i Anka też się pewnie nieźle wkurzyli. Trudno. Muszą sobie poradzić beze mnie.

Gapiałam się w okno, ale nie widziałam nic poza światłkami w tunelu. Drzwi otwierały się na kolejnych stacjach, mieszał się kolorowy tłum. Do tego paryskiego melanzu przywykłam już dawno. Lubiłam obserwować ludzi i wyobrażać sobie, kim są. Takie przyzwyczajenie z pierwszego pobytu z Ewką. Nigdy nie zapomnę naszych pierwszych wrażeń z jazdy metrem ani młodej Mulatki karmiącej piersią śliczne czarnookie niemowlę. Nikt nie był tym zaskoczony czy zbulwersowany. Ona robiła swoje, a inni pasażerowie czytali gazety albo odsypiali zbyt krótką noc.

Moją uwagę przykuło trzech czarnych gości w skórach i ćwiekach. Wtargnęli do pociągu jak na własne podwórko do gry w kosza, żując gumę i rozglądając się na boki. Nie patrzyłam na nich, żeby nie prowokować. Wystarczyło wspomnienie wschodnich peryferii miasta, gdzie mieszkaliśmy z Ewką, by przeszedł mnie dreszcz. Nie miałyśmy tam prądu, a na ulicach zaczepiali nas podobni młodzi ludzie...

– Oni są niegroźni – szepnęła starsza pani, jakby czytając w moich myślach.

Spojrzałam na nią pytająco.

– Znam ich. Jeżdżą tą linią od dawna. Czasem nawet ustępują mi miejsca.

Odetchnęłam z ulgą.

– Na Abesses wpatrywała się pani w afisz... – zagadnęłam.

– Owszem. Czy tytuł *Jezioro łabędzie* coś pani mówi?

– Oczywiście! To jeden z najsłynniejszych baletów.

– Święta prawda, młoda damo. A ja kiedyś tańczyłam w nim jako primabalerina.

Jestem z pochodzenia Rosjanką.

– Naprawdę?

– Powiem pani coś, co być może zabrzmie jak wymądrzanie się starej, upierdliwej kobiety. Ale powiem mimo wszystko. Trzeba być otwartym na innych ludzi i korzystać z każdej okazji obcowania z nimi. Nie zdajemy sobie sprawy, jak to wzbogaca nasze życie. A ono jest nieubłagane konkretne, zwłaszcza gdy przychodzi choroba. Mój mąż zmarł czternaście lat temu, choć myślałam, że mnie przeżyje. Teraz chodzę samotnie na Montmartre karmić gołębie... O, to już nasza stacja! Wsiadamy!

Grzecznie podążyłam za starszą panią do wyjścia.

Po kilku manewrach w tłumie ludzi na schodach przesiadłyśmy się na kierunek St. Chapelle. Staruszka ponownie dopadła miejsca przy oknie, rezerwując dla mnie to obok siebie.

– Od dawna mieszka pani w Paryżu?

Teraz ja miałam zdecydowanie większą chęć na rozmowę.

– Od pół wieku, droga pani. Czy mogę spytać, jak pani na imię? Znamy się w końcu od sześciu stacji metra – roześmiała się.

– Agnieszka. I jestem z Polski.

– Agnieszka? Śliczne imię. I Polska też śliczna. Występowałam kiedyś na scenie opery w Poznaniu. Zna pani to miasto?

– Nie tylko znam, ale w nim mieszkam!

– Niesamowite! Tańczyłam tam zaraz po wojnie. Pamiętam Stary Rynek. I hotel Bazar, gdzie mieszkaliśmy. To niesłychane, że spotykam panią w tak przypadkowych okolicznościach.

Zanim dojechałyśmy na stację docelową, zdążyłam naprawdę polubić panią Nataszę. Sądziłam, że na Montmartrze zaczepiam zwyczajną staruszkę, a tu proszę – legenda radzieckiego baletu, primabalerina, zmuszona do szukania azylu na Zachodzie, bo zakochała się w obcokrajowcu. Jak bardzo można się pomylić w ocenie ludzi!

W końcu wysiadłyśmy i od razu rzucił się nam w oczy ogromny gmach szpitala.

– To zaledwie nowa fasada La Pitié – wyjaśniła pani Natasza. – Cały szpital to jedno wielkie arcydzieło architektoniczne – dodała. – Koniecznie musi pani je zobaczyć.

– Spotkamy się jeszcze? – zapytałam, gdy już weszłyśmy do budynku.

Spojrzała na mnie bladym, lecz czujnym wzrokiem. Wokół jej oczu pojawiły się liczne zmarszczki szczerego uśmiechu.

– Jasne, moje dziecko, jeśli tylko chcesz. Jeśli będziesz potrzebowała rady doświadczonej artystki, wpadaj do mnie. – Puściła oko i wyjęła z wysłużonej skórzanej torebki pogniecioną wizytówkę. – To mój adres. Wpadnij na prawdziwą, rosyjską herbatę. Byle nie między piątą a szóstą po południu, bo wtedy karmię gołębie.

Wzięłam pomięty kartonik i spontanicznie ucałowałam staruszkę.

– Dziękuję za wspólną podróż.

– Tam jest informacja, jeśli chcesz się dowiedzieć, gdzie leży twój przyjaciel. –

Wskazała chudą dłonią na szpitalną recepcję i oddaliła się, zapewne dobrze sobie znany, korytarzem.

Bywałam w Paryżu tu i tam, ale jeszcze nigdy nie byłam w szpitalu. A ten na dodatek wydawał się największym na świecie. Chwilę trwało, zanim dotarłam do informacji, podałam dane Mariana i dowiedziałam się, że leży na kardiologii. Ale gdzie to jest? Młoda panienka w białym uniformie wskazała mi kierunek, ale nic poza tym.

Błąkałam się po szpitalnych korytarzach jak sierota, dopóki jakaś kobieta, pewnie też odwiedzająca, udzieliła mi sensownych wskazówek. Miałam wejść do windy i pojechać na trzecie piętro, a tam pytać ponownie.

W końcu trafiłam.

Kardiologia.

Chodziłam podenerwowana w tę i z powrotem po korytarzu pamiętającym zapewne czasy rewolucji francuskiej. Nie da się ukryć, szpital rzeczywiście wyglądał jak z innej epoki. Moje kroki odbijały się echem od zabytkowej terakoty. Zza starych, podzielonych szprosami okien, wynurzał się zielony skwer z ławeczkami, na których siedzieli odziani w szlafroki pacjenci. Ale próby lokalizacji Mariana kończyły się niepowodzeniem.

Wreszcie natknęłam się na dyżurkę pielęgniarek i zasięgnęłam języka.

– Pani z rodziny? – usłyszałam natychmiast pytanie.

– Jestem przyjaciółką rodziny.

Panienka pokiwała głową.

– Przykro mi, ale odwiedzać mogą wyłącznie najbliżsi.

– Ale...

– Takie są przepisy.

*Merde!*

Wróciłam na korytarz. Nic tu po mnie, pomyślałam. W świetle francuskiego prawa jestem dla Mariana nikim. Może powinnam poszukać pani Nataszy i wrócić z nią do domu, to jest na Montmartre?

O nie! Musiałam zobaczyć Mariana!

Jakby na moje życzenie na korytarzu pojawiła się Sabine. Podbiegłam do niej natychmiast.

– Och, Agnieszka! Nie spodziewałam się tu ciebie... – powiedziała.

– Co z nim?

– Nie mam pojęcia. Od wczoraj niewiele się dowiedziałam. Chcesz iść ze mną?

– Jeśli się zgodzisz...

– *D'accord*. Ale ja wejdę pierwsza, a ty trzymaj się z tyłu. Nie wolno go denerwować, rozumiesz? – wyraziła się jasno, dając mi jednocześnie do zrozumienia, jak wiele razy byłam powodem niepokojów Mariana.

– Oczywiście. – Skinęłam głową.

Ruszyliśmy korytarzem. Wysokie obcasy Sabine wystukiwały na starych kafelkach szpitala nieprzyzwoite staccato. Nijak nie pasowały do otoczenia, ale nie potrafiła się bez nich obejść. Zapewne z dwóch powodów: po pierwsze była niska, a po drugie usilnie pragnęła być elegancka. Jak większość paryżanek z krwi i kości.

Echo obcasów umilkło, gdy dotarliśmy do sali Mariana.

Wyglądał jak żołnierz z *Paragrafu 22* Hellera. Leżał spowity w płataninę przymocowanych plastrami rurek, podłączony pod aparaturę, na której migotały kolorowe wykresy. Nie robił dobrego wrażenia. Dzielił salę z trzema innymi chorymi.

Miejsce było przygnębiające, zwłaszcza dla kogoś, kto jak ja nie bywał w takich placówkach zbyt często. Właściwie, tylko dwa razy w życiu miałam okazję odwiedzić szpital. Pierwszy, gdy Waldek w wieku czterech lat chciał koniecznie sam pokroić swój naleśnik i wyrwał Adamowi nóż. Trzeba było wzywać pogotowie, a że mama nie miała nas z kim zostawić, pojechaliśmy na ostry dyżur razem. Chirurdzy szczęśliwie przyszyli prawie odcięty kciuk, ale ja od tamtego czasu bałam się wszelkich ostrzy. Drugi raz odwiedziłam szpital już w liceum, gdy nauczyciel biologii zafundował całej klasie wycieczkę do prosektorium. Początkowo wszyscy byliśmy zachwyceni, bo wiadomo: zamiast matmy, fizyki i chemii taka atrakcja, ale już po kilku minutach w dusznej atmosferze, przesyconej oparami formaliny, co poniekąd zbierało się na mdłości. Pamiętam wypatroszone ludzkie zwłoki, leżące na stole sekcyjnym, wyschnięte, jakby sztuczne. A jednak były prawdziwe. Jakimś cudem nie zwymiotowałam, ale tego dnia po powrocie do domu drażnił mnie nawet zapach rosółu. Tak czy inaczej jeszcze nigdy nie odwiedzałam w szpitalu chorego. I nie bardzo wiedziałam, jak się przy nim zachować.

Sabine podeszła do łóżka i pocałowała Mariana w czoło. Nawet nie drgnął. Wahałam się, co robić, nie chciałam burzyć spokoju chorego. Popatrzyłam na Sabine. Wydawała się opanowana i spokojna. Skinęła na mnie, żebym podeszła.

Marian był błydy. I jakiś taki... wychudzony. Spał.

– Cześć – powiedziałam odruchowo.

Bo niby co miałam powiedzieć? Nigdy wcześniej nie przerabiałam takiego scenariusza. Marian zawsze był zdrowy i aktywny...

Znienacka otworzył oczy.

– Jak się czujesz? – wyrecytowała sztapową regułkę Sabine.

Co za pytanie, pomyślałam. Jak się może czuć po zawale?

– Jest ze mną Agnieszka – dodała, jakby chciała scedować na mnie dalszą część tej trudnej rozmowy.

– Witaj, Marianie. – Nachyliłam się nad przyjacielem.

Miałam wrażenie, że lekko się uśmiechnął.

– Pamiętasz, jak mówiłeś, że beze mnie nudno w Paryżu?

Mrugnął.

– No to zdrowiej szybko, bo mam dla ciebie sporo nowinek! Rzeczywiście nie jest nudno.

Pójdziemy razem na kolację na plac du Tertre, dodałam w myślach.

Sabine patrzyła na mnie ze zgrozą, bo oto nie ona, a ja dokonałam cudu. Marian się uśmiechnął.

– Przez ciebie kiedyś omal nie kopnąłem w kalendarz – wyszeptał słabo. – Pamiętasz? Wtedy gdy chowaliśmy obraz van Gogha pod podłogą w moim starym atelier. Naprawdę mam ochotę powrócić do żywych, aby się przekonać, co knujesz tym razem...

– Znalazłam syna Napoleona! – palnęłam, zanim zdołałam powstrzymać język.

– Żartujesz?

– Ani trochę.

Sabine odepchnęła mnie od łóżka.

– Nie słuchaj jej! Masz się nie denerwować i żyć bez stresów!

Marian jakby odzyskał kolory.

– Ależ, Sabine, ja już naprawdę czuję się lepiej! Ponoć to wcale nie był zawał, tylko nagły atak paniki. Objawy podobne, źródło całkiem inne. Od lat żyję w permanentnej depresji i stąd ten stan! Nasze małżeństwo to jedno wielkie kłamstwo! Nie chcę tak dalej!

Sabine spojrzała na męża z niedowierzaniem.

– Nie wiesz, co mówisz, Marian. Bredzisz.

– Wiem, co mówię! Po raz pierwszy w życiu! I chcę rozwodu, bo dłużej tego nie zniosę!

No, ładnie.

Sądziłam, że przyszedłam w odwiedziny do kandydata na nieboszczyka, a tymczasem Marian zamierza rozpocząć nowe życie bez Sabine! Czułam się idiotycznie, przecież nie chciałam ich ze sobą poróżnić. Ani teraz, ani nigdy. Przeciwnie. Swego czasu zrobiłam nawet z siebie idiotkę, podrywając Carla Legranda, żeby tylko ich ze sobą pogodzić!

Podobnie jak przed laty, Sabine zmierzyła mnie wzrokiem bazyliuszka. Po chwili, bez słowa odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi.

– Sabine, zaczekaj! – jęknął Marian.

Ale jej już nie było.

Odgłos szpilek na zabytkowych kafelkach cichł z każdym krokiem.

Ja zostałam. Zwyczajnie bałam się o Mariana. Nie spodziewałam się, że będę dzisiaj świadkiem takiej sceny. Nie pierwszej w ich przypadku, ale nie takiego kalibru.

Marian, o dziwo, wyglądał lepiej. Monitory wskazywały dobre tętno i miarową pracę serca. Siedziałam na krzeselku i czekałam.

– To musiało się tak skończyć – powiedział po długiej chwili.

Milczałam.

– Zbyt długo trwała ta farsa – dodał.

– A moje małżeństwo kończy się po zaledwie trzech tygodniach... – westchnęłam.

– Słucham? O czym ty mówisz, Aga? Żartujesz?

– Ani trochę.

Marian popatrzył z troską.

– Więc dostałaś moją wiadomość? Tę o Marco?

– Tak.

– I spotkaliście się?

– Wczoraj.

– To dobrze. Nie bierz przykładu ze mnie i Sabine – powiedział poważnie.

– To nie ma nic wspólnego z wami – odparłam i rozplakałam się.

Nie dość, że był cały w kabelkach, nie dość, że właśnie pogonił żonę, a ona skwapliwie odeszła, dokładałam mu jeszcze moich zmartwień! Ale on na to nie zważał. Uniósł się i pomimo krępujących go rurek objął mnie po ojcowsku.

– Och, Aguś... – westchnął.

Przybiegła pielęgniarka i przegoniła mnie na cztery wiatry.

Zdażyłam mu jeszcze obiecać, że odwiedzę go jutro. Pomachał mi na do widzenia, po czym grzecznie wysłuchał, co ma mu do powiedzenia panienska w białym fartuchu. Najpierw nieco go obsztorcowała, a później, już z uśmiechem, zmieniła kropłówkę.

Szłam krętymi szpitalnymi korytarzami ku wyjściu. Sabine znikła już dawno, pani Natasza pewnie też. Nie miałam pojęcia, że kręcę się po zabytku, który w szesnastym wieku był fabryką prochu, później przytułkiem dla prostytutek, następnie szpitalem dla obłąkanych, arsenałem broni, aż wreszcie miejscem lokalizacji pierwszej sali operacyjnej z prawdziwego zdarzenia w Paryżu. To właśnie tutaj leczył słynny Jean-Martin Charcot, jeden z twórców współczesnej psychiatrii. Miał własny oddział, na którym badano przypadki kobiet cierpiących na napady epilepsji. Wtedy nazywano je histeryczkami, bo padaczka jako choroba nie była jeszcze zdiagnozowana. W tym niezwykłym szpitalu przez kilka stuleci odbijała się jak w lustrze historia Francji – od Ludwika IV do dziś.

Gdy wyszłam, nad Montmartre'em gromadziły się złowrogie chmury. Czyżby pogoda, po kilku dniach upałów urozmaicanych przelotnymi opadami, miała się wreszcie załamać? Wszystko wskazywało, że nadciąga burza.

Siedziałam samotnie na schodach przed bazyliką Sacré Coeur, zapatrzona w panoramę miasta. Wiał mocny wiatr. Nagle pociemniało tak bardzo, że zerknęłam na zegarek. Dopiero piętnasta. Nie miałam jeszcze zamiaru wracać do hotelu ani szukać rodziny. Nie miałam najmniejszej ochoty na tłumaczenia. Wolałam posiedzieć na schodach pod bazyliką i pooglądać niesamowite widowisko szykowane przez naturę.

Nie byłam w tym sama. Oprócz mnie tę zmianę na niebie podziwiała przynajmniej kilkadziesiąt innych osób. Na ulicach Paryża wciąż świeciło słońce, ale ponad nimi już kłębiła się ciemna czapa. Wiatr przybrał na sile, przeganiając ze stanowiska ulicznego mima, który nie dał rady wytrwać w bezruchu. Odzyskał nagle władzę w nogach, złapał kapelusz z napiwkami i uciekał co sił z miejsca, gdzie jeszcze kilka minut temu stał nieruchomy jak egipski posąg.

Ten wiatr mi sprzyjał. Był potrzebny mojej duszy i myślom, które były jak od lat niewietrzony pokój. I nagle ktoś otworzył okno...

Z niemalym trudem zapaliłam gitana, otaczając zapalniczkę dłońmi. W tej samej chwili niebo nad Paryżem przecięła ogromna błyskawica. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Podskoczyłam przerażona. Nie ja jedna. Część siedzących opodal gapiów ratowała się ucieczką w górę po schodach, w stronę bazyliki.

Choć od dzieciństwa bałam się burzy potwornie, tym razem siedziałam jak wmurowana, na przekór sobie samej.

Rąbnął kolejny piorun i wieża Eiffla przez moment zajaśniała naturalnym światłem, nie tym dostarczonym z elektrowni. Gdybym tylko mogła uwiecznić ten obraz na zdjęciach!

Wkrótce burza przejęła kontrolę nad miastem.

A ja, i jeszcze kilku desperatów, tkwiłam twardo na schodach. Tutaj nie spadła jeszcze ani kropla deszczu, choć jak na dłoni widać było dzielnice, w których lało jak z cebra.

Nagle poczułam tuż za sobą czyjąś obecność. Najwyraźniej jeszcze kogoś, podobnie jak mnie, zachwycił ten niesamowity spektakl.

– Czyż to nie piękne?

Na dźwięk znajomego głosu odwróciłam głowę.

– W rzeczy samej – odpowiedziałam Pierre'owi, synowi Napoleona.

– Nie boi się pani?

– Jakoś dziwnie nie – odparłam.

Choć w rzeczywistości bałam się jak diabli. Ot, taka pozostałość z dzieciństwa, gdy podobna burza doprowadziła mnie do łez. Siedziałam wtedy skulona pod kuchennym stołem i czekałam na powrót rodziców. Następnego dnia okazało się, że ogromna topola u sąsiadów została ścięta przez piorun. Od tamtej pory dręczyło mnie coś, co na własny użytek nazywałam „burzofobią”. Na wzór arachnofobii czy klaustrofobii. A mimo to nie odchodziłam ze schodów

pod Sacré Coeur, patrząc, jak to ogromne miasto próbuje nie ulec żywiołom.

- Ja też lubię takie spektakle... – powiedział Pierre junior.
- Jak się miewa pana przyjaciółka? – zapytałam.
- Dziękuję, już nieźle. A pani?
- Ja?
- No tak. Pytam o pani kondycję.
- Szczerze?
- A jakżeby inaczej?
- Do bani. Wszystko się sypie.

W tej samej chwili nad miastem rozbłysła jeszcze większa błyskawica. Po chwili zabrzmiał groźny pomruk.

- To zupełnie jak u mnie – powiedział Pierre. – Też wszystko w rozsypce.
- Mój przyjaciel jest w szpitalu – oznajmiłam ni w pięć, ni w dziewięć.
- A pani mąż?
- Nawet nie wiem, co teraz robi.

Bo rzeczywiście nie wiedziałam. Pierre przypomniał mi o moich bliskich. Mam nadzieję, że siedzą teraz w hotelu, przeczekując burzę. A może są w drodze do Utrilla i próbują się schronić pod jakąś markizą? Powinnam być razem z nimi, a nie na tych schodach, ale jakoś nie odczuwałam tęsknoty za całą czwórką. Tęskniłam za dawnym Paryżem, za Ewką i jej porannym narzekaniem, że znowu ma biec po bagietkę, za brakiem światła w mansardzie po Napoleonie i szukaniem kolczyka pod wanną. Tęskniłam za kolacjami na placu du Tertre z moimi przyjaciółmi, a nawet za przesłuchaniami w Prefekturze Generalnej! Stanęło mi przed oczami całe moje dotychczasowe paryskie życie.

W tej samej chwili lunął rześisty deszcz.

- Uciekajmy stąd! – zakomenderował Pierre.

Nie oponowałam. Potoki wody były tak potężne, że ledwie widziałam schody. Pierre złapał mnie za rękę i pociągnął pod górę.

Biegłam, osłaniając się dłonią, choć nie na wiele się to zdało. Byłam przemoczona od stóp do głów.

– Chcę pani coś pokazać – powiedział Pierre na ławce pod ogromnym kasztanem. Korona drzewa chroniła przed deszczem jak ogromny parasol.

– Co takiego? – zapytałam, odgarniając mokre włosy z policzka.

– To notatnik mojego ojca. I jego zapiski z ostatnich dni. Pisał w nim, że boi się Bertranda Seurata. Ale że jeszcze bardziej boi się samego siebie...

- Dlaczego nie pokazałeś tego policji podczas śledztwa?
- Jak to: dlaczego? Nie miałem pojęcia o śledztwie!

Pokiwałam głową. Możliwe.

- A mogłabym go od ciebie pożyczyć? I przeczytać na spokojnie?
- Dobrze, tylko go nie zgub.

Nagle przeszliśmy na ty.

- Oddam nieuszkodzony. Obiecuję.
- W takim razie zaczekaj chwilę. Zaraz będę z powrotem!

Przemoczona wróciłam do hotelu.

Na mój widok recepcjonista zrobił się czujny.

- Jest list do pani – oświadczył sucho i wręczył mi zaklejoną kopertę.

Podziękowałam i ruszyłam na górę. W apartamencie nie zastałam Artura. Ciekawe, gdzie on się podziewa?

Zesłałam piętro niżej, do Adama i Ani. Ich również nie było, podobnie jak Waldka kolejne piętro niżej. Najwyraźniej świetnie się bawią beze mnie.

No cóż. Jeśli nie ma wszystkich, można chyba założyć, że włączą się po mieście i nic im nie jest. Czas najwyższy pozbyć się poczucia odpowiedzialności za czworo dorosłych ludzi. Wiedzą, gdzie mieszkają? Wiedzą.

Do kolacji w Le Buffet pozostawała ponad godzina. Wystarczy, aby się odświeżyć i przeczytać dopiero co otrzymany list.

Zanim rozdarłam kopertę, poszłam do łazienki i odkręciłam kran. Jednostajny szum wody i rosnąca w wannie piana podziały jak balsam na skołatane nerwy. Tylko spokojnie, myślałam. Jestem w Paryżu. Marian mnie potrzebuje. Obiecałam go odwiedzić jutro w szpitalu. Powiedział, że chce się rozwieść z Sabine. Może mający? A Marco pewnie już wyjechał.

Wśród rozbieganych myśli pojawiły się, nie wiedzieć czemu, spotkana w metrze rosyjska primadonna i histeryczki doktora Charcot...

Zanurzyłam się w ciepłej wodzie. List zostawiłam sobie na potem.

Do licha, cokolwiek to jest, należy mi się trochę relaksu!

Wyszłam z łazienki, ubrałam się i poprawiłam makijaż, z pełną świadomością, że poprawki są najgorsze. Nigdy nie wyglądają dobrze, ale zrobiłam, co mogłam. Mimo wszystko wyglądałam lepiej niż przed powrotem do hotelu. Martwiła mnie trochę przedłużająca się nieobecność rodziny. Nie, na kolacji w Le Buffet zjawia się na pewno, pomyślałam.

Spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że czasu na lekturę listu wystarczy.

Na kopercie nie było nadawcy. Ze środka wypadła mała kartka.

„Nigdy ci nie wybaczę. To nie ja zabiłem Pierre’a Fourcheta. B.S.”

Omam nie spadłam z łóżka na podłogę! Jakim cudem ten człowiek przesłał mi wiadomość? Przecież siedzi w więzieniu, skazany prawomocnym wyrokiem za zabójstwo Napoleona! Jezu! Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

Bertrand Seurat. Człowiek, którego pojmała policja, gdy wyjeżdżałam z Paryża trzy lata temu. Kombinator, kłamca i oszust. Wskazywały na niego wszystkie dowody. Czyżby coś się zmieniło?

Nie, na pewno nie. Bertrand był winny. Jednak kiedy z powrotem upychałam liściki do koperty, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że może cała sprawa była bardziej skomplikowana, niż wyglądała. Ale co mnie to obchodzi? Do diabła, nie jestem przecież francuską policjantką, a jedną z miliona turystek odwiedzających to miasto w ciągu roku! Tylko skąd on wie, że jestem w Paryżu? I w dodatku w jakim hotelu? A może ktoś robił mi głupi kawał? Nie, charakter pisma jest znajomy... Wszędzie rozpoznalabym te charakterystyczne zawijasy. Nagle ogarnął mnie strach. Jeśli on wie, że tu jestem...

Mimo obaw ubrana w świeże ciuchy ruszyłam na kolację do Le Buffet, gdzie z ulgą stwierdziłam, że moja gromadka już wesoło gaworzy przy złączonych stolikach. Nie dość, że nic im się nie stało, to jeszcze byli w cudownym paryskim nastroju.

Pierwsza na mój widok zareagowała Anka.

– No, jesteś nareszcie! – wykrzyknęła.

Artur poderwał się i podbiegł do mnie, jakbym właśnie wróciła z zaświatów.

– Jezu! A już chcieliśmy wzywać policję!

– Nic mi nie jest. A wy?

– My zwiedziliśmy kolejny kawałek Paryża – powiedział zadowolony Adam, sącząc pierwszy (a może już drugi?) kieliszek wina z „gratisowej” butelki gospodarza. – Byłaś kiedyś w Ogrodach Luksemburskich?

– Zawsze o tym marzyłam, ale się nie złożyło.



- A my dotarliśmy tam dzisiaj. Sami. Muszę przyznać, że to cudowne miejsce.
  - Byłam u Mariana w szpitalu – usprawiedliwiłam się.
  - Co z nim? – zapytała Anka.
  - Miał ostry atak nerwicy, który objawia się podobnie jak zawał.
  - Zatem nic mu nie będzie – stwierdził raczej, niż zapytał, Adam.
  - Poza przedzrodzowym stresem chyba nic... – odparłam tajemniczo.
  - Opowiadałaś, że jest z tą... Jak jej tam?
  - Sabine.
  - No właśnie, mówiłaś, że jest z nią dzięki tobie i twojej przyjaciółce, i że bardzo dobrze im się układa. A tu nagle rozwód? – Nie dowierzała Anka.
  - Sama się dziwię. Najwyraźniej nie byli tak szczęśliwi, jak myślałam. Zamówiliście już coś? – Spróbowałam zmienić temat.
- Potencjalny rozwód Mariana wciąż był dla mnie szokiem, choć nieco mniejszym niż liścik od Bertranda Seurata. Ale o tym wolałam moim bliskim nie wspominać. Jeszcze by pomyśleli, że wpakowałam ich w sam środek kryminalnej afery. A przecież miały to być wakacje!
- Czekaliśmy z tym na ciebie – mruknął Artur.
- Waldek milczał, jak zwykle. Popijał wino, palił gitany i upajał się błogim nieróbstwem.
- A gdybym nie wróciła? Zamierzaliście umrzeć z głodu?
- Spojrzeli na mnie zdziwieni.
- Ale przecież jesteś. – Wzruszył ramionami Artur.
- Daniem dnia tego wieczoru były steki wołowe z warzywami i pieczonymi ziemniakami i po chwili wszyscy delectowali się francuską kuchnią, zapomniawszy o problemach.
- Frykasy nie cieszyły tylko mnie. Wciąż grzmiały mi w głowie słowa napisane przez faceta, którego miałam nie spotkać już nigdy w życiu.

Następnego ranka rodzina popatrzyła na mnie jak na wariatkę, kiedy przy śniadaniu w naszej kafeterii na poziomie minus jeden wręczyłam jej plan Paryża i stanowczo oświadczyłam, że kolejny dzień zwiedzania muszą sobie zorganizować beze mnie.

– Oszalałaś! – wrzasnął Artur tak głośno, że oczy pozostałych gości zwróciły się ku naszemu stolikowi. – Znowu zamierzasz nas wystawić? Ten twój Marian przecież nie umiera!

– Ciii... – syknęła Anka. – Wszyscy się na nas gapią!  
– To niech się gapią! Mam to gdzieś! Przyjechaliśmy tu razem i razem będziemy konsumować tę... wycieczkę! – prychnął ironicznie.

– Też bym wolała, ale nie mogę – powiedziałam cicho.

Nie mogłam ich wtajemniczać we wszystko. Byłoby jeszcze gorzej.

– Więc chodzi o tego kochasia?! – darł się Artur.

– Nie! – zaprzeczyłam równie głośno.

– Dobrze! Zatem cokolwiek zamierzasz dziś robić, będę ci w tym towarzyszył.

– Wolałbyś nie.

– Dlaczego? Masz zamiar kogoś zabić? A może planujesz napad na Cartiera? Nieważne, idę z tobą.

– Przyniosę jeszcze kawy – powiedziała zdezorientowana Anka i wstała od stolika. Moi bracia milczeli. Ze mną czy beze mnie podczas zwiedzania Paryża najwyraźniej bawili się znakomicie.

Anka postawiła na stoliku dzbanek.

– Komu dolać? – zapytała, próbując rozładować napięcie.

W pokoju na szóstym piętrze objaśniłam Arturowi moje plany.

Chwilę przetwarzał dane, zerkając z niepokojem. Więc jednak trochę się o mnie martwi? Z jednej strony to odkrycie mnie ucieszyło, z drugiej wolałabym, aby zostawił mnie samą.

– W niczym mi nie pomożesz, a tylko stracisz kolejny dzień. Może dziś wszystko wyjaśnię, a wtedy się jeszcze z wami powłóczę. Ale muszę to wiedzieć. Chyba to rozumiesz?

Przysiadł na skraju łóżka.

– Sam już nie wiem, co powinienem zrobić...

– Zaufać mi – powiedziałam spokojnie. Choć do spokoju było mi bardzo daleko.

– Czyli co? Spotykamy się w Le Buffet wieczorem? – Artur nie wyglądał na przekonanego.

– To mogę zagwarantować na sto procent.

– Dobrze. – Zgodził się w końcu. – Ale obiecaj mi coś.

– Co?

– Że będziesz rozsądna i ostrożna.

– Obiecuję – powiedziałam i po raz pierwszy od długiego czasu z własnej woli przytuliłam się do męża.

Niecałą godzinę później pożegnaliśmy się, kiedy cała moja trzódka wysiadła z metra na stacji Concorde, podczas gdy ja pojechałam do Châtelet. Oni zamierzali dokładniej poznać uroki alei Champs-Élysées, być może nawet wpaść do Fouqueta na małą przekąskę w porze

lunchu. Pomachałam im, a kiedy znikli mi z oczu, poczułam ulgę. Spojrzałam na zegarek: dochodziła jedenasta. Miałam całe dziewięć godzin dla siebie. Bez tłumaczenia się, gdzie jestem i co robię. I bez martwienia się o innych.

Pociąg mknął, wypełniony kolorową ludzką mieszaniną, podczas gdy ja szybko układałam w myśli strategię. Muszę odwiedzić Mariana w szpitalu, bo obiecałam. I pogadać z nim o Sabine. Może zbyt pochopnie pomyślał o rozwodzie? Ciekawe, czy Nicole już wie?, niepokoiłam się. Ale jeszcze bardziej niepokoiła mnie karteczka od Bertranda. Musiałam się dowiedzieć, gdzie siedzi i czy to możliwe, aby mnie prześladował. Trzeba zatem odwiedzić... Westchnęłam na myśl o tym człowieku.

Komisarz Antoine Guide!

Facet, który, koniec końców, okazał się porządny i bardzo mi pomógł, ale nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek drogi zawiodą mnie do niego. A jednak. Musiałam się udać do Prefektury Generalnej na Cité. A ponieważ było mi po drodze, ruszyłam prosto z Châtelet w kierunku budynku, którego miałam nadzieję już nigdy nie oglądać z bliska. Szłam w ciemno, nie mając pewności, czy komisarz Guide wciąż tam pracuje.

Wspomniawszy krucjatę sprzed trzech lat i wynikające z niej nauki, pewnym krokiem podeszłam do policjanta strzegącego wejścia do budynku. Przedstawiłam się, pokazałam dokumenty i oznajmiłam, że muszę się widzieć z komisarzem Guide'em w bardzo ważnej sprawie.

– On już tutaj nie pracuje – odparł młody flik.

A jednak!

– A gdzie go mogę znaleźć?

– Przykro mi, ale nie udzielamy informacji o prywatnych adresach byłych policjantów.

Ale może się pani zarejestrować i pójść do kogoś innego. Czego dotyczy sprawa?

Stałam zakłopotana. Jeśli nie ma tu Guide'a, nikt mnie nie zrozumie.

– Proszę pani? – Dyżurny domagał się odpowiedzi.

Na szczęście przypomniałam sobie o Catherine, młodej policjantce, która chodziła ze mną na odwiedziny do więzienia. Jak ona się nazywała...? *Merde!* Nie znałam jej nazwiska!

– A pani Catherine... – rzuciłam, udając, że usiłuję sobie przypomnieć.

– Catherine Mancini? – Uśmiechnął się.

– *Oui!* – wykrzyknęłam uradowana, jakby właśnie mnie oświeciło.

– Trzecie piętro, pokój trzysta siedem – powiedział, spisując z paszportu moje dane.

– Wspaniale! – Posłałam flikowi uśmiech.

Mancini? Nijak nie pasowało do azjatyckiej urody. Ale mogła być Włoszką w połowie albo nosić nazwisko po mężu. Tak czy owak miałam nadzieję, że to o niej mowa.

Szlaban powędrował w górę, a ja pędem ruszyłam przed siebie. Czas uciekał. Gnałam po kręconych kamiennych schodach, czując przyspieszone bicie serca. Z Ewką byliśmy tu po raz pierwszy, gdy zaaresztowano nas za „uprawianie nielegalnego procederu na placu du Tertre”, czym według francuskiej policji było rysowanie podobizn turystów. Z czegoś przecież musiałyśmy żyć! Trzy lata później przyszedł tu sama, by prosić o pomoc. Tak, ten budynek był mi naprawdę dobrze znany!

Pokój 307 odnalazłam szybko i przystanąłam pod drzwiami w obawie, że znajdę za nimi zupełnie kogoś innego niż „moja” Catherine. W końcu we Francji to popularne imię.

Zapukałam w masywne drewniane drzwi z odłóżką płacami farbą, pamiętającą chyba przedwojenne czasy.

– *Entrée!* – usłyszałam.

Za biurkiem siedziała ciemnowłosa policjantka o znajomym wyglądzie. Ta sama Catherine, z którą odwiedziłam więzienie La Santé i Emila Fleselle'a, malując po drodze usta jej szminką podczas szalonej jazdy ulicami Paryża. Była miła, mądra i skuteczna.

A na dodatek zabawna. Ucieszyłam się na jej widok.

– Catherine? – zapytałam, obawiając się, że mnie nie pamięta.

Spojrzała uważnie.

– Agnieszka?! – zawołała z niedowierzaniem. – Co ty tu robisz? – roześmiała się i wstała, by mnie przywitać.

– Szukam Guide'a. Ale podobno już nie pracuje?

– Dwa lata temu przeszedł na zasłużoną emeryturę. Teraz zapewne złorzeczy na nadmiar wolnego czasu i nudne dni na wsi, gdzie jego żona uparła się zamieszkać. Wyglądasz świetnie! Co u ciebie? I od kiedy jesteś w Paryżu?

– Od tygodnia. Niedawno wyszłam za mąż i przyjechałam w podróż poślubną.

– No, no... Moje gratulacje!

– A ty? Bo chyba dobrze widzę... Awansowałaś?

– Tak jakby. I też wyszłam za mąż.

– Mancini? – Uśmiechnęłam się. – Ładnie.

– Uśmiejesz się...

– Bo?

– Bo poślubiłam gliniarza. Pracuje w wydziale badającym stare niewyjaśnione przestępstwa, coś w rodzaju naszego Archiwum X. Jest z pochodzenia Włochem i uwielbia gotować te swoje neapolitańskie specjały. Zobacz, jak przytyłam!

Obróciła się, wypinając wciąż zgrabny brzusek.

– Wcale nie! I świetnie ci w tym mundurze.

– Dobrze, dobrze. Powiedz lepiej, co cię gryzie. Nie przyszłaś tu chyba, by prawić mi komplementy?

Zawsze potrafiła przejrzeć mnie na wylot.

– To.

Wyciągnęłam z torby list od Bertranda i podałam go Catherine.

– Skąd to masz?

– Dostałam go od recepcjonisty w hotelu wczoraj wieczorem. Ale to pismo Bertranda. Pamiętam je dobrze.

Pokiwała głową.

– Czy on wciąż siedzi? – Wolałam się upewnić.

– Oczywiście. Jest w więzieniu. Nie rozumiem...

– Ja też nie. Dlatego tu przyszłam.

– I dobrze zrobiłaś. Usiądź. – Wskazała krzesło naprzeciwko biurka. Takie samo albo nawet to samo jak za czasów Guide'a. Twarde i nieprzyjazne. Znajomy odgłos szurania metalowych nóg po wysłużonej podłodze wywołał niekoniecznie miłe wspomnienia.

– Nie ukrywam, że trochę się boję – przyznałam.

Spojrzenie Catherine wciąż było ujmujące i szczere. Nie sposób było nie wierzyć w jej uczciwość i oddanie misji.

– Zadzwoń do Guide'a – powiedziała. – Jest na emeryturze, ale jak trzeba, zawsze można na niego liczyć. Na pewno się ucieszy z pretekstu, aby choć na chwilę oderwać się od tej sielskiej nudy. I zbadamy ten liścik, obiecuję. A na razie przestań się martwić.

– Bertrand jakimś cudem dowiedział się, że jestem w Paryżu. Wie nawet, w którym hotelu. Musi mieć jakiegoś informatora, a ja nie mam pojęcia, kto mógłby to być. I to

stwierdzenie, że jest niewinny...

- Próbuje nowych sztuczek. Winę mu udowodniono.
- A jeśli...?
- Nie ma żadnego „jeśli”. To Bertrand zabił Napoleona. Kropka. A teraz być może usiłuje cię wykorzystać, żeby doprowadzić do wznowienia procesu.
- A wiesz, że Napoleon ma syna? – zapytałam zniecierpliwiona.
- Co takiego? – Catherine zmrużyła skośne oczy. – O czym ty mówisz?
- Spotkałam go przypadkiem nocą na Montmartrze. Na początku też nie wierzyłam. Opowiedziałam jej o Pierze. Catherine nie przerywała, tylko kiwała głową. Kiedy skończyłam, zamyśliła się głęboko.
- Mówisz, że ten chłopak spotkał się z ojcem tuż przed jego śmiercią?
- Tak mi powiedział. Dał mi też notes z zapiskami Napoleona, ale jeszcze go nie przejrzałam.
- Masz ten notes?
- Zostawiłam w hotelu.
- Chciałabym do niego zajrzeć.
- Dobrze, dostarczę ci go.

Zamyślona, podeszła do okna, tak samo, jak kiedyś Antoine Guide. Widok miała iście niebiański – stojącą od setek lat niesamowitą budowlę: katedrę Notre-Dame.

Umówiliśmy się, że pozostaniemy w kontakcie. Ona zadzwoni do Guide’a, a jak się czegoś dowie, zostawi mi wiadomość w hotelu. Rozstałyśmy się kwadrans po pierwszej, więc gdy wyszłam na ulicę, światło omal mnie nie oślepiło. Nie miałam czasu na dziękczynne modły w katedrze, więc tylko omiotłam tęsknym spojrzeniem jej niezwykłą fasadę i popędziłam mostem na lewy brzeg Sekwany.

Prosto do szpitala, gdzie leżał Marian.

Panience w recepcji oświadczyłam beczelnie, że jestem jego kuzynką z Gdańska i nie po to jechałam taki kawał drogi z Polski, żeby się z nim nie spotkać. Podziałało. Najwyraźniej w Paryżu wystarczał dar do wymyślania stosownych kłamstw. Sześć lat temu miałyśmy go z Ewką niejako wszczepiony w nasze paszporty, z biegiem lat jednak stałam się ostrożniejsza i bardziej praworządna. Gdzie podziała się moja studencka fantazja? A swoją drogą, powinnam w końcu wejść do jakiejś budki i zadzwonić do Ewki. Ale będzie sensacja, jak jej powiem, że Marian chce się rozwieść! A jak się jeszcze dowie, że Bertrand prześladowuje mnie, to zaleci mi zapewne wizytę u psychiatry!

Wjechałam windą na trzecie piętro i odszukałam salę Mariana.

Wciąż leżał podczepiony do rurek i monitorów. Spał.

Podeszłam do łóżka i delikatnie ujęłam wychudzoną dłoń. Tydzień temu, tuż po moim przyjeździe do Paryża, Marian wyglądał zdecydowanie lepiej. Teraz żal było patrzeć.

Otworzył oczy.

- Aga?
- Jak się czujesz?
- Nie wierzyłem, że przyjdiesz – wyszeptał z uśmiechem.
- Jakże mogłabym nie przyjść? Nie pamiętasz, jak ratowałeś mnie z każdej opresji? Zaśmiał się i jednocześnie zakasłał.
- Przynajmniej czułem, że żyję – wychrypiał.
- Nie mów tak. Zawsze sprawiałam same kłopoty.
- Naprawdę chcę się rozwieść z Sabine...

Milczałam. A więc nie mówił tego pod wpływem gorączki...

– Aga?  
– Tak?  
– Próbowałaś nas ku sobie zbliżyć. Doceniam to. Ale nawet ty nie jesteś w stanie pogodzić wody z ogniem.

– A Nicole? – Wyrwało mi się.

– Była tu wczoraj. Powiedziałem jej to samo.

– I co?

– Jest dorosła. I chyba rozumie... – powiedział, z trudem łapiąc oddech.

Oslabł. Jego dłoń wysunęła się z mojej.

– Marian? Co się dzieje? – krzyknęłam.

Usłyszałam dzwonek, po którym natychmiast podbiegła pielęgniarka, odsuwając mnie na bok. Wycofałam się jeszcze bardziej na widok lekarza. Przez chwilę stałam z boku, patrząc, jak oboje sprawdzają odczyty na monitorze i serwują Marianowi zastrzyk. Widziałam jego bladą twarz, gdy odchodzili. Może jednak kłamał, że to tylko nerwica?

Zasnął. A ja nie zamierzałam go dłużej męczyć.

Opuszczałam mury zabytkowego Salpêtrière z mieszanymi uczuciami. Marian jest chyba bardziej chory, niż sądziłam. A Sabine najwyraźniej nie ma zamiaru go odwiedzić!

Byłam smutna, dezorientowana, wściekła i... głodna. A głód w Paryżu oznaczał tylko jedno: przymus poszukania najbliższej restauracji. Musiałam coś zjeść, aby dalej myśleć racjonalnie. Snułam się po lewym brzegu, po uliczkach, których nigdy wcześniej nie dotknęła moja stopa, aż w końcu trafiłam na miły lokalik. Usiadłam przy oknie i bez zagłębiania się w menu zamówiłam *plateau du jour*.

Po kwadransie kelner postawił przede mną coś, czego nie byłam w stanie nazwać, ale pachniało bosko. Kluseczki z gulaszem i warzywami. Jadłam, spoglądając przez szybę. Ludzie spacerowali z aparatami na szyi, darły się dzieci, gołębie dziobały resztki bagietek na pobliskim skwerku. Lewobrzeżny Paryż zawsze mnie inspirował. Przypomniałam sobie jeden z maleńkich zaułków, Cour de Rohan, gdzie przypadkowo wdepnęłyśmy z Ewką w martwego szczura i omal nie padłyśmy z przerażenia, a chwilę później ujrzałyśmy niewielką kamienicę, zabita deskami, z małą tabliczką przybitą do muru. Oznajmiała ona zbłąkanym turystom, że właśnie w tym domu mieszkał słynny profesor Joseph Guillotin. Włosy stanęły nam dęba...

Spożywałam lunch, nie przestając myśleć o Napoleonie. Dlaczego przez tyle lat nie interesował się synem? Przecież tak bardzo chciał mieć dziecko z Sophie... Może naprawdę nie wiedział o jego istnieniu? Zastanawiałam się, czy Pierre jest naprawdę tym, za kogo się podaje. Ale podobieństwo było zbyt uderzające. Skąd zresztą wziąłby notatki ojca? I dlaczego dał mi je do przeczytania?

Kelner zaproponował deser, ale nie miałam już miejsca w brzuchu. Poprosiłam o *l'addition* (urocze francuskie określenie rachunku, dosłownie „dodatek” do tego, co zjadłam) i czekałam, obserwując starszą panią spacerującą z ogromnym rudym kotem na smyczy.

Wysłałam z knajpki przyjemnie posilona i pełna nowej energii. Na zegarku była druga czterdzieści.

Kiedyś, gdy w Paryżu dopadały mnie problemy nie do rozwikłania, w kłopotach pomagał mi Marian, który teraz leżał w nieziemsko eklektycznym szpitalu i sam potrzebował wsparcia. Gdzieś daleko włóczyła się po mieście moja rodzina: dwaj bracia, bratowa i mąż, a ja wciąż nie mogłam uwierzyć, że jestem po ślubie. Dopiero tutaj dotarła do mnie ta okrutna prawda. Mężatka. Co z tego, jeśli się nią nie czułam? Jakby Paryż udzielił mi dyspensy...

Idąc, rozglądałam się po wcześniej nieodwiedzanej okolicy, aż wreszcie dotarłam do bulwaru nad Sekwaną, gdzie z radością powitałam małe stateczki pływające po

ciemnogrnatowej tafli. Ruszyłam nabrzeżem, próbując nie myśleć o problemach, ale nic z tego. Nie pomogło ani sierpniowe słońce, odbijające się w elewacjach budynków i w wodzie, ani chwilowe odprężenie wynikające z rzadkiej chwili sam na sam z miastem. Dochodziła trzecia. Pozostało mi jeszcze pięć godzin luzu.

Marco wyjechał nad ocean. Och, wiele bym dała, aby móc w ciągu tych pięciu godzin odwiedzić go w La Baule! Choćby przez moment. Ale to nie było realne, w przeciwieństwie do tego, co działo się tu i teraz. Więc może Nicole? Przystanąłam na rozświetlonym brzegu i poszperałam w torbie. Gdzieś przecież mam zapisany adres jej studia. Gdzieś tutaj, na lewym brzegu... Był. Wyciągnęłam pomiętą kartkę.

Quai Saint Michel.

Po kilometrze, może dwóch we wczesnopopołudniowym słońcu znalazłam się na skwerze Saint Michel. Szłam wzdłuż przepięknych kamienic, aż natrafiłam na sztyl, którego szukałam.

Oto jej wymarzona firma, o której opowiadała mi z takim entuzjazmem kilka lat temu. A jednak postawiła na swoim! Zawsze pełna energii, zapału i wdzięku, szalona rudowłosa Nicole...

Nad wejściem do zabytkowej budowli z białego piaskowca widniał jak wół napis: „Beauty XXL”. Logo, które z pewnością innych projektantów, jak choćby Carla Legranda, kusilo, by wdeptać je ziemię. Nicole, choć sama szczupła w rozmiarze 36, jeszcze w Mediolanie postanowiła, że ze swoim ukochanym Mario przełamie stereotypy w świecie mody. Dowodził tego ich pokaz w Galerii Lafayette.

Weszłam do budynku i znalazłam się w ogromnym marmurowym foyer. Przez chwilę zastanawiałam się, czy moje dzinsy nie zostaną tu potraktowane jak metal w bramkach i nie zostaną wypluta z powrotem na ulicę w charakterze profana. Ale nie. Młoda dziewczyna, o kształtach całkiem nieprzypominających Twiggy, zapytała o cel wizyty. Miała miłą buzię i dołeczki w policzkach. Wyjaśniłam najkrócej, że jestem przyjaciółką Nicole i chcę się z nią zwyczajnie zobaczyć.

- Szefowa jeszcze nie wróciła z lunchu – odparła pulchna recepcjonistka.
- A mogę na nią zaczekać?

Przed kilkoma godzinami postanowiłam, że pójdę na całość. Jak dawniej z Ewką. Skoro sprawdzało się to wówczas, powinno i teraz. Moja uśmiechnięta mina była jak propozycja nie do odrzucenia.

- Zaprowadzę panią do poczekalni – oświadczyła dziewczyna po krótkim wahaniu.

Po chwili spoglądałam na Sekwanę przez ogromne okna, pijąc małą czarną, dostarczoną na polecenie panienki z recepcji.

Usiadłam w obitym kwiecistą tkaniną fotelu i podziwiając zdjęcia na ścianach, czekałam. Wszystkie pochodziły z pokazów Nicole. Zgrabne modelki w rozmiarach zakazanych z wielką gracją prezentowały zwiewne i eleganckie kreacje. Tak, misja Nicole była trafionym pomysłem...

Nicole zjawiła się w biurze, zanim moja kawa zdążyła wystygnąć.

- W recepcji powiedziano mi, że mam gościa, ale nie spodziewałam się ciebie – powiedziała.
- Musimy pogadać – oznajmiłam stanowczo.

– Wiem, czego on chce. Ale chyba mu odbiło – stwierdziła Nicole, gdy opowiedziałam jej o zamiarach Mariana.

– A nie sądzisz, że na ratowanie małżeństwa twoich rodziców było za późno już wtedy?

Spojrzała na mnie wrogo.

– Aga, daj spokój. Po co się w to mieszasz?

– Wybacz, nie powinnam. Ale byłam dziś u twojego ojca w szpitalu. Mówił, że...

– Może lepiej zajmij się własnym małżeństwem! – wypaliła.

Celniej nie mogła trafić.

– Przepraszam, Nicole, masz rację. Ale tak czy inaczej martwię się o Mariana. Kasłał dziś okrutnie. I zasłabł na moich oczach.

– Co takiego? – zawołała przestraszona.

– A ty kiedy u niego byłaś?

– Wczoraj. A lekarz mówił, że nie ma powodu do niepokoju.

– A mnie przegoniła dzisiaj pielęgniarka. I wyglądało to groźnie.

Nicole opadła na krzesło.

– Wybacz, Aga – powiedziała po chwili. – Nie potrafię sobie z tym poradzić.

– Rozumiem.

– Jak mnie tu znalazłaś?

– To nie było trudne.

– Och, rzeczywiście. Jutro zajrzę do ojca. A skoro już tutaj jesteś... Masz ochotę obejrzeć moje studio?

– Pytasz, czy mam ochotę? – odparłam zdziwiona.

Modowe imperium Nicole zajmowało całe dwa ogromne piętra. Na górze znajdowały się biura i osobne pokoje dla projektantów, wizazystów i krawców, piętro niżej ogromne atelier fotograficzne i niezliczone sale wypełnione kreacjami.

– A gdzie twój Mario? – zapytałam, podziwiając ciuchy z nowej, jeszcze nieprezentowanej przyszłorocznej kolekcji.

– Wyjechał na kilka dni do Mediolanu.

– Jesteś z nim szczęśliwa? – drażyłam.

I natychmiast zrobiło mi się głupio. Nie powinnam o to pytać.

– Chyba tak – odparła po chwili namysłu.

Gdy kobieta nie odpowiada na takie pytanie szybko i jednoznacznie, nie jest dobrze...

Wróciłyśmy do gabinetu. Przy kieliszku czerwonego wina zaczęłyśmy wreszcie rozmawiać jak dawniej.

– Moi rodzice nigdy do siebie nie pasowali – stwierdziła.

– Więc pozwól im na rozwód.

– Przecież im nie zabraniam! – zachnęła się.

Opróżniłyśmy kieliszki. Postanowiłam wyjść, zanim zaczniemy się pocieszać na dobre.

– Zajrzysz jutro do mojego ojca? – zapytała Nicole, gdy już stałam w progu.

– A ty?

– Będę u niego w południe.



– Zatem ja też.

Czułam się, jakbym dźwigała na plecach stukilogramowy worek. Trwał piękny, słoneczny dzień, po gładkiej toni Sekwany sunęły statki, a mnie przygniatało ku ziemi. No cóż, nie spodziewałam się, że w obecnej sytuacji mój widok ucieszy Nicole. Ona robiła swoje i całkiem dobrze jej to wychodziło, ale sprawy rodziców rozstrajały ją kompletnie.

Do kolacji w Le Buffet pozostały cztery godziny.

Dotarłam do ulubionego Pont des Arts. Najwyższy czas na decyzję, jak je zagospodarować? Pospacerować wśród bukinistów? Po raz kolejny odwiedzić Musée d'Orsay? Zaledwie o kilka kroków, ale niedługo zamykają. Zawrócić, pójść do Notre-Dame i zapalić świeczkę za zdrowie Mariana? Możliwości było wiele, ale zmęczona pieszą wędrówką miałam dość. Znalazłam najbliższe metro i pojechałam w kierunku Montmartre'u. Wysiadłam na Abesses i resztką sił powlokłam się do hotelu.

W lobby nie było nikogo, nawet recepcjonisty. Wjechałam miniaturową windą na górę, otworzyłam kluczem drzwi do pokoju 63 i padłam na łóżko. Po raz pierwszy za dnia ujrzałam sufit naszego apartamentu. Cały był w rysach i pęknięciach.

Podobnie, jak moje serce.

Nad głową miałam splekany sufit starego hotelu, za oknem skrawek paryskiego nieba, a przed sobą kilka godzin beztroski, które marnowałam w pokoju. Nagle poczułam się straszliwie samotna. Nie miałam do kogo pójść ani z kim pogadać. Nie wiedziałam, gdzie są w tej chwili moi bliscy. Chętnie bym do nich dołączyła, tylko gdzie ich szukać?

Nicole nie była szczęśliwa, Marian leżał w szpitalu, Catherine pewnie jeszcze nie zadzwoniła do Guide'a, a Ewka miała swoje życie w Stanach.

Samotność w Paryżu jeszcze nigdy nie dopadła mnie z taką siłą.

W dodatku tak bardzo tęskniłam za Marco i jego hondą!

Co ja właściwie robię?, zadałam sobie pytanie. Kim jestem? Mężatką unikającą Artura dwa tygodnie po ślubie? Prawda nie była miła.

Z trudem zwlokłam się z miękkiego materaca i poszłam do łazienki. Spojrzałam w lustro. Rozmazany makijaż, mokre oczy.

– *Merde!* – krzyknęłam.

I wtedy ktoś zapukał do drzwi. Przeszły mnie ciarki. Bertrand uciekł z więzienia?

– Kto tam? – zapytałam ostrożnie.

– To ja, Clementine. Mogę wejść?

– Oczywiście – odparłam z ulgą.

Chyba nie przyszła służbowo, pomyślałam, kiedy stanęła w przedpokoiku, jeśli można tak było nazwać maleńką niszę przy wejściu.

– Wejdz, proszę – zachęciłam ją, czując przez skórę nadciągające kolejne nieszczęście. Clementine rozejrzała się dokoła, prawdopodobnie z zawodowego nawyku.

– Niczego pani nie brakuje? – zapytała.

– No cóż... Wolałabym zamienić Utrilla na Ritza – zażartowałam. – Nie, niczego.

Odpowiedzią był lekki uśmiech.

– Przyszłam do pani, bo w zasadzie mam mały problem... – Zaczęła nieśmiało.

– Clementine – przerwałam. – Znamy się nie od dzisiaj. Usiądź, proszę, i mów wprost, o co chodzi. – Powtórzyłam niemal słowo w słowo kwestię sprzed lat.

Przysiadła na skraju łóżka.

– Co się stało? – Patrzyłam prosto w jej ogromne ciemne oczy. Bujnymi kręconymi włosami mogłaby obdzielić kilka innych kobiet.

– On znowu mnie prześladowuje! – jęknęła.

– Kto?

– Nie wiem! Pewnie ten sam facet, co trzy lata temu! Zmusił mnie, abym przekazała pani ten liścik!

Po plecach przeszedł mi dreszcz.

– Bertrand nie mógł tego zrobić, bo siedzi w więzieniu! – krzyknęłam.

– Bo to nie był on we własnej osobie, tylko jakiś inny. Ale wyraźnie powiedział mi, że to od pana B.S. i że mam go pani dostarczyć. Zostawiłam list w recepcji, ale...

– Jak on wyglądał?

– Młody, wysoki, jasne włosy. Krótko go widziałam.

– Był sam?

– Tak.

– A umiałabyś go opisać dokładniej? No wiesz, tak żebym mogła go narysować.

– Myślę, że tak. Kto to taki? Czy pani wie?

– Nie, ale chętnie się dowiem. To co? Siadamy do portretu?

– Jeśli to ma w czymś pomóc... – odparła zdenerwowana Clementine. – Dobrze. Opiszę go pani najlepiej jak potrafię.

– Tyle że nie mam na czym rysować... – Przypomniałam sobie mały sklepik przy rue Norvins z przyborami dla artystów. – Zaczekasz na mnie chwilę? – zapytałam.

– A pani dokąd?

– Kupię tylko papier i ołówki. Za chwilę będę z powrotem. Zaczekasz?

– Okej. – Niechętnie skinęła głową. – Mogę w tym czasie zmienić pościel.

– Nie trzeba. Była wymieniana rano.

I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą zastanawiałam się, jak spędzić wolny czas!

Ostatnio w sklepiku dla malarzy byłam sześć lat temu, z Ewką, po nasze pierwsze szkicowniki i czarne węgle, bo na pastele nie było nas stać. Zrobiliśmy z nich użytek na placu du Tertre, aż zwinęła nas paryska policja. To były czasy!

Nic się w nim nie zmieniło. Wciąż kusił kolorami, pędzlami, czerpanym papierem. Mogłabym w nim spędzić resztę życia, ale kupiłam tylko najtańszy blok w formacie A3, miękkie ołówki i gumkę. Miałam nadzieję, że Clementine wciąż na mnie czeka.

Czekała.

– Jestem – oznajmiłam, wpadając do pokoju jak tornado. – Opiszesz mi tego gościa?

– Skoro obiecałam...

– Więc mów.

Usadowiłam się wygodnie przy toalecie i poczułam się jak przed laty. Ale tym razem nie portretowałam z natury. Miałam narysować człowieka, którego nie znałam.

Clementine zaczęła niepewnie, ale rozkręciła się i praca poszła sprawnie. Ja rysowałam, wymazywałam i poprawiałam. Skończyłam, spojrzałam na własne dzieło krytycznie i zdębiałam.

– I jak? – zapytała Clementine. – Coś z tego wyszło?

– Owszem.

– Zna pani tego mężczyznę?

– Nie wiem. Raczej nie – skłamałam. – Ale dziękuję ci za dokładny opis.

– To ja już pójdę. Powinam już dawno być w domu.

– Dzięki, Clementine – powiedziałam na do widzenia.

Zamknęłam za nią drzwi i przerażona padłam na łóżko.

Sporządzony przed chwilą portret ustawiłam na toalecie. Nie mogłam oderwać od niego wzroku.

Wszystko było jasne. Nawet ktoś kompletnie pozbawiony wyobraźni nie mógłby zaprzeczyć, że na rysunku widnieje twarz Pierre'a.  
Syna Napoleona.

Od domysłów aż zakręciło mi się w głowie. Czy Pierre może mieć cokolwiek wspólnego z Bertrandem? A jeśli tak, to co? Powinnam natychmiast skontaktować się z Catherine! Nie, o tej porze nie ma jej już w pracy. Zaczekam do jutra, postanowiłam.

Do kolacji w Le Buffet pozostały już tylko dwie godziny. Moi bliscy najpewniej świetnie się bawili, zwiedzając Paryż, więc i ja powinnam zrobić coś dla siebie. Dla równowagi.

Na myśl przyszła mi pani Natasza, primabalerina z metra. Zapraszała mnie przecież na herbatkę. A może...?

Wyciągnęłam z torebki kartkę z adresem. Rue Norvins? Tam, gdzie sklepik dla artystów? Niemal po sąsiedzku z paryskim lokum Marco? Kolejny dziwny zbieg okoliczności...

Przebrałam się w świeżą bluzkę, poprawiłam makijaż i zbiegłam po kręconych schodach hotelu Utrillo, nie czekając na powolną windę.

W recepcji siedział znużony Jacques.

Na wciąż rozgrzanej popołudniowym słońcem ulicy od razu poczułam się lepiej i ruszyłam, w stronę mojego ukochanego placu du Tertre. Wprawdzie bez papieru i węgla, ale i tak z radością. Bieg pod górkę ku temu wyjątkowemu miejscu zawsze sprawiał mi radość. A prowadziła doń brukowana ulica o nazwie Norvins. Pełna sklepików i galerii, była swoistą wizytówką Montmartre'u. To przez nią przetaczał się każdego dnia tłum żądnych pamiątek turystów. Można było trafić zarówno na sztukę, jak i na tandetę. Miniaturowe wieże Eiffla po dwadzieścia franków, pocztówki, koszulki z nadrukowanymi widokami Paryża albo plakatami Toulouse-Lautreca. I jedna witryna, niezmiennie dołująca mnie od lat: lalki. Smutne kukły z łezką pod okiem, wiszące na wystawie i spoglądające na przechodniów ogromnymi, pustymi oczami. Zawsze na ich widok ogarniał mnie lęk.

Dom pani Nataszy znajdował się tuż obok. Stałam przed pomalowanymi na niebiesko drzwiami i szybko przebiegłam wzrokiem listę lokatorów.

Natasza Popowa? To musi być ona. Przycisnęłam guzik domofonu i odczekałam chwilę, ale nikt się nie odezwał. I wtedy sobie przypomniałam. „Nie między piątą a szóstą, bo wtedy karmię gołębie”. Dochodziła szósta.

Trudno, pomyślałam, herbatkę u byłej primabaleriny mogę sobie darować i postanowiłam zabić czas do kolacji, oglądając dzieła miejscowych portrecistów. Przyłapałam się na myśli, że zaczyna brakować mi bliskich. Chciałam z kimś pogadać o synu Napoleona, o Marianie i Nicole. Tak bardzo potrzebowałam kogoś, kto zastąpiłby mi Ewkę! Tylko czy oni by mnie zrozumieli? Może Anka...

Nagle przed moimi oczami zmaterializowała się budka telefoniczna. Ta sama, z której kiedyś wydzwaniałyśmy z Ewką za darmo. Szybko przeliczyłam różnicę czasu i wyszło mi, że w Ameryce jest wczesne popołudnie. Mojej przyjaciółki pewnie nie ma jeszcze w domu, ale co szkodzi spróbować?

Zaczekałam, aż rozmowę skończy młoda Japonka z nikonem na szyi, sprawdziłam monety. Na szczęście miałam kilka. Wybrałam numer w Chicago i po chwili, ku swej niebywalej radości, usłyszałam jej głos.

- Ewka? To na pewno ty?
- Aga?

– Myślałam, że o tej porze nie ma cię w domu.  
– Jestem. I od dwóch godzin czekam na pieprzonego hydraulika! Wczoraj pękła rura na osiedlu i nie mamy wody. Musiałam wziąć dzień wolnego! A co tam w Paryżu? Bo jesteś tam jeszcze, prawda?

– Nie dam rady opisać ci tego w kilku słowach. Być może ze śmiercią Napoleona związany jest ktoś jeszcze.

– Zwariowałaś? Przecież śledztwo wykazało...

– Wiem, Ewka, co wykazało śledztwo. Ale uwierz, to jeszcze nie koniec!

– Cholera! Przyjechałabym, gdybym mogła. Ale nie mogę. Wybaczysz?

– Wybaczam! – roześmiałam się.

– Nawet nie wiesz, jak tęsknię! Ale mów. Czy ktoś inny zabił naszego kloszarda?

– Tego nie wiem. Ale jego syn zachowuje się podejrzanie.

– Boże! Powinnaś iść z tym na policję – zasugerowała Ewka.

– Już byłam. I pójdę jeszcze raz.

– A twoja podróż poślubna? – Zmieniła temat.

– Coraz bliżej rozvodu! – jęknęłam.

Ewka roześmiała się. Uznała moje słowa za żart.

– Mówię poważnie – dodałam.

– Więc spotkałaś Marco? – Pojęła.

– Tak, ale...

– Aga! Możesz mi powiedzieć, co jest grane?

– Pogubiłam się – wyznałam przez ściśnięte gardło.

– Mogę ci coś doradzić? – zapytała ostrożnie.

– Właśnie tego potrzebuję.

– Masz jedno życie, Aga. Nie przegap go, bo...

Automat przerwał w pół zdania, zanim zdążyłam powiedzieć Ewce najważniejsze. Że Paryż bez niej jest jak bagietka bez serka gervais.

– *Merde!* – zakląłam siarczyście, trzaskając ciężką słuchawką.

Czekający w kolejce mody mężczyzna posłał mi pełen zrozumienia uśmiech.

Usiadłam pod ogromnym kasztanem na skraju placu du Tertre, na tej samej ławeczce, na której Napoleon raczył nas swoimi opowieściami. Spojrzałam w niebo. Płynęły po nim białe obłoczki. Jakby nic się nie zmieniło.

Paryż był taki sam jak wtedy, jak sto lat temu. Miasto trwało, pełne brukowanych zaułków i światła, wydobywającego z mroku jego urok. Ten sam gwar, te same aromaty. To właśnie było w nim najpiękniejsze. To, że pomimo upływu czasu pozostawał sobą. Miastem konglomeratem, Japończyk, Niemiec, Polak i Amerykanin siedzieli pod tą samą markizą i z podobnym zapałem delektowali się francuską kuchnią. Tu nikt nikogo nie traktował z góry. Nie liczyły się różnice kulturowe ani kolor skóry. Nikt nikogo nie pytał o polityczne sympatie. Nikt nie dyskryminował mnie dlatego, że przyjechałam z kraju, gdzie jedzenie kupowało się na kartki, a wolność słowa była marzeniem.

Tak, Paryż wciąż był taki sam.

To ja się zmieniałam.

Rozejrzałam się dokoła.

Na moim starym miejscu pracowało dziś kilkoro rysowników, ale policji jakoś nie było widać. Prawdę mówiąc, młodzi gliniarze, którzy zwinęli swego czasu mnie i Ewkę, chcieli nas raczej poderwać, niż aresztować, a do Prefektury Generalnej trafiłyśmy tylko dlatego, że jakiś debil niechcący rozlał na trzynastym posterunku gaz łzawiący. Gdyby nie tamten przypadek, nie

poznałabym zapewne komisarza Guide'a. A gdybym go nie poznała, być może skończyłabym jak Napoleon.

Brzuchem do góry w Sekwanie.

Wyciągnęłam z torby paczkę gitanów, zapaliłam i od razu poczułam się lepiej.

I wtedy ją zobaczyłam. Karmiła gołębie po drugiej stronie skweru. Siedziała na ławeczce jakieś dwadzieścia metrów ode mnie i rzucała ptakom okruchy z wdziękiem godnym byłej tancerki. Poderwałam się natychmiast.

– Mogę się przysiąść? – zapytałam.

Spojrzała pod słońce, wciąż ostre, choć powoli zaczynało nikać za horyzontem.

Zmrużyła oczy i rozpoznała mnie natychmiast.

– Agnieszka?

– Szukałam pani na rue Norvins...

– Przecież mówiłam ci, moje dziecko, że o tej porze karmię gołębie – powiedziała spokojnie.

– Ale nie powiedziała mi pani gdzie – odparłam.

– Siadaj. – Poklepała szczerzą dłońią miejsce na ławeczce.

Skorzostałam z zaproszenia i zapatrzyłam się w stadko gołębi kręcące się pod naszymi stopami.

– Ten z ciemnym ogonem to mój ulubiony – powiedziała pani Natasza po chwili. –

Nazwałam go Pierre. A ta samiczka, tam obok, ta z jasnym upierzeniem, to jego żona Clarisse.

Pierre i Clarisse mają całe mnóstwo dzieci. One też przylatują. O tam, spójrz. Na tego z boku, który kręci się i boi podejść bliżej. To ich syn. Nazwałam go Pierre Drugi, w końcu to następca – roześmiała się. – Ma takie śliczne upierzenie, szaroniebieskie, po matce i ojcu. Ale jest stanowczo zbyt nieśmiały. Zobacz! Inne wydziobują mu okruszki! Trochę się o niego martwię! – powiedziała, podrzucając ptakom kolejną porcję karmy z papierowej torebki.

Po raz pierwszy w Paryżu obserwowałam gołębie! I zauważyłam, że różnią się od siebie, podobnie jak ludzie. Nie było dwóch identycznych. Kręciły się, gruchając, po bruku.

– Pierre Drugi? – zapytałam, aby upewnić się, że starsza pani nie żartuje.

– A co, nieładnie?

Pokręciłam głową. Czemu nie? Sama znałam kiedyś Pierre'a Fourcheta, a całkiem niedawno zawarłam znajomość z jego synem, też Pierre'em. Ciekawy zbieg okoliczności...

– A jak pani badania? – zainteresowałam się uprzejmie.

– Och, te w szpitalu? W porządku. Jeszcze się do grobu nie wybieram – zaśmiała się cichutko.

W tej samej chwili Pierre Drugi odepchnął konkurencję od sporego kęsa bułki.

– Widziała pani? On wcale nie jest taki nieśmiały! – wykrzyknęłam.

Ujrzałam radość na pomarszczonej twarzy staruszki. Przez chwilę próbowałam wyobrazić sobie tę kobietę za młodu, na scenie, w blasku teatralnych jupiterów. Zapewne była piękna. Jej rysy pozostały delikatne i pełne wdzięku.

– A co u pani przyjaciela? – Zrewanżowała się pytaniem, nie przerywając karmienia pierzastego stadka.

– Chyba nie najlepiej – odparłam.

Biedny Marian. Jutro koniecznie trzeba do niego zajrzeć!

Pierre Drugi najwyraźniej się rozzuchwalił. Wydziobywał prawie wszystko, co upadało w zasięgu jego dzioba.

– Dobrze choć, że ma przyjaciół – powiedziała pani Natasza ze smutkiem w głosie.

Pojęłam, że te gołębie to jej jedyni bliscy.

Starość się Panu Bogu nie udała, pomyślałam.

Nad plac du Tertre znieńcka nadciągnęły ciemne chmury. Wiatr poderwał kartki rysowników, niezbyt dobrze przypięte do sztalug, i pierwsze opadłe liście. Wirowały jak maleńkie papierowe samoloty. Gołębie odfrunęły, pani Natasza spojrzała w niebo.

– Znosi się na burzę – oznajmiła.

– Chyba tak.

– Ma pani ochotę na dobrą herbatę? – zapytała.

– W pani towarzystwie? Oczywiście. Bardzo.

– W takim razie idziemy. Bo za chwilę pofruniemy jak te ptaki – zachichotała, podnosząc się z ławki.

Mieszkanie pani Nataszy było maleńkie, podobnie jak inne na Montmartrze, ale miało niezwykły klimat. Wypełniały je wspomnienia. Na każdej ścianie widniały fotografie, a na nich młoda gospodyni. Nie pomyliłam się co do jej urody. Podczas gdy pani Natasza robiła w niewielkiej kuchni herbatę, ja wodziłam oczami po jej życiu zastygłym na czarno-białych zdjęciach. Jedno spodobało mi się szczególnie – baletnica zawieszona na rękach partnera jaśniała nad sceną jak piękny biały ptak. Lekko podświetlona od tyłu, w sukience jak poranna mgła. Pani Natasza frunęła jak gołąb.

Usiadłam na wiekowej kanapie, bardzo wygodnej, choć mocno wypłowiałej, i cieszyłam się, że mogę być tu gościem. I pomyśleć, że w pierwszej chwili zlekceważyłam staruszkę. Cóż, pierwsze wrażenie bywa mylne. Napoleon też wydawał się zwykłym kłozardem, a okazał się profesorem Sorbony.

– Z cukrem i cytryną? – Wyrwała mnie z zamyślenia.

– Poproszę.

Siedziałyśmy, popijając herbatę. Gospodyni się rozgadała. Odpowiadała na pytania, wspominała czasy młodości i męża.

– Bo tutaj mam swoje gołąbki – odparła, zapytana, dlaczego na stałe osiadła w Paryżu.

– A w Rosji nikt już o mnie nie pamięta.

Powiedziała „w Rosji”, jakby tam nie było rewolucji. Jakby nie powstał Związek Radziecki.

– Do Sowieców też mnie nie ciągnie – dodała, gwoli wyjaśnienia.

Rozstałyśmy się z trudem po niemal dwóch godzinach pogawędki o życiu, sztuce, mężczyznach i chorobach. Obiecałam jej serdecznie, że jeszcze się spotkamy. Naprawdę polubiłam tę starszą panią i jej towarzystwo.

Tymczasem jednak musiałam pędzić na kolację do Le Buffet.

Znów się spóźniłam.

Artur na mój widok wstał z krzesła.

– Dość tego, Aga! – podniósł głos. – Gdzie, do jasnej nędzy, się włóczyłaś? Naprawdę nie mogłaś choć zdążyć na kolację?

Spojrzałam na pozostałych. Adam i Anka najwyraźniej byli we wspaniałych nastrojach. Waldek popijał wino, nie narzekając na moją nieobecność. Pieklił się tylko Artur.

Usiadłam.

– Już zamówiliście? – zapytałam, ignorując wrzaski męża.

– Danie dnia – odezwał się mój młodszy, zwykle nic niemówiący brat. – Ciekawe, co tym razem podadzą? Może gołąbki? – roześmiał się.

– Odwalcie się od gołąbków! – syknęłam.

Spojrzelili na mnie jak na wariatkę. Nie po raz pierwszy zresztą. Zamilkł nawet Artur.

– Siostra, wiemy, że masz swoje sprawy. Ale nie przeginaj – odezwał się Adam, mój

autorytet od zawsze. – Przyjechaliśmy tu razem i razem wyjedziemy. Za pięć dni. Bo tylko tyle nam zostało. Więc spędźmy trochę czasu razem i się nie kłóćmy.

Nawet nie próbowałam się tłumaczyć. Wprawdzie Artur patrzył na mnie wilkiem, ale wkrótce, na szczęście, kelner przyniósł jedzenie i spory poszły na bok. Nie były to gołąbki, ale jagnięcina duszona w warzywach. Umierałam z głodu.

Po deserze i piątym kieliszku wina zebrałam się na odwagę.

– Jutro muszę być na policji. Przepraszam, ale Paryż nadal zwiedzacie beze mnie.

W hotelu, kiedy wreszcie zostałam sama z mężem, Artur wściekł się na dobre.

– Policja? Daj sobie spokój! To nie twoja sprawa! – krzyczał, aż bałam się, że zbudzi całą okolicę. – Nie mogę się doczekać powrotu do rzeczywistości! Bo tutaj najwyraźniej ci odbija!

Zasnęłam nad ranem, kiedy za oknem już świtało.

Podczas śniadania tylko moi bracia mieli dobry humor. Anka trochę się o mnie niepokoiła, choć chyba mnie rozumiała. Jako jedyna. Zjedliśmy jajka na miękko i chrupiące francuskie rogaliki, wypiliśmy po dwie kawy i ponownie podzieliliśmy się na dwie grupy: oni i ja.

Trudno. Nie miałam wyboru. Musiałam pojechać do Mariana i do prefektury, spotkać się z Catherine i powiedzieć jej o Pierze Drugim (nie o gołębiu, rzecz jasna, ale o synu Napoleona), który najprawdopodobniej ma jakiś związek z osadzonym we francuskim pierdłu Bertrandem Seuratem.



Na początek odwiedziłam Mariana. Już nie musiałam się tłumaczyć, kim jestem, a pielęgniarki były miłe i nawet rozmowne.

– Jest taki samotny – powiedziała jedna z nich na mój widok – Jego żona nie przyszła. Może chociaż pani wizyta nastroi go optymistycznie?

– Po to właśnie przyszłam – odparłam bez namysłu.

Marian wyglądał jak kupka nieszczęścia. Blade, zapadnięte policzki i oczy zapatrzone w nicość. Nie takiego go znałam.

– Witaj – powiedziałam, dotykając delikatnie wychudzonej ręki z wenflonem.

Nie zareagował.

– Marian? To ja, Aga. Jak się czujesz?

Uchylił powieki, powoli, niechętnie, a ja zobaczyłam w jego oczach coś, czego nie umiałam opisać. Ból? Żal? Niechęć do całego świata? Cokolwiek to było, wyglądało groźnie. Marian nie był już tym facetem, który z impetem rozpychał się swoją renówką pomiędzy innymi autami.

– Proszę cię, weź się w garść. Jesteś moim najlepszym paryskim przyjacielem... Czy masz pojęcie, jak mi ciebie brakuje? Zwłaszcza, że za śmiercią Napoleona może się kryć jakaś tajemnica. A Sabine? Może nie była żoną idealną, ale jestem pewna, że bardzo za tobą tęskni. Nicole też cię potrzebuje. I ja. I Ewka, choć jej tu nie ma. Proszę, powiedz coś...

Spojrzał na mnie smutno.

– Aga... Ja już mam dość tego wszystkiego – wyszeptał.

– Zwariowałeś? Nie wolno ci tak mówić!

– Mam dość tego cyrku, którym stało się moje małżeństwo.

– Jeśli jest tak naprawdę, rozwiedź się z Sabine. Może wtedy doceni, co straciła.

Marian przejrzał na oczy. Jego żona, odkąd ich poznałam, grała na jego uczuciach. Różnili się jak ogień i woda. Był czas, kiedy obcowanie ze sobą sprawiało im radość, ale minął bezpowrotnie. Kiedy ma się pięćdziesiątkę z okładem, ważniejsza jest wspólnota, a nie zwariowana odmienność. Sabine była jak pani Dulska, Marian jak Felicjan, zawsze w cieniu, milczący, uległy. Nie imponowały mu spotkania żony z równie pustymi jak ona przyjaciółmi ani wystawne kolacyjki, przy których musiał udawać kogoś, kim nie był. Wolał skromne, zwyczajne życie, spokój i fajeczkę. I swoją pracę na placu du Tertre. Rozumiałam go dobrze.

– Zrobię to – odparł nieswoim głosem. – Jeśli stąd wyjdę, zrobię, jak mi Bóg miły!

– Wyjdiesz, na pewno...

Kaszel, który dopadł go w tej samej chwili, kazał mi zwątpić we własne słowa.

Odczekałam, aż się uspokoi. Marian opadł na poduszkę wyczerpany.

– Powiesz mi w końcu, co ci dolega? – Spojrzałam na spotniałą z wysiłku twarz.

– Mówią, że to rozedma czy coś podobnego. Przez palenie.

– Można to wyleczyć?

Uśmiechnął się.

– Nie mam pojęcia.

– Marian, ty musisz wyzdrowieć! – powiedziałam z naciskiem. – Bez ciebie Paryż jest do dupy!

Roześmiał się, co natychmiast wywołało kolejny atak kaszlu. Przybiegła pielęgniarka

i zrobiła mu zastrzyk.

– Niech lepiej odpocznie – powiedziała.

Marian powoli zasypiał.

– Czy on z tego wyjdzie? – zapytałam przerażona, kiedy już byliśmy na korytarzu.

– Na temat stanu zdrowia pacjenta musi pani porozmawiać z lekarzem.

Delikatnie zapukałam w nieodkryte drzwi dyżurki.

– *Entrez!* – Usłyszałam głos.

Weszłam, lecz doktor Moreau, lekarz prowadzący Mariana, nawet na mnie nie spojrzał. Czytał jakieś notatki. Ręką wskazał mi krzesło obok zavalonego papierami biurka, więc usiadłam i postanowiłam grzecznie zaczekać. Wreszcie obdarzył mnie rutynowym spojrzeniem znad druczianych oprawek i zapytał, o co chodzi.

Wymieniłam nazwisko Mariana.

– Jest pani z rodziny?

– Nie, to mój przyjaciel. Ale bardzo się o niego martwię. Żona się na niego obraziła... Ale nie, nie! To nie tak, jak pan myśli! Nie jestem jego kochanką, nic z tych rzeczy, jestem raczej jak córka. Zawsze miałam w nim ogromne wsparcie.

Doktor Moreau patrzył na mnie zdumiony. Nie powinien ze mną rozmawiać o stanie zdrowia Mariana, wiedziałam o tym doskonale.

– Nie raz spotkałem się z sytuacją, w której obcy martwią się o chorego bardziej niż rodzina. Ale przepisy mówią jednoznacznie...

– Ja tylko chcę mu pomóc... – jęknęłam.

– Ma poważnie chore płuca. – Złamał zasady pan doktor. – Ale ma szansę wyjść z choroby. Tyle że to wymaga długiego leczenia. Monitorujemy też jego serce, bo nie jest dobrze.

– Co mogę dla niego zrobić?

– Namówić go na leczenie i nastawić pozytywnie. To po pierwsze. I pod żadnym pozorem nie pozwolić mu palić! Musi zacząć się oszczędzać i prowadzić zdrowy tryb życia. I zaufać lekarzom.

– A nie ufa?

Doktor pokiwał siwą głową. Zauważyłam zmęczenie.

– Wydaje się, że nie ma chęci do życia. Dlatego od jutra zajmie się nim także psycholog.

Podziękowałam za rozmowę i jeszcze na chwilę wpadłam do Mariana. Spał.

– Nawet nie próbuj się wykręcić od leczenia – szepnęłam mu do ucha. – Potrzebuję cię, jak zawsze. Zdrowiej, mój paryski guru. To na razie! Wrócę niebawem.

Po wyjściu z mrocznych korytarzy dopadło mnie jaskrawe światło dnia. Od razu ruszyłam w dalszą drogę. Stąd niedaleko było do Quai Saint-Bernard, wiodącego wzdłuż Sekwany, które wkrótce przeszło w Quai de la Tournelle, a to z kolei w Quai Montebello. Wystarczyło tylko przeskoczyć most i po półgodzinie marszu znalazłam się na Île de la Cité, wyspie, na której mieści się katedra Notre-Dame, a naprzeciwko niej Prefektura Generalna paryskiej policji.

Spojrzałam na katedrę z tęsknotą. Elewacja z ogromną rozetą powalała na kolana ponadczasowym majestatem, ale nie mogłam teraz wejść do chłodnego wnętrza. Najpierw musiałam odnaleźć Catherine.

Ponownie wytłumaczyłam dyżurnemu flikowi cel wizyty i weszłam, po spisaniu danych z paszportu. Oby Catherine była obecna!, modliłam się, przemierzając kamienne schody prefektury.

Na szczęście była. Siedziała w gabinecie za biurkiem i przeglądała akta. Zapukałam w uchylone drzwi.

- Agnieszka? Wejź! – zawołała na mój widok.
- Masz chwilę? – zapytałam.
- Oczywiście – odparła z uśmiechem. – Siadaj.

Przycupnęłam na krześle.

– Ten liścik od Bertranda przekazał mi Pierre, syn Napoleona – powiedziałam, nie czekając na zachętę. – Clementine opisała mi go wystarczająco dokładnie, a ja sporządziłam jego portret pamięciowy. Oto on. – Wyjęłam z torby rysunek i podsunęłam Catherine pod nos.

Spojrzała z lekką nieufnością.

– Skąd pewność, że to on?

– Bo to na sto procent Pierre Drugi, czy jak go tam zwał. Syn Napoleona. Facet, który mi się zwierzał na placu. I jeszcze to... Nawet nie zdążyłam dokładnie przejrzeć. – Wyjęłam z torby notes.

– Po co właściwie on ci to dał? – zapytała zdziwiona.

– Nie mam pojęcia. Dlatego przyszedłam do ciebie. Clementine, ta dziewczyna z hotelu, jest przerażona, ja zresztą też. Coś tu jest na rzeczy. Bertrand przekazuje list, w którym stoi, że jest niewinny, a dostarcza go syn ofiary. Nie sądzisz, że to dziwne?

Catherine westchnęła.

– Nawet więcej niż dziwne.

– Dzwoniłaś do Guide'a?

– Jeszcze nie. Ale chyba już pora.

– Na pewno się ucieszysz, że mieszkam w jego starym śledztwie – zażartowałam i natychmiast otrzymałam wzrokowe ostrzeżenie. Obie dobrze wiedziałyśmy, że Guide wpadnie w furię.

Odebrał połączenie.

Nie słuchałam. Wstałam i wyjrzałam przez okno; widok uspokajał. Zaczynałam rozumieć Guide'a, że stawał przed szybą i czekał na lepsze czasy. A teraz, kiedy wreszcie nadeszły i odpoczywał na emeryturze, ja go wzywałam na pomoc...

Słowa Catherine szybko płynęły w słuchawkę, ale wyłapałam, że Guide się przejął.

Skończyła, a ja spojrzałam pytająco.

– Przyjedzie jutro i przyjrzy się sprawie – powiedziała Catherine. – Nieoficjalnie, rzecz jasna.

– Mogę się z nim zobaczyć?

– Nie tylko możesz, ale powinnaś. Zapropozował Les Deux Magots o pierwszej. Zjemy razem lunch.

– Okej.

Moja rodzina znienawidzi mnie do cna, pomyślałam.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Aż za dobrze – odparłam.

W Les Deux Magots spotykałam się z Bertrandem. Ciekawe, dlaczego komisarz Guide wybrał to samo miejsce? Pewnie bez powodu. Jest po prostu znane.

Na razie siedziałam jednak w gabinecie Catherine.

– Agnieszka, jeszcze nie mam pojęcia, co jest grane, ale chyba powinnaś unikać nocnych wypraw na plac du Tertre – powiedziała ostrożnie.

– Coś mi grozi?

– Nie wiem. Ale lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Ten Pierre może być

niebezpieczny. Lepiej, żebyś nie chodziła tam sama.

- Rozumiem.
- Czytałaś to? – Zerknęła na notes.
- Tylko przekartkowałam. Napoleon pisze, że obawia się Bertranda.
- Ten Pierre dał ci go zapewne w określonym celu...
- Nie rozumiem.
- Dał ci notes, abyś się upewniła co do winy Seurata. A jednocześnie dostarczył ci list z wiadomością, że to nie Bernard zabił Napoleona. Sprytnie.
- Tyle że bez sensu.
- Tylko pozornie. Wyobraź sobie, że byli w zмовie. I że to jednak Pierre był ostatnią osobą, która widziała Napoleona żywego. Być może się pokłócili, być może zdarzył się wypadek? A teraz niewinnie skazany Bertrand szantażuje syna Napoleona.

Przez chwilę analizowałam te rewelacje.

- Naprawdę uważasz, że syn mógł zabić ojca?

W oczach Catherine nie dojrzałam nawet śladu żartu.

Kiedy kwadrans później siedziałam w jednej z tylnych ławek katedry Notre-Dame, wciąż nie mogłam uwierzyć, że teoria Catherine może być prawdziwa. Przewijałam w myślach film sprzed kilku lat. Czy teraz to wszystko ma się okazać nieprawdą?

Zapaliłam świeczkę. Tym razem w intencji prawdy. Jakakolwiek by była, pragnęłam ją poznać. Chciałam się wreszcie uwolnić od tej historii.

Uspokojona ciszą i mrokiem, wyszłam na zewnątrz. Była czternasta trzydzieści. Co dalej z tym pięknym, słonecznym dniem?, zadałam sobie pytanie. Chciałabym opowiedzieć o wszystkim Marco, ale on jest zbyt daleko... Znowu poczułam przeraźliwą samotność.

Snułam się po uliczkach Île de la Cité w tłumie roześmianych turystów. Przemykałam pomiędzy nimi jak duch. Trzy lata temu łąził tu za mną Bertrand, aż pozwolił mi się wygadać w jednej z pobliskich kafejek i prawie uwierzyłam w jego niewinność. Boże! Czy naprawdę jestem aż tak naiwna? Ale przecież policja też miała wątpliwości, aż wreszcie znalazła motyw. A co, jeśli nie do końca prawdziwy?

Jutro pojawi się Guide i cała ta kołomyja zacznie się od nowa...

Nie, nie będę o tym myśleć, postanowiłam. Idę na odprężający spacer!

Zajrzałam do jakiegoś sklepiku, kupiłam długą na pół metra bagietkę z salami, pomidorami i sałatą i przez chwilę poczułam się częścią kolorowego tłumu. Nawet jeśli Bertrand rzeczywiście nie zabił Napoleona, a zrobił to ktokolwiek inny, czy to zmieniało cokolwiek w moim życiu? Ono i tak się waliło. Artur zwiedzał Paryż beze mnie, Marco wyjechał, a ja nie miałam pojęcia, co dalej.

Tytuł słynnego obrazu Gauguina: *Skąd przyszliśmy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?* pasował do mojej sytuacji jak ulał.

Kolejny dzień zaczął się od awantury w naszym apartamencie. Artur jednoznacznie określił swoje stanowisko: nie życzy sobie, abym włóczyła się po Paryżu samopas i spotykała się z dawnymi znajomymi. Pod wpływem jego wrzasków obluzował się wiszący na dwóch marnych śrubach telewizor... Próbowałam jakoś uciszyć własnego męża, ale na próżno. Darł się, że ma gdzieś takie małżeństwo i że nie ma zamiaru dłużej tolerować mojego „paryskiego gacha”, jak się wyraził. A gdy próbowałam wyjaśnić, że nie mogę nie pójść do chorego Mariana, zdjął z ręki obrączkę i cisnął ją w kąt.

– W takim razie żądam rozwodu! – krzyknął melodramatycznie i trzasnął drzwiami od łazienki z takim impetem, że posypał się wiekowy tynk.

Wyłowiłam obrączkę spod łóżka i położyłam na nocnym stoliku. Wyobraźnia podsunęła mi obraz mnie samej, szukającej po ciemku kolczyka w mansardzie po Napoleonie. Gdyby nie tamto zdarzenie, zapewne nie znalazłabym kluczyka do skrytki pocztowej i nie rozwiązała zagadki tajemniczej śmierci przyjaciela. A jeśli nic nie dzieje się bez przyczyny?, pomyślałam. Od mojego pierwszego pobytu w Paryżu czułam się jak kierowana magiczną siłą. Wtedy upadł kolczyk, teraz obrączka...

Mimo kłótni zeszliśmy na śniadanie o właściwej porze i nawet załapaliśmy się na ciepłe parówki. Adam z Anką delektowali się rogalikami, Waldek został w łóżku. Czarna chmura ciągnąca się za mną i Arturem musiała być widoczna z daleka.

– Znowu się pożarliście? – Nie omieszkała spytać moja bratowa.

Artur milczał, ja też wołałam nic nie mówić. Adam, całkowicie wyalienowany z naszych osobistych sporów, pił kawę i studiował plan Paryża.

– O! Jeszcze nie byliśmy na Père-Lachaise! Chcecie zobaczyć, gdzie leży Edith Piaf? – zapytał.

– Nigdy nie byłam na Père-Lachaise – odparłam, siadając w kąci pod sztuczną palmą.

Artur nalał sobie kawy. Mnie nie zauważał.

– Bardzo bym chciała z wami pojechać, ale o trzynastej muszę być na spotkaniu z komisarzem Guide'em w Les Deux Magots – dodałam.

Mój mąż spiorunował mnie wzrokiem.

Adam i Anka wytrzeszczyli oczy.

– Czy coś się stało, Aga? – zapytała moja bratowa.

Uznałam, że jestem im winna wyjaśnienie.

– Dostałam list od syna Napoleona – zaczęłam delikatnie. – Wynika z niego, że być może człowiek, którego trzy lata temu wsadziłam do więzienia, jest niewinny.

Mój brat i bratowa zastygli w bezruchu.

– Mówisz serio? – Adam oderwał wzrok od planu miasta.

– Jak najbardziej. Dostałam list z pogrózkami i pozostaję w kontakcie z paryską policją. Jeśli sprawa nie zostanie wyjaśniona, może stać się coś, czego bardzo bym nie chciała. Uwierzcie, tego nie przewidziałam. Chciałam się zabawić, pozwiedzać, spędzić uroczę dwa tygodnie. Ale najwyraźniej ktoś się dowiedział, że jestem w Paryżu, i zastawił na mnie sidła.

– Więc twoje zniknięcia nie mają nic wspólnego z Marco? – palnęła Anka i natychmiast zasłoniła usta dłonią.

– A tak myślałaś? – Spojrzałam jej w oczy.

Bezradnie pokiwała głową.

– Wszyscy tak myśleliście, prawda? No to muszę was rozczarować. Nie biegam po Paryżu w poszukiwaniu mojego chłopaka sprzed lat. Nie biegam nawet z powodu moich przyjaciół! No, nie licząc chorego Mariana, którego opuściła żona, leżącego samotnie w szpitalu i bliskiego śmierci! Gdyby nie ten człowiek, być może ja bym już dawno nie żyła! Zawsze mi pomagał i tylko dzięki niemu wygrzebałam się z poważnych tarapatów. Był dla mnie jak ojciec, zawsze mnie wspierał. I co? Miałabym zostawić go teraz na pastwę losu i spokojnie pójść sobie na zakupy do Galerii Lafayette? Albo pojechać na Père-Lachaise? Jasne, że wolałabym taki scenariusz, ale nie mogę. Do jasnej *merde*, nie mogę!

Nagle za moimi plecami wyrósł zaspany Waldek.

– O czym tak głośno gadacie? Słyszać was aż na schodach.

Nie uzyskał odpowiedzi.

Za to wściekł się, że nie ma już ciepłych parówek. Z zaciśniętymi zębami nalał sobie kawy (tej nigdy nie brakowało) i posmarował rogalik masłem.

– To gdzie dziś idziemy? – zapytał z pełnymi ustami.

– Agnieszka ma poważny problem... – Odważył się objaśnić go Adam.

– A jakież to? – Zainteresował się mój młodszy brat wesolutko.

– Jakbyś przyszedł dwie minuty wcześniej, tobyś wiedział.

Podniosłam rękę.

– Wy macie się bawić. Ale wybaczone mi, że beze mnie. Muszę doprowadzić moje sprawy do końca.

– Pomożemy ci – powiedział Adam.

Anka przytaknęła ruchem głowy.

– Jakie sprawy? – Nie odpuszczał Waldek.

Artur siedział zaszępiiony i nie włączał się do rozmowy.

– Prześladowuje ją jakiś gość, który przed laty zabił tego kloszarda. – Adam ulitował się nad bratem.

– To na co czekamy? Dopadnijmy gnoja! – wykrzyknął Waldek.

– Od tego jest policja – przerwałam. – I dlatego muszę do nich pójść. A wy na wycieczkę! – zakomenderowałam.

– Jesteś pewna? – zapytała Ania. – W końcu jesteśmy rodziną. I jeśli masz problemy, musimy ci pomóc.

– Wiem, Anka. I dzięki. Szkoda, że mój mąż tego nie rozumie...

– Ej, Artur! Co z tobą? – zagadnął Adam.

– Niech ona robi, co chce! Mam to gdzieś! – odburknął Artur.

– Aga, jeśli potrzebujesz wsparcia... – Spróbowała Anka ponownie.

– Ja też chcę ci pomóc! – Dołączył się do niej Adam.

– I ja – wymamrotał Waldek, przetykając kolejny kęs paryskiej bagietki.

Stanął na tym, że na razie dadzą mi zwyczajnie trochę luzu. Do końca wakacji pozostało nam jeszcze kilka dni, więc jeśli wszystko szybko się wyjaśni, być może zdążymy pozwiedzać Paryż w piątkę. Tymczasem podpowiedziałam im, jak najprościej dojechać do Père-Lachaise (gdzie sama nigdy nie byłam, choć chciałam bardzo), i około południa rozstaliśmy się na stacji metra. Adam z Anką uściskali mnie, życząc powodzenia, Waldek wciąż się wahał, czy nie powinien pojechać ze mną w roli ochroniarza. Nawet Artur jakby trochę zmiękł i przeprosił mnie za poranny incydent z obrączką.

– Poniosło mnie. Wybacz. – Znów miał ją na palcu. – Może chcesz, żebyśmy ci

towarzyszyl?

– Nic mi nie grozi – powiedziałam. – W końcu jadę na policję.

Po raz pierwszy, odkąd przyjechaliśmy tu razem, mogłam oddalić się za wspólnym błogosławieństwem całej czwórki. Już wiedzieli, że nie szlajam się po Paryżu dla Marco, ale dla naprawdę ważnej sprawy, którą musiałam jakoś rozwiązać.

Dzień był słoneczny i rześki. Wiał lekki wiaterek, zewsząd dochodziły smakowite aromaty francuskiego lunchu. Do kawiarni o wdzięcznej nazwie Les Deux Magots dotarłam w samą porę, nacieszywszy wcześniej oczy widokiem przepływających pod mostem stateczków. Okupujący je turyści przyjeżdżali na kilka dni i w ekspresowym tempie zaliczali miasto. Tak szybkim, że nie zdążali wpaść w żadne tarapaty, jak ja. Tyle że oni nawet nie byli w stanie posmakować prawdziwego Paryża! Robili sobie zdjęcia przed wieżą Eiffła, na tle Sacré Coeur, przed Notre-Dame czy na placu du Tertre. A ci, którzy mieli nieco więcej czasu, jechali na La Defense albo Père-Lachaise, gdzie właśnie udała się moja rodzina.

Szkoda, że i tym razem nie uda mi się zobaczyć miejsca wiecznego spoczynku ciała Chopina czy Jima Morrisona. No cóż... Może kiedyś?

Do Les Deux Magots, najslynniejszej paryskiej kawiarni, w której bywali tacy goście, jak Hemingway czy Picasso, po raz pierwszy trafiłam trzy lata temu na spotkanie z człowiekiem, który zabił Napoleona. Choć wówczas nie miałam o tym zielonego pojęcia.

Bertrand Seurat. Wydawał się taki miły, choć trochę jakby z innej epoki. Teraz, stojąc przed elewacją uroczej kawiarenki, zdałam sobie sprawę, jak byłam ufna i naiwna. Pomyśleć, że wystarczyły trzy lata, a moje nastawienie do ludzi uległo całkowitemu przewartościowaniu...

Weszłam do gwarnego wnętrza i od razu dostrzegłam Catherine kiwającą na mnie ręką zza okrągłego stolika w głębi sali. Ucieszyłam się na widok bratniej policyjnej duszy.

– Guide powinien być za chwilę – powiedziała zamiast „bonjour”.

– Dlaczego to robi? – zapytałam, siadając.

– Co takiego?

– Ten przyjazd. Przecież on jest na emeryturze.

Catherine roześmiała się serdecznie.

Jej uroda nie przestawała mnie zaskakiwać. Tego dnia zaplotła czarne włosy w efektowny warkocz, a zamiast uniformu włożyła obcisłą bluzkę we wściekle fioletowym kolorze i czarne spodnie. Zakamuflowana policjantka.

– Najwyraźniej nie znasz Guide’a – odparła.

Przy naszym stoliku pojawił się szczupły kelner. Catherine uniosła brwi, patrząc na mnie.

– Wino? Zanim on do nas dołączy?

Byłam za. W lokalu takim jak ten niezamówienie wina było równoznaczne z kawiarnianym świętokradztwem.

Popijałyśmy całkiem dobre bordeaux. Choć minęła trzynasta, Guide’a wciąż nie było.

– Spóźnia się, ale przyjdzie na pewno – powiedziała Catherine. – A na razie pogadajmy. Przejrzałam zapiski Napoleona. I wiesz co?

Nie miałam pojęcia.

– W notesie nie ma nic na temat jakiegokolwiek zatargu z synem, za to trochę o relacjach Napoleona z Bertrandem. O synu jest zaledwie jedna wzmianka i zarazem ostatni zapis. Czytałaś go?

– Nie.

– To posłuchaj.

„Przyszedł i zażądał wyjaśnień, dlaczego oddałem go do przytułku. Odparłem, że nawet

nie wiedziałem o jego istnieniu. A jednocześnie byłem szczęśliwy, że mam syna. Był podobny do mnie i nawet studiował to samo, co ja. Chciałem go przytulić i błagać o przebaczenie za nieobecność przez te wszystkie lata. Spojrzał na mnie z pogardą i odszedł. Poczulem, że tracę sens życia. Dziecko, którego nie mogłem mieć z Sophie, ale jakimś cudem spłodziłem z inną kobietą. Nawet jej nie pamiętałem; uległem pokusie tylko raz. Jeśli on naprawdę jest moim synem, muszę teraz dla niego żyć!”.

– No i co o tym myślisz? – zapytała Catherine.

– A kiedy to napisał?

– Nie ma daty, ale chyba tuż przed śmiercią, bo to ostatni zapissek.

– Myślę, że Napoleon nie miał powodu, by się zabić. Kilka lat temu też tak myślałam.

Choć wtedy nawet nie wiedziałam, że odnalazł syna. Jestem przekonana, że...

– Guide! – przerwała mi Catherine.

Spojrzałam ku drzwiom, w których pojawił się mój dawny dręczyciel i wybawca w jednym. Jednak przyszedł!

Zmienił się. Nie był już blady, lecz opalony, jak przystało na prawdziwego wieśniaka. Najwyraźniej służyły mu świeże powietrze i wędkarstwo. Nie wyglądał na komisarza policji, bardziej na farmera albo producenta sera pleśniowego.

Podszedł i ucałował Catherine w oba policzki. Mnie cmoknął również, co uznałam za miły gest po latach naszej trudnej znajomości.

– Miło cię widzieć, Agnieszka. – Uśmiechnął się. – Choć wyrażam ostrożną radość z tego spotkania, bo jak dotąd każde wywoływało niepokojące skutki.

Cudownie było znów usłyszeć ten delikatny sarkazm.

– Wygląda pan znakomicie. – Pośpieszyłam z komplementem.

– Zaczekałyśmy na ciebie z zamówieniem – wtrąciła się Catherine, czując, że musi przerwać nam subtelne docinki.

– Zatem *plateau du jour* i do rzeczy – odparł Guide. – Mam powrotny o szesnastej.

– Jaka szkoda! Miałam nadzieję, że będziesz miał więcej czasu.

Na razie wołałam nie zabierać głosu.

– Jak ci się żyje na wsi? – Zadała grzecznościowe pytanie Catherine.

– W otoczeniu farmerów i kobiet, które dziergają koronki? A jak myślisz? Sama nuda! Kelner zapytał nas o wybór.

– Danie dnia i kieliszek dla mnie. – Wyręczył nas Guide.

Catherine podsunęła Guide'owi pod nos mój list.

Komisarz omiótł go wzrokiem.

– Sądzę, że ten dupek chce nas wprowadzić w błąd. Szuka ratunku – stwierdził.

– A to? – Catherine pokazała mu notes Napoleona i zapis o spotkaniu z synem.

Guide, milcząc, analizował dane.

– Coś mi mówi, że nasz dobry znajomy Bertrand kombinuje, jak by tu zrzucić winę na kogoś innego – powiedział. – Nie miałem pojęcia, że Napoleon miał syna. To rzeczywiście sporo zmienia. Ale, moim zdaniem, Bertrand tylko go wykorzystuje do własnych celów.

– Skąd ta pewność? – zapytała Catherine.

– A uważasz, że syn zabiłby ojca? Udusił go i wrzucił do rzeki? Po co miałby to robić?

– Może puściły mu nerwy? Albo aż tak nienawidził? Nie wiem. Ale myślę, że powinniśmy wznowić śledztwo. Zbyt wiele w nim nieścisłości.

– Szkoda zachodu – powiedział Guide.

Na twarzy Catherine malowało się rozczarowanie. Ze mną nie było lepiej. Co się stało



z najbardziej nieufnym i dociekliwym gliniarzem, jakiego znałam?

– Więc po co przyjechałeś? – zapytała Catherine.

– Żeby choć na moment wyrwać się z tej wiochy – odparł jej niedawny przełożony.

Kelner postawił na stole nasze dania. Pachniały bosko, więc natychmiast zajęliśmy się konsumpcją.

Catherine nie odpuszczała.

– Może chociaż przeanalizujesz fakty? – Podjęła kolejną próbę podczas posiłku.

Rewelacyjnie kruchotka polędwica z grzybami pochłaniała całą moją uwagę. Zapytałam, dopiero gdy skończyłam jeść.

– Panie komisarzu, czy naprawdę może pan spokojnie łowić ryby, wiedząc, że być może wsadził pan do więzienia niewłaściwego człowieka?

Guide przeszył mnie tym swoim przenikliwym spojrzeniem i poczułam się jak kiedyś: malutka i – nie wiadomo czemu – winna.

– Bertrand jest sprawcą – odparł, wycierając usta serwetką. – Bez wątpliwości.

Kombinuje jedynie, jak zrzucić winę na kogoś innego.

– Możliwe, że masz rację – powiedziała Catherine. – Ale może warto sprawdzić tego Pierre'a?

– Nie zaszkodzi – mruknął Guide po chwili namysłu.

– To co robimy?

– Sprawdzamy.

– Czy to oznacza, że przez jakiś czas zostaniesz w Paryżu?

Guide spojrzał na Catherine, potem na mnie, i westchnął ciężko.

– Zostanę, ile trzeba. Na szczęście jeszcze nie sprzedaliśmy z żoną naszego starego mieszkania.

Po wyjściu z Les Deux Magots Catherine pocieszyła mnie szeptem, że teraz sprawy potoczą się szybko. Jeśli komisarz obiecał, że przeświecili chłopaka, na pewno to zrobi.

Pożegnaliśmy się, po czym każde poszło w swoją stronę.

Włóczyłam się po nabrzeżu Sekwany powoli i bez celu. Pomimo cudownych widoków powróciło uczucie dojmującej samotności. Ciekawe, co teraz robią moi bliscy?

Wróciłam na Montmartre i do hotelu. Jacques nawet nie podniósł głowy znad gazety. Ach, ci paryscy recepcjoniści i ich czujność na poziomie zera! Każdy mógł wejść niezauważony i podrzucić jakiś list. Cokolwiek.

Odświeżyłam się szybko i wyszłam na ulicę. Trzy lata temu natychmiast pobiegłabym do Mariana na plac, ale Marian leżał w szpitalu. Mimo to coś mnie ciągnęło pod górę.

Wkrótce znalazłam się w miejscu, które w Paryżu kochałam najbardziej.

Obeszłam plac, popatrzyłam na rysowników. Akira akurat portretował młodego Amerykanina. Chłopak miał długie blond włosy, profil rzymskiego legionisty i pewność swej atrakcyjności. Młoda, zapatrzona w niego dziewczyna z niecierpliwością czekała na ukończenie dzieła.

Wśród tłumu gapiów przyglądałam się, jak Akira wydobywa z kartki papieru kwintesencję modelu. Wreszcie skończył i zainkasował należność. Dumny Amerykanin pokazał portret dziewczynie i przytuleni zniknęli w tłumie.

A ja ruszyłam dalej, ku bazylice Sacré Coeur, bo i tak nie miałam nic lepszego do roboty. Odwiedzałam ulubione zakątki, samotna pośród szczęśliwych ludzi. Wzgórze Montmartre rozbrzmiewało śmiechem zakochanych par. Szłam ciągle w górę, wąską brukowaną uliczką, by zapalić w bazylice świeczkę za zdrowie Mariana.

I wtedy ujrzałam hondę Marco. Stała zaparkowana niedaleko naszej ulubionej knajpki.

Moje serce zadrżało. Motocykl stał przechylony, oparty o wystający z bruku pacholek. Nie mogłam się powstrzymać. Podeszłam bliżej i dotknęłam.

Może postarzała się i była już trochę wysłużona, ale wciąż pozostawała piękna. Lśniła chromowanymi rurami i czarną skórą. Więc jednak Marco nie odjechał do La Baule swoją „księżniczką”?

Rozmarzyłam się. Podczas naszej pierwszej przejażdżki na hondzie moje włosy rozwiewał wiatr. Byłam młodsza, niepewna przyszłości. Skórzany kombinezon Marco pachniał niepokojąco. Niemal znów czułam ciepło męskich dłoni, pomagających mi zsiąść z motoru po rajdzie ulicami Paryża.

Cóż, Marco jest teraz daleko stąd...

Westchnęłam i ruszyłam przed siebie w kierunku Sacré Coeur. Nie warto rozczulać się za każdym razem na widok byle motocykla!

– Aga! Zaczekaj! – usłyszałam znajomy głos.

Stanęłam jak wryta. Odwróciłam się.

Obok „księżniczki” stał Marco!

– Przejedziemy się? – zapytał. Tak samo beztrósco jak wtedy.

Nogi wrosły mi w ziemię.

– Przecież ty jesteś nad Atlantykiem! – wybąkałam.

Podszedł bliżej. W rękę trzymał kluczyki od hondy.

– Ocean mi nie ucieknie. W przeciwieństwie do ciebie.

– To naprawdę ty? – Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę.

– Nigdy nie odpuszczam, kiedy mi na czymś zależy...

Staliśmy twarzą w twarz. On w skórzanym kombinezonie, ja w dżinsach i lekkiej bluzce. Powinnam uciec przed tą pokusą! Powinnam wrócić do męża!

Nie mogłam. Siła przyciągania Marco była ponad wszystko.

Objął mnie, tak jak dawniej, po prostu.

I już nie byłam samotna w Paryżu. Byłam najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Ten wieczór należał nam się jak psu micha. Najpierw pojechaliśmy „księżniczką” na długi spacer ulicami Paryża. Potem Marco zaprosił mnie na kolację do nieznanej mi knajpki na lewym brzegu. Podano kaczkę z kluseczkami i cudowne wino. Szybko zakręciło mi się w głowie.

– Możesz mi w końcu opowiedzieć ze szczegółami, co właściwie robisz w La Baule?  
– zapytałam Marco, gdy kelner postawił na stole czekoladowy deser i dwie małe czarne.

– A nie powiedziała ci o tym żona mojego przyjaciela?

– Ta zdrajczynie, Carolle? Coś wspomniała, ale wolę to usłyszeć od ciebie.

– Zdrajczynie?

– Owszem. Miała słówkiem nie pisnąć o mojej wizycie!

– Ale wyapała! – roześmiał się Marco. – Wybaczysz jej?

– To się okaże – zażartowałam. – Opowiadaj!

– Dobrze. Ale pod warunkiem że i ty opowiesz mi o sobie.

Upiłam łyk kawy. Smakowała lepiej niż gdziekolwiek indziej.

– Zgoda.

– Okej. Tylko nie wiem, od czego zacząć.

Wciąż miał ten sam uśmiech. Trochę dziecięcy, niewinny, ale ujmujący. Chyba przez ten uśmiech się w nim zakochałam. Dlaczego Marco nie mógł się pojawić w Polsce, w jednym z tych barów mlecznych, gdzie podawano leniwe albo knedle z truskawkami? Byłoby o wiele prościej, a ja nie musiałabym ganiać za nim po świecie! No i nie wyszłabym za Artura...

Jeździłabym sobie hondą po polskich wyboistych drogach...

Wyobraźnia płatała mi figle.

– Ty wyjechałaś trzy lata temu, ja wylądowałem w La Baule. U mojego dawnego kumpla Yanna, który tam mieszka od lat, i jego żony Carolle. Tej zdrajczynie.

Znowu się zaśmiał.

Kopnęłam go lekko w kostkę.

– Yann namawiał mnie na przenosiny od dawna. Klimat prawie jak w Nicei i można zarabiać na turystach, mówił. A w Paryżu bywa różnie. Czasem trafia się dobry sezon, czasem kiepski. Mówiłem ci, że moim marzeniem był własny salon sztuki. Chciałem go otworzyć w La Defense razem z tobą, ale nic z tego nie wyszło. Zresztą to i tak było marzenie ponad stan. Spakowałem się zatem, pojechałem do Yanna i zamieszkałem w jego domu. Oddali mi mały pokój na piętterku w zamian za część opłat. Wkrótce zakochałem się w La Baule. Nie wiem, jakie zrobiło wrażenie na tobie, ale mnie urzekło. Tam nie ma ulic, same aleje! W dodatku wszystkie prowadzą do morza. Rosną palmy, wiatr jest na ogół ciepły, a ludzie nastawieni przychylnie. Brak niezdrowej konkurencji, jak tutaj. Na placu du Tertre każdy walczy o przetrwanie. A tam po kilku zaledwie tygodniach zrozumiałem, że życie niekoniecznie musi być ciągłą walką. Po dwóch miesiącach wróciłem do Paryża, żeby pozamykać sprawę, a że mój motor potrzebował mechanika, oddałem go koledze. W zamian za przysługę pozwoliłem mu czasami z niego korzystać. Jak się okazało, zrozumiał to zbyt dosłownie. Naprawił „księżniczkę”, ale zaczął ją traktować jak własność. Dziś z tym skończyliśmy. Odebrałem mu kluczyki i zabieram hondę do siebie.

– Do siebie? – podchwyciłam czujnie.

– Aguś, ja już nie mieszkam w Paryżu, choć jeszcze nie sprzedałem kawalerki. Dałem ogłoszenie i czekam. Teraz pracuję i prowadzę galerię w La Baule. I czuję się tam wspaniale. Klamka zapadła. Kupiłem dom nad brzegiem oceanu. Jest bardzo zapuszczony, ale niewątpliwie ma potencjał. Powinnaś go zobaczyć.

Westchnęłam.

Dom z kamienia nad Atlantykiem.

Do urzędu.

Z Marco.

– Teraz twoja kolej – zarządził.

Jakby to było takie proste! Jakby nie wrzała krew w moich żyłach. Jakbym nie wiedziała, że moje życie jest totalnie do kitu!

Zebrałam się w sobie.

– No cóż... Wróciłam do Polski i od razu wpadłam w łapy milicji. To coś takiego jak wasza policja, tyle że komunistyczna. Strach się bać! Zostałam wezwana na dywanik do komendy głównej i zaszczycona pytaniami: gdzie byłam, jak długo, z czego żyłam i z kim się tam, znaczy na Dzikim Zachodzie, kontaktowałam. Pan komendant siedział na fotelu pod kokosową palmą i piorunował mnie wzrokiem. Chcieli wiedzieć o mnie wszystko. Bo każdy, kto w tamtych czasach wyjeżdżał za granicę PRL-u, był podejrzany z urzędu. A ja stałam na baczność i udawałam głupią. Nie po raz pierwszy zresztą, bo kilka lat wcześniej wezwano nas tam obie z Ewką. No więc powiedziałam, że byłam w Paryżu, malowałam i ścieliłam łóżka w hotelu. O mansardzie po Napoleonie, rzecz jasna, nie pisałam ani słowa. Pytali, skąd mam pieniądze na zagranicznym koncercie, ale wykpiłam się pracą pokojówki i portretami. Oczywiście cały czas udawałam, że te dwa miesiące w Paryżu były dla mnie ciężkim przeżyciem i walką o przetrwanie, a w ogóle to bardzo się ucieszyłam z powrotu do Polski, gdzie czeka na mnie stała praca i gdzie mogę realizować się jako twórca.

Tak ich zbajerowałam, że chyba uwierzyli w te moje brednie i dali mi spokój. Jednak gdy wyszłam na Kochanowskiego, brukowaną, wąską uliczkę w moim mieście, byłam już wystarczająco zastraszona. Nawet nie zajrzałam do żadnego sklepu w okolicy, choć właśnie tam trafiały się jedyne fajne pokusy. Pojechałam tramwajem prosto do domu rodziców i opowiedziałam o tym cholernym przesłuchaniu. Mama wmusiła we mnie rosół, a potem wróciłam do domu, który dzieliłam z Arturem. Opowiedziałam mu prawie wszystko. Pocieszał mnie i wyśmiewał głupotę systemu. Odczekałam kilka dni, potem tygodni i miesięcy. Nikt nie przyszedł mnie aresztować, nie dostałam żadnego wezwania. Musiałam tylko nauczyć się żyć od nowa w kraju, gdzie o demokracji można było pomarzyć. Listy wymienialiśmy coraz rzadziej, a peerelowska rzeczywistość z każdym dniem bardziej cisnęła realiami. Któregoś dnia doszłam do wniosku, że życie marzeniami nie ma sensu. Poślubiłam Artura, jak mi się wydawało jedyną pewną kartę na przyszłość...

Zamilkłam.

Marco też nic nie mówił. Cóż on mógł wiedzieć o życiu za żelazną kurtyną?

– Chyba cię rozumiem, Aga – odezwał się po dłuższej chwili.

– Czyżby?

– Myślę, że tak.

– Jestem mężatką, Marco. Nic już nie jest takie jak dawniej.

– Długo na ciebie czekam...

– W samotności? – zapytałam. – Nie wierzę.

Roześmiał się nerwowo.

– Nie twierdzą, że żyłem w celibacie. Trafiła się nawet taka jedna dziewczyna, ale to nie trwało długo. Nie wytrzymała konkurencji ze wspomnieniami.

Poczułam, że robi mi się niedobrze.

– Muszę wyjść.

– Co jest?

– Muszę natychmiast wyjść na powietrze!

Moje serce powróciło do normalnego rytmu dopiero po dłuższej chwili. Stałam na chodniku przed restauracją, wsparta na ramieniu Marco.

– Przepraszam – powiedziałam. – Już mi lepiej.

– Nie miałem zamiaru cię denerwować – powiedział przepraszająco.

– To nie twoja wina. Czasami dopada mnie coś takiego. Możemy już wrócić

i dokończyć deser?

– Jasne.

Przegadaliśmy kolejne dwie godziny, zwłaszcza że kelner podał wino, po którym moje lęki poszły w niepamięć. Marco mówił o swojej drugiej pracy, tej związanej z jachtingiem. Żeglował, zanim go jeszcze poznałam, choć nigdy o tym nie wspominał. Uwielbiał wszystko, co pływa, woda była jego żywiołem.

Dopiero teraz poznawałam jego prawdziwe oblicze. Dotąd był dla mnie wyłącznie portrecistą z Montmartre’u, teraz okazał się posiadaczem wielu innych umiejętności. Pływał z turystami, zarabiając lepiej niż na portretowaniu. A w czasie wolnym zarządzał niewielką galerią sztuki nad brzegiem kanału w Le Pouliguen.

– Jak ci się podoba jej nazwa? – zapytał.

– Agart? Piękna. A co sprzedajesz?

– Obrazy, ceramikę, pamiątki znad Atlantyku. Wszystko, co choć trochę jest sztuką.

– Żałuję, że jej nie odwiedziłam.

– Więc przyjeźdź.

– Za niecały tydzień wracam do Polski. Mam tam mieszkanie, pracę i męża. To znaczy... Chyba jeszcze go mam.

Po ostatniej awanturze miałam prawo powątpiewać.

– A ja wciąż czekam na swoją drugą połówkę – wyszeptał Marco, przeszywając mnie zielonym spojrzeniem.

Gdzieś w głębi ciała poczułam pragnienie. Tak bardzo chciałam znaleźć się znów w jego objęciach!

Skończyło się na marzeniach. Marco musi wracać do La Baule, a ja grzecznie potuptać do Utrilla. Bo w przeciwnym razie znienawidzi mnie nie tylko Artur, ale i reszta rodziny.

Podwiózł mnie hondą pod sam hotel. Wyłączył silnik, zsiadł i stanął blisko.

– Mówiłem poważnie o tym domu z kamienia. Mogłabyś go urządzić, w końcu znasz się na tym. A ja cię kocham, odkąd ujrzałem cię po raz pierwszy. Przemyśl to sobie, Agus – szepnął na dobranoc.

Ucałował mnie czule, wsiadł na swoją maszynę i odjechał.

Stałam z otwartą ze zdumienia buzią. A tyle chciałam mu powiedzieć!

Nie zdążyłam.

*Merde!* Czy ja naprawdę jestem skazana na wieczną tęsknotę?

Weszłam do hotelu z niedosytem tak wielkim, że mogłabym z niego usypać kopiec pragnień, przewyższający wieżę Eiffla. Marco powiedział, że mnie kocha! A może tylko się przesłyszałam?

Tym razem za ladą recepcji drzemała młoda dziewczyna. Ktoś nowy? Winda zawiozła

mnie na szóste piętro i po chwili stałam już twarzą w twarz z moim mężem.

– Niech zgadnę! – wrzasnął. – Znowu się włóczyłaś z tym kloszardem?

Nieświadomie przypomniał mi o synu Napoleona. Cholera, przy Marco zapomniałam nawet o nim!

– Nie.

– To gdzie byłaś?

– Nieważne.

– *Merde!* Ważne! – Mój ślubny najwyraźniej zaczynał uczyć się francuskiego. – Chcę wiedzieć, co robi moja żona, kiedy ja grzecznie zwiedzam kolejne muzea! Dziś byliśmy w muzeum impresjonistów, w Marmottan. Wyobrażasz sobie? Pojechaliśmy do twojego wymarzonego muzeum bez ciebie! Czy to nie dziwne? Nie widziałaś dzieł Renoira i Sisleya, bo wolałaś się włóczyć! I jak się z tym czujesz? Nadal uważasz, że to nasza podróż poślubna? A może raczej podróż przedrozwodowa?

– Skłaniam się raczej ku drugiej opcji – odparłam, zamykając za sobą z hukiem drzwi od łazienki.

Wolałam nie usłyszeć odpowiedzi.

Do powrotu pozostało sześć dni.

Z Arturem nie miałam już o czym rozmawiać, odbyłam za to pogawędkę z Anką.

– Co się dzieje, Aga? – zapytała mnie przy śniadaniu, gdy panowie zajęci byli polowaniem na ciepłe parówki.

– To skomplikowane – odparłam.

– Jeśli mogę ci jakoś pomóc... – powiedziała pośpiesznie, bo Adam i Waldek już wracali do stolika z naręczem jedzenia.

– Dzięki – zdążyłam wyszeptać.

– Pyszne paróweczki i ciepłe rogaliki! – wołał uradowany Adam.

A potem było jak zwykle. Oni planowali, a ja szukałam pretekstu do ucieczki. Przecież już wszystko widziałam! Po jaką cholerę mam po raz kolejny oglądać Łuk Triumfalny? I galerie na Champs-Élysées?

– Anka, wybacz, ale ja naprawdę muszę poszukać własnych ścieżek – powiedziałam do mojej bratowej na stronie.

– Jakby co, możesz liczyć na mnie. – Puściła oko.

– Co to za sekrety? – zapytał Adam, na szczęście zajęty rogalikiem.

– Sekrety? – zaśmiała się Anka fałszywie.

– A co, nie?

– Nic ważnego.

A potem wydarzenia potoczyły się jak lawina, bo Clementine, która wyrosła jak spod ziemi, wręczyła mi kolejny list.

Moi bracia, skupieni na zawartości talerzy, nie zwrócili na to uwagi.

– Znowu jakiś tajemniczy liścik? – zapytał wciąż nadąsany Artur.

Anka zerknęła niespokojnie.

– Nie mam pojęcia, co to takiego – odparłam.

Odstawiłam filiżankę z kawą i rozerwałam bezimienną kopertę.

„Musimy się spotkać. Bardzo o to proszę. Dziś o północy, tam, gdzie ostatnio. Nie jest tak, jak Pani zapewne myśli. Pierre”.

Spłoszona, zmiełam kartkę i wrzuciłam ją do torebki.

– Od kochasia? – Nie omieszkał zauważyć Artur.

Spiorunowałam go wzrokiem.

– Pudło.

Atmosfera groziła wybuchem. Artur na każdym kroku dawał mi wyraźne znaki, że nasza wspólna przyszłość jest zagrożona. Musiał być co do tego bardzo przekonany, bo wywierał na mnie presję jak kapitalista na pracownika zatrudnionym na umowę o dzieło.

Niezrażona jego pogrózkami robiłam swoje. Miałam zamiar odwiedzić Mariana, spotkać się z Catherine, a wieczorem z młodym Pierre'em. A co pomiędzy? Na razie nie miałam planów.

Objedzeni, poczłapaliśmy z Arturem na szóste piętro. On, nadąsany i wściekły, miotał się po ciasnym pomieszczeniu jak dzikie zwierzę po klatce.

– Czyli dzisiaj też nie spędzimy dnia razem? – zapytał w końcu.

– Bardzo bym chciała, ale nie dam rady – odparłam gotowa do wyjścia.

Miałam na sobie dżinsy i białą bluzkę. Sprawdziłam, czy mam w torbie wszystko, co potrzebne.

– W takim razie zaraz po powrocie do domu składam pozew! – powtórzył swą groźbę mój dwutygodniowy mąż.

Nie żartował.

– Jak sobie chcesz – powiedziałam, zamykając za sobą drzwi od naszego, tak zwanego, apartamentu.

Nie wiem, czy się nie przesłyszałam, ale już na korytarzu usłyszałam siarczyste przekleństwo.

Trudno. Moje małżeństwo wytrzyma Paryż albo nie wytrzyma. Zbiegłam po schodach, bo na windę szkoda mi było czasu, i po chwili byłam na ulicy.

Wolna i niezależna.

Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam w kierunku metra Abesses.

Najpierw Marian.

Dzięki pani Nataszy poznałam najprostszą drogę do Salpêtrière. Ale zanim tam dotarłam, czekała mnie niespodzianka. Na jednej ze stacji do mojego wagonu wszedł mężczyzna. Skąd ja go znam?, próbowałam sobie przypomnieć. Bo znałam go z pewnością. Usiadł przy oknie i utkwiał wzrok w mroku tuneli metra. Nie tylko ja się na niego gapiłam, inni pasażerowie również. I nagle mnie olśniło! To przecież nie kto inny, a Jean-Louis Trintignant! O Boże!

Po chwili dopadła go młoda dziewczyna o latynoskich rysach, prosząc o autograf. A ja patrzyłam, zachwycona i oniemiała. Pamiętałam go z *Kobiety i mężczyzny* Leloucha, gdzie pędził po torze jako kierowca wyścigowy. Uwielbiałam ten film!

Przybyło mu lat, ale wciąż prezentował się znakomicie. Wysiadł na najbliższej stacji. Patrzyłam, jak się oddala, odprowadzany ciekawskimi spojrzeniami, i żałowałam, że nie miałam pod ręką niczego, na czym mógł złożyć swój podpis.

Przez chwilę nie mogłam złapać tchu. Kilka lat temu kochałam się w nim na zabój, jak zresztą w całym francuskim kinie tak zwanej nowej fali. Starłam się ochłonać i nie przegapić mojej stacji.

Jechałam w nostalgicznym nastroju, z nosem przylepionym do okna. Udało mi się wysiąść gdzie trzeba. Musiałam zapomnieć o niedawnym spotkaniu z gwiazdą i powrócić na ziemię, do budynku zabytkowego szpitala, sprawiającego wrażenie, jakby czas przystanął w miejscu dwa wieki temu.

Panienska w rejestracji najwyraźniej mnie już rozpoznawała, bo przepuściła bez zbędnych pytań.

Marian leżał w swoim kącie obok okna i wyglądał jak cień. Wychudł jeszcze bardziej, twarz miał siną i bez życia.

– Witaj – powiedziałam. – Mogę się przysiąść na chwilę?

Nie zareagował. W milczeniu wpatrywał się w okno.

Położyłam kupione po drodze pomarańcze na metalowym stoliku, obok tacki z niedojedzoną bagietką i ledwie nadgryzioną parówką.

– Może nie powinnam cię dręczyć?

– Zostań, Aga – wyszeptał ledwie dosłyszalnie.

– Przyjacielu... – westchnęłam. – Tak bardzo się o ciebie martwię.

Podążyłam za jego wzrokiem, ale za szybą zobaczyłam tylko kilka chmur sunących powoli po jasnym niebie.

– Marian?

– ?



– Mówiłam ci już, że jesteś superfacetem?

Był nim przecież. I wielokrotnie dawał temu dowody.

Chciał odpowiedzieć, ale zamiast tego zaczął przeraźliwie kaszleć. Odsunęłam się odruchowo.

Kiedy się uspokoił, miał na czole kropelki potu. Z trudem dźwignął się na łokciu.

– Zrób coś dla mnie, Agus – wyszeptał.

– Wszystko, co zechcesz – odparłam natychmiast.

– Powiedz moim kobietom, że je kocham – wysapał z trudem.

– Sam im to powiesz.

– Chyba nie zdążę... – jęknął i opadł na poduszki.

– Nie mów tak! – błagałam.

Nie odpowiedział.

Poczułam, że dzieje się coś naprawdę złego. Marian nie mógł złapać powietrza, jego oczy uciekły w otchłań. Monitor nad głową zwariował, tętno spadało gwałtownie. Pielęgniarki pojawiły się niemal natychmiast, a zaraz po nich lekarz. Odsunięto mnie na bok, żebym nie przeszkadzała, ale i tak stałam wystarczająco blisko, by wszystko widzieć.

Reanimują Mariana?!

Nie!

Stałam za szklaną szybą i drżałam od stóp do głów. A jego ciało walczyło. Lekarz krzyczał, wydając polecenia, pomagała mu lekarka i pielęgniarki. Na sali wrzało jak w ulu. Przygotowano defibrylator.

Ciałem Mariana targnął skurcz. I jeszcze jeden. I znów.

Ale ja już wiedziałam.

Wiedziałam, że to wszystko na nic.

Siedziałam na ławce na szpitalnym skwerku, zaryczana i zasmarkana. Zabrakło mi chusteczek. To niesprawiedliwe! To ponad moje siły! Bez Mariana już nic nie będzie jak dawniej!

Zawiadomiona przez lekarzy, po niecałej godzinie przyjechała Sabine, a chwilę po niej Nicole. A ja wciąż nie mogłam się podnieść. Po jaką cholere człowieka się rodzi, pracuje, wycina portrety, zarabia, daje rodzinie miłość i wsparcie, jeśli wystarczy chwila i już go nie ma?

Paryż bez Mariana? Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

W końcu, nie czekając na Sabine czy Nicole, wstałam i powlokłam się przed siebie.

Powiedział, że je kocha. Jasne, że im to przekażę. Ale może jeszcze nie dziś.

Nie bardzo wiedziałam, jakim cudem dotarłam do mostu na Sekwanie i przeszłam na drugą stronę bez zwyczajowego gapienia się na przepływające w dole barki. Później, jak wiedziona nadrzędnym przymusem, dotarłam do prefektury, gdzie miałam spotkać się z Catherine.

Kiedy znalazłam się w jej gabinecie, puściły emocje i rozryczałam się na dobre.

Objęła mnie.

Głos odzyskałam dopiero po długiej chwili.

– Właśnie umarł mój jedyny prawdziwy paryski przyjaciel – wyjaśniłam przez łzy.

Catherine przytuliła mnie mocniej, a ja byłam jej wdzięczna za milczenie. Żadne słowa nie mogłyby mi przynieść ulgi.

– Może odłożmy nasze spotkanie? – odezwała się wreszcie. – Chyba najpierw powinnaś zająć się sobą...

– Miejmy to już z głowy. Jeśli masz coś nowego, wolę to usłyszeć teraz – powiedziałam przez ściśnięte gardło.

– Na pewno?

Potaknęłam.

– To nie jest dobra wiadomość...

– Nie może być gorszej wiadomości od śmierci Mariana. Zniosę wszystko – odparłam. Catherine wstała zza biurka i podeszła do okna. Niebo nad Paryżem kpiło sobie

z mojego bólu bezwstydnym lazurem.

– Guide dowiedział się, że Bertrand i młody Pierre się spotykali. Jeszcze zanim zginął Napoleon.

– Znali się? Naprawdę?

– Owszem. A nawet więcej. Obaj go nienawidzili. Bertrand za ten posążek, a Pierre za to, że musiał żyć bez niego całe lata.

– Więc syn Napoleona jest kłamcą?

A wydawał się taki prawdziwy! Taki wiarygodny! Nie, tego już chyba za wiele!

– Guide wciąż jest przekonany, że Napoleona zabił Bertrand. Tyle że młody Pierre zapewne o tym wiedział. Może nawet był świadkiem. A teraz boi się powiedzieć prawdę, bo Seurat go szantażuje. I chce go zrobić w to morderstwo.

– *Merde!*

– Tyle że musiałby się nieźle postarać. Bo niby dlaczego Pierre miałby zabić ojca? Bo ten go zostawił? Przecież jakoś się po latach dogadali. Nawet jeśli Pierre junior nienawidził ojca, trudno sobie wyobrazić, by go udusił i wrzucił do Sekwany.

Też nie mogłam w to uwierzyć.

– Mogę porozmawiać z Guide'em? – zapytałam.

– Oczywiście. Prosił mnie nawet, żebym was umówiła.

– Więc gdzie i kiedy?

– Będzie dziś wieczorem czekał na ciebie w Les Deux Magots. O ósmej. Ale jeśli nie czujesz się na siłach, odwołam spotkanie.

– Nie, Catherine. Pójdę – zdecydowałam.

– Naprawdę ci współczuję – dodała.

– A ty? Też tam będziesz?

Zawahała się.

– Miałam iść z mężem na kolację, ale...

– Nie, nie. Idź. Dopiero teraz rozumiem, jak ważne są chwile z bliskimi.

– Jesteś pewna?

– Jasne.

– Gdybyś mnie potrzebowała, dzwoń. Masz mój numer, prawda? Zresztą będziesz z Guide'em.

– Zatem w dobrych rękach – spróbowałam zażartować.

Z prefektury wyszłam zmęczona i otepiała. Uderzył mnie hałas paryskiej ulicy. Było ze mną nie najlepiej. Omal nie wpadłam pod pędzący motocykl, kiedy próbowałam przedrzeć się na drugą stronę jezdni. W stronę metra szłam niemal po omacku. Nie miałam ochoty na uroki Paryża. Czułam się tak, jakbym straciła ojca. Ale przecież mój rodzony ojciec żyje i zapewne czeka na wieści ode mnie!, dotarło do mnie. Rodzice na pewno się martwią.

Namierzyłam najbliższą budkę telefoniczną.

Odebrała mama.

– Cześć mamó. Co u was?

– U nas? Czekamy na twój telefon od tygodnia. Powiedz lepiej, co u ciebie!

– Ze mną w porządku. I z nami wszystkimi.

– Czy coś się stało?

Mama miała wbudowany radar, który natychmiast wyczuwał kłopoty.

Rozpłakałam się do słuchawki.

– Aguś, kochanie! Co się dzieje?

– Marian nie żyje.

– Ten twój przyjaciel z Montmartre’u?

– Zmarł przed dwiema godzinami.

– Och... Nie wiem, jak ci pomóc. – Mama prawie zaniemówiła.

– Byłam u niego z wizytą w szpitalu i w tym czasie...

– Kochanie, tak żałuję, że nie mogę być teraz z tobą!

Biedulka, naprawdę się przejęła. Jak to mama. Jak zawsze i wszystkim.

– Słyszę twój głos i już mi trochę lżej. A jak się miewa tata?

– Ogląda telewizję. Mam go zawołać?

– Nie, nie. Powiedz mu tylko, że dzwoniłam. I że was oboje ściskam mocno.

– My ciebie też, Aguś. To naprawdę przykra wiadomość. Kiedy wracacie?

– Planowo za sześć dni, ale to jeszcze zależy od terminu pogrzebu.

– Rozumiem.

– Mamo?

– Tak?

– Bardzo za tobą tęsknię – przyznałam się.

– Ja za tobą też – powiedziała przez łzy.

No tak, trzeba było myśleć! Ona po takim telefonie nie zmruży oka przez całą noc!

– Muszę kończyć, mamusia. Nie martw się, jakoś dam radę. – Próbowałam ją uspokoić.

– Pójdę jutro rano do kościoła i zapalę świeczkę za twojego przyjaciela – odparła.

– Dzięki. Ja też to zrobię w Sacré Coeur. Ucałuj ojca.

Rozłączyłyśmy się.

To był najgorszy ze wszystkich moich dni w tym mieście. Marian odszedł bezpowrotnie, a wraz z nim mój dawny Paryż oraz większość związanych z nim dobrych wspomnień.

Przystanęłam na moście i zapatrzyłam się w rzekę. Płynęła, jakby nic się nie stało. A powinna zatrzymać się choć na minutę! Nie chciała. Niosła jak zawsze pełne turystów stateczki, nie rozumiejąc mojego bólu. Jak by to było, gdybym do niej wskoczyła?, przemknęło mi przez głowę. Nie, przecież Napoleon, choć być może też miał takie myśli, nie skorzystał z takiego rozwiązania. Życie jest zbyt cenne, by tracić je w tak głupi sposób.

Tego wieczoru po raz pierwszy odpuściłam sobie kolację w Le Buffet i pobiegłam na spotkanie z komisarzem Guide’em. Siedział w kąciku, przy zapalanej na stoliku lampce, w towarzystwie Catherine.

A zatem przyszła i ona. Poczułam wyrzuty sumienia.

Pokiwałam im ręką i przedarłam się przez gąszcz rozgadanych gości. Kawiarnie o takiej renomie zawsze pękają w szwach.

Antoine Guide wyglądał na szczerze zatroskanego. Ucałował mnie w oba policzki, francuskim zwyczajem. Normalka, jeśli ludzi łączy cokolwiek poza jednorazową obecnością na tym samym wykładzie. Odniosłam wrażenie, że chce mnie pocieszyć po stracie Mariana. Catherine na pewno zdążyła mu o tym opowiedzieć.

– Bardzo mi przykro z powodu twojego przyjaciela.

– Jeszcze to do mnie na dobre nie dotarło! – westchnęłam.

Miałam ochotę znowu się rozpłakać, ale jakoś się powstrzymałam. Nie taki był cel naszego spotkania.

– Kawy? Wina? A może drinka? – zapytała Catherine.

– Wina.

Skinieniem dłoni komisarz przywołał kelnera i zamówił co trzeba.

– Dzięki, że pan przyjechał. – Wyrwało mi się od serca.

– Myślę, że potrzebuje pani wsparcia – odparł. – Być może nawet ochrony.

Catherine uniosła ciemne azjatyckie brwi.

Naprawdę było aż tak źle?

– O północy mam się spotkać z Pierre’em Drugim. Napisał w kolejnym liściku, że wszystko mi wyjaśni – powiedziałam.

Antoine Guide przeszył mnie wzrokiem rasowego policjanta, jak wtedy, gdy po raz pierwszy siedziałam w jego gabinecie z Ewką.

Tyle że teraz się go nie bałam. Był moim sojusznikiem i wiedziałam, że to spojrzenie oznacza troskę o moją skromną osobę.

Mimo wszystko poczułam ciarki na plecach.

– Nie może pani iść sama. Wciąż nie wiemy, jaki był udział Pierre’a w śmierci ojca.

Pójdzie z panią Catherine.

Policjantka skinęła głową.

– Dobry pomysł – przyznała.

– Ale on wtedy nic nie powie! – Zbuntowałam się.

– Będę niewidoczna...

– Catherine będzie krążyła w pobliżu. Na wszelki wypadek – sprecyzował Guide.

– Czy wy naprawdę myślicie, że on mógł mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią

Napoleona? – zapytałam przerażona.

Nie doczekałam się odpowiedzi.

Zjedliśmy kolację (w Les Deux Magots podają najlepsze mule we Francji!), wypiliśmy jeszcze jedną butelkę szacownego châteauneuf-du-Pape, po czym Guide powrócił do swego mieszkania, a my z Catherine pojechałyśmy na Montmartre. Na do widzenia usłyszałyśmy jeszcze, że ta chwila powrotu do Paryża i do pracy, choć nieformalnej, dobrze mu robi. „Brakowało mi tego dreszczyku”, powiedział komisarz. A więc jednak nie powinnam się obwiniać, że poświęca się dla mnie szacowny francuski emeryt!

Noc zapadła prędej, niż myślałam. Nad wzgórzem Montmartre wisały ciemne chmury, zanosilo się na deszcz i burzę, a gwiazdy pouciekały nie wiadomo gdzie.

Szłam pod górę, ku miejscu, gdzie miał na mnie czekać Pierre, z przecuciem, że coś się wydarzy. Coś złego.

Catherine podążała za mną, ale w pobliżu placu ulotniła się dyskretnie.

Moje serce waliło jak dzwon Notre-Dame.

Usiadłam na ławeczce i czekałam.

Niebo było już niemal granatowoczarne.

Mały placzyk był na wzgórzu enklawą ciszy, chociaż znajdował się niemal w jego centrum, zapewne dlatego, że w okolicy znajdowały się wyłącznie kamienice mieszkalne, bez barów i głośnych nocnych klubów. W samym jego środku stała niewielka wiekowa fontanna, służąca kloszardom za umywalkę. Dokoła paliło się zaledwie kilka żeliwnych kutych latarenek o bładoniebieskim świetle, co w sumie składało się na krajobraz niczym z filmu grozy. Cisza i mdłe światło. Niezwykle miejsce, zważywszy, że kilkaset metrów dalej tętnił życiem głośny i jaskrawy Montmartre.

Siedziałam na ławeczce i czekałam na Pierre’a. A może sobie ze mnie zakpił i nie przyjdzie? Nagle za moimi plecami rozległy się kroki.

– *Mon Dieu!* – wykrzyknęłam przerażona.  
– Przepraszam za spóźnienie. – Usłyszałam znajomy głos.  
– Lepiej późno niż wcale – wymamrotałam. Naprawdę mnie przestraszył. – Dziś jest pan sam?

– Sam. Chcę z panią porozmawiać w cztery oczy.

Nie powiem, żeby się nie bała. Doszłam do stanu, w którym nie ufałam nikomu.

– Skąd pan wie, że mieszkam w Utrillu? Ma pan informatora?

– Przepraszam, jeśli napędziłem pani stracha. I nie mam żadnego informatora.

– Więc jakim cudem dostarczył mi pan listy do hotelu?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Dobrze. Powiem pani wszystko, co wiem.

Usiadł na ławce.

– Tylko szczerze! – zażądałam nieswoim głosem.

– A ma pani szluga?

– Jasne.

Wyciągnęłam z torby wymiętą paczkę gitanów; była jak fajka pokoju dla Siuksów.

Zapaliliśmy oboje. Dymek powędrował ku czarnemu niebu, a Pierre rozpoczął opowieść.

– Muszę zacząć od dnia, kiedy po raz pierwszy spotkałem ojca.

Zgodziłam się, kiwając głową. Miałam mnóstwo czasu. Nie śpieszyło mi się ani do Artura, ani do reszty rodziny. Moi bliscy zapewne obalali w tej chwili kolejną butelkę wina w Le Buffet, zastanawiając się, co ze mną. Artur chyba myśli, że go zdradzam albo coś w tym stylu. Nie wiedzą, że umarł Marian, a ja mam wymówkę wszech czasów. Już nie muszę się z niczego tłumaczyć. Nie mogę z nimi być, bawić się i żartować. Nie ma mojego przyjaciela, a życie stało się ponure jak wnętrze egipskiej piramidy. Nie, nie chciałam iść do Le Buffet i udawać, że cieszę się z naszej wspólnej wycieczki. Stało się to, czego obawiałam się od początku. Paryż wchłonął mnie po raz kolejny.

– Czy pani mnie słucha?

– Tak, tak, słucham.

Gdzieś w ciemności czuwała Catherine.

– Właściwie wszystko było tak, jak już pani powiedziałem. Spotkałem ojca w metrze, poszliśmy do knajpy. Potem zaprosił mnie do siebie i dał zeszyt z zapiskami. Nie wspominałem tylko, że poznałem też jego kumpla Bertranda. Ten gość od początku wydawał mi się dziwny, ale miał w zanadrzu tyle opowieści o Egipcjach, że włosy stawały dęba! Któregoś dnia zaprosił mnie na lunch, gadaliśmy, gadaliśmy i z każdą minutą stawaliśmy się sobie bliżsi. Nie miałem jeszcze wtedy pojęcia, że on ma tylko jeden cel: odzyskać ten cholerny posążek! Jakim cudem miałem wiedzieć? Mimo to czułem, że coś jest nie tak. Bertrand próbował się ze mną zaprzyjaźnić, żeby mieć dostęp do mojego ojca, który zaczął go unikać. Ale ze mną nie tak łatwo, jestem z natury dość nieufny. Zacząłem śledzić Seurata i wkrótce miałem pewność, że nie ma on przyjacielskich zamiarów wobec mojego ojca. Postanowiłem wkroczyć do akcji...

Na razie miało to ręce i nogi.

Zachęciłam Pierre'a do dalszego ciągu skinieniem głowy.

– Spotkałem się z ojcem kilka dni przed jego śmiercią. Gdybym wiedział, co go czeka! Nie wiedziałem. Zdawałem sobie sprawę, że Seurat jest wilkiem w owczej skórze i chce coś od ojca wyciągnąć. Mówił, że jakąś książkę, ponoć białego kruka. Prosił mnie, abym z ojcem porozmawiał. Siedzieliśmy w Les Deux Magots nad stekami i dobrym winem, a Bertrand twierdził, że nie może od niego odzyskać tej niezwykle cennej dla niego rzeczy. Prawie mu

uwierzyłem. Ten świr potrafił być przekonujący!

A jakże! Doświadczyłam tego na sobie!

– Poprosił, żebym namówił ojca na spotkanie. Że niby to ja chcę się z nim widzieć, a on się nagle pojawi i przycisnie go do muru. O tę książkę, jak tłumaczył. Byłem głupi i dałem się wciągnąć.

Pierre'owi błyszczały oczy. Czy aż tak przeżywa tę spowiedź, czy jest wyłącznie dobrym aktorem?

– Tamtej nocy namówiłem ojca na spacer. Poszliśmy najpierw wzdłuż Sekwany, a potem na Pont Neuf. Rozmawialiśmy. Człowieka, którego nie znałem przez tyle lat, nagle naszło na zwierzenia. Opowiedział mi o Sophie, swojej żonie i jedynej miłości, o tym, jak stracił dziecko, a w końcu i o tym, jak raz, wiele lat wcześniej, jeszcze przed związkiem z Sophie, wyplakiwał swoją samotność w ramionach spotkanej na ulicy kobiety. Tą kobietą, jak się zapewne pani domyśla, była moja matka. Poszedł z nią do taniego hotelu, nawet pamiętał nazwę: hotel Ideal. Jeden z tych, co to mają dwie gwiazdki na szyldzie, choć nie powinny ich mieć wcale. Taki, w których płaci się za godziny. I nie zawsze jest w nich czysta i wykrochmalona pościel.

Pierre zamilkł na chwilę.

– I tam, w tym obskurnym hoteliku, co tu owijać w bawełnę, splodził mnie przez przypadek. Twierdził, że nie miał pojęcia o moim istnieniu i że zawsze marzył o dziecku. Właściwie nie miałem do niego żalu. Skąd miał wiedzieć, jeśli moja rodzona matka wkrótce po porodzie oddała mnie do sierocińca? Tak czy inaczej teraz pragnął dowiedzieć się o mnie jak najwięcej. Pytał, jak mi się żyło w przybranej rodzinie, jakie mam marzenia, czym się interesuję i tak dalej. Zapytał nawet, czy mam dziewczynę. Odparłem, że mam. Bo wtedy już byłem z Giselle. Poznała ją pani.

– Jak ona się czuje? Mówiłeś, że ma coś z nogą?

– Coraz lepiej. To miłe, że pani o nią pyta. – Uśmiechnął się.

*Merde!* Miał uśmiech Napoleona!

Niebo nad nami zrobiło się całkiem czarne.

– Ma pani jeszcze papierosy?

– Oczywiście.

W końcu przygotowywałam się do tego spotkania!

Ponownie zapaliliśmy oboje. Pierre Drugi zaciągnął się głęboko i wypuścił trzy idealne kółka w ciemność nad nami. Zanurzyliśmy się w przeszłości otoczeni kojącym aromatem tytoniu.

– Więc opowiedziałem mu o sobie. O tym, że studiuje archeologię, choć to już wiedział, że lubię mocną czarną kawę i że chciałbym pojechać do Egiptu. Ożywił się nagle i zaczął opowiadać o swoich wyprawach. Ale gdy wspominał Sophie, łamał mu się głos. Wtedy współczułem mu po raz pierwszy. Być może nienawiść byłaby łatwiejsza, ale ja jej nie czułem. Przecież jego życie, podobnie jak moje, było jedną wielką porażką! Mówił o śmierci żony, o tym, że właśnie mija kolejna rocznica jej śmierci. Staliśmy razem na tym moście, zakłopotani.

Było już późno, na pewno po północy. Oparty o barierkę mostu, usiłowałem przestrzec ojca przed Bertrandem, wiedząc, że ten czai się w mroku i tylko czeka na okazję. Tymczasem ja zorientowałem się, że mimo wszystko nie życzę ojcu źle. Ale kiedy chciałem powstrzymać Seurata, okazałem się bezradny.

Dopał ojca, wrzeszcząc coś o jakimś posążku, a ja nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Przecież była mowa o książce! Złapałem go za rękę.

– O czym ty mówisz? – zapytałem wściekłego Bertranda.

I wtedy mój ojciec krzyknął:

– Uciekaj, synu!

Zostałem. Próbowałem odciągnąć Seurata, ale facet był ode mnie silniejszy.

Kotłowaliśmy się we trzech, gdy ujrzałem, że ojciec słania się na nogach. Upadł bezwładnie na ziemię.

– Ratujmy go! – wrzasnąłem przerażony.

Seurat popatrzył na mnie zimno.

– Lepiej pozbądźmy się ciała, zanim namierzy nas policja – powiedział, po czym, nie zważając na moje protesty, przerzucił ojca przez barierkę.

Usłyszałem głośny plusk. Ten dźwięk wciąż śni mi się po nocach...

Pierre rzucił niedopałek gitana na mokry bruk. Nawet nie zauważyłam, że zaczęło padać.

– Po wszystkim powiedział głosem jak z horroru: „Jeśli mnie wrobisz, ja wrobię i ciebie. Byłeś tu i miałeś motyw, aby się go pozbyć”. Tak mnie zastraszył, że milczałem przez kilka lat. A teraz, kiedy się wreszcie zdobyłem na odwagę, znów usiłuje mnie szantażować.

– Jakim cudem? Przecież siedzi w więzieniu – zapytałam trzeźwo.

– A myśli pani, że on nie ma kumpli na wolności? Bertrand to przebiegły lis. Zemści się nawet z za krat!

– Więc proszę pójść ze mną na policję. Tam wszystko się wyjaśni – rzekłam.

Pierre wahał się przez chwilę.

– Nikt mi nie uwierzy – powiedział ze smutkiem. – Mam nadzieję, że chociaż panią przekonałem...

Skinął mi głową na do widzenia i zanim zdążyłam go zatrzymać, przepadł w ciemnościach.

Catherine wyłoniła się z ukrycia bezszelestnie jak duch. Słyszała wszystko, bo na placyku było równie cicho jak w studiu nagrań.

– Nie bój się, Aga. Już poszedł.

Jej głos zadziałał jak tabletki uspokajająca.

– Co o tym sądzisz? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Wygląda, że mówi prawdę. Ale...

– Nie wierzysz?

– Szczerze? Wierzę wyłącznie w śmierć i w podatki – odparła z kwaśną miną.

Artur na mój widok omal nie zemdleł. Było już grubo po północy, ale o dziwo nie spał. Sączyl piwo, przetrząsając moje rzeczy.

– Co robisz?

– A jak myślisz? Szukam adresów i telefonów twoich tutejszych znajomych. Anka i Adam mieli nawet zamiar zawiadomić policję, ale żadne z nas nie zna żabojadzkiego! No cóż... Cieszę się, że żyjesz, że nie padłaś ofiarą zbrojnego ani nie utonęłaś w Sekwanie. Ale z drugiej strony jestem na ciebie wściekły! Szukaliśmy cię przez cały wieczór! Nie zjawiłaś się na kolacji, więc Anka łąziła po jakichś zakazanych knajpach, podczas gdy ty pewnie gziłaś się z tym... Jak mu tam?

Stał przede mną wściekły i nieszczęśliwy zarazem. Opuścił ręce, patrzył na mnie błagalnym wzrokiem.

– Nie byłam na żadnej randce – powiedziałam. – Byłam w szpitalu. Kilka godzin temu umarł Marian. A potem poszłam do prefektury i na spotkanie z synem Napoleona. Przepraszam, że nie zdążyłam zjeść z wami kolacji. I tak nic bym nie przełknęła.

Artur zastygł bez ruchu.

– Muszę się wykapać – oznajmiłam, mijając go w drzwiach od łazienki.



Przy śniadaniu panował nastrój jak na stypie; Artur już zdążył powiedzieć wszystkim o śmierci Mariana.

Zeszłam na dół jako ostatnia. Moi bracia i Anka przytulili mnie mocno. Przez kilka sekund trwała niezręczna cisza.

– To co w takim układzie robimy? – odezwał się w końcu Adam. – Aga, powiedz, jak możemy ci pomóc.

Podniosłam wzrok znad talerza z okruszkami po rogalikach.

– Jest tylko jeden sposób...

Wlepili we mnie oczy.

– Podarujcie mi te ostatnie dni. Muszę odwiedzić Nicole, muszę pojechać na pogrzeb. Nawet nie wiem, kiedy będzie. I muszę jeszcze raz porozmawiać z młodym Pierre'em. Muszę też zadzwonić do Ewki, spotkać się z komisarzem Guide'em, muszę...

– Nic nie musisz – powiedziała moja bratowa z troską. – Śmierć Napoleona to sprawa policji, nie twoja. Powinnaś dać sobie z tym spokój.

– Nie mogę.

– Całkiem ci odbiło?! – krzyknął Artur.

– Spokojnie. – Podniósł dłoń Adam. – Jeśli musisz uczestniczyć w pogrzebie, rozumiem. Ale nie powinnaś prowadzić śledztwa, czy jak to zwał, na własną rękę. To jest zwyczajnie niebezpieczne. Powinnaś się odprężyć, połączyć z nami...

Wszystko mnie bolało. Serce, głowa, nawet brzuch. Byłam jednym wielkim kłębkim poszarpanych nerwów.

– Więc dajcie mi chociaż trzy dni! Ja wam podpowiem co, gdzie i jak. Już i tak świetnie sobie radzicie beze mnie. Potrzebuję tego luzu, żeby pożegnać Mariana i zakończyć inne sprawy. Potem możemy wsiąść do poloneza i ruszyć z powrotem na wschód, ale teraz nie mam wyjścia.

Musiałam mieć podczas tej przemowy śmiertelnie poważną minę, bo Waldek zamienił się w posąg.

– Chyba nie dajesz nam wyboru... – Bardziej stwierdził, niż zapytał Adam.

Pokiwałam głową.

Rozstaliśmy się około południa. Oni pojechali na lewy brzeg Sekwany, a ja pobiegłam prosto do domu Mariana i Sabine.

Otworzyła Nicole. Ledwie ją poznałam. Bez makijażu, oczy zapuchnięte, włosy w totalnym nieładzie.

– Wejść – powiedziała cicho.

– A mogę? Bo jeśli...

– Powiedziałam: wejść.

Nigdy jej nie widziałam w takim stanie. Nic dziwnego, przecież właśnie straciła ojca.

– Nicole, tak mi przykro... – wyszeptałam bliska płaczu.

Spojrzała na mnie i za chwilę stałyśmy przyklepione do siebie jak dwie sieroty. Mokry od łez podkoszulek Nicole przylgnął do mojej bluzki.

Przeszliśmy do salonu, gdzie wciąż unosił się zapach jego fajki.

I dopiero teraz dotarła do mnie okrutna prawda: już nigdy nie zobaczę Mariana!

Bezradna, usiadłam na kanapie. Po co ja tu przyszłam?, zadałam sobie pytanie. Mariana nie wskrzeszę, a być może przez moją obecność Nicole bardziej odczuje jego stratę? Bo to do mnie należały jego ostatnie chwile przed śmiercią. W pewnym sensie je sobie zawłaszczylam.

Na stole wciąż stała ta sama kryształowa popielniczka, do której gospodarz wytrząsał niedopalony tytoń. Niegdyś radosny i pełen światła salon dziś przypominał cmentarną kaplicę.

Nicole usiadła naprzeciwko. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Rozpłakała się. Podeszłam i otoczyłam ją ramionami. Jej płacz przeszedł w rozpacz.

Myślałam, że pęknie mi serce.

– Byłaś przy nim, kiedy...? – Z trudem wyszeptała Nicole.

– Tak.

– Boże, to przecież ja powinnam być na twoim miejscu! – zawyla.

– Nie mogłaś tego przewidzieć.

– Ale powinnam!

– Nie obwiniaj się, Nicole, nie wolno.

– Właśnie, że wolno!

No cóż... W pocieszaniu nie byłam najlepsza.

– Czy on coś mówił, zanim... No wiesz.

– Tak, Nicole. Prosił, abym przekazała wam, że was kocha. Ciebie i twoją matkę.

Przepraszam, ale nie byłam w stanie powiedzieć wam tego wczoraj...

Z Nicole była już mokra plama.

Gładziłam rude włosy i próbowałam opanować drżenie jej ramion. Sama również szukałam pociechy.

– Nie rozumiem! – krzyknęła nagle Nicole.

– Ja też...

Wstała, wytarła oczy i spojrzała na mnie z czułością.

– Dziękuję, Aguś, że przy nim byłaś.

– A twoja matka? Co z nią? – Odważyłam się zapytać.

– Wzięła wczoraj dwie pigułki nasenne i jeszcze śpi. Zaparzę kawę, chcesz?

– Chętnie.

Wreszcie Sabine, rozczochrana i blada, zeszła na dół. Owinięta niedbale podomką stanęła przed nami jak duch.

– Aga? – Popatrzyła z niedowierzaniem.

– Przyszłam, bo...

Machnęła ręką. Zupełnie jakby moja obecność była nieistotna.

Nicole nalała matce kawy i wszystkie trzy zasiadłyśmy przy ogromnym szklanym stole, na którym niegdyś pojawiały się wykwintne dania i najdroższe wina. W jeden z takich wieczorów byłam tu z Ewką i naszymi facetami: Marco i Vincentem. Byli też znajomi Mariana i Sabine oraz pewien chirurg plastyczny z żoną. Pamiętam, jak potykałyśmy się z Ewką na wysokich obcasach, założonych po raz pierwszy w życiu na tę specjalną okazję. I widok gwiazd nad Paryżem, gdy wyszłam na balkon w towarzystwie Mariana. Powiedział mi wtedy, że powinnam kierować się sercem. Czuł, że jestem zagubiona, że nie wiem, czy wracać do Artura, czy zostać z Marco. Lepiej ode mnie wiedział, co dla mnie dobre.

– Powiedz jej to samo, co mnie. – Dotarł do mnie słaby głos Nicole.

Powtórzyłam Sabine ostatnie słowa męża. Zaszklone oczy świadczyły, że jest mi, mimo wszystko, wdzięczna.

– Mamo, musimy zawiadomić bliskich i zorganizować pogrzeb...

– Nie dam rady.

Więc nawet teraz wszystko spadnie na barki Nicole?

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytałam nieśmiało.

– A pojechałabyś ze mną do szpitala?

– Oczywiście.

Spędziłyśmy razem resztę dnia. Pojechaliśmy do Salpêtrière, gdzie okazało się, że załatwienie wszelkich formalności będzie żmudne i kłopotliwe. Pamiętałam, jak biegałam w Polsce z mamą po śmierci babci. Zanim mogliśmy ją pożegnać na cmentarzu, przeszliśmy przez istny magiel. Może i Francja jest na innym etapie rozwoju niż nasza socjalistyczna ojczyzna, ale w temacie pochówku niczym się nie różni.

Nicole musiała zdecydować o cmentarzu, ustalić datę pogrzebu, wybrać trumnę i wypełnić całe mnóstwo papierów. Zeszliśmy też obie do przyszpitalnej kostnicy, gdzie spoczywało ciało Mariana. Miałyśmy ze sobą ubranie na ostatnią drogę, które przed wyjściem przezornie zabrałyśmy z domu.

Pomieszczenie przypominało średniowieczne katakumby. Drzwi otworzył nam bladzi i żyłasty mężczyzna o wyglądzie upiora i poprowadził w głąb. Poczułam na plecach zimny dreszcz.

Trzymałam Nicole za rękę, w obawie, że zemdleje. Szłam z trudem na miękkich nogach.

Marian, martwy i zimny, leżał na stole z równie zimnej stali. Nie dla takich widoków przyjechałam do Paryża w podróż poślubną! Stanowczo nie dla nich!

Nicole dotknęła dłoni ojca i coś wyszeptała. Nie dosłyszałam. Wiedziałam, że bardzo go kochała, była z nim mocniej związana niż z matką. A teraz przypadło jej w udziale załatwianie wszelkich formalności. Sabine, jak zwykle, pokaże się w ładnie skrojonej czarnej sukience na pogrzebie, kiedy już nie będzie musiała stawać twarzą w twarz z tym okrutnym i bezwzględny widokiem...

Twarzą w twarz ze śmiercią.

Wyszliśmy przed szpital i jak na komendę głęboko zaczerpnęłyśmy powietrza. Chodziłyśmy po parkowych alejkach, pomiędzy bujną roślinnością, aż wreszcie Nicole opadła na ławkę.

– Nie dam rady. – Pokręciła głową. I rozpląkała się.

– Dasz, Nicole. Pomogę ci. Ktoś musi się tym zająć, a na twoją matkę raczej nie możemy liczyć.

– Nawet tego nie może dla niego zrobić! – krzyknęła.

Dwie godziny później wszystko było ustalone. Marian zostanie pochowany w Montmorency, na małym cmentarzu położonym na północ od Paryża, gdzie znaleźli miejsce wiecznego spoczynku wybitni Polacy, jak Norwid czy Niemcewicz. Marian najwyraźniej zapragnął leżeć w dobrym towarzystwie, bo już dawno wykupił tam miejsce, o czym dowiedziałyśmy się w referacie zgonów, gdzie pojechaliśmy prosto ze szpitala.

Nicole, jak każde dziecko, nigdy przedtem nie myślała o takich rzeczach. Podobnie jak ja miała nadzieję, że rodzice będą żyli wiecznie.

Najwyraźniej Marian, który całe życie troszczył się o innych, i tym razem o nich zadbał, pomyślałam ze smutkiem.

Miła pani w urzędzie podpowiadała nam, co mamy robić. Wybrałyśmy trumnę, kwiaty i krzyż. Nicole trzymała się dzielnie, aż do końca.

Rozkleiła się dopiero po wszystkim.

– Boże, Aga! Kto mnie teraz poprowadzi do ślubu?! – jęknęła głośno.

Zaskoczyła mnie. Nie wiedziałam, że coś się szykuje.

– Zareczyłaś się z Mario?

– *Merde*, a jak myślisz! Jesteśmy razem od kilku lat i właśnie postanowiliśmy się pobrać.

– Tak mi przykro, Nicole... To znaczy, cieszę się, że chcesz być z Mario, ale...

– Nie kończ!

– Dobrze, już, dobrze.

Kiedy wreszcie dotarliśmy na Montmartre, słońce kąpało się w Sekwanie. Przez cały dzień nie jadłyśmy niczego, zresztą chyba nie dałybyśmy rady nic przelknąć. Teraz jednak, przed dziewiętnastą, poczułam wilczy głód. Podobnie jak Nicole.

– Może wstąpiłybyśmy na kolację? – zapytała.

– Chętnie, ale gdzie?

– A masz jakiś pomysł?

– Może do *Le Buffet*? – powiedziałam i ugryzłam się w język.

Żałoba Nicole na pewno zostanie uszanowana, ale jeśli Artur wyskoczy z jakimś durnym komentarzem? Po raz kolejny przekonywałam się, że nie mam zaufania do własnego męża. Zanim jednak wymyśliłam coś innego, Nicole odparła:

– Dobrze. Idziemy.

Pora była w sam raz. Zatem dołączymy do nich. Po prostu. I już.

Nasza mała restauracja aż kipiała gwarem i zapachami dobrej kuchni. Pierwszy dojrzał nas Waldek.

– Patrzcie, kto przyszedł! – zawołał.

Na twarzach moich bliskich malowało się zaskoczenie.

– Znajdzie się dla nas miejsce? – zapytałam.

– Jasne. Witaj, Nicole – powiedziała Anka. Wstała i objęła ją mocno. – Aga nam mówiła. Bardzo nam wszystkim przykro – dodała w imieniu swoim i reszty.

– Dzięki – wyszeptła Nicole.

Adam podsunął dodatkowe dwa krzesła.

– Zgłodniałyśmy po całym dniu biegania i pomyślałyśmy, że dołączymy do was – oświadczyłam, nie wiedząc czemu przepraszając.

– Bardzo dobry pomysł – powiedziała Anka.

– Już zamówiliście?

– Jak zwykle danie dnia. Choć nikt nadal nie ma pojęcia, co to będzie – odparł Waldek.

Palił gitana, zaciągając się głęboko. Jakby chciał pokryć brak pewności siebie.

– To samo? – zerknęłam na Nicole.

– *D'accord*.

Niezręcznie było tylko na początku. Nicole nie epatowała smutkiem, najwyraźniej miała ochotę choć na chwilę od niego uciec. Waldek nie odrywał od niej wzroku. Nawet nieumalowana, potargana, z zaczerwienionymi od płaczu oczami wciąż była niezwykle piękna.

Dostaliśmy przepyszne grillowane mięsa z ryżem i duszonymi warzywami, danie idealne na nieutulony żal po stracie bliskiej osoby i związany z nią bolesny skurcz żołądka.

Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, uważając, aby nie powiedzieć niczego, co mogłoby dotknąć Nicole. Adam, który stwierdził, że córka Mariana potrzebuje wina, zamówił kolejną butelkę i wkrótce nasza wieczerza zamieniła się w stypę po moim przyjacielu.

Wspominałam jego parkowanie na styk, niezwykłą cierpliwość do wyciągania mnie i Ewki z kolejnych kłopotów, a nawet noc, kiedy razem chowaliśmy obraz van Gogha pod zmurszałą podłogą jego tajnej kawalerki na obrzeżach miasta.

– A Ewka wie? – odezwała się zniecierpliwiona moja czujna bratowa.  
Zaskoczyła mnie.

– O Boże! Powinam do niej zadzwonić. Przecież obie kochałyśmy Mariana jak ojca!  
Nicole nie protestowała. Chyba nawet się cieszyła, że tego wieczoru nie jest sama.

Wspominki wzruszyły ją szczerze, więc piła wino i dorzucała do nich własne. Ja występowałam w roli tłumacza.

Artur wykazał się daleko idącą empatią i nie narobił mi wstydu.

Mimo początkowej niepewności nie żałowałam już, że przyszliśmy do Le Buffet. Nicole uśmiechnęła się kilka razy, zapaliła gitana, choć zwykle nie paliła, a na koniec zjadła deser czekoladowy. Potrzebowała tego gwaru, aby zagłuszyć samotność i pustkę po stracie. Dzwoniła już do Mario, który obiecał, że natychmiast wróci z Mediolanu, ale dziś spędzała wieczór z nami. I dobrze, pomyślałam. Nie powinna być teraz sama.

Zasiedzieliśmy się aż do północy, po czym odprowadziliśmy ją pod sam dom.

Konsjerżka spała, jak zwykle, więc Nicole sięgnęła po klucz. Dopiero kiedy za przeszklonymi drzwiami ujrzałam jej cień, idący schodami na górę, dałam znak, że pora wracać do hotelu.

Artur bez słowa poszedł do łazienki, podczas gdy ja zajęłam się zmywaniem makijażu ze zmęczonej twarzy. W naszym apartamencie, w kącie przy oknie, stało coś na kształt toaletki.

Wychyliłam się nad parapetem. Wieża świeciła jak zwykle, lecz dla mnie Paryż zmienił się diametralnie. Bez Mariana już nigdy nie będzie tym samym miastem.

Kolejne dni w Paryżu okazały się pełne niespodzianek. Na początek komisarz Guide sprawił, że aresztowano Pierre'a za współudział w zabójstwie Napoleona. Podobno Bertrand dostarczył jakieś dowody. Dowiedziałam się o tym od Catherine, która pofatygowała się osobiście do mojego hotelu.

Wkroczyła do kafeterii o dziewiątej trzydzieści, kiedy właśnie spożywalismy pierwszy z najmilszych posiłków dnia, czyli śniadanie. Waldek podniósł wzrok i całkiem odebrało mu mowę. Mój biedny braciszek dopiero co podziwiał rude włosy Nicole, a dziś kolejna piękna kobieta, tym razem o skośnych oczach i w mundurze policjantki, kroczyła prosto ku naszemu stolikowi.

– Aga, jest pilna sprawa – oświadczyła, nie bawiąc się w konwenanse.

Rogalik utknął mi w gardle.

– Co się stało? – zapytałam przerażona.

– Musisz ze mną jechać do prefektury.

Omam się nie udławiłam.

– Zatrzymano Pierre'a juniora. A on twierdzi, że możesz mu pomóc jako świadek.

– Co takiego!? – zawołałam.

– Co ona mówi? I kto to w ogóle jest? – Poderwał się Artur.

– To Catherine Mancini, pani komisarz francuskiej policji. – Dokonałam prezentacji.

Do moich bliskich chyba powoli docierało, że obracam się w innym świecie. – Muszę z nią jechać.

– Może napije się pani kawy? – Waldek na migi wskazał na dzbanek i filiżankę.

– Byle prędko. – Zgodziła się i przysiadła na krześle.

Cała czwórka, a zwłaszcza mój młodszy brat, wpatrywali się w nią jak w obrazek.

Musiałam kopnąć Waldka pod stołem, żeby się trochę opamiętał.

Catherine wiozła mnie do prefektury, gdzie czekał już na nas Antoine Guide. Podczas jazdy sprawdziłam, czy w schowku wciąż tkwi kosmetyczka. I owszem! Wyciągnęłam z niej ulubioną jasnoczerwoną szminkę Catherine i po raz kolejny doznałam déjà vu. Roześmiałyśmy się obie i w tym samym momencie omam nie wylądowałyśmy na zderzaku jadącego przed nami nissana.

– Cóż, pewne rzeczy się nie zmieniają... – powiedziała Catherine z uśmiechem.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym cofnąć czas! – odparłam całkiem serio.

Chciałabym znów jechać z nią na spotkanie z fałszerzem obrazów do więzienia La Santé. Chciałabym być młodsza o te kilka lat, wolna i niezamężna. Chciałabym mieć wybór, czy zostać z Marco, czy związać się z Arturem.

Tyle że było to niemożliwe.

Catherine czytała we mnie jak w otwartej księdze.

– Nie jesteś szczęśliwa, Aga? – Zerknęła z ukosa.

– To aż tak widać?

– Nie chcę się wtrącać w twoje życie, ale jesteś jeszcze młoda i wszystko możesz zmienić.

– A ty?

– Ja? Ja jestem szczęśliwa, i to bardzo. Zresztą poznasz dziś powód mojego szczęścia –

dodała, mrużąc skośne azjatyckie oko.

Dojechałyśmy do prefektury w rekordowym tempie. Wprawdzie kilka razy omal nie zemdlałam, kiedy Catherine wykonywała szalone manewry na zatłoczonych porannymi korkami arteriach miasta, ale cudem obie pozostałyśmy przy życiu. Gdy z piskiem opon zaparkowałyśmy na kopcercie zastrzeżonej dla policji, wysiadłam spocona, ale szczęśliwa, że oto znów stoję na paryskim bruku.

Komisarz Guide, choć emeryt, wciąż pociągał za sznurki. A przynajmniej w tej sprawie, bo nikt nie znał jej lepiej niż on. Sprawił, że śledztwo wznowiono, a przejął je nie kto inny, a mąż Catherine Alberto Mancini. Ten z paryskiego „archiwum X”.

Catherine zaprowadziła mnie do nieznannej mi sali i poprosiła o chwilę cierpliwości. Cóż było robić? Usiadłam na krześle i czekałam. Pomieszczenie było wyzute z wszelkiej tożsamości – nijakie, smętne, szare. Nie było na czym zaczepić wzroku.

Długo się jednak nie nudziłam, bo po chwili wszedł doń młody mężczyzna ubrany w ciemny garnitur i białą koszulę bez krawata. Szary i nijaki pokój pojaśniał natychmiast.

– Alberto Mancini – przedstawił się.

Przede mną stał mężczyzna o profilu Dawida dłuta Michała Anioła. Miał długie czarne włosy, szerokie barki i przeszywające spojrzenie czarnych jak dwa węgle oczu.

Nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu.

Z odsieczą nadeszła Catherine.

– Skoro już się poznaliście, to ja spadam. Mam kupę pilnej roboty na biurku. Bądź dla niej miły, Alberto – zwróciła się do męża, całując go delikatnie w policzek, i znikła za drzwiami.

Alberto Mancini pokazał w uśmiechu rząd nieskazitelnie białych zębów.

– Nie ma powodu do obaw – powiedział, zanim zdążyłam się oswoić z jego nieziemskim czarem. – Wezwaliśmy panią wyłącznie w charakterze świadka.

Na miejscu Catherine wracałabym z pracy najszybciej, jakby się tylko dało!

– Nie boję się – odparłam. Choć bałam się jak diabli. – Ale nie rozumiem sensu mojej wizyty.

– Pozwoli pani, że będę nagrywał treść rozmowy?

– Nie mam nic do ukrycia.

Włączył magnetofon.

– Zna pani niejakiego Pierre’a, zwanego Księciem, który podaje się za syna Pierre’a Fourcheta, zwanego Napoleonem?

– Poznałam go kilka dni temu. Jak to: podaje się?

– Jest nim. Przepraszam. To jego syn.

– Podobny do ojca jak dwie krople wody – stwierdziłam.

– Czy on wspomniał coś o Bertrandzie Seuracie?

– Owszem.

– Może mi pani o tym opowiedzieć?

No cóż. Czemu nie? Opowiedziałam wszystko, co zapamiętałam.

Alberto Mancini notował. I nagrywał, co nie nastrajało mnie jakoś nadzwyczaj pozytywnie.

– Czy może mi pan wyjaśnić, o co chodzi? – zapytałam w końcu.

Obrzucił mnie spojrzeniem, od którego robiło się gorąco.

– Więc był na moście tamtej feralnej nocy? – Wałkował.

– Był. A przynajmniej tak mi powiedział.

– To właśnie chciałem usłyszeć.

- Co?
- Jego przyznanie się do obecności w tamtym miejscu.
- Ale to jeszcze nie znaczy, że...
- Proszę zostawić wyciąganie wniosków policji. – Ciemne oczy boskiego Alberta pociemniały jeszcze bardziej.
- Nie wierzę, że Pierre zabił własnego ojca! – zawołałam.
- Chyba jednak tamtego dnia wydarzyło się coś innego, niż się nam pierwotnie wydawało. Wszystko na to wskazuje.
- Skąd to przekonanie?
- Obowiązuje mnie tajemnica służbowa... – zawahał się. – Ale ponieważ pani wiele przeszła w związku z tą sprawą, należy się pani małe wyjaśnienie.

Nareszcie.

Na szczęście, kiedy Alberto Mancini otwierał trzymaną w dłoniach teczkę, wydawał mi się już znacznie mniej atrakcyjny. Przetrzęsął ją i położył przede mną fotografię.

Po raz pierwszy ujrzałam zwłoki Napoleona. Zdjęcie musiało być zrobione już na sali sekcyjnej, ale jeszcze zanim ciało pokroił patolog. Stary, poczciwy Napoleon, jak zwykle w ubraniu à la kloszard, leżał na stole, czekając na skalpel. Miał trupioblada twarz i wodorosty we włosach. Wzdrygnęłam się.

– Dlaczego mi pan to pokazuje? – zapytałam, zła, że dałam się wciągnąć w całą tę sprawę.

Nie dość że wszystko im powiedziałam, to teraz zmuszają mnie, żebym zapamiętała Napoleona nie jako dowcipnego mędrca z Montmartre’u, ale jako zimnego, ohydneho, wyłowionego z rzeki nieboszczyka!

- Proszę się przyjrzeć jego dłoniom. – Nie przestawał torturować mnie Mancini. Już nie był adonisem, tylko zwyczajnym gliniarzem z prefektury.
- I co? Co niby mam zobaczyć? – Robiłam się coraz bardziej wściekła.
- Więc może inne zdjęcie. Tu jest powiększenie. – Podsunął mi zbliżenie samej dłoni.
- On w niej coś ściska... – Zauważyłam.
- To bransoletka. Jeśli powiększyć ten fragment jeszcze bardziej, to nawet widać wygrawerowany napis.

– Jaki?

– „Pierre Jr.”.

– „Pierre Jr.”? A czego to niby dowodzi?

– Doszliśmy do tego po długich i żmudnych poszukiwaniach. Gdy zginął Napoleon, nikt nie miał pojęcia o istnieniu jego syna. Wszystko wskazywało na Bertranda Seurata, obecnego na miejscu zdarzenia, gdzie pokłócił się z denatem. – Wzdrygnęłam się na to określenie. – A dzisiaj, gdy dzięki pani uzyskaliśmy nowe informacje, przyjrzelśmy się sprawie ponownie. Denat – wzdrygnęłam się ponownie – musiał przed śmiercią zerwać tę bransoletę z ręki zabójcy. I wszystko wskazuje, że to własność Pierre’a juniora.

- Skąd ta pewność?
- Sprawdzaliśmy kolejno wszystkie salony jubilerskie w Paryżu. I dopisało nam szczęście. Pewien grawer zapamiętał i opisał dokładnie zleceniodawcę. Rozpoznał go na zdjęciu. Dodał również, że klient powiedział, że to urodzinowy prezent dla syna.

Słuchałam tych rewelacji oszołomiona.

– Więc Napoleon zerwał ją z dłoni Pierre’a, kiedy ten go... – Nie mogłam dokończyć. Syn udusił własnego ojca? A Bertrand być zaledwie świadkiem, nie zabójcą?

Alberto Mancini w milczeniu zapakował fotografie do teczki.



- Mój Boże... – wyszeptałam.
- Gdyby nie pani, być może nigdy prawda nie wyszłaby na jaw.
- A Bertrand? Jest, pana zdaniem, niewinny?
- Prawdopodobnie. I jeszcze wytoczy nam proces za niesłuszną odsiadkę.
- A ja w to nie wierzę. I nadal myślę, że to jednak on – powiedziałam zgodnie

z przekonaniem.

Choć dowody były, jakie były. A jeśli tak, miałam dużo szczęścia, że nie padłam ofiarą Pierre'a. *Mon Dieu!* Piłam z nim wino i paliłam gitary!

- Czegoś w tym wszystkim nie rozumiem... – mruknęłam po chwili namysłu.
- Proszę, niech pani mówi. – Zachęcił mnie Mancini.
- Dlaczego Bertrand się nie bronił? Dlaczego nie pisał słówka o synu Napoleona

podczas procesu? Zgodził się na wyrok bez walki?

– Wiedziałem, że pani o to zapyta. Otóż bronił się. Wmawiał sędziemu, że to nie on, a Pierre jest zabójcą. Tyle że wtedy nie istniały dowody na istnienie takiego człowieka. Syn Napoleona pozostał więc dla sądu bujdą wymyśloną przez Seurata.

– Rozumiem, ale nie jestem przekonana. Owszem, Napoleon mógł zerwać tę bransoletkę z dłoni Pierre'a. Powiedzmy, że trochę się poszarпали. To jednak nie dowodzi, że ten go zabił. Może spanikował, a Bertrand dokończył dzieła? Po co młody Pierre miałby ujawniać się akurat teraz? Po co miałby mi o tym wszystkim, tak zwyczajnie, opowiadać? Gdyby naprawdę był winny, milczałby jak grób, a już zwłaszcza przed osobą, która znała jego ojca.

Mancini wyprostował plecy. Wyglądał na lekko zmieszanego.

Moje pytanie najwyraźniej zatruło atmosferę jak śmierdzący wyziew z paryskiej kanalizacji. Niewygodne, niepasujące do jego teorii, brudne, złe.

– Nie neguję pani wątpliwości – powiedział. – Ale byłoby to niewiarygodnie nieprawdopodobne. A w takich sprawach zwykle potwierdza się najbardziej prozaiczny scenariusz.

– Owszem, ma pan rację. Ale może ta sprawa jest inna? Jest wyjątkiem, który potwierdza tę regułę?

– Co pani chce przez to powiedzieć?

Alberto Mancini usiadł naprzeciwko mnie. Świeciło słońce, ale jego oczy pozostawały w cieniu. Już nie wyglądał jak młody bóg.

– Proszę sobie wyobrazić taką scenę. Spotykają się we trzech na moście. Jest grubo po północy, dokoła ani żywego ducha. Napoleon umówił się z synem, lecz znienacka pojawił się Bertrand. Doszło do ostrej wymiany zdań między Napoleonem a jego byłym współnikiem od egipskich przekrętów, bo Seurat chciał odzyskać posążek za wszelką cenę. Jak już wiemy, o innych zdobyczach Napoleona nie miał pojęcia. Mam na myśli obraz, który znalazłam w jego mieszkaniu. Ale wróćmy do tego, o czym wiedział Bertrand Seurat. Do posążka, ich wspólnego łupu. Potrzebował pilnie kasy i chciał go sprzedać, Napoleon się sprzeciwił i doszło do ostrej szarpaniny. Wtedy wtrącił się Pierre, chcąc powstrzymać Bertranda. Może to wtedy Napoleon zerwał synowi bransoletkę? Sama bransoletka nie dowodzi, że to Pierre był zabójcą. Wciąż uważam, że to Seurat.

Mancini spojrzał mi głęboko w oczy.

- Dlaczego pani tak zażarcie broni Pierre'a?
- Nie bronię. Analizuję fakty.
- Coś pani obiecał? Jest coś, o czym nie wiem?

Tego się nie spodziewałam! Jeszcze chwila, a oskarży mnie o współudział!

– Panie Mancini – powiedziałam stanowczo. – Niczego mi ten człowiek nie obiecał!

Zwierzył mi się jedynie ze swojego nieudanego życia przy winie i papierosach. Gdyby był winien śmierci ojca, trzymałby buzię na kłódkę. Po prostu sądzę, że śledztwo ma luki i idzie, być może, w złym kierunku. I że wypuszczenie Bertranda na wolność będzie poważnym błędem.

– Ma pani prawo do własnego zdania, jednak to sąd zdecyduje o winie młodego Pierre’a.

– Bywa, że sądy się mylą! – Podniosłam głos.

Alberto Mancini podniósł się z krzesła.

– Czy to oznacza, że mogę już iść? – zapytałam.

– Tylko jeszcze jedno pytanie.

– Słucham.

– Czy będzie pani zeznawać na procesie?

– Co takiego?

– Jako świadek.

– Za kilka dni wracam do Polski. Nie ma mowy, żebym została w Paryżu choć jeden dzień dłużej.

– Proces odbędzie się za jakieś dwa miesiące. Opłacimy pani podróż i hotel.

– Nie.

– W takim razie będzie nam musiało wystarczyć to, co dziś zapisałem i nagrałem...

Pani zeznania. Podpisze je pani?

– A nagrał pan wszystko?

Podsunał mi długopis.

– Wolałabym niczego nie podpisywać.

Chyba go zaskoczyłam.

– Bo?

– Bo nie wierzę, że przedstawi pan w sądzie moją wypowiedź w całości. Ma pan gotową teorię i traktuje sprawę jako oczywistą. A ja uważam, że postawione hipotezy wymagają sprawdzenia. Podpiszę, gdy będę miała pewność, że w sądzie zostanie odczytane każde moje słowo. Nie chcę, aby ten młody człowiek zapłacił za brak należytej staranności policji. Jeśli okaże się winny, trudno. Ale każdy szczegół z tamtej nocy powinien zostać dokładnie zbadany.

Alberto Mancini był wyraźnie zawiedziony. Na pewno zda relację z naszej rozmowy żonie, która również nie będzie zadowolona. Może nawet pokłóć się wieczorem z mojego powodu. Ale co tam! Nie jestem przekonana, to nie podpisuję!

Kiedy znalazłam się wreszcie na zalanej słońcem alei ciągnącej się wzdłuż Sekwany, miałam tylko jedno marzenie – wsiąść do pociągu i pojechać na zachód. Ciągnęło mnie tam i tyle. W La Baule czekał na mnie człowiek, którego kochałam. Biegałam po Paryżu, wyobrażając sobie, że trzymam dłoń w jego dłoni. Powiedział mi, gdzie go szukać – w kamiennym domku nad oceanem. Szkoda tylko, że nie podał adresu. Ale Carolle i Yann znali go na pewno.

Biłam się z myślami, miotałam jak zwierzę schwyte w potrzask. Doszłam do mostu i spojrzałam w dół, gdzie właśnie przepływał jeden z tych radosnych stateczków, pełen rozwrzeszczanych turystów. Dlaczego oni są tacy szczęśliwi?

I wtedy przypomniałam sobie, że jeszcze nie zadzwoniłam do Ewki.

Sprawdziłam stan portfela: kilka wolnych franków. Cud! Znalazłam najbliższą budkę i wybrałam numer do Stanów, choć w Chicago był dopiero wczesny ranek.

Usłyszałam zaspiany głos.

- To znowu ja – powiedziałam.
- Agúś?
- Mam tylko trzy monety, więc muszę się streszczać.
- Mów!
- Marian nie żyje.
- Boże!
- Pogrzeb w Montmorency, ale jeszcze nie wiem kiedy.
- Nasz kochany Marian! To straszne! Co się stało?
- Miał zawał. Ewka, zaraz nas rozłączy!
- Rozumiem.
- Napoleona podobno zabił jego syn.
- Piłaś? A może épałaś?
- Nic z tych rzeczy. Są dowody. Ale ja w to nie wierzę.
- Matko Boska!
- I chyba się rozwiodę.
- Za dużo naraz! – krzyknęła Ewka. – Jak mam teraz iść do pracy?
- Po prostu idź. Napiszę do ciebie długi list, jak tylko wrócę do domu.
- Koniecznie napisz!
- Obiecuję.
- Aga?
- Tak?
- Dzięki, że jesteś tam za nas obie.
- Ty też tu jesteś, Ewka. Zawsze jesteś ze mną w Paryżu.

Pit, pit, pit. Koniec międzynarodowej.

Przypomniałam sobie dawne czasy i napis, który widniał na ścianie domu Ewki w naszym rodzinnym mieście: „Ekspert, człowiek, który przestał myśleć. On wie”. No to teraz wie już i ona. A kto jest ekspertem w sprawie Napoleona? Guide czy Alberto Mancini?

A może ja?

Nawet nie zauważyłam, kiedy doszłam do placu Concorde. Stałam pośrodku i obróciłam się wokół własnej osi. Ostatnie dni w Paryżu, a może i we Francji... Czy nie powinnam pozwolić sobie na emocje? Zdam się na ślepy los, pomyślałam. Pojadę tam, skąd zawieje wiatr.

Przez chwilę stałam na ogromnym placu, czekając na choćby najmniejszy podmuch.

Wtem dmuchnął z zachodu miły i ciepły wiaterek. Od Marco, który zaprosił mnie do La Baule. Do swojego nowego domu.

Na dworzec Montparnasse dojechałam w pół godziny. Stacja wciąż kojarzyła mi się z płytą *Ricochet*, lecz tym razem jednak odpuściłam sobie sentymentalną podróż w czasie. Pognałam wprost do kasy z biletami na TGV.

- Czy dzisiaj odjeżdża jeszcze jakiś pociąg do La Baule? – zapytałam zdyszana.
- O szesnastej – odpowiedziała natychmiast młoda panienka.
- W takim razie poproszę jeden bilet.
- Powrotny? – Spojrzała, unosząc brwi.

Zaschło mi w gardle. Jezu! Przecież muszę wrócić! Muszę być na pogrzebie Mariana!

- Tak.

Panienka podała mi bilet. Zerknęłam na zegar. Do odjazdu pociągu miałam godzinę z okładem.

Spędziłam ten czas, włócząc się po butikach wypełnionych paryskimi zapachami, pamiątkami i Bóg wie czym jeszcze. Przemierzałam długie korytarze metra w poszukiwaniu dawnych wrażeń. Ale nigdzie nie rozbrzmiewała muzyka Tangerine Dream. Nie było tej fali drgań, za którą kilka lat temu doszłam do źródła o piątej nad ranem przed pracą, by dowiedzieć się, że to *Ricochet*. Teraz słyszałam całkiem inną muzykę. Nie znałam jej. Podziemne czeluści stacji Montparnasse stały się nagle mniej przyjazne. To już nie była ta sama stacja, na której obie z Ewką cieszyłyśmy się jak zwariowane idiotki z kupna mydełka o zapachu jabłuszka. Albo płyty Pink Floyd.

Tym razem nie kupiłam niczego, nawet krawata dla Artura, zadrukowanego w malutkie wieże Eiffla. Dziś najwyraźniej nie byłam już tą samą Agnieszką, co dawniej.

Ta dzisiejsza weszła na peron pięć minut przed czasem, wsiadła do wagonu i znalazła miejsce. I miała tylko jeden cel: dojechać do La Baule i odnaleźć kamienny dom Marco.

Resztką rozumu podpowiadała mi, że robię źle, bo moi bliscy na pewno będą się o mnie martwić. Komisarz Guide uzna, że jestem nieodpowiedzialna. Catherine nie zechce już ze mną rozmawiać. Nicole będzie zawiedziona, że jej nie wspieram przed pogrzebem ojca.

Jeszcze miałam szansę, żeby się wycofać. Jeszcze pociąg stał na stacji Montparnasse, skąd mogłam szybko trafić do hotelu. Jeszcze mogłam powrócić do realnego świata.

Ale miałam to gdzieś.

Może to moja ostatnia wizyta we Francji? Najpewniej tak. Wrócę do peerelowskiej rzeczywistości. Będę stała w kolejce po cytryny albo po masło. A tymczasem mój mąż, totalnie niewyspany, będzie czuwał na stacji benzynowej, żeby wlać choć pięć litrów paliwa do naszego malucha. Cholera jasna! *Merde!*

Ja nie chcę tam wracać!

Serce waliło mi jak opętane, ale nie wysiadłam. Co ma być, to będzie. Pojadę do La Baule i znajdę ten dom! Patrzyłam w okno. Na peronie kotłowali się podróżni. Zobaczyłam dziewczynę w ciąży i młodego chłopaka. Nie mam pojęcia, o czym rozmawiali, ale wyglądało na to, że rozstanie nie przychodzi im łatwo. On ją ucałował, a ona wsiadła do wagonu. Chwilę potem pociąg ruszył.

Młody chłopak robił się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu zniknął zupełnie.

Wtedy zrozumiałam, że już jadę. I że nie zmienię decyzji, choćbym chciała.

Przymknęłam oczy i zanurzyłam się w cichym, kojącym odgłosie, wydawanym przez

koła toczące się z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Po raz pierwszy w życiu wyruszyłam w podróż, nie mając pojęcia, co mnie czeka u celu.

Najwyraźniej przespałam końcową część podróży, bo nagle poczułam szturchnięcie.

– Za chwilę La Baule! Wysiada pani?

– To już? Tak, dzięki.

Starsza pani obok zapamiętała, dokąd jadę. Dzięki niej nie przegapiłam stacji.

Słone atlantyckie powietrze dało mi pozytywnego kopa i natychmiast poczułam, że znów żyję. Opuściłam kameralny dworzec i ruszyłam prowadzącą ku morzu aleją.

Popołudniowe słońce wydobywało kontrasty. Ściany domów raziły bielą, a czyste błękitne niebo podkreślało jej intensywność. Od oceanu wiał lekki, ciepły wiaterek, przynosząc słonawy smak morskiej bryzy. Sunęłam chodnikiem, podziwiając zadbane posesje mieszkających tu szczęściarzy. Każdy dom był inny, ale łączyło je jedno: wszystkie były czyściutkie i otoczone świeżą zielenią. Rosły tu zarówno iglaki, jak i brzozy. Płoty na ogół zrobiono z kamienia albo z pomalowanych na biało deszczulek. Na schodach i na parapetach stały ceramiczne doniczki z kwiatami. Czułam się jak w bajce. Tu i ówdzie spomiędzy innych drzew wychylały się palmy.

Kim są mieszkający w tych domach ludzie? Czy kiedykolwiek stali w długiej kolejce po papier toaletowy? Albo czy zastanawiali się, czy warto wykupić cukier na kartki, czy może lepiej wymienić je na inny towar?

Na szczęście chyba nie odstawałam od otoczenia, bo nikt się jakoś za mną nie oglądał. Ale i tak czułam się tu jak trędowata. Nie z uwagi na wygląd, bo chyba nie prezentowałam się źle, lecz moje myślenie, wpojone w komunistycznej ojczyźnie, z pewnością nie pasowało do tych beztroskich pejzaży. W moim kraju nie było ani palm rosnących za płotem, ani tak czystych domostw. Nie było takiego spokoju i wszechobecnej sielanki. Tutaj unosiła się ona jak aura. Jakby nigdy nie zaznano tu biedy i lęku przed jutrem.

W dodatku chodniki były tak równe i gładkie, że nie musiałam patrzeć pod nogi i podziwianie okolicy wychodziło mi niejako odruchowo...

Wkrótce odnalazłam Avenue des Platanes, a chwilę później dom z numerem 10. Zatrzymałam się przed miniaturową furtką i pomyślałam, że płoty domów w La Baule nie są obronne. Niziutkie, pełniły jedynie funkcję dekoracyjną. Jak ten, przed którym właśnie stałam z bijącym sercem. Co powiem, kiedy drzwi otworzy Yann albo Carolle? Ale, skoro już zrobiłam tyle głupich rzeczy, raz kozie śmierć!

Zadzwoiłam.

Drzwi ani drgnęły. Może nie ma nikogo?

A jeśli jechałam tu na próżno, co wtedy? Bilet powrotny mam na jutro rano. Cóż, na hotel mnie nie stać, więc najwyżej spędzę noc na plaży... Odwróciłam się i już miałam odejść, kiedy za moimi plecami rozległ się jakiś dźwięk.

Na ganku stała Carolle. Rudawe włosy miała przyklepione do twarzy.

– Słucham? O co chodzi? – zawołała.

– Carolle? To ja, Aga. Pamiętasz mnie?

Zmrużyła oczy.

– Agnieszka?

– *Oui!* To ja!

Zabręczał brzęczyk przy furtce i weszłam. Nieproszony gość o szóstej wieczorem!

– Nie chcę wam robić kłopotu – powiedziałam, przystając w progu. – Przyjechałam do Marco, ale nie wiem, gdzie jest ten jego nowy dom.

– Sama tam nie trafisz – odparła Carolle.

Na górze rozległ się męski głos.

– Ktoś przyszedł?

– Tak, mamy gościa. Możesz do nas zejść?

Yann zbiegł po drewnianych schodach. Szczupły, jasnooki, ze związanymi w kucyk długimi włosami.

– To Agnieszka, przyjaciółka Marco – przedstawiła mnie Carolle.

– A już myślałem, że się nie pojawisz! – roześmiał się Yann przyjaźnie.

Miał mocno opaloną twarz i uśmiechnięte oczy.

– Może wejdziemy do środka? – zaproponowała Carolle. – Przecież nie będziemy rozmawiać w progu!

Usiedliśmy w przytulnym saloniku, na miękkiej sofie z kolorowymi poduszkami.

– Napijesz się czegoś? A może zjesz z nami kolację?

– Nie, dziękuję, nie chcę wam przeszkadzać. Muszę się spotkać z Marco, a nie mam wiele czasu. Gdzie on mieszka? Nie podał mi adresu.

– Cały Marco! Zawsze z głową w chmurach. Możesz u nas przenocować i pojechać do niego jutro rano. Powiemy ci, jakim autobusem – zaproponował Yann.

Carolle łypnęła z dezaprobatą, co nie uszło mojej uwagi.

– Jutro rano mam powrotny do Paryża! – jęknęłam. – Dziś już nic tam nie jeździ?

– Zamiast tracić czas, bierz auto i wieź ją do niego! – zakomenderowała Carolle.

– Nie śmiałybym prosić – pisnęłam.

– Szkoda czasu. O tej porze Marco powinien być w domu. To tylko dziesięć kilometrów stąd. – Poderwał się Yann.

– Więc nie traćcie czasu – popędzała męża Carolle.

Zanim wyprowadził z garażu wysłużoną renówkę, zdążyła jeszcze zamienić ze mną kilka zdań.

– Wiesz, że się założyli?

– O co?

– O to, czy przyjedziesz. I Marco przegrał.

– To dlatego Yann tak się ucieszył na mój widok? A o co się założyli?

Carolle, oparta o balustradę ganku, uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– O to, kto zrobi klar w zębie...

I roześmiała się serdecznie.

Biedny Marco! Będzie szorował dno jachtu!

– Z czego tak się cieszyacie? – Yann wyrzwał zza kierownicy.

Był już na podjeździe. Za jego plecami zamykała się brama garażowa.

– Z waszego zakładu – zawołała rozbawiona Carolle.

Uściskałam ją i wskoczyłam do auta.

Po chwili wyjechaliśmy za rogatki. W zachodzącym powoli słońcu domy z białych przemieniły się w żółtawożółte. Palmy rzucały na chodniki długie, tajemnicze cienie. Yann prowadził w milczeniu. Zorientowałam się, że jedziemy na zachód, cały czas wzdłuż wybrzeża.

– O co chodzi z tym zakładem? – Nie wytrzymałam. – Marco wolałby, żebyśmy nie przyjeżdżała?

Yann zerknął na mnie z ukosa.

– Założył się ze mną tylko dlatego, że zawsze przegrywa zakłady. Rozumiesz?

– To tak jak ja. Ja też zawsze przegrywam.  
– A ja wygrywam – powiedział z dumą Yann. – Nawet kiedy w Nicei jeden jedyny raz trafiliśmy z Marco do kasyna. *Merde*, nawet nie byliśmy stosownie ubrani! Na szczęście wpuszczają tam wszelakich obszarpańców.

Spojrzałam na niego zaciekawiona.

– Graliście w ruletkę?

– Nie. W black jacka. Wyobraź sobie, Marco splukał się kompletnie, a ja wyszedłem stamtąd bogatszy. Niewiele tego było, ale wystarczyło na bilet do domu i niezłą kolację. Na tarasie kasyna z widokiem na port zjedliśmy najlepsze na świecie mule. Byłaś kiedyś w Nicei?

– Nie.

– To najpiękniejszy francuski port. A jakie jachty! My na takich nie pływamy... – westchnął.

– Opowiedz mi o tym waszym pływaniu. Czy Marco jest w tym dobry? Od kiedy to robicie?

Skręciliśmy na północ, ale wciąż widzieliśmy ocean. Nad horyzontem pojawiła się pomarańczowa luna. Piękny widok.

– Żeglujemy od dawna, ale skipperami jesteśmy dopiero od kilku lat. W La Baule to dość powszechne zajęcie. Widziałaś przystań? Co drugi jacht przy marinie jest własnością jakiegoś nadzianego dupka, kupionym dla szpanu przed żoną albo kochanką, który nie ma zielonego pojęcia o nawigacji. Takim ludziom potrzebni są skipperzy. A my zarabiamy, łącząc przyjemne z pożytecznym.

– Marco zbyt wiele mi o tym nie mówił – westchnęłam z żalem. Tak mało go znałam!

– Bo i nie było o czym. Zaczął się w to bawić, dopiero gdy wyjechałaś do Polski.

– Sporo o nas wiesz. – Odważyłam się stwierdzić.

Zawahał się.

– Jestem najlepszym kumplem Marco – powiedział poważnie. – To wyjaśnienie powinno ci wystarczyć.

Marco musiał mu o mnie opowiadać. Może się zwierzał, może naprawdę za mną tęsknił? Gdyby było inaczej, Yann nie wiozłby mnie do niego tak ochoczo.

Prowadził, skupiony na drodze.

– Daleko jeszcze? – zapytałam.

– Bliziotko.

Jechaliśmy asfaltową szosą nad kamienistym klifem przez bezludne pustkowia. Renówka Yanna dzielnie pokonywała kolejne zakręty, choć droga stawała się coraz bardziej nieprzystępna.

– Już niedaleko, jeszcze tylko pod górę, na zbocze. Widoki pooglądasz sobie jutro – powiedział Yann.

– Na pewno są niesamowite – mruknęłam.

W oddali błysnęło blade światło.

– To właśnie dom Marco – oznajmił Yann.

Serce zabiło mi mocniej. Auto przystanąło na nierównej polnej drodze.

– Wsiadka, pani Agneszko!

Poczułam słony zapach oceanu i wiatr we włosach. Usłyszałam wyraźny szum fal rozbijających się o brzeg, choć nie miałam pojęcia, z której strony dochodzi. W oddali skrzeczały mewy.

Yann zostawił samochód otwarty, bo w okolicy nie było żywego ducha. Poszliśmy w kierunku domu na niewielkim wzniesieniu, uważając na nierówności pod nogami.



- Więc to tutaj mieszka Marco...
- Chyba dostanie zawału na nasz widok! – zażartował mój kierowca.

Wejście oświetlała mała lampka, zauważyłam kamienne schody. Yann pokonał je bez problemu, ja musiałam się mocno postarać, żeby się nie potknąć.

Marco ochłonął trochę i gestem zaprosił nas do środka, ale Yann oświadczył natychmiast, że Carolle czeka na niego ze spóźnioną kolacją. Nawet nie zdążyłam mu podziękować!

Zostaliśmy w kamiennym domku tylko we dwoje, zakłopotani.

– Przegrałeś zakład – powiedziałam w końcu.

Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Popatrzył na mnie zaskoczony.

– Owszem, przegrałem. Ale klar w zębie zrobię z rozkoszą!

I nareszcie mnie objął, a ja z ulgą powitałam znajomą siłę ramion i zapach jego ciała.

Chwilę później siedzieliśmy na wysłużonej sofie przed kamiennym kominkiem. Marco rozpałił ogień, przyniósł z kuchni resztki spaghetti i butelkę wina. Tłumaczył się, że nie był przygotowany na moje odwiedziny, że gdyby wiedział, przygotowałby królewską ucztę, ale...

Nie chciałam tego słuchać. Nie potrzebowałam uczt i fajerwerków, chciałam jedynie być z nim tutaj tak długo, jak się da. Udziierać kilka miłych wspomnień na starość, kiedy już będę mogła z całą pewnością stwierdzić, że spałam sobie życie.

– Ile mamy czasu? – zapytał, zbierając talerze.

– O dziesiątej mam powrotny do Paryża.

– Nie!

– Co, nie?

– To za mało!

– Muszę wracać. Tak wiele się wydarzyło... Marian nie żyje, ja muszę być na jego pogrzebie. Ale musiałam tu przyjechać i zobaczyć twój nowy dom. Pokażesz mi go?

– Teraz? – zaśmiał się.

– A dlaczego nie?

– Bo jest już ciemno! Ale obiecuję, że o świcie zobaczysz wszystko, co najpiękniejsze. Fale walczące z kamienną plażą i mewy z wiatrem. Mój dom stoi na klifie. Czyżbyś nie zauważyła, jak jechaliście pod górę?

– Zauważyłam.

Zamyślił się. Ja również.

Zapatrzyłam się w płonący na kominku ogień. Marzyłam o nierealnym, poddając się dotykowi męskiej dłoni gładzącej mnie po włosach. O życiu, które nigdy nie będzie moim udziałem. O kradzionym szczęściu...

Nagle przypomniałam sobie o Arturze. Pewnie już wrócił do hotelu i mnie nie zastał. Dziś po raz pierwszy nie wrócę na noc. A co będzie, jeśli on wezwie policję i zrobi raban?

– Masz telefon? – zapytałam Marco.

– Mam, a co?

– Wolałabym, żeby moi mnie nie szukali i niepotrzebnie nie robili cyrku...

– Nie wiedzą, że wyjechałaś?

Zrobiłam głupią minę.

– Oj, Agus! Ty naprawdę jesteś szalona! Dzwon, bo jeszcze zwali mi się tu na głowę policja! Telefon wisi na ścianie w kuchni, obok lodówki.

– *Merde!* – zawołałam.

- Co takiego?
- Nie znam numeru do hotelu!

Marco podniósł się z kanapy kocim, miękkim ruchem, podszedł do regału i po chwili na stole pojawiła się wielka żółta księga. Odetchnęłam z ulgą. Na co jak na co, ale na poszukiwanie mnie przez policję też nie miałam ochoty. Jadąc do La Baule bez uprzedzenia kogokolwiek, przegięłam.

- Hotel Utrillo? – upewnił się Marco. – No to masz.
- Dyktował numer, a ja wykręcałam go na tarczy telefonu.  
Po chwili usłyszałam zaspany głos recepcjonisty.

– *Allô?*

Przedstawiłam się i poprosiłam o połączenie z pokojem numer 63.  
Przez chwilę słyszałam jakieś trzaski, a potem ponownie głos Jacques'a.

- Nikt nie odbiera, szanowna pani.
- A mogę zostawić wiadomość?
- Oczywiście.
- Dobrze. Proszę zatem zapisać: Jestem w La Baule, wracam jutro, nie martwcie się,

Aga.

- Zapisałem.
- Proszę to koniecznie przekazać panu z pokoju sześćdziesiąt trzy, jak tylko się

pojawi!

- Oczywiście. Przekażę.
- W takim razie dziękuję i *bonne nuit*.

Uff, właśnie zrobiłam wszystko, by uniknąć postawienia w stan gotowości francuskich służb porządkowych! A swoją drogą, ciekawe, gdzie podziewa się moja rodzina? Dochodziła północ, a Artura nie było tam, gdzie powinien być. Pewnie dobrze się bawi i nawet o mnie nie myśli. I dobrze. Skoro on może, to ja też.

Odwiesiłam słuchawkę na widelki.

W salonie Marco walczył z upartym korkiem przy kolejnej butelce wina. Otworzył ją wreszcie z takim impetem, że prawie upadł na podłogę.

- Niektóre są jak twierdza nie do zdobycia – mruknął.

Pojawiłam się bez ostrzeżenia, nawiedziłam go jak urzędnik skarbowy, złożyłam wizytę, której nie miał w planach na ten wieczór. A on był przygotowany. Potencjalnej kochanki nie chował do szafy, nie zmarszczył się na mój widok. Teraz patrzyłam, jak nalewa wino do szlachetnie prostych kieliszków z białego szkła i zastanawiałam się, jak mogłam przegapić tak silną więź? Od mojego ostatniego powrotu z Paryża Marco był przy mnie zawsze. Myślałam o nim, stojąc w polskich kolejkach po cukier na kartki, myślałam nawet podczas weselnego przyjęcia, gdy zadzwoniła do mnie Ewka. Tkwił w moim sercu jak cierń, nawet wtedy, gdy sądziłam, że jestem z niego wyleczona. Najwyraźniej był tym rodzajem choroby, na którą antybiotyk w postaci Artura nie wystarczał. Nadal byłam chora. Ale była to najcudowniejsza z chorób, jakie znałam.

Upiłam łyk wina. Smakowało inaczej niż paryskie. Marco zauważył moje pytające spojrzenie.

- To chouchen. Niedobry?
- Przeciwnie. Pyszny. Ale co to takiego?
- Nasz regionalny specjał. Miód pitny.
- Więc wrosłeś tu na dobre?
- Nie wiem, ale pokochałem te strony. Nie muszę już uczestniczyć w paryskim wyścigu

szczurów. Nie muszę gnać codziennie na plac i sprzedawać się z tymi portretami jak jakaś...

– ...tania dziwka? – dokończyłam.

– A co? Nie mów, że nie miałaś takiego wrażenia. Przecież tam nasza praca przypominała robotę w burdelu. Zaczepialiśmy tych biednych turystów i wmawialiśmy, że to właśnie my dogodzimy im najlepiej. Niby rysowaliśmy portrety, ale tak naprawdę wystawialiśmy się na licytację, jak nie przymierzając tanie panienki na placu Pigalle.

– Prawda. W końcu zwinęto mnie i Ewkę za „uprawianie nielegalnego procederu” – przypomniałam.

– Sama rozumiesz, dlaczego przestało mnie to bawić. Tu żyje się prościej i mniej stresująco.

– Jako skipper? – zapytałam prowokacyjnie, upijając łyk miodu.

– Jeśli trafia się okazja.

– A czy to nie to samo?

– Nie rozumiem.

– Jesteś chłopackiem do wynajęcia. Za pieniądze.

Marco zmrużył oczy.

– Aguś... Być może jest tak, jak mówisz, i być może wciąż się sprzedaję jak dziwka z Pigalle. Ale robię to w miłych okolicznościach przyrody i nie zarabiam wyłącznie na opłaty. Nie denerwuję się dniem jutrzejszym. Co w tym złego?

– Nic. Dopóki robisz tylko to, za co ci płacą klienci – odparłam.

Odstawił kieliszek na stół i delikatnie ujął dłonią mój podbródek. Obrócił moją twarz ku swojej. Poczulałam ciepło jego oddechu.

– Sugerujesz, że robię coś jeszcze? Że jestem żigolakiem, który zabawia samotne, sfrustrowane, bogate kobiety?

– Niczego takiego nie miałam na myśli...

– Miałaś.

– Nie, Marco. Ale...

Odsunął się. Ciepło jego ramion poszło w diabły.

– Przepraszam – wyszeptałam po chwili.

– Nie znasz mnie, Aga. Naprawdę mnie nie znasz.

Nie dość, że wtargnęłam do jego domu nieproszona, to jeszcze posądziłam go o coś, czego mi zapewne nigdy nie wybaczy. Znowu zawałam sprawę. Czy ja naprawdę mam w tym kierunku jakiś szczególny talent?

Marco siedział na kanapie i zamyślony gapił się na ogień w kominku.

Zastanawiałam się, czy nie powinnam po prostu powiedzieć *bonne nuit* i wyjść. Po raz kolejny przeprosić i uciec. Popełniłam nietakt, w dodatku w jego domu. Tak, najwyższa pora, by zwać.

– Czy o tej porze złapię jakiś transport do La Baule? – zapytałam.

Marco chyba mnie nie zrozumiał, bo popatrzył na mnie jak na dziwoląga. Pokręcił głową.

– O tej porze? Nie ma szans.

– Przepraszam. Nie powinnam... – zaczęłam.

– Twoja sugestia wcale nie była taka głupia. – Spojrzał mi w oczy. – Raz dałem się wykorzystać. Całkiem jak pieprzona paryska dziwka! Tyle że wówczas jeszcze nie wiedziałem, że skipper dla niektórych znaczy tyle samo, co chłopiec na godziny.

Zamarłam. A jednak.

– Klientka chciała popłynąć na wyspę, płaciła nieźle, więc wziąłem to zlecenie. Miał jej

towarzyszyć Yann, ale że w tym dniu coś mu nie pasowało, padło na mnie. Miała na imię Claire.

Nie miałam ochoty tego słuchać, zwłaszcza że ciąg dalszy był mi doskonale znany. Tyle że sama go sprowokowałam. On też zapewne nie chciałby słuchać moich zwierzeń na temat Artura... Cóż, kiedyś rozstaliśmy się „na zawsze”, niejako dając sobie prawo do „zdrad”. Więc dlaczego wyznanie Marco tak bolało?

– Nie chcę o tym wiedzieć – szepnęłam.  
– Nie? A dlaczego? Przecież masz mnie za żigolaka, więc nie powinno cię to zbytnio obejść! – Zasłoniłam uszy rękami. – Posłuchaj, Aguś, jak to jest być skipperem!

– Nie chcę!  
– Chcesz!  
– Marco, zamilcz! Mówię poważnie!  
Skulił się na kanapie jak małe dziecko.

– Ja też popełniłam błąd – wyszeptalam. – O wiele większy. Ty wciąż jesteś wolnym facetem, a ja? Ja, idiotka, jestem żoną! Człowieka, który jest mistrzem w upychaniu brudnych skarpetek pomiędzy czystymi. I zostawiania obciętych paznokci na brzegu wanny! Wyobrazasz to sobie?

Wreszcie Marco pojął, że nie mam do niego żalu.  
– Aguś... – wyszeptał.  
– Nie chcę wiedzieć o tym, co robiłeś, kiedy mnie tu nie było – powiedziałam, patrząc prosto w jego zielone oczy.

– A ja chciałbym, abyś nie była mężatką. Dlaczego to zrobiłaś?  
Bo byłam głupia, pomyślałam.

Za oknem rozszalała się burza. Ocean wył, a wiatr huczał i wdzierał się do domu przez każdą możliwą szczelinę. Najwyraźniej natura dbała o dostatecznie melodramatyczną oprawę naszego ostatniego intymnego spotkania. Bo to, że wylądujemy razem w łóżku, nie podlegało dyskusji. Nie mogłam jednak przewidzieć, że po raz pierwszy w życiu burza nie będzie wywoływać we mnie przerażenia. Choć od dzieciństwa uciekałam przed nią jak diabeł przed święconą wodą, teraz czułam się bezpieczna i niewiarygodnie szczęśliwa. Nie wiedziałam, kiedy zasnęłam, czy była to jeszcze noc, czy już ranek. Nie obchodziło mnie, co dzieje się za oknem. Zamknęłam oczy wtulona w jedyne ramiona, których pragnęłam od lat.

Obudził mnie aromat świeżo mielonej kawy. Niebo po nocnej zawierusze znów było spokojne i oślepiająco błękitne. Marco uchylił okno sypialni, wpuszczając do wnętrza zapach oceanu. Na stoliku kusily kubki z parującą kawą, rogaliki, konfitura i świeże maselko.

Przeciągałam się, przyjemnie niedospana po wczorajszej nocy. Za to Marco najwyraźniej czuwał nad planem dnia.

– Jeśli wciąż chcesz wracać do Paryża, pozostały nam niecałe trzy godziny – szepnęłam.  
Miał na sobie sprane džinsy i luźną białą koszulę. Jego ciemne włosy, jeszcze mokre po porannym prysznicu, otulały smukłą twarz niczym cienie palm La Baule.

Czułam się jak bogini! Rogaliki, kawa, zapach morskiej bryzy. Pyszne śniadanie, gdyby nie fakt, że jedyne i ostatnie. Z każdą chwilą w moim sercu rodził się bunt. Przeciwno mnie samej. Przecież moje życie to mój własny wybór! Nikt mnie do niego nie zmuszał! Wiem już, że pomyliłam się tragicznie, ale co dalej?

– Zdamę obejrzyć w tym czasie twoją nową posiadłość?  
Twierdząco pokiwał głową.  
Zakrył mi oczy dłońmi i wyprowadził na kamienny ganek.  
Uchyliłam powieki i ujrzałam najpiękniejszy widok na świecie! W blasku

wschodzącego słońca lśniła niebieska tafla oceanu. Widok z klifu był niebiański. Białe grzywy fal uderzały o brzeg, mewy wariowały nad plażą. W oddali, na jeszcze wyższym urwisku, stała latarnia morska.

- *Mon Dieu!* – westchnęłam.
- Chcesz pospacerować po plaży?
- Jak możesz pytać?

Zanim weszliśmy na kamienistą ścieżkę, odwróciłam się i wreszcie obejrzałam dom Marco dokładnie. I natychmiast zrozumiałam, dlaczego się w nim zakochał.

Kamienne ściany porastał powój. Spadzisty dach z czerwonej dachówki nakrywał stare mury niczym kapelusz trzon muchomora. A pod nim, w pozornie zimnym kamieniu, tkwiły dające złudzenie przytulności okna z białymi okiennicami. Z drewnianych skrzynek wylewały się drobne fioletowe kwiaty, podobnie jak z glinianych donic stojących na schodkach u wejścia – zwyczajnych, kamiennych, nierównych.

Ta pierwotna prostota była zachwycająca. Kamień, drewno i roślinność. A w naszej peerelowskiej rzeczywistości ktoś wymyślił tak zwaną wielką płytę. Żeby budować szybko i łatwo domy, w których każde pomieszczenie było takie samo, i u sąsiada, i u mnie. Teraz, jak na dłoni, widziałam różnicę między domem prawdziwym a tym proponowanym w PRL-u.

Z trudem przełknęłam ślinę.

Marco stał za mną i czekał, aż ruszymy w dalszą drogę. Ale ja nie mogłam przestać patrzeć.

- Jest jak z bajki – stwierdziłam wzruszona.

Prowadził mnie po stromym zboczu, trzymając za rękę jak małe dziecko. Na niebo wpłynęły białe cumulusy, wiał lekki wiaterek od zachodu, mewy krążyły nad klifem, skrzecząc głośno. Przed nami, na całej szerokości pola widzenia, rozpościerał się majestatyczny, niebieskozielony Atlantyk.

Zeszliśmy na kamienistą plażę. Kilka razy omal nie upadłam na wystających kamieniach, ale Marco podtrzymał mnie w porę. Wreszcie dotarliśmy do oceanu. Spienione fale żyły własnym życiem.

Spojrzałam przed siebie i poczułam, że żyję i ja. Nie mieściło mi się w głowie, że wyruszając stąd przed siebie, dotarłabym, jak Kolumb, do Ameryki. Bywałam przecież nad brzegiem morza nie raz; rodzice zabierali mnie i braci co roku nad Bałtyk. Tam też uwielbiałam podziwiać morskie fale i patrzeć na przepływające na horyzoncie statki. Ale nasze morze jest zimne, a za nim leży jeszcze zimniejsza Skandynawia. Tutejsza ciepła bryza uświadomiła mi, że na przeciwległym brzegu jest inny kontynent. I Chicago. I Ewka.

Marco lekko objął mnie w pasie.

- Podoba ci się? – zapytał.
- Jest bosko! – wyszeptałam.

Bo tak właśnie było. Szeroka kamienista plaża, bezludna, z białą latarnią oddaloną o parę kilometrów. Jedyne znakiem ludzkiej obecności.

- Chcesz popływać?
- Zwariowałaś! Nie mam kostiumu!
- Rozejrzyj się. Widzisz tu kogokolwiek?

Nie było żywego ducha.

– Chodź, Aguś. O tej porze jest najlepiej! – zawołał Marco i popędził ku falom, zrzucając po drodze dzinsy i koszulę.

Więcej zrzucać nie musiał. Ujrzałam ginącą w falach nagą sylwetkę. Boże, przecież mogę już nigdy tego nie doświadczyć!, pomyślałam. Bez wahania pozbyłam się ubrania

i ruszyłam do wody z dzikim okrzykiem.

Okazała się przyjaźnie ciepła i spieniona. Choć wówczas nie znałam jeszcze pojęcia „jacuzzi”, właśnie się w nim zanurzyłam. Pod stopami czułam gruboziarniste podłoże, miłe dla stóp, ożywcze.

Marco wynurzył się kilkanaście metrów dalej i przywoływał mnie, rozbawiony. Podpłynęłam do niego, zadowolona, że wciąż czuję grunt pod nogami.

– I jak? Fajnie?

– Chciałabym mieć przy domu taki basen – odparłam.

Już nie obchodziła mnie fryzura, którą diabli wzięli, ani mocno rozmazany makijaż.

Marco wyglądał równie zabawnie. Pochwycił mnie i nasze chłodne usta połączył na sekundę pocałunek. A potem już oboje szaleliśmy w wodzie jak dwie uchatki.

W końcu, mokrzy, wyczerpani i nadzy, padliśmy na brzegu. W plecy uwierały mnie muszelki, których wszędzie było pełno. Już nie peszyła mnie własna nagość ani fakt, że oto jest wystawiona na światło dzienne, w którym niczego nie da się ukryć. Nie myślałam o cielesnych niedoróbkach, o tym wszystkim, czego poskąpił mi Stwórca, kiedy zdecydował się powołać mnie do życia. Odgarnęłam mokre włosy i spojrzałam w niebo. Było jasne i czyste.

Leżeliśmy tak przez chwilę, aż Marco uniósł się na łokciu i przeszył mnie tym swoim zielonym spojrzeniem.

– Kocham cię, Agus – powiedział po prostu.

Nie zasługuję na tę miłość, pomyślałam. Przecież on nie może kochać mnie po tym wszystkim, co zrobiłam!

– Marco... – wyszeptałam, obracając się na bok.

Cała byłam oblepiona piaskiem. Odsłonięta i bezbronna.

– Nic nie mów. – Przytknął palec do moich ust.

A potem mnie przytulił.

Powrotny TGV do Paryża stał już na peronie w La Baulle-Escoublac.

Marco siedział obok mnie na ławce i milczał. Ledwie zdążyliśmy wrócić do domu, splukać pod prysznicem piasek, przebrać się i dojechać na dworzec świeżo odzyskaną „księżniczką”.

– Dasz mi znać o terminie pogrzebu Mariana? – zapytał.

Natychmiast powróciłam na ziemię. Pogrzeb Mariana. Znienacka przytłoczyły mnie wszystkie paryskie problemy. Kiedyś Paryż kojarzył mi się z lekkością i zabawą, dziś budził strach. Co by się stało, gdybym tam nie wróciła?, zastanowiłam się przez chwilę.

Nawet potrafiłam to sobie wyobrazić. Moi bliscy zgłosiliby na policji zaginięcie. Nie wiem kto, ale najpewniej Adam, zadzwoniłby do mamy z wiadomością, że przepadłam. Mama dostałaby zawału, ojciec pewnie też. Artur, jako jedyny, zachowałby sceptycyzm i głosił, że na pewno uciekłam z kochankiem. Nie byłby daleki od prawdy... Tyle że reszta nigdy by mu nie uwierzyła, bo przecież znała moją wrodzoną odpowiedzialność. Anka zapewne zarządziłaby poszukiwania na szeroką skalę. Nie wiem jak, ale jakoś by się porozumieli z francuską policją. Albo poszliby do polskiego konsulatu, podobnie jak ja z Ewką kilka lat wcześniej. Na pewno nie wyjechałoby beze mnie. Narobiłabym im tyle kłopotów, że nigdy by mi tego nie darowali...

Tymczasem Marco czekał na moją odpowiedź.

– Oczywiście, zadzwonię.

– W końcu Marian był jednym z nas. Też pracował na placu du Tertre. Chcę go pożegnać.

– Dam ci znać gdzie i kiedy – powtórzyłam, z naciskiem na słowo „kiedy”.

Bo pewnie będzie to mój ostatni dzień w Paryżu...

Na dworcu Montparnasse natychmiast przesiadłam się w metro i skierowałam ku osiemnastej dzielnicy. Dochodziła druga po południu, więc nie spodziewałam się zastać w hotelu kogokolwiek, miałam tylko nadzieję, że recepcjonista przekazał wiadomość i moi bliscy nie panikują na najbliższym posterunku. Przypomniałam sobie przystojnego Alaina, flika, który zrobił tak wiele dla mnie i dla Ewki, kiedy byliśmy w kłopotach. W dodatku podobno się we mnie zadurzył. Nie, to chyba jakieś bzdury. Alain był wyłącznie naszym dobrym przyjacielem.

Szum paryskiego metra sprowadził mnie z obłoków na ziemię. Wciąż trwałam zanurzona jedną nogą w oceanie, wciąż czułam na sobie słone pocałunki Marco, słyszałam szum wiatru i krzyk mew. Drugą wkraczałam w paryski zgiełk. Kochałam i jedno, i drugie. Tyle że tu nie było mężczyzny, którego kochałam.

Wsiadłam na Abesses i po krętych schodach wyszłam na ulicę. Nad Montmartre'em jaśniało czyste błękitne niebo. Miałam stąd do hotelu już tylko kilka kroków.

Za kontuarem recepcji siedziała czarnulka o kręconych włosach. Popijała kawę, wertując strony magazynu „Vogue”.

– *Bonjour madame!* – zawołałam na powitanie.

Nawet nie drgnęła. Nie było sensu pytać jej o wczorajszą noc, o to, czy na pewno przekazano Arturowi wiadomość.

Wsiadłam do najmniejszej windy świata i wjechałam na szóste piętro.

Tak jak się spodziewałam, w pokoju 63 nie było nikogo. Jedyne ślady obecności Artura: niedbale rzucona koszula i skarpetki na podłodze, świadczyły o jego pośpiesznym wyjściu. Nie miałam zamiaru po nim sprzątać. Wystarczająco wiele razy robiłam to w naszym polskim domu.

Zeszłam piętro niżej i zapukałam do pokoju Adama i Anki. Cisza. Waldka też nie było, co w sumie było dobrą wiadomością. Jestem im niepotrzebna do szczęścia.

Wróciłam do siebie, aby się odświeżyć i zastanowić, co dalej. Powinnam odwiedzić Nicole i jej matkę i zapytać o pogrzeb. Ale powinnam też skontaktować się z komisarzem Guide'em i Catherine. Może już ustalili coś nowego w sprawie młodego Pierre'a? Choć prawdę mówiąc, w tym konkretnym momencie nie bardzo mnie to interesowało. Wciąż miałam na sobie zapach Marco. Wlewałam wodę do wanny, wyobrażając sobie, że to spienione fale oceanu.

Artur nie zostawił nawet kartki z informacją. Typowe. Tylko ja muszę się spowiadać z każdego kroku. Okej, w takim razie przede mną kolejne wolne popołudnie!

Zanurzyłam się w pianie.

Pół godziny później, świeżutka i przebrana w czyste ciuchy, znalazłam się na pełnej słońca rue Aristide Bruant, w samą porę na lunch. Wokół pachniało ponętnie z okolicznych kafejek-restauracji. Byłam potwornie głodna i burczało mi w brzuchu, ale dzielnie ominęłam wszelkie pokusy i już po kwadransie przyciskałam dzwonek domofonu w kamienicy Sabine. Jeszcze niedawno powiedziałabym: w kamienicy Mariana. Ale on nie żył i nic nie było w stanie tego zmienić.

Nawet moja szalona wyprawa do La Baule.

Usłyszałam brzęczyk i choć nikt się nie odezwał, drzwi ustąpiły. Żwawo pobiegam



na górę po kręconych schodach.

Ujrzałam Nicole bez makijażu. Miała podkrążone oczy i blade policzki, a mimo to jej smutne wcielenie emanowało pięknem.

– Wejdź, Aga. Mam dla ciebie całe mnóstwo wiadomości.

– Coś się stało? – zapytałam przerażona.

Chyba nic bardziej strasznego niż śmierć jej ojca?

– Komisarz Guide nie mógł cię znaleźć, więc zadzwonił do mnie. Prosił, abyś skontaktowała się z nim niezwłocznie. Mówił, że to ważne.

– Byłam...

– Zaczekaj, bo zapomnę. Dzwoniła też ta policjantka, Catherine. Też chce się z tobą pilnie spotkać. Prosiła, żebyś nic nie mówiła o tym Guide'owi. Nie rozumiem? Czy policja ma tajemnice sama przed sobą?

– Nie mam pojęcia – odparłam machinalnie.

Ale chyba jakieś pojęcie już miałam. Catherine musiała odkryć coś, co nie bardzo pasowało Guide'owi. I co ja teraz powinnam zrobić?

Zanim jednak rozstrzygnęłam tę wątpliwość, przypomniałam sobie o najważniejszym.

– Nicole, to wszystko jest nieważne. Powiedz, czy już wiesz, kiedy będzie pogrzeb?

– Pojutrze. O trzynastej.

Zapadło milczenie.

Już miałam zapytać o Sabine, ale Nicole mnie ubiegła.

– Moja matka udaje zbolełą wdowę.

Na chwilę zaniemówiłam.

– Może wcale nie udaje?

– Nie kochała go przecież – stwierdziła sucho Nicole.

Wolałam się nie odzywać. Tak było wygodniej, lepiej, choć zapewne bardziej tchórzliwie.

Marian zasługiwał na miłość.

– Och, Nicole... – jęknęłam tylko.

– Jutro przyjeżdża Mario. Na stypę zarezerwowałam Le Buffet. Oczywiście, jesteś zaproszona. Ty i twoja rodzina.

Poczułam się tak, jakbym przegapiła ważne sprawy. Powinnam z nią być i odciążyć ją choć trochę! Tymczasem bawiłam się z Marco na kamienistej plaży w La Baule!

– Przepraszam... – wyszeptałam zawstydzona.

– Nie musisz.

– Muszę. Powinnam być przy tobie, a nie...

– A gdzie właściwie byłaś?

Zrozumiałam, że Nicole nie ma o niczym pojęcia.

– Nad Atlantykiem. U Marco.

Nicole zmrużyła oczy. Nie musiałam nic dodawać.

– Och, Aga! Jeśli chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę, to ci powiem. Prosto z mostu.

Weź wreszcie życie w swoje ręce i spróbuj być szczęśliwa. Odważ się na to!

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– A teraz dzwoń do tej Catherine – dodała, wskazując na telefon.

Nawet w tak trudnej chwili myślała o moich problemach! Kochana Nicole! Poczułam się jak pasożyt, choć nie mam pojęcia, czy pasożyt zdaje sobie sprawę z tego, że nim jest. Ja byłam pasożytem, który sobie z tego sprawę zdaje.

Nicole poszła do kuchni, a ja wybrałam numer Catherine. Odebrała niemal natychmiast.

– Aga? Och, nareszcie! Musimy pogadać.

- Co się stało?
- To nie na telefon. Czy rozmawiałaś z Guide'em?
- Nie. To znaczy nie od wtedy, gdy...
- Czy rozmawiałaś z nim dzisiaj?
- Nie! Co się dzieje?
- Więc najpierw porozmawiaj ze mną. Mam nowe informacje.

Głęboko wciągnęłam powietrze. Nad oceanem było tak miło! A wystarczyło, że wróciłam do Paryża i natychmiast jestem ścigana.

- Gdzie i kiedy? – zapytałam.
- Przyjadę po ciebie. Gdzie jesteś?
- U Nicole.
- Wiem, gdzie to jest. Będę za kwadrans.

Catherine rozłączyła się, nie dając mi nawet cienia szansy na odpowiedź odmowną.

Nicole wróciła z kawą.

- Co się dzieje? – zapytała, stawiając filiżanki na szklanym blacie.
- Nie wiem. Catherine będzie tu za chwilę.
- Może zdążymy chociaż wypić? – westchnęła.

Pogrzeb Mariana zaplanowano na pojutrze, a więc na dzień przed naszym powrotem, ale nawet przez głowę mi nie przeszło, by wyjechać bez pożegnania. Wraz z jego śmiercią skończył się pewien rozdział w moim życiu. Gdyby nie on, zapewne obie z Ewką nie przetrwałybyśmy dwóch miesięcy podczas pierwszego pobytu w Paryżu. To on użyczył nam swego lokum na Rue des Trois Frères, kiedy nie było nas stać na nic innego. To on nas zapraszał na kolacje, gdy nie miałyśmy za co kupić bagietki. To dzięki niemu udało mi się wybrnąć bez szwanku z afery z obrazem (jak się okazało – kopia) van Gogha. Gdyby nie Marian, Paryż nie byłby tym Paryżem.

Fakt, że mój przyjaciel odszedł na zawsze, po prostu nie mieścił mi się w głowie.

- Czy mogę zadzwonić? – zapytałam.
- Jasne, dzwoń.

Wybrałam zapisany na kartce numer.

Usłyszałam głos po drugiej stronie i serce zabiło mi szybciej.

- Agus? – zawołał swoim zwyczajem Marco. – Więc dojechałaś! Co w Paryżu?
- W porządku. Jestem u Nicole. Miałam ci dać znać, kiedy pogrzeb...

Westchnął.

- Pojutrze o trzynastej. Na cmentarzu w Montmorency.
- Wiem, gdzie to jest. Dzięki. I przekaz Nicole moje kondolencje.
- Siedzi obok. Przekażę.
- Tęsknię, Agus – powiedział i tyle go słyszałam. Połączenie urwało się nagle.
- Co jest? – zapytała Nicole.
- Coś nas rozłączyło.
- Zdarza się.
- Prosił o przekazanie kondolencji.
- Dziękuję.
- Nicole?
- Och, Aga! Tak mi brak ojca! – Rozplakała się, a ja przytuliłam ją niezdarnie.

Nie miałam pojęcia, jak to jest. Pomyślałam o tacie i mamie, którzy wciąż żyli i mieli się świetnie. A gdyby tak...?

Objęłam Nicole jeszcze mocniej.

W tę chwilę żaloby wdarł się dzwonek domofonu. Najwyraźniej Catherine znowu pobiła rekord prędkości.

- Już schodzę! – krzyknęłam w słuchawkę.
- Zapłakana Nicole spojrzała na mnie smutno.
- Pędź! I daj znać, co się dzieje, jak skończysz.
- Nie chcę cię tak zostawiać.

– Już mi lepiej, naprawdę. No idź, ona czeka! – popędziła mnie.

Zbiegłam z czwartego piętra i po chwili oślepiło mnie sierpniowe paryskie słońce. Och, jak miło byłoby w takim dniu popłynąć statkiem po Sekwanie, zataczając łuk wokół katedry Notre-Dame! Miło byłoby zjeść lunch z kimś bliskim. Pić kawę z małej filiżanki, spoglądając przez okno przytulnej kawiarenki.

Tymczasem jednak musiałam odłożyć na bok marzenia. Na górze zostawiłam cierpiącą przyjaciółkę, zaś przed kamienicą Catherine nerwowo stuknęła palcami w kierownicę. Była dziś w policyjnym uniformie. Włosy związała w kucyk, makijaż ograniczyła do delikatnego różu na ustach. Pośpiech czy nowe służbowe wytyczne?

Otworzyłam drzwi od strony pasażera.

– No, nareszcie! – powiedziała. – Jedziemy.

Nie zwlekając ruszyła wąskimi uliczkami.

– Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi? – zapytałam, gdy już wbiła się w sznur pędzących aut.

– Wszystko w swoim czasie.

– Porywasz mnie?

Uśmiechnęła się.

– Możliwe.

Patrzyłam na ulicę, pełną samochodów i motocykli. I pieszych. Zauważyłam kram z owocami i klienta próbującego podnieść rozsypane pomarańcze. Kawalek dalej omal nie potrączyliśmy na przejściu kobiety z wózkiem.

– Dokąd tak pędzimy? – podjęłam po dłuższym milczeniu.

– Spokojnie. Już niedaleko – odparła Catherine.

Nigdy nie była tak tajemnicza, ale się nie bałam. Jej akurat ufałam w ciemno.

Jakimś cudem nie przejechała nikogo i zatrzymała się w jakiejś podejrzanej części miasta, gdzie z trudem można było wypatrzeć białego człowieka.

– Gdzie jesteście?

– W bardzo ponurej dzielnicy. Ale nie denerwuj się. Wsiadamy.

– Co takiego?

– Nie przejmuj się tymi czarnoskórymi wyrostkami przy koszu. Znam ich. Nic nam nie grozi. No chodź!

Szłam za Catherine jak owieczka na rzeź.

Zaprowadziła mnie do jednego z domów, a ja miałam wrażenie, że skądś go znam. Czy nie w pobliżu tego miejsca nocowałyśmy z Ewką przez ponad tydzień? Poczulałam tę samą mieszankę zapachu czosnku i pasty do podłóg. Kolejne déjà vu.

Zadzwoiła. Otworzyła nam stara kobieta o rubensowskich kształtach.

– Zastałam Hugo? Jestem z nim umówiona – spytała Catherine.

Pulchna kobieta otaksowała nas wzrokiem.

– Hugo! Chodź tu! Masz gości! – krzyknęła tak ostro, że zadźwięczało mi w uszach.

– Możemy wejść? – zapytała Catherine.

– Proszę – odparła niechętnie.

Usiadłyśmy na mocno wysłużonej kanapie, nad którą do ściany przymocowano kilim z wizerunkiem Maryi. W kącie pokoju stał na postumencie gliniany posąg Matki Bożej. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające ukrzyżowanie, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie Jezusa.

Catherine chyba wyczuła mój niepokój, bo lekko ścisnęła mnie za rękę.

– Spokojnie.

W progu pojawił się Hugo; ciemna karnacja, ogolony na głacę, wytatuowany i beztroski. Usiadł naprzeciwko nas i zatopił w Catherine zaniepokojone spojrzenie.

– Pamiętasz mnie? – zapytała.

– Jasne! Kto by nie pamiętał takiej laski.

Żuł gumę, popatrując lubieżnie. Miałam nadzieję, że Catherine wie, co robi. W końcu to ona mnie tu przyprowadziła.

– Powiesz raz jeszcze, co widziałeś?

– A dostanę nagrodę?

– Dostaniesz. Ale pod warunkiem że twoje zeznanie jest prawdziwe i powtórzysz je w sądzie – powiedziała łagodnie.

Nie miałam pojęcia, co to za farsa.

Wkrótce Hugo przemówił. Jego matka siedziała obok z rękami splecionymi na piersi. Chyba odmawiała zdrowaśkę.

– Raz już opowiadałem, ale co tam. Mogę jeszcze raz. Byłem wtedy na tym moście. I widziałem, jak trzech facetów się szarpie. Jednego z nich nawet rozpoznałem.

– Wiesz, kto to był? – zapytała Catherine. Zauważyłam, że wśród poduszek kanapy zdążyła ukryć mały dyktafon.

– Jak to: kto? Już mówiłem!

– A możesz powtórzyć?

– Napoleon. Ten podrabiany kloszard, co wszystkimi dyrygował.

– Znałeś go osobiście?

– A kto go nie znał? Na Montmartrze wszyscy go znali.

– Możesz opowiedzieć o tej nocy, kiedy widziałeś go na moście?

– *Merde!* Znowu?

– Tak. Obiecuję, że już więcej nie będę cię o to prosić.

– A kim jest ta laska? – Hugo wskazał na mnie. Skurczyłam się ze strachu.

– To moja przyjaciółka. Znała Napoleona i też chce się dowiedzieć, jak umarł.

– A kogo to, do jasnej *merde*, obchodzi, jak umarł jakiś kloszard?

– Nas obchodzi.

– Chcecie dostać medal czy co? – zaśmiał się Hugo i wypluł gumę na dłoń.

– Nie. Chcemy tylko poznać prawdę.

Hugo obdarzył nas niezbyt przyjaznym spojrzeniem, a ja przeraziłam się, że poderwie się z fotela i wyrzuci nas za drzwi. Ale nie. Zmrużył oczy.

– Lepiej nic nie mów, Hugo – wtrąciła się jego matka.

Okazało się, że poszła nam na rękę, bo najwyraźniej Hugo był w opozycji do własnej matki.

– Dlaczego nie? A właśnie, że wszystko powiem. Bo ja nic nie zmyślam, mam. To nie tak jak wtedy, kiedy musiałem kłamać w sprawie naszego ojca. Dość mam ukrywania prawdy. Ojciec cię bił, zapomniałaś? A jak przyszli z policji, to kazałaś mi kłamać. I co z tego masz? Nadal ten gnój cię bije i poniewiera!

Matka Hugo zaczęła płakać.

– Przestań!

Catherine zerknęła na mnie. I mrugnęła, co miało oznaczać: „Jest dobrze. Mamy go!”.

– Płacz sobie teraz! – krzyknął Hugo. – Ale ja nie będę dłużej na to pozwalać! I daj mi wreszcie spokój. Będę mówił, co chcę.

Matka Hugo wstała i wyszła z pokoju. Było mi żal tej kobiety, ale przyjechałyśmy tutaj w zupełnie innej sprawie.

Lekko rozkojarzony młodzieniec siedział przez chwilę w milczeniu.

Catherine odczekała, aż się uspokoi.

– Możesz opisać tamten wieczór? – podrzuciła.

– Jasne! Włóczyłem się. Ojciec dał matce niezły wycisk, a ja mu oddałem z nawiązką. Miałem rozciętą brew, ale gnoja uspokoiłem. No to poszedłem na spacer, żeby ochłonąć. W końcu wsiadłem w metro i pojechałem na Montmartre. Miałem tam kumpla, z którym się czasami spotykałem. Tej nocy potrzebowałem go bardziej niż kiedykolwiek. Bo omal nie zabiłem ojca! Musiałem się z kimś napić. Ale go nie zastałem w domu. Poszedłem więc na piwo do jednej knajpki, takiej na rogu Norvins i placu du Tertre, ale tam też go nie było. Wypiłem samotnie ze dwa piwka, a potem łąziłem po okolicy. W końcu zawróciłem do domu. Nie śpieszyło mi się, więc wędrowałem pieszo. Po półgodzinie dotarłem do Pont Neuf. I tam zauważyłem to zamieszanie.

Chłopak zamilkł.

Catherine nie naciskała. A ja miałam wypieki z nadmiaru wrażeń. Czyżby ten Hugo miał się okazać tak oczekiwanym przeze mnie przełomem w śledztwie?

– Opowiesz, co było dalej? – wyszeptała po chwili Catherine, jednocześnie uśmiechając się tak słodko, jakby chłopak miał szansę zostać jej kochankiem.

– Stali na moście. Napoleon, jakiś młody gość i jeden starszy, z taką śmieszą kozią bródką. Wyglądał jak jakiś czarodziej z bajki dla dzieci albo co. Kłócili się i szarpali. Przystanąłem w cieniu za latarnią. Nie miałem ochoty na kolejną burdę tego dnia. Ale usłyszałem co nieco.

– Słyszałeś coś konkretnego czy tylko podniesione głosy?

– Ten z bródką domagał się czegoś. Trzymał Napoleona i wykręcał mu ręce.

Usłyszałem tylko coś w rodzaju „oddawaj, gnoju”, ale nie jestem do końca pewien. Za to tego, co się potem stało, jestem pewien na sto procent.

Zamieniłam się w jedno wielkie ucho.

Catherine pojedynczym mrugnięciem zachęciła Hugo do dalszego ciągu.

– Więc ten z bródką okładał Napoleona pięściami, a ten młody stał i patrzył. Ale po chwili spróbował tamtych dwóch rozdzielić. Przyłożył nawet temu z bródką, ale gość się natychmiast podniósł i walnął tak, że ten młody upadł. Napoleon przechylił się przez balustradę mostu. I wtedy ten starszy chwycił go za gardło. Szarpali się jakieś kilka minut. Młody wstał i znów próbował ich rozdzielić, ale ten z bródką chyba był silniejszy, bo znów przyłożył młodemu.

Zapadła cisza.

Hugo wyciągnął z dzinsów pogniecioną paczkę gitanów.

– Muszę zafajczyć – oznajmił.

– A ja też mogę? – jęknęłam. Potrzebowałam dymka jak zbawienia.

– Jasne! – Wyciągnął ku mnie pomięte francuskie odpowiedniki naszych ekstra mocnych. Tyle że o wiele mocniejsze.

– Dzięki – powiedziałam i z ulgą przyjęłam ogień.

Mój mózg od razu zrobił się bardziej otwarty. Teraz mogłabym bez ryzyka zawału

usłyszeć nawet nieznanego dotąd nazwisko zabójcy JFK albo odkryć zagadkę Atlantydy!

Odprężenie na mojej twarzy sprawiło, że również Catherine wyciągnęła rękę.

– Czy ja też mogę się poczęstować? – zapytała nieśmiało.

– Proszę! – rzekł bez wahania Hugo.

Patrzyłam z przerażeniem – dla kogoś, kto nigdy nie palił, taki papieros mógł oznaczać wyłącznie kłopoty.

Catherine zaciągnęła się próbnie, udając, że sprawia jej to przyjemność. Ot, takie niestandardowe działanie, mające na celu lepsze dotarcie do świadka. Inaczej mówiąc: poświęcenie dla sprawy. I faktycznie, poświęciła się. Zaraz po drugim sztachnięciu zaczęła potwornie kaszleć, oczy wyszły jej na wierzch i omal się nie udusiła! Klepałam ją po plecach, Hugo pobiegł po szklankę z wodą. Biedna Catherine, sina na twarzy, opadła na kanapę jak kukła.

Tymczasem ja czułam się znakomicie. Hugo najwyraźniej też.

Kiedy Catherine jako tako doszła do siebie, popijając łączywie evian, rozbrojony sytuacją chłopak podjął temat bez zachęty.

– To mogę opowiadać dalej? – zapytał.

Catherine pokiwała głową i upiła kolejny łyk wody.

– No więc dalej obserwowałem to zajście. Nawet mnie korciło, żeby wkroczyć, ale bałem się, że po tym, jak przyłożyłem ojcu, wsadzą mnie do pierdła za rozbój. Wołałem się w to nie mieszać. Ale ten z bródką był jak naćpany! Siłacz jak nie powiem co! Przycisnął Napoleona do barierki, tamten się szarpał, ale długo to nie trwało. Zrobił się nagle jakiś taki uległy i już się nie bronił. A młody wciąż leżał na bruku. A potem, w jednej sekundzie, ten gość z bródką przerzucił Napoleona przez barierkę. Jezu! Przeraziłem się! Wrzucił biedaka do rzeki! Jeszcze mocniej przytuliłem się do tej latarni, ale i tak widziałem, co miałem widzieć. Ten starszy coś powiedział do leżącego na bruku młodego. I jeszcze kopnął go i odszedł. Bałem się, że ten młody nie żyje, ale on po jakimś czasie wstał i poczłapał na lewy brzeg. Dopiero wtedy wyszedłem z ukrycia.

– I co? – odezwała się wciąż blada Catherine. – Poszedłeś do domu, jak gdyby nigdy nic?

– Nie od razu. Patrzyłem z mostu na rzekę, bo myślałem, że może ten biedak jeszcze żyje i potrzebuje pomocy, ale było ciemno i cicho. Według mnie on już nie żył, kiedy ten gość z bródką wrzucił go do Sekwany. Cały dygotałem z przerażenia, ale nie zawiadaniałem pogotowia ani nikogo. Bałem się, że mogę zostać w to wrobiony. Wróciłem do domu i udawałem, że nic się nie wydarzyło.

– Więc dlaczego teraz o tym opowiadasz? – Odważyłam się spytać.

Hugo spojrzał, jakby zastanawiał się, kim jestem i co robię w jego domu.

– Bo lubiłem Napoleona. Był w porządku. I jeśli ten gość z bródką zwała winę na młodego, to kłamie.

Domyśliłam się, że Catherine naświetliła wcześniej chłopakowi sprawę.

– A powtórzysz to na komisariacie? Albo przed sądem, jeśli zajdzie taka potrzeba? – zapytała ponownie.

– A czy moja matka dostanie ochronę przed moim starym?

Byłam zła na Catherine. I na Guide'a. Po jaką cholere mnie w to wplątują? Nie omieszkalam jej o to zapytać po wyjściu.

– No i co? Wszystko wskazuje na to, że Pierre junior jest niewinny. A komisarz ma rację, że na sto procent zabójcą Napoleona jest Bertrand. Więc po kiego grzyba jeszcze w tym wszystkim ja? I dlaczego ukrywamy Hugo przed Guide'em? A co z twoim mężem,

przekonanym o winie Pierre'a? Nie poskarżył ci się po naszej rozmowie?

– Może najpierw spróbujmy stąd jakoś wyjechać – odparła zdenerwowana Catherine, bezradnie patrząc na zablokowane auto.

Normalka. Marian z takiego potrzasku wydostawał się z łatwością.

Wsiadłam do samochodu i kibicowałam jej podczas manewrów. Catherine najpierw rąbnęła w zderzak auta z przodu, potem w tego z tyłu, aż jakoś się wydostała. Drobne zarysowania pójdą pewnie w koszty eksploatacji służbowego wozu...

Ruszyliśmy.

– Być może Guide rzeczywiście ma rację... – przyznała Catherine niechętnie po chwili milczenia.

– I całe szczęście! – jęknęłam z ulgą.

Nie wyobrażałam sobie Seurata na wolności. Wystarczało, że przypominałam sobie jego zimne spojrzenie, bym od razu miała dreszcze. Mistrz kłamstwa i manipulacji! Omal mnie nie przekonał o swojej niewinności!

– Tak czy inaczej musiałam zbadać ten wątek. Dopóki nie znalazłam Hugo, co i tak zakrawa na cud, mieliśmy jedynie poszlaki. A teraz mamy dowody. Naocznego świadka. A mój mąż ma prawo się mylić.

– Mam nadzieję, że nie mieszacie pracy z życiem prywatnym – mruknęłam.

Catherine zerknęła na mnie z ukosa.

– Nie.

– Jest bardzo atrakcyjny.

– Słucham?

– No Alberto, twój mąż. Jest tak atrakcyjny, że trudno się przy nim skupić, na mnie jednak jego czar nie zadziałał. Mówiłam, co myślałam. Ale kobiety mają ci czego zazdrościć. On jest boski. Oczywiście poza pracą.

Catherine przeszyła mnie dzikim wzrokiem.

– Ja tylko tak... – bąknęłam speszona.

– Praca pracą, a życie życiem – powiedziała i zahamowała ostro przed skrzyżowaniem.

– Masz nagraną opowieść Hugo? – zapytałam.

– Oczywiście. Jutro położę ją na biurku Guide'a.

– A co z Pierre'em juniorem?

– Mam nadzieję, że zostanie oczyszczony z zarzutów.

– Co za ulga!

– Polubiłaś go? – Catherine zerknęła na mnie z błyskiem w oku.

– To nie tak, jak myślisz. On jest taki... Jak jego ojciec. Mam przy nim wrażenie, jakby Napoleon wcale nie umarł.

Uśmiechnęła się.

Cieszyłam się, że zeznania Hugo potwierdziły profesjonalizm komisarza Guide'a.

I moje przecucia.

Catherine wysadziła mnie u stóp Montmartre'u. Spojrzałam na zegarek. Późno. Moich nie było sensu szukać; mogli być wszędzie, a Paryż to ogromne miasto. Jedyнным rozwiązaniem było dołączenie do nich w porze kolacji. Na pewno znajdą się w Le Buffet, jak każdego wieczoru.

Pomyślałam o Ewce i o mamie. Powinnam do nich zadzwonić.

Mamę uspokoiłam w kilku słowach. Tak, wracamy niebawem. Tak, wszystko jest okej. Tak, dobrze się bawimy, zwiedzamy. Tak, chętnie wpadniemy na obiad po powrocie. Będą zrazy wołowe? O rany, już się cieszę na wyżerkę!

Z Ewką poszło mi nieco trudniej.

– Aga? Coś ty znowu narozrabiła? – zapytała, gdy wreszcie, po kilku nieudanych próbach, udało mi się z nią połączyć.

– Nic. Wiem już, że Bertrand na pewno siedzi słusznie. Nicole jest w rozpaczce. A ja byłam u Marco nad oceanem i mam serce rozdarte na pół.

– Och, Aga!

– A co u ciebie?

– Właściwie to nie bardzo mogę teraz rozmawiać, bo negocjuję umowę z nowym klientem.

Zabrzmiało poważnie.

– Mam mu zaprojektować iluzyjne malarstwo na całą ogromną ścianę. To aktor z Hollywood, na razie jeszcze niezbyt znany, ale zanosi się, że takim będzie. Ma mieszkanie w Nowym Jorku i podobno polskich przodków.

– A jak się nazywa?

– Harvey Keitel.

– Nie znam.

– Zagrał już w dwóch niezłych filmach: w *Ulicach nędzy* i w *Taksówkarzu* Martina Scorsese. Jest naprawdę świetny.

– Więc czeka cię wyjazd do Nowego Jorku?

– Jeśli mój projekt przejdzie.

– Super.

– Aga?

– No?

– Żałuję, że nie mogę przyjechać na pogrzeb Mariana. Ustaliliście datę?

– Na pojutrze.

– Kup kwiaty od nas obu. Zrewanżuję się.

– Nie musisz, Ewka. I rozumiem. Będę tam za nas dwie.

– Dzięki.

Powinam była spotkać się z komisarzem Guide'em, ale Catherine tak mi zamieszała w planach, że na razie odpuściłam. Przez resztę wieczoru snułam się po paryskich bulwarach, udając zwykłą turystkę i wmawiając sobie, że wcale nie jestem zakochana. A prawda była taka, że o niczym innym nie myślałam, tylko o Marco i jego kamiennym domu nad oceanem. Kiedy oprzytomniałam, dochodziła siódma. Moja rodzina powinna już być w Le Buffet.

Chyba winna jej byłam wyjaśnienia.

Kiedy weszłam do restauracji, omal nie pospadali z krzeseł. Usiadłam przy stoliku i przeprosiłam za nieobecność. Zamówili już dania, jak zwykle na chybił trafił. I dobrze. Usamodzielnianie się postępowало.

Wściekły Artur udawał, że nie zwraca na mnie uwagi, bracia ucieszyli się, że widzą mnie całą i zdrową, więc uczcili to winem. Jedyne Anka zapytała ciekawie, co robiłam przez ostatnią dobę. Wyjaśniłam jej na ucho i zobaczyłam porozumiewawczy uśmiech. Może dlatego że nigdy nie przepadała za Arturem?

Waldek próbował ratować niezręczną sytuację, opowiadając o przeżyciach mijającego dnia. O tym, jak na schodach przed Sacré Coeur zaczepił ich czarnoskóry sprzedawca afrykańskich „kapeluszy ze słoniowej skóry” i nie odpuścił, dopóki nie dokonali zakupu.

– Sama zobacz. Fajny, prawda? – Waldek włożył nabytek na głowę. Wyglądał jak Clint Eastwood w jednym z westernów.

– A ile za niego dałeś? – zapytałam, zadowolona, że atmosfera rozluźniła się trochę.



– Sześćdziesiąt franków – odparł z dumą w głosie. – Ale ten czarny gość chciał sto. Więc chyba nieźle wytargowałem? – Spojrzał na mnie z miną zwycięzcy.

– Kilka lat temu kupiłam taki sam za piętnaście... – Zmartwiłam go.

– Czyli zostałam okradziony? – wykrzyknął oburzony.

Mimo to wyglądał na uszczęśliwionego.

Podano nam duszone mięso z warzywami i wino z tajnej beczki bez dna. I było tak, jak zwykle w Paryżu bywa – jedzenie zdominowało nasze problemy. Bracia się rozgadali, Anka wspominała witryny z torebkami Louisa Vuittona i nie mogła się nadziwić drożyznie, „bo to przecież ani szczególnie ładne, ani eleganckie”. Tylko Artur milczał jak zakłęty. Nie darował mi samowolki. I miał rację. Zdradziłam go przecież, choć się do tego nie przyznałam. Zrobiłam skok w bok od mojego zaledwie dwutygodniowego męża z pełną premedytacją!

Okoliczności łagodzących nie dopatrzyłby się żaden sąd.

Wracaliśmy do hotelu w dobrym nastroju, najedzeni po korek, rozbawieni i skorzy do jakiegoś paryskiego szaleństwa. Anka, Adam i Waldek zastanawiali się głośno, co zrobić z tak cudownie rozpoczętym wieczorem. Cóż mogłam odpowiedzieć? Gdybym wciąż kochała Artura, zaproponowałabym wizytę w jakimś nocnym lokalu, gdzie bawilibyśmy się do rana. Ale już nie kochałam. Ba, zdałam sobie sprawę, że nie kochałam go nawet w dniu ślubu! Pojęłam to, siedząc na kamienistej plaży. Cóż, nie tylko Polak mądry po szkodzie, Polka najwyraźniej też.

Wykpiłam się zmęczeniem i wszyscy grzecznie wróciliśmy do hotelu.

Nad pokój 63 od razu nadciągnęło małżeńskie tornado. Artur wykrzykiwał, co o mnie myśli (nie warto cytować), a że nie miałam nic na swoją obronę, przyjmowałam werbalne cięgi w milczeniu.

Nasza podróż poślubna niepostrzeżenie zmieniała się w rozwodową...

Cmentarz w Montmorency jest niewielki, ale słynny, zwłaszcza wśród Polaków.

W dniu parnym i gorącym do pochowanych tu sław dołączył Marian.

Stałam w tłumie żałobników, a słońce paliło niemiłosiernie.

Nie spodziewałam się aż takich tłumów. Sabine, w czarnej sukience, zapewne od Carla Legranda, i ogromnych ciemnych okularach, szła z lekko pochyloną głową, ukrytą pod sporych rozmiarów czarnym słomkowym kapeluszem. Za nią podążała Nicole ubrana w prostą małą czarną bez jakichkolwiek dodatków. Jej rude włosy płonęły na tle tej czerni jak ogień. Dostrzegłam państwa de Laroche, dawnych przyjaciół zmarłego, których poznałyśmy z Ewką sześć lat temu na kolacji u niego w domu. Zauważyłam wielu artystów z Montmartre'u: Akirę, Jean-Pierre'a i innych.

Za moimi plecami stała moja rodzina, której cały jeden dzień zajęło zrozumienie, że powinna być ze mną w tej szczególnej chwili. Zanim pojawił się kondukt, moi bliscy podziwiali piękno i historyczną niezwykłość nekropolii.

Poczułam pod okiem pierwszą łzę.

Wiedziałam, że nie powinnam gapić się na twarze rodziny zmarłego, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Nie miałam pojęcia dlaczego. Może łatwiej mi było znosić ich smutek niż własny? Zapamiętałam kamienne oblicze Sabine, bez jednej łzy, i Nicole z rozmazanym makijażem...

I Marco, którego dostrzegłam daleko za plecami innych żałobników. A więc jednak przyjechał!

Nareszcie dałam sobie spokój z tym rozglądaniem się po kątach i skupiłam na uroczystości. Zapatrzyłam się w dębową trumnę znikającą w czeluściach grobu.

Pomagałam Nicole ją wybierać. Czy spodobałaby się Marianowi, gdyby żył?

Miałam taką nadzieję, bo była prosta i skromna, choć z solidnego drewna. Zamiast drobnomieszczańskich pozłacanych okuć miała proste metalowe. Marian nienawidził wszystkiego, co sztuczne i na pokaz. Tak, chyba pochwaliliby nasz wybór...

Gdyby, rzecz jasna, mógł.

Ksiądz odmawiał modlitwę, a mój przyjaciel zniknął pod ziemią. Jak się później dowiedziałam, w grobie tym leżał już dziadek Mariana, żołnierz walczący pod Verdun podczas I wojny światowej. Zupełnie jak mój! Może nawet się znali? Może siedzieli obok siebie w tym samym okopie i dzielili się ostatnim papierosem? Dlaczego nigdy o tym nie rozmawialiśmy? Teraz już było za późno. Marian odszedł, a wraz z nim wszystko, czego już się nie dowiem. Przytłoczyła mnie ciężka chmura smutku, choć jak na ironię podczas pogrzebu słońce świeciło nam na głowy. Był to jeden z tych cudownych, słonecznych sierpniowych dni, kiedy można się było spodziewać, że Marian pojawi się na placu, wołając: „*Là-bas, là-bas!*”.

Kamienną płytę zasunięto i ludzie zaczęli się rozchodzić. Poczułam, że ktoś mnie ściska za ramię. Anka.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Nie – odparłam, zgodnie z prawdą.

Chwyciła mnie mocno pod ramię i odprowadziła do wyjścia.

Wynajęty przez Nicole autokar (nawet o tym pomyślała!) odwiózł nas do Paryża i zatrzymał się kilka uliczek od naszej restauracji. Dalej trzeba było dojść pieszo, bo w tak

ciasny zakątek nie dotarłby żaden pojazd.

Tego wieczoru na wszystkich stolikach w Le Buffet leżały kartki z napisem: „Reservé”.

W lokalu zaroilo się od żałobników. Usiadłam w kącie, a wraz ze mną moi bracia, bratowa i aktualny wciąż jeszcze mąż. Nadąsany, milczący i nieobecny nie zbojkotował pogrzebu Mariana, za co w głębi duszy byłam mu wdzięczna. Pośrodku sali zajęli miejsca najbliżsi zmarłego: rodzina i przyjaciele. Sabine, Nicole z narzeczonym, państwo de Laroche. I inni, których nie znałam.

– Nie spodziewałem się, że zaliczę paryską stypę – powiedział półgłosem Waldek.

– Też tego nie przewidywałam! – Uciszyłam go syknięciem.

Rozejrzałam się za Marco. Zajmował stół pod oknem, pomiędzy artystami z Montmartre’u. Serce zabiło mi mocniej. Próbowałam ściągnąć wzrokiem jego spojrzenie, ale skutecznie uniemożliwiał to zebrany tłum. Na szczęście Artur nie zauważył niczego.

Moi bracia czuli się nieco zagubieni; w końcu aż do dziś przychodziliśmy do Le Buffet na wieczorną wyzerkę i śmichy-chichy. Nagle trzeba było powściągnąć przyzwyczajenie i zachować minimum powagi.

Anka, jedyna, której mówiłam o Marco, chwyciła mnie za rękaw.

– To on, tam? – wyszeptwała mi do ucha.

Jakbym go wcześniej nie widziała. Skinęłam głową.

– Nie dziwię ci się, Aga. Jest urzekający!

Spośród tłumu gości wynurzyła się Nicole. Jej ognistorude włosy na tle prostej czarnej sukienki płonęły jak ogień w kominku.

Ścisnęłam dłoń Anki.

– Chcę podziękować wszystkim, którzy przybyli dziś pożegnać mojego ojca – powiedziała Nicole, a w restauracji zrobiło się cicho jak makiem zasiał. – A zwłaszcza tym, którzy razem z nim przez wiele lat pracowali na Montmartrze. Jego przyjaciołom i znajomym. Dobrze wiecie, jak bardzo kochał to miejsce. Jak wiele serca wkładał w swoją pracę. Wiem, że tu właśnie był najszczęśliwszy. Ale... Zbyt wiele miał w sobie wrażliwości i czułości. I odszedł stanowczo zbyt wcześnie. Był najlepszym ojcem na świecie. I człowiekiem, który miał na uwadze przede wszystkim dobro innych. Nie dbał o siebie... Cóż więcej mogę powiedzieć? Zapamiętajmy go takim, jakim był za życia.

Nicole usiadła.

Na sali wciąż panowała grobowa cisza. Ktoś podszedł z kondolencjami.

Sabine siedziała obok córki nieruchomo jak głaz. Nie pofatygowała się, by wstać i powiedzieć choć słowo.

Zrobił to natomiast nieznany mi mężczyzna z brodą i mizernymi włosami związanymi w kucyk.

– Nie potrafię przemawiać, ale chyba nie będę odosobniony, jeśli powiem, że bez Mariana plac du Tertre już nigdy nie będzie taki sam. Jego profile były unikatowymi dziełami sztuki, nikt nie ma szans, by go zastąpić. Nam wszystkim będzie go bardzo brakowało. Pamiętajcie, jak przeganiał natrętnych gapiów, którzy przeszkadzali mu w pracy?

Ja pamiętałam. Marian wykrzykiwał to swoje *là-bas!*, *là-bas!*, machając ręką, jakby odpędzał muchy. Miałam go przed oczami żywego, pełnego wigoru i chęci do życia.

We wspomnieniach powrócił smak lodów, które zafundował mnie i Ewce w paryskim zoo.

Marian żył w moim sercu przez smaki wspólnie zjedzonych dań, wypitej kawy czy wina. Przez swą obecność, dzięki której zawsze udawało mi się poczuć coś dobrego. Przy nim doświadczałam pełni doznań: od skrajnego strachu, kiedy kazał mi pomóc w zagrzebaniu

obrazu van Gogha pod starą podłogą w jego ohydny mieszkaniu na przedmieściach, po szczyty radości z zamieszkania w jego atelier na Montmartrze, gdzie mogłyśmy z Ewką poczuć się jak w Ritzu. Marian był naszym paryskim aniołem stróżem, kimś, kogo postawiła na naszej drodze Opatrzność. A my nigdy nie zdołałyśmy się odwdziaczyć za jego dobroć...

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Anki.

– Wszystko dobrze, Aga?

– Dobrze, dobrze – skłamałam gładko.

Bo była to totalna nieprawda. Nic nie było dobrze. Nic!

Jak to na stypie, na stołach pojawiło się wielkie żarcie. Goście biesiadowali, zapominając powoli o powodzie spotkania.

W stosownej chwili podeszłam do Nicole i objęłam ją mocno.

– Wiem, że to twój ojciec, ale uwierz, dla mnie był tak samo ważny – powiedziałam.

– Wiem, Aguś, wiem.

– Nie wyobrażam sobie Paryża bez niego.

– Ale Paryż będzie istniał dalej. I my też – odparła Nicole. – Jak twoje plany? – zapytała.

– Moim braciom kończy się urlop, więc kończą się nasze wakacje. Waldek i Adam muszą wracać do pracy. Wyjeżdżamy jutro.

– Ty też musisz?

Pytanie Nicole mnie zaskoczyło. Przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym powrócić do Polski inaczej jak polonezem. Auto grzecznie czekało na nas w podziemnym garażu kilka przecznic od hotelu. Zgromadzony w bagażniku zapas niemieckiego piwa właśnie się skończył, o czym poinformował wczoraj niepocieszony Waldek.

– Chyba nie mam na to wpływu...

– Więc wymyśl coś! Nie możesz tak nagle wyjechać – powiedziała Nicole.

Wyobraziłam sobie siebie jako autostopowiczkę, czekającą na jakąś litościwą duszę przy stacji benzynowej na autostradzie z Paryża do Niemiec...

Goście rozeszli się po stypie jak pieniądze po wypłacie, czyli szybko. Marco przepadł również, nie dając mi okazji, by zamienić słówko. Weszłam więc na chwilę w rolę rodzinnej przewodniczki, pytając moje stadko o plany na wieczór.

– Jeszcze wcześniej – zauważył Waldek.

– Może pospacerujemy? Chętnie zobaczą nocą plac Clichy – dodał Adam.

Anka wiedziała, że w moim sercu szaleje rewolucja.

– Chodźmy więc na spacer – powiedziała. – Ale ty, Aga, jeśli masz jeszcze coś ważnego do załatwienia, pędź. Przecież jutro wyjazd. – Mrugnęła.

Artur najwyraźniej szykował się, by ją udusić na moich oczach.

– Znowu coś knujecie? – zażartował Adam.

– Aga ma priorytety. Wyjaśniła nam przecież.

Adam pokiwał głową, mój mąż machnął ręką, zrezygnowany. Waldek, jak zwykle, nic nie zauważył. Przebywał we własnym świecie.

– To co, ponownie na plac Clichy? – zaproponował.

Chwilę później byłam już na szczycie Montmartre'u, bez obaw, że moja rodzina zgubi się albo nie dogada. Oni, podobnie jak ja kilka lat temu, szybko nauczyli się radzenia sobie w Paryżu.

Miałam zatem dla siebie ostatnią noc i ostatnią szansę na podjęcie życiowej decyzji.

Mogłam go zastać tylko w jednym miejscu – w naszej knajpce, gdzie wypiliśmy pierwszą sangrię.

O tej porze na placu du Tertre kłębiły się tłumy turystów. Przedzierałam się przez nie w nadziei, że zmierzam w dobrym kierunku. A może Marco przyjechał tylko na pogrzeb kolegi po fachu i jest już w drodze powrotnej?

Mimo niepewności pędziłam przed siebie jak strzała. Bo jeśli czeka, nie darowałabym sobie, gdybyśmy się nie zobaczyli.

Nie miałam pojęcia, z czego wynikała tak ogromna popularność tego niewielkiego lokalu, grunt, że w knajpce, jak zwykle, wrzało jak w ulu. Aby dojść do lady, musiałam przeciskać się przez tłum rozbawionych gości. Rozglądałam się, ale nigdzie nie widziałam Marco. No tak, wyjazd bez pożegnania to całkiem w jego stylu! Któż, jeśli nie on, szepnął mi kiedyś po krótkiej randce, zakończonej jedynie muśnięciem warg, że „lepszy duży niedosyt niż choćby odrobina przesytu”? Był pewnym siebie mistrzem w wywoływaniu tęsknoty. A ja, jak ta ćma, odurzona jego blaskiem, pędziłam ku niemu wbrew rozsądkowi. Ale może właśnie to tak mnie ekscytowało w naszych relacjach?

Tym razem jednak dałabym wiele, aby przestał się ze mną zabawiać w ten sposób. Nie chciałam opuszczać Paryża, zostawiając za sobą niedomówienia. Nie chciałam wyjeżdżać bez ostatniego słowa.

Które, być może, da mi nadzieję na przyszłość.

Za rękę złapał mnie jakiś gruby, łysy gość i pociągnął do stolika z równie podpitymi facetami. Wyrwałam się z trudem, ale on nie odpuścił. Ponownie mnie chwycił i siłą przekonywał, że to właśnie o jego towarzystwie marzyłam tego wieczoru. Krzyknęłam. Nikt nie zwrócił uwagi. Muzyka grała tak głośno, że zagłuszyłaby nawet trąby jerychońskie! A gruby łysol, cały pokryty tatuażami przyczepił się do mnie jak rzep do psiego ogona.

– Hej, mała! Zabawimy się? – krzyczał, zadowolony z podrywu.

Poczułam wielkie łapsko na swojej pupie.

– Zabieraj te łapy! – wrzasnęłam.

Wydarłam się całkiem niezłym francuskim, ale do obleśnego typu najwyraźniej nie dotarło.

Byłam jak zwierzę w potrzasku. Rzuciłam się do ucieczki, ale on był wciąż na wyciągnięcie wytatuowanej ręki. Położył ją na mnie już w progu.

– Spadaj, gnoju! – ryknęłam.

I nagle stało się coś dziwnego: gbur zniknął pod nogami innych. Ktoś mu najwyraźniej przyłożył, i to mocno. W tej samej chwili wszystko stało się jasne.

A więc jednak był tam, gdzie spodziewałam się go spotkać!

– Przepraszam cię, Aguś, ale musiałem wyjść na moment do toalety. Ten drań nie dostał jeszcze wszystkiego, na co zasłużył. Mam poprawić?

Wytatuowany gość podnosił się z podłogi, złorzecząc. Z nosa kapiała mu krew.

– Zostaw go – powiedziałam.

Marco znalazł bezpieczny kącik przy barze, zamówił dwie sangrie. Usiadłam na wysokim stolku i uspokajałam nerwy boskim trunkiem. Jak za dawnych lat. I nagle pojęłam rzecz prostą jak dwa plus dwa – że Marco i ja stanowimy jedność. Że zawsze, odkąd

żyję, szukałam właśnie jego. Tyle że on mieszkał we Francji, a ja w Polsce.

– Co z nami będzie? – zadałam głupie pytanie, kiedy poczułam na swojej jego dłoń.  
– To zależy wyłącznie od ciebie, Aga. Kamienny domek czeka na ciebie od dawna. Że o sobie nie wspomnę – roześmiał się.

I spojrzał na mnie tak, że przez moje serce przepłynęła fala ciepła.

Musiałabym się rozwieść!, myślałam w popłochu. A co z moją rodziną? Z mamą, z ojcem? Z moją pracą? Musiałabym to wszystko zostawić! Dla niego. Serce podpowiadało mi, że powinnam, ale głupi rozum, wyhodowany na komuszej rzeczywistości, był przeciw.

– Och, Marco! Gdybym tylko mogła rzucić to wszystko!

– Rozumiem, Aguś. Nawet nie masz pojęcia, jak cię rozumiem. To przecież życiowa rewolucja. Sam to kiedyś odczułem na własnej skórze. Rozumiem, że masz do kogo wracać. Masz rodziców, braci, fajną bratową i... męża, choć tego ostatniego nie lubię z wiadomych względów. Ale do twojej rodziny nic nie mam. Nawet ci jej zazdroszczę. Gdybym miał jakichkolwiek bliskich, nie wiem, czy uciekłbym nad Atlantyk i został skipperem – roześmiał się znacząco.

Barman podstawił mi pod nos kolejną sangrię.

Milczałam.

– Kiedy wyjazd? – zapytał Marco po długiej chwili.

– Jutro – odparłam ze ściśniętym z bólu gardłem.

Uśmiechnął się, ale nie tak jak zwykle. Marco miał uśmiech smutnego paryskiego pierrota. Takiego z domalowaną pod okiem leżką, jak ten w witrynie pobliskiego sklepu...

Nie mogłam pozwolić, abyśmy rozstali się w taki sposób!

Nagle znaleźliśmy się w jego kawalerce na rue Norvins, gdzie kilka lat temu po raz pierwszy zdarł ze mnie ubranie. Ten sam dom i ten sam prysznic, maleńka oaza luksusu w mieszkaniu na Montmartrze!

Świat znów przestał istnieć.

Nie wróciłam na noc, przyszłam wprost na śniadanie, wciąż odurzona zapachem Marco. Było mi już wszystko jedno. Podeszłam do stolika.

Awanturze, gestem dłoni, zapobiegła czujna Anka, podczas gdy moi bracia i Artur już otwierali usta.

Spiorunowała wzrokiem najpierw szwagra, później swojego męża, a na końcu mojego. „Dajcie jej spokój, i tak nic nie wskóracie”, mówiło jej spojrzenie. Panowie zamknęli buzie.

– Siadaj, Aga, i napij się kawy – powiedziała moja bratowa.

Przycupnęłam na brzegu krzeselka, starając się nie patrzeć w oczy Arturowi i obu chłopakom. Jeszcze parę dni temu chcieli mnie wspierać, ale chyba przekroczyłam granice braterskiej tolerancji. Albo i męskiej solidarności.

Upiłam łyk chłodnej kawy.

– Dzwonił komisarz Guide z prośbą o spotkanie – powiedziała Anka.

– Naprawdę?

– Wiadomość przekazała dziewczyna z recepcji.

– A skąd znasz jej treść? Przecież nie mówisz po francusku?

– Przetłumaczył mi facet spod trójki. Polak, jak my. Pomyślałam, że to coś pilnego.

– Co takiego? – wykrzyknął zaskoczony Adam. – Masz coś wspólnego z tym dziwnym typem spod trójki?

– Tylko tyle, że on zna francuski, a ja nie – odparła urażona Anka.

Wystarczyłoby jeszcze kilka dni w Paryżu, a Anka i Adam też zaczęliby się rozwodzić, uśmiechnęłam się w duchu. Paryż był cudowny, naprawdę, ale miał przerażającą zdolność

obnażania ludzkich słabości. Gdy na związku dwojga ludzi pojawiała się jakakolwiek rysa, miasto dokonywało rozłamu ostatecznego.

– Gdzie ta wiadomość? – zapytałam.

Anka wręczyła mi niewielką karteczkę.

„Sprawa zamknięta, ale musisz przyjść. Czekam w swoim gabinecie. A. Guide”.

Westchnęłam.

No tak, zamiast do Galerii Lafayette po prezenty dla rodziny czeka mnie wyprawa do prefektury. Piękne zakończenie pobytu!

Artur nawet na mnie nie spojrział. Za to Adam i Waldek zerkali ciekawie.

– Muszę iść na policję. – Wzruszyłam ramionami.

Miałam nadzieję, że Catherine i Guide wyjaśnili już sobie wszystko. W końcu to ona ujawniła nowego świadka w sprawie i tym samym oczyściła Pierre’a Drugiego z podejrzeń. Bertrand pozostał w więzieniu, i słusznie.

Chciałam się wreszcie skupić nad własnym życiem.

– Jeśli dziś nie wyjedziemy, stracę ważne spotkanie – ostrzegł mnie Adam.

– Wiem, braciszku.

Zwracałam się tak do niego, tylko gdy narozrabiałam. Adam był moim starszym bratem i zawsze mnie chronił. Zawsze. Jak choćby za szkolnych czasów, gdy po imprezie chciał mnie wykorzystać jego kumpel. Starszy brat zawsze mnie wspierał, a ja ufałam mu bezgranicznie.

– Rozumiem, że musisz tam być? – powiedział teraz. – Znaczy na tym spotkaniu?

– Muszę! Inaczej ta cała sprawa nie da mi spokoju!

Adam wstał, podszedł do mnie i niespodziewanie przytulił.

Nigdy wcześniej nie czułam się tak bezpiecznie w objęciach starszego brata! W tej chwili Adam był opiekunem, który brał na siebie odpowiedzialność za moje postęпки. Gdybym tylko mogła to przyjąć! Tak byłoby najprościej. Nie. Muszę powiedzieć, co mam do powiedzenia.

– Adam, jedź do domu zgodnie z planem. Ja potrzebuję jeszcze kilku dni.

– Zwariowałaś? A jak wrócisz do domu? Czym? I za co? Wydaliśmy wszystkie pieniądze!

– Poradzę sobie.

– Nie. Idź, pogadaj z tym Guide’em i wracaj do hotelu. Zaczekamy. Zdamy.

Możemy opóźnić wyjazd o parę godzin.

– To szaleństwo! Już teraz wiem, że nie zdążę.

Anka wstała od stołu, by odnieść dzbanek po kawie. Nie wytrzymała ciśnienia.

– Aga – powiedziała po chwili, wracając. – Bierz życie za rogi. My tu nie mamy nic do gadania.

No, tego się nie spodziewałam! Spojrzałam na moją bratową z wdzięcznością, natomiast Adam miał ochotę zabić żonę wzrokiem.

– Czy chcesz, żeby moja siostra wracała do domu na piechotę? – zapytał.

– Da sobie radę. W najgorszym wypadku kupi bilet na pociąg.

– Za co?

– Jakieś resztki nam chyba zostały? Zrobimy zrzutkę.

Artur siedział cicho, ale czułam, że gotuje się w nim ze złości. Na nas obie.

– Jestem za – powiedział milczący dotąd, jak zwykle, Waldek. – Mam jeszcze trochę zaskórniaków. Jeśli Aga musi zostać, musi i za coś wrócić.

– Więc jak? – zapytała Anka. – Pomożecie jej czy zmusicie do powrotu, zanim załatwi sprawę? Nie widzicie, jakie to dla niej ważne?

– Okej. – Topniał powoli Adam. – Poszukam drobnych po kieszeniach. Ale bać się raczej nie przestanę. Siostra, czy naprawdę wiesz, czego chcesz?

Wiedziała aż za dobrze.

Tyle że nie potrafiłam im tego wyjaśnić. Zwłaszcza gdy obok siedział wściekły Artur.

– Muszę zakończyć tę historię z zabójstwem Napoleona – bąknęłam w końcu.

Temat Marco starannie pominęłam.

Adam z głośnym siorbnięciem upił łyk kawy. Spojrzał na mojego męża.

– A co ty na to?

– Moim zdaniem to tylko pretekst do spotkania z kochaniem! – Wypuścił powietrze

Artur. – Chcecie to sponsorować, proszę bardzo! Ale na mnie nie liczcie.



Komisarz Guide już na mnie czekał.

Weszłam do gabinetu, który teraz zajmował niejako gościnnie. Wiedziałam tyle, że odsłuchał już nagranie z dyktafonu Catherine, ale nie miałam pojęcia, czego jeszcze może ode mnie chcieć.

Wpatrywał się w leżące na biurku papiery. Na tym samym, przy którym parę lat temu werbalnie sponiewierał mnie i Ewkę. Spostrzegłam, że dokumenty przyciska ten sam polny kamień. Ktoś, kto zajmował pokój Guide'a obecnie, przejął go po komisarzu z dobrodziejstwem inwentarza.

- Dziękuję, że jesteś – przywitał mnie jak stary znajomy, nie podnosząc wzroku znad akt.
- Zapłacę za to rozwodem – oznajmiłam.

Guide spojrział wreszcie.

- Twój mąż nie rozumie, że toczy się śledztwo?
- Mój mąż nie rozumie wielu rzeczy.

Komisarz odchrząknął.

– Mam tu raport Catherine. I nagranie waszej rozmowy z tym, hm, Hugo. Wynika z niego, że jednak się nie pomyliłem i że Bertrand siedzi w pierdлу słusznie.

- Więc po co mnie pan wezwał? – zapytałam.
- Bo mimo wszystko coś mi tu jeszcze nie pasuje...
- Co takiego?

– Na przykład to, czym Seurat mógł szantażować młodego Pierre'a.

– Skąd mam to wiedzieć? Nie ja pracuję w policji – powiedziałam. Komisarz drgnął. – Powiedziałam wam wszystko, co wiedziałam. A Hugo był naocznym świadkiem zajścia, to znaczy morderstwa. Co jeszcze jest panu potrzebne, żeby mieć pewność co do przebiegu wypadków? Po jaką cholere mnie pan nadal dręczy?

– Może dlatego, że nie do końca wierzę w historię syna Napoleona? Może za bardzo polubiła pani tego Pierre'a?

- Sugeruje pan... No nie! To bezczelność!
- Spokojnie, pani Agneszjo. Niczego nie sugeruję.

Guide wstał zza biurka i, tak jak dawniej, zaczął przechadzać się po gabinecie.

- Ten Hugo to ćpun z dość obszerną kartoteką. Nie wiem, czy można mu wierzyć.
- Ale żeby to wymyślić, musiałyby mieć sporą wyobraźnię, nieprawdaż? – Odbiłam piłeczkę.

– To prawda. – Pokiwał głową komisarz. – Ale wieloletnie doświadczenie podpowiada mi, że i takie ćpuny potrafią zaskakiwać. Niby wszystko się zgadza: był świadkiem, schował się za latarnią. Ale czy nie sądzi pani, że to świadek zbyt idealny?

– Słucham?

– A jeśli Pierre Drugi go przekupił? I poprosił o zeznanie na swoją korzyść w zamian za jakieś profity?

– Według pana teorii nie można zatem wierzyć nikomu – odparłam.

Zostałam przyparta do muru. Takiego scenariusza nie dawało się wykluczyć. Hugo nie był księgowym w banku ani nawet kelnerem w restauracji. Był paryskim wyrzutkiem, człowiekiem już karany. Bez pracy, bez nikogo, kto by mógł za niego poręczyć. Innymi słowy,

marny świadek. Ale czy marny musi oznaczać: niewiarygodny?

Guide w zamyśleniu konsumował widok za oknem. Stał plecami do mnie, wpatrzony w katedrę Notre-Dame. Jakby chciał ten widok zapamiętać na resztę swojej emerytury.

– Panie komisarzu... – Zdecydowałam się mu przeszkodzić. – Przecież to pan był głównym orędownikiem wina Seurata. Dlaczego teraz robi pan wszystko, aby podważyć własne przeświadczenie?

Wciąż oglądałam jego plecy. Niebo za oknem lśniło błękitem.

Guide odwrócił się wreszcie. Przeszył mnie wzrokiem.

– Bo jestem gliną – odparł chłodno.

Odprowadził mnie do drzwi i życzył szczęśliwego powrotu do kraju.

Nie wiem czemu, ale miałam wrażenie, że jeszcze się zobaczymy...

Tym razem po prostu musiałam wejść do katedry. Usiadłam w tylnej ławce i poprosiłam Stwórcę, aby mi wskazał właściwą drogę. Bo stałam w rozkroku – jedną nogą w kamiennym domu nad oceanem, drugą wciąż jeszcze w betonowym mieszkaniu na osiedlu Winiary. Tam, gdzie nie ma sklepu z bagietkami, a dobra powszechnie dostępne w Paryżu są na kartki. Tkwiłam na swoim miejscu malutka i nieważna, modląc się o odpowiedź, co ze sobą począć? A gdyby mi kazał wskoczyć do Sekwany? Pewnie bym to zrobiła, tyle że umiałam całkiem niezłe pływać. Pewnie w ostatniej chwili chwyciłabym się czegośkolwiek. Tak, chęć życia miałam w sobie ogromną. Problem polegał na tym, że nie wiedziałam, jakiego życia chcę.

Mimo że miałam dość czasu, aby się spakować, wsiąść do poloneza i grzecznie wyjechać do Polski, wracałam na Montmartre nieśpiesznie. Nie ciągnęło mnie do Utrilla.

Spacerowałam bez celu i sensu, aż nagle ujrzałam znajomą twarz. Pani Natasza? Siedziała skulona na ławce i karmiła gołębie. Ucieszyłam się szczerze.

– Pamięta mnie pani? – zapytałam.

Tak bardzo chciałam się uczyć Paryża pazurami, że spotkanie bratniej duszy przywitałam jak znak z niebios.

– Głupie pytanie! – odpowiedziała natychmiast, robiąc oburzoną minę.

Przysiadłam na skraju ławki. Stado gołębi kłębiło się na bruku pod naszymi stopami. Staruszka rzucała im okruchy z papierowej torby.

– Pierre robi się coraz śmielszy – oznajmiła z uśmiechem. – Widzi pani? Już nie musi walczyć o swoje. Wydziobuje, co się da, i nie dopuszcza innych. *Mołodiec!*

Jakże proste było to ptasie życie! Najeść się, pogruchać, wysiedzieć jajka, nauczyć młode latać. Gołębie nie musiały stać w kolejkach ani martwić się o pracę. Żyły w przyjaznym mieście i miały panią Nataszę. I jeszcze coś, czego im szczerze zazdrościłam – umiejętność latania. W każdej chwili mogły wzbić się w powietrze i polecieć gdzie oczy poniosą.

– Jakież kłopoty? – zapytała pani Natasza, zapewne odczytując je z mojej miny. Nie zaprzestała karmienia pierzastych podopiecznych.

– Ja chyba jestem na nie skazana! – jęknęłam.

Pierre rzeczywiście świetnie sobie radził. Zbierał najwięcej okruchów, nie przejmując się nieudolnymi próbami reszty stada.

– Mogę ci coś doradzić, moja droga? – usłyszałam pytanie.

– Oczywiście.

– Jeśli nie wiesz, co robić, zawsze kieruj się sercem. Nigdy rozumem. Rozum pełni funkcję kalkulatora. Będzie za ciebie liczył, podpowiadał. Ale to jedynie suche, nic nieznaczące wskazówki. Rozum nie ma nic wspólnego z tak zwanym szczęściem. Tym ulotnym, niezdefiniowanym do końca zjawiskiem, które przydarza się nam tak rzadko. A jednak właśnie

dla tego zjawiska warto żyć. Wyobraź sobie, że twoje życie to zupa gotowana w wielkim garnku. Mieszasz ją i dodajesz składniki. Te zdrowe, według przepisu. Ale smaku w niej wciąż brak. Dlaczego? Bo żaden przepis nie został stworzony dla ciebie. Ty musisz ugotować i doprawić własną zupę życia. Tak, żeby ci smakowała.

– W takim razie czy pani wie, gdzie sprzedają sproszkowany zachodni wiatr? Bo w mojej zupie właśnie jego brakuje.

Pani Natasza roześmiała się tak hałaśliwie, że kilka gołębi z furkotem wzbilo się do lotu.

Uściskałam staruszkę na do widzenia. Nie bez powodu los postawił ją na mojej drodze. Bo nic nie dzieje się bez powodu. Zwłaszcza w Paryżu.

Na podjęcie decyzji miałam czas. Mogłam wrócić do hotelu, spakować się i czekać na transport do Polski. Mogłam jeszcze zawalczyć o Artura. Znałam go dobrze. Wiedziałam, że mi wybaczy. Wrócimy do dawnego życia, on będzie przywoził obiady w trojakiach z firmy i stał w kolejce po masło. W sumie nie była to aż tak straszna wizja. Życie według niej było proste i przewidywalne. Wiedziałam, na co mogę liczyć, czego oczekiwać, a czego nigdy, przenigdy nie doświadczę. Mogłam nadal żyć w Polsce w oczekiwaniu na bożonarodzeniowe kubańskie cytryny, mogłam cieszyć się z fuksem kupionych ręczników albo z pełnego baku w maluchu. W naszym kraju trafiało się całe mnóstwo małych powodów do radości. Były jak kolorowe kropki rzucone od niechcenia na szare płótno, nasze codzienne życie. Nasze poranne wstawanie do pracy, rozmrażanie przedniej szyby w samochodzie, radość, że rozrusznik zadziałał albo że udało się kupić kawałek mięsa bez kości.

Zgodnie z teorią pani Nataszy właśnie tak smakowałyby moja zupa.

Doszłam do Pont des Arts, przystanęłam i zapatrzyłam się na statki z wesołymi turystami. Jak zwykle kiwali do gapiów, więc i ja zrewanżowałam się tym samym. Czy oni też mają rozterki?, pomyślałam. Pilnie potrzebowałam Mariana. Jego rady, spokoju. Ale na to nie miałam szans, chyba że mój przyjaciel odezwie się zza grobu. „Wybacz, Marianie, że dokuczam ci nawet po śmierci”. „Weź się, Aga, w garść i rób to, co powinnaś zrobić. I nie mazgaj się, bo nie taką cię zapamiętałem! Walcz o swoje szczęście! Życie jest zbyt krótkie, aby je spędzić na ciągłym konflikcie z samym sobą”.

Z zamyślenia wyrwał mnie niespodziewany kuksaniec. Pierre Drugi! Głos Mariana ucichł. Wróciłam do rzeczywistości.

– Myślałam, że już się nie spotkamy – usłyszałam. – A jednak! Jak miło znowu panią widzieć, pani Agneszko.

Był wolny! A więc niczego mu nie udowodniono i oto cieszy się, podobnie jak ja, słońcem nad Paryżem.

– Należą się pani podziękowania. Pani i tej policjantce. Gdyby nie odnalazła świadka, pan komisarz zapewne by mnie posadził.

Spojrzałam na jego roześmianą twarz, tak podobną do twarzy ojca. Pierre junior miał ten sam profil i to samo spojrzenie. To, że jest synem Napoleona nie ulegało wątpliwości.

– Śledzisz mnie? – zapytałam odruchowo. – A może to kolejny przypadek?

– Nie, broń Boże! Po prostu zauważyłem panią, przechodząc.

– Wkrótce wyjeżdżam z Paryża – oznajmiłam, gapiąc się na przepływające pod nami statki muchy. – I zapewne nigdy tu nie wrócę. Podczas mojej pierwszej wizyty w tym mieście przewodnikiem był twój ojciec. Moja przyjaciółka, on i ja byliśmy ze sobą tak związani, że Napoleon zapisał nam w spadku swoje mieszkanie. Nie tobie, lecz nam. Całkiem obcym osobom. Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

No ładnie! Zaczynałam myśleć jak Guide.

- Nie mam pojęcia.
- Może jednak nie doszło między wami do pojednania.
- Do czego pani zmierza?
- Znasz Hugo? Zapłaciłeś mu za fałszywe zeznania? Dlaczego posłużył się tobą siedzący w pierdłu Seurat? Może jednak coś na ciebie miał?

Pierre Drugi patrzył oniemiały. Oto zamiast sojuszniczki nagle objawił mu się wróg. Ale mimo to, podpuszczona przez Guide'a, nie rezygnowałam z wątpliwości.

Syn Napoleona zbladł jak prześcieradło.

- Nie znałem żadnego Hugo. I nikogo nie przekupiłem! – zawołał wściekły.

Jego oburzenie zabrzmiało przekonująco.

- Już dobrze, ja ci wierzę. Chciałam jedynie się upewnić, że słusznie cię broniłam.

Pierre Drugi oparł się o barierkę, wtulił głowę w ramiona. Milczał przez kilka długich chwil.

– Nienawidziłem go... – wyszeptał. – Za to, że mnie zostawił. Nie wychowywał, nie uczył czytania i nie zabierał do zoo. Próbowałem to zrozumieć, ale nie mogłem. Kiedy poznałem Bertranda, człowieka, który nienawidził go podobnie jak ja, pomyślałem, że oto nadchodzi czas zemsty. Owszem, pomogłem Seuratowi zaaranżować spotkanie. I byłem przy nim! Chciałem, żeby mój ojciec dostał nauczkę! Pragnąłem mu wykrzyczeć całą moją złość. Może nawet chciałem mu przyłożyć, ale przecież nie zabić!

Kiedy doszło do czego i zobaczyłem, że Bertrand dusi go naprawdę, nie mogłem tego znieść! Przecież gdyby mój ojciec zginął, już nigdy nie doszłoby do zgody, której tak bardzo chciałem! Próbowałem powstrzymać Bertranda. *Mon Dieu...*

Oddałabym duszę diabłu, żeby się dowiedzieć, jak było naprawdę, choć moje serce skłaniało się ku wersji Pierre'a i naocznego świadka. A niech komisarz Guide, zawodowo zboczony gliniarz, myśli sobie inaczej!

- Wierzy mi pani? – zapytał Pierre Drugi ze łzami w oczach.

Czy wierzę? A jakie to ma znaczenie? W nic, co do czego nie miałam pewności, nie wierzyłam już od kilku lat.

- Wierzę – odparłam.

Bo z tą wiarą chciałam pozostać. Gdybym się pomyliła, już nigdy nie potrafiłabym nikomu zaufać.

Młody Napoleon zostawił mnie na moście zapatrzoną w ciemnoszarą toń Sekwany. Spojrzałam na zegarek. Za godzinę moja rodzina wsiądzie do samochodu i wyruszy w drogę powrotną. Beze mnie. Powinnam przynajmniej pokiwać im na do widzenia i życzyć szczęśliwej podróży.

Tak też zrobiłam.

Zajrzałam do Anki i Adama. Pakowanie przebiegało w nerwowym w pośpiechu.

– Obiecuj mi, Aga, że wrócisz najbliższym możliwym pociągiem – powiedziała moja bratowa, siadając na pękatej walizce. Patrzyła wzrokiem inkwizytora. Adam zbierał porzrzucone po pokoju rzeczy.

- Obiecuję – odparłam bez namysłu.

Jasne, że wrócę. Nie miałam wyboru.

- Spakowałaś moje kapcie? – usłyszałam głos Adama.

Jakież to swojskie i miłe! Adam i jego kapcie. Brat i bratowa wracali do domu razem. Nie to co ja i Artur.

Zapukałam do Waldka i się zdziwiłam. O dziwo, był już spakowany. Łóżko pościelone, w pokoju porządek idealny. Gotowa do odjazdu torba stała przy drzwiach.

- Na pewno wiesz, co robisz? – zapytał.
- Na sto procent.
- Okej. Co mam powiedzieć mamie?
- Że wrócę niebawem. I zrób, co się da, żeby się o mnie nie martwiła. Zadzwoń

do niej.

- Uważaj na siebie, siostra.

Adam przyprowadził z parkingu poloneza, który w drodze w tę stronę trzymał się dzielnie, nie zawodząc ani razu. Torby wylądowały w bagażniku. Jeszcze ostatni rzut oka na hotel.

Artur spojrział na mnie z wyrzutem.

- Nie tak sobie wyobrażałem naszą podróż poślubną – powiedział na pożegnanie.

Nie udawał gieroja, nie żartował i nie groził. Był smutny. Takiego go dotychczas nie znałam.

- Przepraszam – wykrztusiłam.

- Wracaj szczęśliwie – dodał jeszcze i wszedł do auta.

Adam z Anią pokiwali dłońmi i polonez z trudem wytoczył się z ciasnej uliczki. Po chwili auto zniknęło za zakrętem rue Aristide Bruant.

Zostałam w Paryżu sama.

Zupełnie jak kilka lat wcześniej.

Weszłam do hotelu.

– Proszę pani! – zawołał do mnie recepcjonista Jacques.

– Tak?

– Czy przedłuża pani pobyt? Pokój jest opłacony do jutra.

*Merde!* Zapomniałam o najważniejszym!

– Zdecyduję jutro. Jeszcze się zastanawiam – odparłam z wymuszonym uśmiechem.

Wsiadłam do najmniejszej windy świata i wcisnęłam przycisk z numerem sześć.

Cholera! Przecież na opłacenie hotelu nie wystarczy mi pieniędzy.

W pokoju było cicho i pusto. Po podłodze nie walały się zmięte dzinsy Artura, obok łóżka nie było jego torby, której nie chciało mu się rozpakować przez cały pobyt. Każdego dnia grzebał w niej w poszukiwaniu czystych skarpetek, a te zużyte upychał na dnie. Ogarnął mnie smutek, a jednocześnie uświadomiłam sobie, jak bardzo nienawidziłam jego bałaganiarstwa!

Weszłam do łazienki. Z półki pod lustrem zniknęły męskie kosmetyki. I nagle dotarło do mnie, że naprawdę zostałam sama. I że jutro do południa muszę się wynieść. Zrutzkowe franki miały pójść na bilet powrotny i ewentualnie jakieś jedzenie. O noclegach nikt nie pomyślał.

Trudno! Najwyżej dołączę do paryskich kloszardów i prześpię się w metrze, pomyślałam dziwnie ubawiona taką perspektywą. Na razie jednak mam się gdzie wykapać.

Dobry humor i przeświadczenie, że kto jak kto, ale ja, Agnieszka, w Paryżu na pewno nie zginę, wracały z każdą chwilą. Przetrwałam już tutaj mieszkanie bez prądu, piłam kilkuletnią kawę bez cukru, byłam aresztowana, zaliczyłam cudowne odnalezienie zgubionego portfela, wizytę w konsulacie, głód i kolację zafundowaną nam przez Emila Grasseta, kiedy Ewka pochłonęła tyle ślimaków, że omal nie umarła z przejedzenia!

Puściłam wodę do wanny.

Wyczyny moje i Ewki były nie do opisania. A jaka była przy tym zabawa! Tyle że dziś nie pójdę sprzątać do Sheratona ani nie odważę się rysować na placu du Tertre. Gdyby była ze mną przyjaciółka...

Muszę jakoś wygospodarować parę franków i do niej zadzwonić, postanowiłam. Ale na razie, póki jeszcze mogę, wykapię się w moim apartamencie.

Zanurzyłam się w ciepłej pianie.

Cisza. Nikt nie wydziera się przy niemieckim piwie w naszej sypialni. Nikt przez drzwi nie pyta, co będziemy zwiedzać nazajutrz.

Przymknęłam oczy, zastanawiając się, jak daleko stąd są teraz moi bliscy? Może już na autostradzie za miastem? Celowo wyjechali o takiej porze, kiedy ruch jest stosunkowo niewielki, żeby zdążyć do Heidelbergu na nocleg.

Zadowolona z podjętej decyzji, błogo rozleniwiona przysnęłam.

Nagle usłyszałam pukanie do drzwi. Przeraziłam się. Może to nie do mnie, a do sąsiedniego pokoju? Nie. Najwyraźniej ktoś się dobijał do apartamentu. Chora wyobraźnia podpowiadała, że za drzwiami stoi Bertrand z nożem albo z pistoletem.

Wyskoczyłam z wanny cała w pianie i owinęłam się hotelowym ręcznikiem.

– Kto tam? – zapytałam.

– Otwórz, Aga! To ja, Nicole!  
Nicole? Skąd ona się tu wzięła?  
Otworzyłam drzwi.  
– Boże! A już myślałam, że coś ci się stało! – zawołała.  
– Dzięki Bogu, że to ty!  
– A niby kto? Możemy pogadać?  
– Jasne, wchodź. Tylko wypuszczę wodę z wanny.  
– A zatem oni wyjechali, a ty zostałeś? – zauważyła Nicole, kiedy wróciłam z łazienki.  
Pokiwałam głową.  
– Aga, co ty wyprawiasz?  
– Nie rozumiem.  
– Do kiedy masz rezerwację?  
– Do jutra.  
– Tak myślałam! I bałam się, że wyjedziesz bez pożegnania, ale na szczęście tego nie zrobiłaś.  
– Miałam zamiar odwiedzić cię jutro...  
– Jasne. A wcześniej wylądować na ulicy z walizką? Pakuj się.  
– Co takiego?  
– Pakuj się. Moje dawne atelier przy rue des Trois Frères stoi puste. Możesz tam mieszkać, ile chcesz.  
– Ale...  
– Nie ma żadnego ale.  
Tym sposobem podziękowałam za pokój zaskoczonemu i zaspanemu recepcjoniście jeszcze tego samego wieczoru. Nicole pomogła mi przedźwigać bagaże i już niecałą godzinę później rozpakowywałam je w mieszkaniu, którego kilka lat temu użyczył mnie i Ewce Marian.  
Ogromne łóżko w niszy przykrywała ta sama futrzana narzuta. Jej widok przywołał wspomnienie zaspanej Ewki pędzącej o świcie po bagietki.  
– Nie wiem, jak ci dziękować Nicole! – wykrztusiłam wzruszona.  
– Nie masz za co. A teraz chodźmy na kolację. Ja zapraszam.  
Jak Nicole coś postanowiła, nie było zmiłuj. Poszłyśmy, oczywiście, na Montmartre i usiadłyśmy w tej samej knajpce co dawniej. Kiedy jeszcze był z nami Marian.  
Spojrzałam na Nicole. Na pewno było jej ciężko, a mimo to zatroszczyła się o mnie.  
– A gdzie Mario? – zapytałam kurtuazyjnie.  
– Wrócił do Mediolanu. Nasz biznes wciąż stoi w rozkroku, jedną nogą tu, drugą tam.  
Ale to nie koniec świata – westchnęła.  
– Powinam ci jakoś pomóc...  
– Cii, nic nie powinnaś! Zrobiłaś dla mojego ojca więcej niż ktokolwiek. Byłaś przy nim, kiedy...  
Słowa ugrzęzły jej w gardle.  
– Lepiej coś zamówmy. Na co masz ochotę? – zapytała po chwili, zasłaniając twarz kartą dań.  
Łez nie dało się ukryć.  
– Cokolwiek – odparłam.  
– Co powiesz na półkrwisty befsztyk?  
– Może być.  
Przegadałyśmy prawie pół nocy. Wspominałyśmy nasze szalone ekscesy: akcję odbijania

Ewki z rąk muzułmanów, zasadzkę na dyktatora mody, zadufanego w sobie Carla Legranda, oraz akcję razem z Marco, gdy pojechaliśmy wyciągnąć z kryjówki Mariana, śmiertelnie obrażonego na własną żonę. Kiedy w końcu kelner nadszedł z ciastem czekoladowym na deser, nasz stan ducha był diametralnie inny niż na początku.

Miałam wrażenie, że Marian spogląda z góry i cieszy się, że jego córka znów jest wesola.

– Co teraz zamierzasz? – zapytała.

– Muszę jeszcze raz pojechać do Marco. – Nawet nie próbowałam się krygować. Bo rzeczywiście musiałam.

– Więc jedź. Masz kasę na pociąg?

Cała Nicole. Romantyczka i realistka w jednym.

– Mam. Tylko o hotelu nie pomyślałam. Gdyby nie ty...

– Daj spokój, Aga! Na rue des Trois Frères możesz mieszkać, jak długo zechcesz.

A jeśli będę ci mogła pomóc w czymś jeszcze, wystarczy powiedzieć.

Nieodrodna córka Mariana. Po ojcu odziedziczyła dobre serce.



Uwielbiałam klimat paryskich dworców, ten wszechobecny gwar, świst odjeżdżających pociągów, krzyżujący się w biegu kolorowy tłum, zapach kawy z dworcowych kafejek i ciepły kobiecy głos w głośniku. Stałam na peronie dworca Montparnasse i czekałam na pociąg do La Baule-Escoublac.

Nadjechał co do sekundy.

Dwie godziny wcześniej obudziłam się w ogromnym łóżu w studiu Nicole, udostępnionym mi na czas nieokreślony. Już sam fakt, że nie musiałam płacić za hotel, pozytywnie nastawiał do życia, a gospodyni dodatkowo zadbała o mój żołądek. Kiedy jeszcze zaspana zajrzałam do lodówki, znalazłam w niej przepyszne francuskie serki, salami i pomidory. Mogłam zjeść prawdziwe śniadanie. I wypić kawę z nowego ekspresu, który jakimś cudem czekał na mnie w kuchni, gotowy do użytku. Na dworzec dojechałam metrem szybciej, niż sądziłam.

Czas do odjazdu spędziłam na włóczędździe po dworcowych galeriach oraz kupowaniu biletu powrotnego do Polski. Na inne zakupy nie miałam środków, więc musiałam obejść się smakiem.

Kasa poszła na bilety – tam i z powrotem.

W oko wpadła mi budka telefoniczna. Ewka! Przecież muszę do niej zadzwonić!

Przetrząsnęłam kieszenie w poszukiwaniu drobnych i wybrałam numer.

– Halo?

– Ewka? To ja!

– Aga? Dlaczego zawsze musisz mnie budzić w środku nocy?

– Och, wybacz! Wciąż zapominam o różnicy czasu.

– Gdzie jesteś?

– Na dworcu Montparnasse. To może śpij, a ja zadzwonię później?

– Cholera, już i tak nie zasnę! Mów.

– Za chwilę mam pociąg do La Baule. Moja rodzinka wyjechała, a ja jadę do Marco.

Nicole zainstalowała mnie w mieszkaniu przy ulicy Trzech Braci. Pamiętasz je?

– Jakżebym mogła nie pamiętać! A jak ona się trzyma?

– Nicole? Radzi sobie. Jest dzielna. Aha! Najważniejsze! Chyba jednak syn Napoleona jest niewinny. A Bertrand siedzi słusznie.

– Nigdy w to nie wątpiłam.

– A ja przyznam się, że miałam moment niepewności...

Ziewnięcie w słuchawkę.

– Naprawdę przepraszam, że cię obudziłam.

– Nie szkodzi. Cieszę się, że dzwonisz. Bardzo mi brakuje dawnych przyjaciół. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Mariana już nie ma.

– Ja też. A co u ciebie?

– Robimy remont domu. Masakra, ale może coś z tego będzie. Projektuję to wszystko.

Alex uparł się na deski z sosny kalifornijskiej. On rzuca pomysły, ja się z tym bujam.

Wyobrazasz sobie?

Uśmiechnęłam się. Wyobrażałam to sobie doskonale.

– Na pewno będzie efekt – stwierdziłam.

- Zwłaszcza jak przyjdzie do spłaty kredytu! – roześmiała się Ewka.
- Muszę kończyć. Zaraz mam pociąg.
- Powodzenia, Aguś – usłyszałam.
- I tobie też.
- Napisz, jak wrócisz do Polski.
- Jasne.

Jasnoniebieski TGV mknął, a raczej sunął po torach jak torpeda, połykając kilometry w oszałamiającym tempie. Siedziałam w przedziale drugiej klasy i czułam się jak królowa. Fotel wygodny, cisza absolutna, za oknem śmigające zamki nad Loarą i pagórkowate zielone pola. Nie wiedziałam jeszcze, co mnie czeka. Przecież nie zostanę z Marco na zawsze. Cokolwiek się wydarzy, będę musiała wrócić do Polski. Mimo to musiałam jeszcze raz pojechać nad Atlantyk, by choć przez chwilę poczuć ten cudowny zachodni wiatr.

Tym razem nie zmrużyłam oka ani na sekundę. Cieszyłam się z każdego mijanego widoku, choć czasami umykały zbyt prędko. Kiedy dostrzegłam po lewej stronie ogromnie długi most nad ujściem Loary, wiedziałam, że jestem już blisko. Pociąg zwolnił na krętych torach. Z radością łykałam każdy szczegół za oknem, aż w końcu ujrzałam upragniony napis: La Baule-Escoublac.

Na peronie owiała mnie ciepła i słonawa oceaniczna bryza. Wciągnęłam ją głęboko do płuc. Lepsze to nawet niż dymek z gitana, uśmiechnęłam się pod nosem. W powietrzu z La Baule znajdowało się coś, co trudno było nazwać jednym słowem. Mimo to je znalazłam.

Obietnica.

Obietnica czegoś nowego, wspaniałego, beztroskiego.

Był nią zapach La Baule-Escoublac, niewielkiego miasteczka nad Oceanem Atlantyckim.

Ruszyłam alejkami przed siebie. Nie potrzebowałam mapy ani przewodnika. Szybko dotarłam do Avenue des Platanes 10, ale nie zastałam tam nikogo. Cóż, nikt się mnie przecież nie spodziewał, poszłam zatem na plażę, by przywitać się z morzem. Wiał dość silny wiatr, a w oddali, na szmaragdowych falach surfowali młodzi szaleńcy.

Zdjęłam buty i zanurzyłam stopy w chłodnym piasku.

Dwie godziny później ponownie zapukałam do drzwi Carolle i Yanna. Tym razem się uchyliły.

– Agnieszka! – zawołała Carolle od progu i uściskała mnie serdecznie.

Zanim powiedziałam cokolwiek tytułem wyjaśnienia, wciągnęła mnie do domu i posadziła przy kuchennym stole. Zjadłam z gospodarzami wspaniałą kolację, podczas której Yann opowiadał anegdotki z życia skipperów.

Nie śmiałam prosić o podwiezienie do kamiennego domku Marco, ale w końcu zebrałam się na odwagę.

– Chciałabym spotkać się z Marco, ale nie wiem, jak tam dotrzeć. Mówiliście, że jest jakiś autobus...

Carolle spojrzała na męża.

– Marco wypłynął wczoraj i wróci dopiero jutro wieczorem – powiedział Yann. – Jesteś na nas skazana. Przenocuj, a jutro cię do niego zawiozę.

– Nie mogę was wykorzystywać. Poszukam hotelu.

– Daj spokój, Aga – powiedziała Carolle. – Jest sezon, hotele są zapchane, a my mamy wolny pokój gościnny.

Z wiadomych względów nie potrafiłam odmówić.

Obudziłam się w miękkiej pościeli w kratę, w pachnącym drewnem pokoiku na poddaszu. Przez niewielkie okno do wnętrza zaglądały małe obłoki. Niebo lśniło czystym lazurem, świat pachniał solą i sosną.

Chwilę potrwało, zanim sobie przypomniałam, gdzie jestem.

Gościnność Carolle i Yanna uprawiała w zakłopotanie. Nie miałam pojęcia, jak się im odwdzięczę.

Zeszłam na dół, gdzie przywitał mnie aromat świeżo mielonej kawy i uśmiech pani domu. Była dopiero ósma, a ona już była uczesana i umalowana! Na stole, oprócz świeżych rogalików, kusily maślane bułeczki i domowej roboty konfitura. Natychmiast poczułam wilczy głód.

– Siadaj! – rozkazała Carolle. – Yann lubi sobie dłużej pospać. Kawy?

Zdobyłam się na kiwnięcie głową. Bo co mogłam powiedzieć? Że nie zasługuję na to wszystko? Że czuję się głupio, wykorzystując ich po raz kolejny. A może tutaj to normalne i nie powinnam robić z tego wydarzenia?

Carolle wpychała we mnie kolejne przysmaki.

– Nie martw się. Za chwilę spalimy to w wodzie – powiedziała po chwili.

– Masz na myśli pływanie?

– Zanim Yann się obudzi, zdążymy jeszcze pójść na plażę i zaszaleć. O tej porze jest najlepiej. – Mrugnęła.

– Nie mam kostiumu – zaprotestowałam słabo.

– Nosisz trzydzieści sześć?

– Skąd wiesz?

– Zatem nie widzę problemu.

Nigdy bym się nie spodziewała, że nad Atlantykiem stanie na mojej drodze Nicole-bis. A jednak. Carolle była równie towarzyska, przyjazna i pełna inwencji. Wyciągnęła z komody całkiem ładny jednoczęściowy kostium do pływania, zapytała, czy będzie na mnie pasował, a gdy potwierdziłam, zapakowała do siatki butelkę wody evian i ruszyłyśmy na plażę.

Ocean leniwie muskał szeroką plażę płaskimi, lekko spienionymi falami. Woda była ciepła, piasek pod stopami delikatny. Podałam się nastrojowi chwili i ruszyłam pędem przed siebie. Po szyję zanurzyłam się dopiero jakieś sto metrów od brzegu. Carolle też szalała. Obie cieszyłyśmy się cudownym orzeźwieniem, falą, słońcem i piaskiem.

Kalorie z porannych rogalików poszły się paść.

Po pływaniu przeszłyśmy się wzdłuż plaży, która z każdą chwilą gęstniała od amatorów opalania i kąpieli.

Byłam cudownie odświeżona i pełna adrenaliny.

– Miałam się w to nie mieszać, ale chyba nie dam rady... – powiedziała Carolle znienacka.

Jej mokre włosy pozlepiały się w ładne rude kędziorki.

– W co?

– W ciebie i Marco.

– Czy jest coś, o czym nie wiem? – Poczulałam lęk.

– Nie! Nic się nie stało. Nie masz powodu do zmartwień. Przeciwnie. Ja się raczej

martwię o niego.

– Dlaczego? – zapytałam z ciekawością.

– Znam Marco od dawna. Znałam go nawet, zanim poznałam Yanna. To dzięki mnie chłopcy zostali przyjaciółmi. Nie, nie byliśmy parą, jeśli o tym myślisz. Po prostu ja też kiedyś mieszkałam w Paryżu. I pracowałam w małej piekarni niedaleko Montmartre’u. Marco przychodził tam po bagietki. Zaprzyjaźniliśmy się, zrobił mi całkiem ładny portret. Pokażę ci, jak wrócimy. A wkrótce potem poznałam Yanna i wyjechaliśmy do La Baule. Kiedy Marco miał dość Paryża, przyjeżdżał do nas. W końcu się zgodali z Yannem i zaczęli pływać. Marco zrobił kursy, dostał koncesję. I tak żył między Paryżem a oceanem. I pewnie nadal by tak żył, gdyby nie poznał ciebie.

Czułam mokry piasek pod stopami i słońce na twarzy. Carolle знаła Marco lepiej niż ja, ale nie czułam zazdrości. Raczej smutek, że jest mi dane go poznawać dopiero teraz. W Paryżu wydawał mi się pewny siebie, niezależny, czasem nawet obojętny na moje uczucia. Spotykaliśmy się, ale myślałam, że jestem w jego układance jednym z wielu elementów. Wyjadę? Nic się nie zmieni, on nie zatęskni. A teraz słyszę od Carolle, że mam na Marco wpływ? Że jego życie jest jak fale oceanu – zależne od mojej obecności, mojej decyzji, mojego widzimisie?

– Możemy się zatrzymać? – Carolle złapała mnie za rękę.

– Dobrze – odparłam. – Usiądźmy na chwilę.

– Nie zdradź mu, że ci to powiedziałam – poprosiła, zapatrzona na wyczyny surferów. Yann naprawiał zacinającą się bramę do garażu.

– A już myślałam, że przede mną samotny lunch. – Uśmiechnął się.

– Pływałyśmy – wyjaśniła Carolle. – Jak robota? Naprawiłeś?

– Nie wiem. Ta cholera chyba zepsuła się na dobre!

Po wspólnym posiłku z gospodarzami, okraszonym opowiastkami o pierwszych zmaganiach Marco ze sterami jachtu (wciąż nie mogłam uwierzyć w to jego drugie życie!), poszłam na chwilę do pokoju na poddaszu. Spakowałam niewielki bagaż w torbę, wygładziłam pościel i zeszłam na dół.

Carolle zmywała naczynia. Na mój widok uśmiechnęła się szeroko.

– Yann już wyprowadza auto. Naprawił tę bramę chyba cudem. Od paru dni nie dawało się jej podnieść i auto tkwiło w garażu jak w potrzasku. Dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się, zobaczywszy moją minę.

Chyba zanadto się przejęłam. Niespotykana wśród Francuzów gościnność, za którą nie miałam jak się zrewanżować, była ponad moje siły.

– Tak, ale... Naprawdę nie wiem, jak wam dziękować!

Carolle zostawiła talerze.

– Aga, daj spokój! Nie masz za co.

– Mam.

– Okej. W takim razie zamówię u ciebie portret. Marco mówił, że jesteś w tym dobra.

– Przesadził.

– Mimo to nalegam. Chcę mieć portret twojego autorstwa.

– Oczywiście zrobię go. Tylko kiedy?

– Kiedy do nas wrócisz na stałe – odparła, mrugając okiem.

Yann ponownie wiozł mnie na klif. Słońce nad oceanem przybierało odcień coraz bardziej dojrzałej pomarańczy. I z każdą minutą pogrążało się głębiej w wodach Atlantyku.

Chłonełam widoki, by zapamiętać co się da. Jeśli już nigdy tu nie wrócę, zabiorę ze sobą jak najwięcej wspomnień na starość, myślałam. Będę miała o czym opowiadać wnukom. Choć na razie nie miałam pojęcia, skąd miałyby się wziąć...

Mój kierowca milczał dyskretnie, jakby wyczuwając stan ducha pasażerki.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał, ale dopiero gdy skręcił na urwisko.

Twierdząco pokiwałam głową, ale chyba mi nie uwierzył. I słusznie, bo spotkania z Marco po prostu się bałam. A co, jeśli mu się odmieniło? Może zdał sobie sprawę, że lepiej mu będzie bez tak niezdecydowanej istoty jak ja?

Wciąż nie wiedziałam, gdzie jest moje miejsce, a termin ważności mojego biletu powrotnego mijał za kilka dni...

Gdy Yann wyłączył silnik, słońce już niemal utonęło w oceanie. Kontur kamiennego domku odcinał się na tle ciemniejącej wody. Nie paliło się w nim żadne światło.

– Nie ma go... – wyszeptalam zawiedziona.

– Wróci, nic się nie martw. – Pocieszył mnie Yann.

– Zaczekam tu. A ty wracaj do żony. Dość już dla mnie zrobiliście. – Uśmiechnęłam się.

– Nie odjadę, dopóki nie zostawię cię pod jego opieką – powiedział stanowczo. – Chodź, sprawdzimy. Może po prostu za wcześnie na włączenie oświetlenia?

Wysiedliśmy z auta i Yann zapukał do drzwi. Cisza. Zapukał jeszcze raz, tym razem z siłą dźwięku, która podniosłaby umarłego.

Nic się nie zmieniło.

– Może rejs się przedłuża? – Ni to spytał, ni stwierdził mój towarzysz.

– Jak to?

– Zdarza się. Klient płaci i wymaga.

– Więc klient może go zatrzymać, jak długo zechce?

Yann wzruszył ramionami.

– Może.

Poczułam przypływ złości, zawodu i zazdrości jednocześnie. On sobie gdzieś pływa, gdy ja tymczasem czekam na niego, przyjechawszy za ostatnie franki wydarte rodzinie! A może Marco właśnie podrywa piękną żonę jakiegoś biznesmena? Na tych jachtach na pewno pływają piękne i bogate, w dodatku opalone na brąz kobiety! Poczułam mdłości. W jednej chwili rozszalała wyobraźnia podsunęła mi obraz podłego zdrajcy.

– Możesz mnie zawieźć na dworzec? – zapytałam Yanna.

– Żartujesz?

– Ani trochę.

– Jasne, że mogę, ale...

– Proszę. Chcę wracać do Paryża.

– Ale on może wrócić w każdej chwili!

– Albo i nigdy.

– Jesteś pewna, że nie chcesz na niego poczekać?

– Jak niczego innego pod słońcem!

Yann uruchomił silnik i zawrócił. Dom Marco straszyl ciemnymi oknami we wstecznym lusterku. Patrzyłam, jak się oddala, aż w końcu zniknął na dobre.

Nie płakałam. Zawzięłam się w sobie i opanowałam emocje. Zatęskniłam za Marianem, za Nicole, za Ewką. Marian nie żył, Ewka była w Stanach. Pozostała Nicole.

Wróciliśmy na Aleję Platanową.

Na granatowym niebie skrzyły się gwiazdy. Była ciepła sierpniowa noc. Jedna z ostatnich tego lata.

– Przenocuj u nas, a jutro pojedziemy tam znowu – powiedział Yann, zamykając auto w garażu.

– Dzięki, przejdę się. Do dworca niedaleko.

– Aleś ty uparta! I co mam mu powiedzieć? – zapytał.

Wreszcie dotarło do niego, że nie zmienię zdania.

– Powiedz... Albo nie. Nic nie mów. Albo... *Merde!* Powiedz mu, że byłam. I tyle.

Yann wbił oczy w chodnik.

– To nie moja sprawa... Ale czy ty na pewno wiesz, co robisz?

– Nie martw się. I podziękuj Carolle. Jestem wam winna przynajmniej ten portret.

– Jaki portret?

– Ona wie. Byliście dla mnie bardzo hojni. Dziękuję wam za wszystko.

Nie żegnając się z gospodynią, zamknęłam za sobą furtkę. Yann stał osłupiały.

– O tej porze nie odjeżdża żaden pociąg! – zawołał jeszcze, ale ja już popędziłam uliczkami w stronę dworca.

Żegnaj, La Baule, żegnajcie, marzenia. Nie można wami żyć. Nie, jeśli ma się w kieszeni za mało, aby kupić sobie nowe majtki. Owszem, mogłam przenocować u Carolle i Yanna. A jeśli Marco nie wróciłby i jutro? Ile można na niego czekać?

Może nawet bym się w końcu doczekała. I uwierzyła w szczerą uczuść. Spędzilibyśmy kolejną szaloną noc, ale co dalej? Powrót do polskiej rzeczywistości. Do pracy na uczelni, do rodziców i braci. Bo gdybym chciała tu zostać, musiałabym wyrzec się tysiąca sprawdzonych w życiu wartości.

Czy szczęście warte jest takiej ceny?

Dworzec, choć oświetlony jasnym światłem jarzeniówek, był mroczny i pusty. Panienska w okienku oznajmiła, że najbliższy TGV do Paryża odjedzie dopiero o ósmej rano.

Cholera jasna!

Usiadłam na plastikowym krzeselku w dworcowym hallu. Szkoda, że nie mają tu miejsc leżących!, westchnęłam w duchu.

Musiałam zająć czymś głowę, więc pomyślałam o rodzinie. Powinnam zadzwonić do Polski, ale za co? Moi bracia z bratową już chyba dotarli do domu? Dom. Mój dom z Arturem. Czy istnieje jeszcze coś takiego? Artur na pewno już nigdy mi nie zaufa. Nie po tym, co się działo w Paryżu. Wróć i co dalej? Rozterki emocjonalne nie chciały mnie opuścić.

Próbowałam na wszelkie sposoby podeprzeć głowę, żeby choć przez chwilę się zdrzemnąć, ale na tych plastikach było to niemożliwe. Nigdy jeszcze nie nocowałam na dworcu. Paskudne doświadczenie, ale co tam. Zawsze musi być ten pierwszy raz.

W końcu, pomimo strasznej niewygody, oddałam się Morfeuszowi. Byłam tak zmęczona, że zasnęłabym nawet na grzbiecie pędzącego wielbłąda. Sen był niespokojny, dręczący. Ojciec krzyczał na mnie, że jestem nieodpowiedzialna. Mama lepila pierogi i pytała, czy kupiłam papier toaletowy. Ujrzałam kolejkę przed sklepem i wychodzących z niego ludzi; każdy niósł wieniec z rolek na szyi. A ja się spóźniłam. Doszłam do lady, ale papieru

zabrakło. Były za to puszki z rybami w sosie pomidorowym. Puste. Taka atrapa.

Obudziło mnie nagle szarpnięcie.

Chyba nadal śniłam, a w moim śnie pojawiła się zamglona postać Marco.

– Aguś! Jak dobrze, że zdążyłem!

W dodatku mówiąca ludzkim głosem!

– Marco? Skąd ty tutaj?

– O nic nie pytaj. Idziemy.

Nie słuchając protestów, wsadził mnie na motor i zawiózł na Avenue des Platanes 10.

Carolle w piżamie i kapciach czekała w progu.

– A już myślałam, że wolisz spać na dworcu – zażartowała. I dodała: –

Przygotowałam wam pokój na górze. O tej porze nigdzie was nie puszczę. Jeszcze spadłabyś z „księżniczki”!

Miękkie łóżko, księżyc za oknem i on. I koszmarne zmęczenie po szalonym dniu. Nie zarejestrowałam, kiedy zasnęłam przylepiona do mojego skippera.

Obudziłam się, czując ciężar obejmującej mnie ręki. Jakby jej właściciel obawiał się, że znów mu się wymknę. Dlaczego Marco nie mieszka w Polsce? O ileż wszystko byłoby prostsze!

Delikatnie odsunęłam jego rękę i wstałam. Zachrapał cicho, ale nie otworzył oczu. Wyrzałam za okno. Zapowiadał się kolejny gorący dzień.

Zeszłam na palcach na dół i zakradłam się do kuchni. Gdzie jest ten telefon? Chyba gospodarze mi wybaczą, jeśli z niego skorzystam.

Wybrałam numer do mamy. Jeśli reszta mojej rodziny dotarła do domu, ona będzie wiedziała pierwsza.

- Halo? – odezwała się zaspanym głosem.
- Cześć, mamuś!
- Aga? Na Boga, tak się martwimy!
- Czy oni już dojechali?
- Owszem. Ale dlaczego ty nie wróciłaś z nimi?
- Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Ale wrócę niebawem. Obiecuję.
- Jeśli chcesz ratować swoje małżeństwo, to wracaj szybko. Artur mówi, że chce rozwodu. Możesz mi wyjaśnić, co się dzieje?

- Mamo, nie martw się na zapas. Powiedz Arturowi, że za parę dni wszystko mu wyjaśnię.

- Dobrze. Tylko nie wiem, czy on to zrozumie.
- Kocham cię, mamuś, ale muszę kończyć.
- Wracaj do domu, córeczko!

Rozłączyłam się i otarłam zażawione oczy. Mogłabym dla Marco zrobić wiele, może nawet wyrzec się Artura i moich braci. Ale czy mogłabym zostawić mamę?

- Już nie śpisz? – usłyszałam za plecami głos Carolle.
- Zadzwoiłam do rodziców, żeby ich uspokoić. Przepraszam, że nie spytałam. Zapłacę za tę rozmowę.

- Nie żartuj! Dobrze, że zadzwoniłaś.
- Nie wiem, jak mam ci dziękować, Carolle!
- Ale ja wiem. Pomóż mi zrobić śniadanie. Bo za chwilę na dół zlecą się głodne sępy. Carolle pokazała mi, jak się piecze bułeczki. Niebawem po domu rozszedł się boski zapach.

Zrobiłyśmy wspólnie królewskie śniadanie dla czterech osób. Kiedy pojawił się Yann, stół był zastawiony smakołykami. Chwilę później pojawił się w kuchni rozczochrany Marco.

- Dasz się namówić na mały rejs po oceanie? – zapytał.
- Co takiego?
- Chcę ci pokazać, jak zarabiam.
- Nie daj się prosić, Aga – wtrącił się Yann.
- Ale ja muszę dziś wracać do Paryża!
- Na pewno? Bo tak się składa, że mam wolny dzień. Moglibyśmy spędzić go razem. – Nie ustępował Marco.

Wlepili we mnie oczy. Jeden dzień? A co on niby zmieni w moich planach?



Nic.

Marco wsadził mnie na ukochaną „księżniczkę” i jeszcze przed południem znalazłam się przed jego domem z kamienia. Zabrał z domu niewielki plecak i ruszyliśmy dalej.

Niebawem zajechaliśmy do portu. Trochę się bałam, bo o jachtach nie miałam zielonego pojęcia. Ba, nie zdarzyło mi się zbyt wiele razy żeglować po falach, bo trudno nazwać żeglowaniem wyprawę promem do Szwecji z Ewką, katamaran w Danii i wycieczkowy stateczek w Ustce, na którym po raz pierwszy doświadczyłam choroby morskiej. Ale nigdy jeszcze nie wchodziłam na pokład czegoś tak nieskazitelnie pięknego, czystego i jasnego, w obawie, że pobrudzę to cacko.

- Czyj to jacht? – zapytałam, zanim stanęłam na trapie.
- Pewnego jubilera z Chester. Co roku przyjeżdża tu na wakacje.
- To w Anglii nie mają morza? – Uśmiechnęłam się.
- Mają. Ale nasze jest cieplejsze.
- Boję się! Mam lęk wysokości!

Trap był wąską kładką nad wypełnionym ciemną wodą kanałem.

- Aguś! To tylko kilka kroków! No już!

Udało się. Byłam na pokładzie.

Nazywał się „Christina” i był supernowoczesny. Ciemne drewno uzupełniały eleganckie detale.

- Jest piękny!
- Docenisz jego walory, dopiero gdy wypłyniemy – obiecał Marco.
- Co na to jego właściciel?
- Odsypia wczorajszy rejs. A jak się obudzi, pójdzie pograć w black jacka.
- Mam wrażenie, że się włamujemy do cudzego domu!
- Nie włamujemy się. – Marco z uśmiechem pomachał kluczykami.
- Zostawiają ci klucze do jachtów?
- Inni nie, ale Richarda znam od dawna. Sam mi zaproponował zapasowy zestaw. No wiesz, na wypadek, gdyby coś się działo pod jego nieobecność.
- No, no! Jestem pod wrażeniem. To co zamierzasz?
- Jak to co? Wypłynąć!

Och!

Śledziłam ruchy Marco w milczeniu, a on uwijał się wokół jachtu ze zręcznością zawodowca.

- Możesz złapać cumę? – krzyknął przy zwijaniu ostatniej liny.

Złapałam, obawiając się, że wypłynę sama, ale Marco jednym susem wskoczył na pokład.

– Od tej chwili ja tu rządę – zakomenderował. – A ty mnie słuchasz! Na dole są kapoki. Załóż jeden.

- Zwariowałeś? Umiem pływać!
- Zakładaj! – rozkazał pan kapitan.

No pięknie! Kolejny despota w moim życiu.

Minęliśmy dziesiątki zacumowanych łodzi i wkrótce „Christine” wyszła z portu, pozostawiając za sobą latarnię morską. Znaleźliśmy się na otwartym morzu. Żagle lśniły w słońcu, fale, pozornie niewielkie, były jak wodne bicze.

- I jak? Podoba ci się? – zapytał Marco.
- To jest... Czuję się, jakbym frunęła nad oceanem!
- Rozumiesz teraz, dlaczego wolę to od ciasnych uliczek Montmartre’u?

Rozumiałam.

Tutaj były wiatr i słońce, i przestrzeń. Nieograniczona. I coś jeszcze. Wolność. Nigdy wcześniej nie czułam się tak wolna i niezależna jak teraz, sunąc po falach i czując morską bryzę.

- Tak – wyszeptałam.
- Co mówisz? – Marco usiłował przekrzyczeć szum oceanu.
- Mówię, że cię rozumiem! – odkrzyknęłam.

Kiedy port zniknął z pola widzenia, Marco wyłączył silnik i pokazał mi wnętrze jachtu. Było jak minidom – z tekowego drewna, wyposażone w salon, sypialnię i łazienkę. Luksus w pigułce. W miniaturowej kuchni był nawet minibarek.

- Masz ochotę na lampkę prawdziwego szampana?
- A twój klient się nie wkurzy?
- Nawet nie zauważy braku.

– A mogę wyjść z tej skorupy? – Wskazałam na pomarańczowy kapok, który mnie najzwyczajniej wkurzał.

- Nie.
- A ty? Ty możesz pływać bez tego cholerstwa?
- Jestem kapitanem. To ja decyduję. – Pastwił się nade mną z uśmiechem.
- *Merde!*

Szampana wypiliśmy w słońcu, na pokładzie. Dryfowaliśmy, podziwiając ocean. Od słońca i wszechobecnego dobrobytu zakręciło mi się w głowie. Marco łaskawie pozwolił mi zdjąć spodnie, ale w kapoku musiałam pozostać. Można było wytrzymać.

– Nie dziwię się, że to robisz. Cudowna praca! A co z malowaniem? I z twoją galerią? – zapytałam.

- Jedno drugiemu nie wadzi – odparł, zapatrzony w szary horyzont.

Wyciągnęłam się leniwie na rozgrzanym pokładzie. Marco przyniósł bagietkę i sery. Cudownie, że o tym pomyślał! Byłam głodna jak diabli.

– Nie widziałaś całego domu – odezwał się po chwili. – Na poddaszu mam pracownię. I owszem, maluję.

- Pokażesz mi ją?
- Ten dom kupiłem z myślą o nas, Aga – powiedział tak poważnie, że mimo upału dostałam gęsiej skórki.

Zanim wróciliśmy do portu i szczęśliwie zacumowaliśmy, na jachcie usłyszałam jeszcze wiele przyjemnych słów...

Marco nalegał, abym czuła się w jego domu jak u siebie. Oporządziłam się w łazience, urządzonej całkiem ładnie, choć pozbawionej dobrego światła przy lustrze. Rozmazany wiatrem makijaż zmyłam zatem nieco na oślep, po czym zesłam na dół lekka jak piórko mewa. Marco uwijał się wokół stołu jak wytrawny kelner.

- Przygotowałem kolację – oświadczył, zapalając świece.

Pachniało bosko.

- Co to jest? – zapytałam, siadając na krześle.
- Nie powiem. Sama się domyśl.

Spróbowałam tajemniczego dania.

- Nie wiem, co to, ale pycha!
- To małże świętego Jakuba. Tak zwane przegrzebki.
- Słyszałam o nich, ale nigdy nie jadłam. I jak ładnie podane!
- Jak widzisz, potrafię zrobić coś więcej, nie tylko jajecznicę. – Napuszył się jak paw.

Kolacja, podparta białym winem, smakowała wyśmienicie.

Dom stał na uboczu, otoczony wyłącznie szumem morza i krzykiem mew. Istny raj na ziemi dla artysty i skippera w jednym. Marco mógł malować, sprzedawać prace w galerii, a jednocześnie zarabiać na czymś tak przyjemnym jak pływanie. Urządził się fantastycznie!

- A co malujesz? – zapytałam, delektując się jedzeniem.
- Nie ma tu kogo portretować, jak widzisz. Mieszkam na odludziu.
- Pejzaże?
- Uwieczniam kaprysy oceanu.
- Pokażesz mi?
- Najpierw zjedz, a potem pójdziemy na górę. Smakuje?
- Pycha.

Marco rzeczywiście malował! I to jak! Jego morskie impresje nie były typowymi widoczkami ze statkiem kołyszącym się na wzburzonym morzu, jakich wiele w portowych tawernach na ścianach. Obrazy Marco były inne. Szalone studia wody, wiatru i żywiołu, w kolorach, które pozornie nie kojarzyły się z oceanem, a jednak było w nich coś niezmiernie prawdziwego.

Pracownia na poddaszu odsłoniła drugie, nieznane mi dotąd, oblicze twórcy. Jeszcze do niedawna myślałam, że zarabia na portretowaniu turystów, a tu proszę! Stałam zawstydzona przed całkiem okazałym płótnem przedstawiającym siłę oceanu podczas burzy.

– Niesamowite!

Marco stał tuż za mną.

– To jeden z cyklu. Nazwałem go *Żywioł*.

Następnego ranka niechętnie zsiadłam z hondy. Przed wyjazdem zdążyłam jeszcze pójść z Marco na plażę i nacieszyć oczy widokiem, którego nigdy, przenigdy nie zapomnę.

– Mogłabyś tu ze mną mieszkać, żyć, malować. I być moją... – wyszeptał mi do ucha.

Mewy darły się przeraźliwie, ja jednak domyśliłam się ostatniego słowa. Mimo to zapytałam.

– Kim?

– Żoną – odparł bez namysłu.

Poczułam dreszcz.

– Mam już męża – wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

– Ale go nie kochasz.

Nie zaprzeczyłam.

– To nie tak proste, jak myślisz – powiedziałam.

– Wiem, Aga. Ale tak czy siak pamiętaj. Ja czekam.

Gdybym tylko mogła zawrócić TGV! Znowu pędziłam na wschód, do Paryża, zostawiwszy za sobą ciepły wiatr i ostatnie spojrzenie Marco, które pochwycałam przez szybę ruszającego pociągu. Nie potrafię czytać z ruchu warg, ale wydawało mi się, że na koniec powiedział to, co tak bardzo pragnęłam usłyszeć.

Nie byliśmy mocni w nazywaniu uczuć, baliśmy się o nich mówić. Może nawet Marco był nieco odważniejszy... Jednak oboje czuliśmy do siebie coś, czego nie wolno nam było zmarnować.

A teraz oddalałam się od mojego mężczyzny.

Do trzech razy sztuka?

Wtuliłam się w miękki fotel i przymknęłam oczy, żeby nie patrzeć na znikające w zawrotnym tempie resztki nadoceanicznego krajobrazu. Były jak film, którego bieg zawróciłabym, gdybym tylko mogła.

– Czy nie przeszkadza pani mój piesek? – zapytała siedząca obok kobieta.

– Słucham?

Dopiero teraz zwróciłam uwagę na skulone na jej kolanach włochate coś.

Jeśli cokolwiek mogło mi przeszkadzać, to wyłącznie kilometry oddalające mnie od La Baule.

– Nie – odparłam sucho.

I ponownie zamknęłam oczy.

Mimo wszystko Paryż zadziałał kojąco.

Wysiadłam na Gare de Montparnasse w fatalnym stanie, ale gdy tylko wyszłam z podziemi na rozgrzaną paryską ulicę, moje serce odżyło. I natychmiast pomyślałam o Nicole. Zapragnęłam się jej zwierzyć i poprosić o mądrą radę. Biegłam do niej, jak kiedyś do jej ojca.

Metro dowiozło mnie na miejsce w niecałe pół godziny.

Dochodziło południe. Ostatnie dni sierpnia wciąż dawały paryżanom w kość. Panował upał nie do wytrzymania. Zatęskniłam za orzeźwiającą atlantycką bryzą.

Nicole na mój widok omal nie zemdląła.

– Aga! Czy wiesz, że szuka cię komisarz Guide? I nie tylko on! Gdzieś ty się podziewała?

– Czy coś się stało?

Nicole spojrzała na mnie oczami Mariana.

– A jak myślisz? – zapytała poważnie.

– Wybacz, ale ja już chyba wcale nie myślę. A przynajmniej nie racjonalnie.

– Aga, do jasnej *merde*! Sporo się wydarzyło!

– Cokolwiek usłyszę, raczej mnie to nie obejdzie. Mam większy problem niż...

– Niż to, że syn Napoleona nie żyje?

– Słucham?

– Znalaziono go wczoraj wieczorem na Montmartrze!

– Boże!

– Dzwonił do mnie Guide. Szukała cię też ta młoda, jak jej tam? Catherine. Nic nie chcieli mi powiedzieć. Wiem tylko, że znalaziono Pierre'a Drugiego na ławce niedaleko

fontanny, przy której lubił przesiadywać.

- Możesz mi dać łyk wody? – poprosiłam słabym głosem.
- Oczywiście.

Opadłam na kanapę. Nie, to nie może być prawda! Młody Pierre?

Nicole przyniosła pełną szklankę.

- Powinnaś natychmiast zadzwonić do Guide'a – powiedziała.
- Dobrze.

– Aga, to wszystko jest bardzo dziwne. Najpierw Napoleon, teraz jego syn. A jeszcze wcześniej Sophie! Jakieś fatum zawisło nad tą rodziną czy co? – zapytała, podając mi wodę.

– Może nie fatum, a niejaki Bertrand Seurat? Ja też się w tym wszystkim gubię. I nie mogę myśleć w tym upale!

– Więc odpocznij. Idź pod szybki prysznic, ale potem dzwoń do Guide'a. A ja przygotuję lunch. Okej?

- Jesteś kochana, Nicole. Tak zrobię. A gdzie twoja matka?
- Pojechała do Montmorency, na grób ojca.
- A ty?
- Nie mogłam. Czekałam przecież na ciebie.
- Przepraszam...

Komisarz przekazał przez Nicole, że czeka na mnie w prefekturze i byłby rad, gdybym przyjechała jeszcze dzisiaj.

Zjadłam w pośpiechu przygotowane przez Nicole spaghetti, założyłam ostatnią czystą bluzkę, jaka mi została, i pobiegłam na stację metra. Z nieba lał się żar, na chodniku siedział wyleniały kundel z jęzorem wywieszonym aż do ziemi, a przy pobliskiej fontannie leniwie kręciły się gołębie. Pomyślałam o pani Nataszy, ale to nie był jej rewir. Ani nie czas na pogawędki z dawną primabaleriną.

Zbiegłam wymalowanymi graffiti schodami do stacji Abesses i ruszyłam w dobrze mi znanym kierunku. W wagonie metra było jeszcze gorzej niż na zewnątrz. Otoczyła mnie grupka czarnoskórych młodzieńców, spoconych i wyraźnie żądnych draki. Próbowałam nie reagować na zaczepki, ale awansów największego natręta nie wytrzymałam i odepchnęłam go delikatnie. No i zaczęło się! Towarzystwo zrobiło się jeszcze bardziej agresywne. Wrzasnęłam, a wtedy wstał jakiś mężczyzna, wyciągnął odznakę policyjną i powiedział coś do ucha największemu rozrabiacie. Zaległa cisza jak makiem zasiał. Chłopcy najwyraźniej byli mocni tylko w głębie. Wysiedli na najbliższej stacji.

- Nic pani nie jest? – zapytał policjant po cywilnemu.
- Skąd ja go znam?
- Alain...? – zapytałam niepewnie.
- Aga?

Niemożliwe! Kolejny cud w Paryżu!

- Co ty tu robisz? – wykrzyknęliśmy jednocześnie.

Roześmiałam się, Alain również.

- Jadę na spotkanie z komisarzem Guide'em. A ty?
- Niemożliwe! Ja też!
- Metrem?

– Wracam z dyżuru na Montmartrze. Moje auto chwilowo stoi w warsztacie. Nie miałem pojęcia, że jesteś w Paryżu! Co nowego?

- Och, długo by opowiadać. Powiedz mi raczej, dlaczego oboje jedziemy do Guide'a?
- Podejrzewam, że komisarz potrzebuje twoich zeznań w sprawie młodego włóczęgi,

którego znaleziono wczoraj martwego na wzgórzu.

- Pierre’a Drugiego?
- O! Wiesz, o kogo chodzi?
- Owszem. To syn Napoleona. Ale co ty masz z tym wspólnego?
- Tylko tyle, że znalazłem jego ciało.
- Ty go znalazłeś?
- Wczoraj w nocy. Podczas rutynowego obchodu.
- Więc on naprawdę nie żyje?
- Przykro mi.

Próbowałam wyciągnąć od Alaina więcej szczegółów, ale policyjna natura wzięła górę. Milczał w tej sprawie jak grób. Zupełnie jakby podejrzewał, że to ja, oddalona o lata świetlne od Montmartre’u, maczałam w tym palce. Trudno. Reszta podróży minęła nam na wspomnianiu naszych dawnych przygód.

- A co u Vincenta? Wciąż pracujecie razem?
- Vince się ożenił i wyjechał na południe.
- Nie wiedziałam!
- A ty? Jak tobie ułożyło się życie?

To pytanie musiało paść.

W kilku zdaniach opowiedziałam Alainowi o mężu i o podróży poślubnej. Żeby go nie drażnić, na wszelki wypadek pominęłam temat Marco. Dowiedziałam się, że mój flik wciąż jest kawalerem, ale niewiele więcej. Zauważyłam, że wciąż jest zabójczo przystojny. Dlaczego to nie w nim się zakochałam?, przemknęło mi przez głowę.

Odpowiedź była prosta: bo zakochałam się w Marco. Tak się stało i już!

Tym razem do prefektury wpuszczono mnie dzięki żywej przepustce w postaci Alaina. Po marmurowych schodach wchodziliśmy w milczeniu.

– Jesteśmy – oznajmił mój towarzysz pod drzwiami gabinetu Guide’a, przywróconego czasowo do służby ze względu na znajomość sprawy.

Komisarz siedział skulony za biurkiem. Nie wyglądał na kogoś, kto rozdaje karty. Błady, z podkrążonymi oczami i resztką włosów sterczącą jakby piorun strzelił w pietruszkę. Aż żal było patrzeć.

- Nareszcie! – wykrzyknął na mój widok. – Gdzie się pani, u licha, podziewała?
- Byłam w La Baule. U przyjaciela.

Guide powstrzymał się od komentarza. Wskazał nam obojgu krzesła.

– Do pana mam tylko jedno pytanie – zwrócił się do Alaina. – Czy kiedy znalazł pan ciało denata, był ktoś jeszcze w pobliżu?

- Nikogo nie było.
- W takim razie proszę poczekać na zewnątrz. Najpierw porozmawiam z panią Agnesią.

Alain oddalił się posłusznie. Komisarz odczekał, aż ten zamknie za sobą drzwi, i spojrzał na mnie z niepokojem.

– Jest pani jedyną związaną ze sprawą Seurata osobą, która poznała tego człowieka, zanim znaleziono go martwego. Nikt nie wiedział o jego istnieniu, dopóki pani tego nie ujawniła. A teraz on nie żyje.

Poczułam w gardle rosnącą gulę.

– Ależ, panie komisarzu, ja nic nie...

– O nic pani nie oskarżam. Chcę się tylko dowiedzieć o denacie jak najwięcej. Czy miał kogoś bliskiego?

Patrzył na mnie tak samo jak kiedyś. Jego jasne oczy wypalały mi dziurę w żołądku.

- Miał przyjaciółkę. Zdaje się, że ona ma na imię Giselle.
- Wie pani, gdzie można ją znaleźć?
- Nie mam pojęcia. Chyba jest narkomanką, choć pewności nie mam. Powie mi pan wreszcie, co się stało z synem Napoleona? – krzyknęłam.
- Wygląda na to, że przedawkował. Tak twierdzi patolog.
- Przedawkował?
- Co panią tak dziwi? Mało to ćpunów na Montmartrze?
- Nie, to niemożliwe! Pierre by się nie zabił. Jestem pewna, że chciał żyć. Ale był szantażowany przez Bertranda. Seurat próbował zrzucić na niego winę za śmierć Napoleona, ale mu się nie udało. Może więc się zemścił?
- Sugeruje pani, że to Seurat wstrzyknął ofierze śmiertelną dawkę heroiny? Zza krat?
- Może komuś to zlecił.
- Nie wykluczam takiej możliwości.
- Proszę odszukać tę Giselle. Może od niej się pan czegoś dowie.
- Też o tym pomyślałem, panno prywatny detektyw – powiedział zjadliwie. – Ale samo imię mi nie wystarczy.

Diabeł mnie podkusił, aby sprostować tę „pannę”.

- Jestem mężatką, panie komisarzu.

- W takim razie: *madame!*

Guide najwyraźniej nie miał ochoty na słowne utarczki. Spojrzał na mnie surowo. Jakby miało to pomóc w rozwikłaniu tej tragedii natychmiast.

- Widziałam ją. I mogłabym ją narysować – jęknęłam pod naporem tego spojrzenia.

Guide przymknął oczy. Sroga twarz złagodniała.

- W takim razie piętro niżej, pokój dwieście siedem. Tam sporządzi pani portret tej kobiety. A tak prywatnie, co u pani nowego?

Udzieliłam najkrótszej z możliwych odpowiedzi.

- Zakochałam się! – palnęłam i zostawiłam komisarza z rozdziawioną gębą.

Bo zakochałam się naprawdę. Droga do Marco musi jeszcze potrwać, ale przebędę ją na pewno.

Wylądowałam w pokoju 207, gdzie z pomocą młodego dziwoląga o szpetnej jak zaraza fizjonomii tworzyłam portret pamięciowy panienci widzianej przeze mnie za ledwie przez kilkanaście minut. W dodatku w błym świetle księżycy. Kompletny idiotyzm! Ale zmobilizowałam się i wyobraziłam ją sobie od nowa. Policyjny rysownik pytał o rozstaw oczu, o brwi, o włosy, ja odpowiadałam. I nagle, ku własnemu zdumieniu, ujrzałam Giselle jak żywą.

Pozostał jeden mały problem. Należało ją odnaleźć.

Pobiegłam z powrotem do komisarza i na korytarzu wpadłam na Alaina, który właśnie zbierał się do wyjścia.

- I jak? Jest coś nowego? – zapytałam go.

- Ja tylko znalazłem denata, teraz to już nie moja działka. Guide czeka. Powodzenia, Aga!

- Zobaczymy się jeszcze, zanim wyjadę? – zawołałam za znikającym w długim korytarzu policjantem.

- Masz mnie w kieszeni! – odkrzyknął.

I tyle go widziałam.

Sięgnęłam do kieszeni dzinsów. A to drań! Musiał mi wsunąć tę kartkę w metrze.

Trzymałam w ręku wizytówkę z jego adresem i numerem telefonu.

Komisarz Guide ponownie wskazał mi krzesło. Na jego biurku leżał już portret pamięciowy Giselle.

– Dziękuję pani. Znajdziemy ją. Rozumiem, że stawi się pani na okazaniu?  
Ciekawe jak?

– Jutro wracam do Polski.

– Nie może pani! Jest pani potrzebna jako świadek!

– Ależ mogę, a nawet muszę, panie komisarzu. Kończy mi się wiza.

– W takim razie zadbam o jej przedłużenie.

– To niczego nie zmieni. Skończyły mi się również środki na dalszy pobyt we Francji.

– Więc zadbamy i o to.

– Nie mogę tutaj dłużej zostać! – zawołałam rozpaczliwie.

– A jeśli bardzo panią o to poproszę?

Czy ja słyszę Guide'a? On prosi? To jakaś nowość.

– Mam swoje sprawy, panie komisarzu. Pilne i ważne. Muszę wracać.

Wstał i podszedł do okna.

Przez chwilę wpatrywał się w białe cumulusy na błękitnym niebie.

– Nie chce się pani dowiedzieć, kto pomógł młodemu Pierre'owi zejść z tego świata?

– Sugeruje pan, że nie przedawkował na własne życzenie? – podchwyciłam.

– Zbyt długo jestem gliną. Według patologa na ciele znaleziono ślady wskazujące na użycie przemocy. Niewielkie, ale zawsze. Myślę, że Pierre się bronił.

A więc jednak!

Kolejne zabójstwo. Biedny Pierre Drugi, był jeszcze taki młody!

– Zgoda, panie komisarzu. Zostanę jeszcze kilka dni. Ale proszę o przedłużenie wizy.

– Załatwione.



Z najbliższej budki telefonicznej zadzwoniłam do mamy i wyjaśniłam sytuację. Wysłuchała mnie cierpliwie, po czym przypomniała, że Artur nie żartuje. Już nawet wypełnił stosowny formularz. Uspokoiliam ją, na tyle, na ile się dało, i rozłączyłam się, zostawiając ją w nastroju nie do pozazdroszczenia.

Artur chce rozwodu? To się nawet dobrze składa.

Wróciłam grzecznie do Nicole i zrelacjonowałam jej wizytę w prefekturze.

– Zbieraj się. Idziemy odreagować! – zarządziła.

– Zwariowałaś?

– Bynajmniej. Dobra kolacja, wino, gitany. Pogadamy i spróbujemy rozwiązać zagadkę śmierci tego nieszczęsnego Pierre’a.

– Myślisz, że kolacja na Montmartrze sprawi, iż zamienimy się w dwie Agaty Christie?

– Tak myślę.

Pomysł uznałam za raczej kiepski, ale co miałyśmy lepszego do roboty? Biernie czekać na rozwój wydarzeń? Guide obiecał, że zadzwoni, jak tylko znajdą tę Giselle. Może ona coś wie? Tak czy inaczej policja na pewno będzie węszyć i powoływać mnie na świadka, dopóki będę przydatna.

Trzeba ten czas jakoś sensownie skonsumować.

Zajęłyśmy miejsca w naszej knajpce na placu du Tertre, gdzie kelner powitał nas uśmiechem godnym amerykańskiej reklamy pasty do zębów. Nicole złożyła zamówienie: danie dnia i butelka bordeaux, byle szybko. Mrugnęła do chłopaka, dzięki czemu alkohol stał na stole już po minucie.

– Opowiadaj wszystko, co wiesz! – wyszeptala konspiracyjnie, jakbyśmy były podsłuchiwane.

Zdałam raport jak na spowiedzi.

Zamyśliła się, sącząc wino.

– Kim jest ta cała Giselle? – zapytała.

– Nie wiem. Była chyba jego dziewczyną.

– Cholera, coś mi się zdaje, że maczała w tym palce!

– Na jakiej podstawie?

– A nie powinna przypadkiem go oplakiwać? Nie powinna zgłosić się na policję i pomóc w śledztwie?

– A może wyjechała i nawet nie wie, że Pierre nie żyje? Albo wie, ale boi się ujawnić, bo też jest narkomanką? – zasugerowałam.

– Jeżeli ćpa, to raczej nigdzie nie wyjechała. Ćpuny są zwykle bez kasy, a na wyjazd potrzeba pieniędzy. Myślę, że ukrywa się gdzieś, bo się boi.

– Sądysz, że...

– Owszem. Myślę nawet, że to właśnie ona mogła być narzędziem w rękach Bertranda. Trzeba sprawdzić, czy się znali.

– Jezus, Nicole, to szukanie igły w stogu siana! Nawet jeśli się znali, jak to udowodnić?

– Może odwiedzała go w więzieniu?

– Tego się nie dowiemy – powiedziałam z przekonaniem.

– A ten twój znajomy glina, Alain, nie mógłby tego sprawdzić? Przecież w każdym

więzieniu odwiedzający muszą się wpisywać na listę.

- Myślę, że Guide zrobił to już dawno.
- A jeśli nie?

Nicole zamilkła na chwilę, bo kelner w tej samej chwili z uśmiechem postawił na stole smaczkowy gulasz z wołowiny. Moje dylematy związane ze śmiercią młodego Pierre'a musiały poczekać. Teraz najważniejsze było jedzenie. Dla mojego żołądka, od podanego przez Marco śniadania, upłynęły całe wieki.

Przez chwilę zapomniałam o problemach. Smaki francuskiej kuchni zawładnęły mną bez reszty. Na jakiś czas przestałam nawet myśleć o Marco, co dla szefa tutejszej restauracji, gdyby tylko znał on moje uczucia, byłoby sporym komplementem.

Nicole nie drażyła tematu. I tak nic nie wskóramy bez pomocy policji.

Po powrocie do domu natychmiast dopadłyśmy telefonu. Alain nie odbierał. Pewnie miał dyżur.

- Do kogo dzwonicie o tej porze? – Zaskoczył nas głos Sabine.

Odwrociłam się i ujrzałam zmęczoną kobietę w średnim wieku, w niedbale zarzuconym na nocną koszulę swetrze. W niczym nie przypominała wytwornej damy, która kilka lat temu w małej czarnej i na wysokich obcasach wychodziła z promiennym uśmiechem z hotelu InterContinental u boku Carla Legranda, słynnego projektanta mody. Wtedy jej oczy błyszczały jak gwiazdy, dziś przypominały wygasłe ogniska.

- Nie wiedziałam, że jesteś w domu, mamó! – zdziwiła się Nicole.

– Dobry wieczór, pani Sabine. – Pochyliłam głowę z szacunkiem. W końcu byłam w tym domu gościem.

– Chodzi wam o Pierre'a? – powiedziała domyślnie. – O tego młodego włóczkę, którego znaleziono martwego na placu niedaleko?

- Skąd o tym wiesz? – zapytała Nicole.

– Nie włączacie telewizora? W wiadomościach pokazali portret pamięciowy jego dziewczyny. Jest poszukiwana. Niejaka Giselle, narkomanka.

Stałyśmy zaskoczone. Najwyraźniej moje umiejętności na coś się przydały.

– Już prawie północ, ale na pewno pokażą go w ostatnich wiadomościach – powiedziała Sabine i włączyła telewizor.

Akurat leciały reklamy.

– Nie zwracałabym sobie tym głowy, ale mam wrażenie, że gdzieś już widziałam tę dziewczynę – mruknęła gospodyni, opadając na kanapę.

- Gdzie? – zainteresowała się Nicole.

I ona, i ja przysiadłyśmy obok Sabine. Reklamy na ekranie nie chciały zniknąć.

– Jestem prawie pewna, że była kiedyś modelką u Legranda. Ładna i chuda jak patyk. Pamiętam ją z wybiegu, ale wyłącznie dzięki temu, że raz zasłabła i mieliśmy w gazecie problem: pokazać te zdjęcia czy nie. Runęła na wybiegu, wyobrażacie to sobie?

- Zemdląca? – zapytałam ciekawie.

– Ćpała, żeby zagłuszyć głód. Za wszelką cenę chciała się wbić w rozmiar trzydzieści cztery. Carl był wściekły, bo musiał się tłumaczyć z rabunkowej eksploatacji dziewcząt.

Wybuchł mały skandal, który prędko zatuszowano. Dziewczynę, rzecz jasna, po incydencie zwolniono. A co robiła dalej, nie mam pojęcia.

- A znasz jej nazwisko albo adres? – Niecierpliwiła się Nicole.

– Ja nie, ale może Carl ma ją jeszcze w bazie danych?

- Więc dzwoń do niego!

– Zwariowałaś? O tej porze?

– Dzwon!

Okazało się, że Wielki Carl bynajmniej nie śpi o tej porze. W jego luksusowym paryskim apartamencie, położonym przy bulwarze Hausmanna, właśnie odbywało się przyjęcie z okazji promocji nowej wiosennej kolekcji. Ktoś usłyszał telefon dzwoniący w przedpokoju większym od mojego polskiego M-2 i łaskawie przywołał rozbawionego gospodarza do aparatu. Z powodu hałasu Sabine ledwie słyszała w słuchawce jego głos.

Obie z Nicole śledziłyśmy tę rozmowę z wypiekami na policzkach. Rozmowę z Wielkim Carlem Legrandem, który ukradł projekt mojego kaszkietu, a później usiłował mnie przekupić.

– Jesteś pewien? – krzyczała do słuchawki Sabine.

Ciekawa byłam, co odpowiedział, bo nagle wyprostowała plecy. Kabel od telefonu rozciągnął się do granic wytrzymałości.

– Dzięki, Carl, za informację. I miłego świętowania! – powiedziała na koniec Sabine. Sznur telefoniczny znów przypominał spiralkę.

Sabine spojrzała na Nicole, później na mnie. Jej oczy błyszczały podnieceniem.

Czyżby ten facet wciąż na nią działał?

Podeszła do barku i naląła sobie kieliszek brandy.

– Do licha, mam! – wykrzyknęła zniecierpliwiona Nicole.

Mnie również ciężko było wytrzymać tajemniczą minę gospodyni. Ta kobieta najwyraźniej minęła się z powołaniem. Powinna była zostać aktorką; dozowała napięcie w sposób godny profesjonalistki. Wreszcie zlitowała się nad nami. Z kieliszkiem w dłoni wróciła na kanapę.

– Chyba mam niusa na pierwszą stronę! – oznajmiła podniecona.

– Mamo, spokojnie. Czego się dowiedziałaś?

– Czy wiecie, kim jest ta Giselle?

– Dziewczyną Pierre'a Drugiego – mruknęłam.

– Owszem. I była modelką. Więc jednak dobrze zapamiętałam tę chudą tyczkę!

– No i? – Nie wytrzymała Nicole.

Tymczasem jej matka zrobiła minę, jakby właśnie odnalazła zaginioną Atlantyde.

– I faktycznie ćpała. Zawaliła ważny pokaz, więc nikt już nie chciał jej zatrudnić.

– Pośpiesz się, mam!

– Najciekawsze zostawiłam na koniec – powiedziała Sabine z miną zdobywcy Everestu.

– Mów, do diabła! – Straciła cierpliwość Nicole.

– Czy wiecie, jak się nazywa ta Giselle?

– Gdybyśmy wiedziały, nie musiałybyś dzwonić do Legranda! – W głosie córki Mariana pobrzmiwała wściekłość.

– Giselle Seurat.

Co takiego!? Poczułam się tak, jakbym dostała cios w żołądek. To chyba jakiś zły sen!

– Giselle Seurat, córka Bertranda – dokończyła Sabine.

– To on ma córkę!? – zawołałam.

Choć dochodziła pierwsza w nocy, a ja miałam obawy, czy zachowuję się stosownie, natychmiast zadzwoniłam do Guide'a. Sam podał mi swój paryski numer, na wszelki wypadek. Początkowo był wściekły, że go budzę, ale po usłyszeniu rewelacji rozchmurzył się od razu.

- Jest pani pewna?
- Na sto procent.
- Zna pani jej adres?
- Bez przesady, panie komisarzu! Dostarczam nazwisko, ale adresu nie znam. Chyba i pan może wykonać jakiś kawałek tej roboty?

– Oczywiście. *Merci*, Agnieszka! – warknął.

Przed snem wszystkie trzy strzeliłyśmy sobie jeszcze po szklaneczkę brandy.

Nagle wszystko zaczęło się składać jak puzzle. Jeśli Giselle jest córką Bertranda, jej romans z Pierre'em Drugim nie mógł być przypadkowy. Seurat za wszelką cenę chciał wyjść z więzienia, więc próbował zrzucić winę na syna Napoleona. Szantażował go, zastraszał, ale bez efektu. A tymczasem okazało się, że miał w zanadrzu tajną broń, o której nikt nie wiedział! Bertrand konsekwentnie odgrywał rolę starego kawalera, rywalizującego z Napoleonem o względy Sophie, więc skąd raptem u niego córka? I z kim? Co jeszcze ukrywa ten przedziwny człowiek?

W głowie huczało mi od domysłów i alkoholu, i nawet nie spostrzegłam się, jak zasnęłam na kanapie w salonie Sabine. Zanim jednak odpłynęłam, zadałam sobie najbardziej niepokojące pytanie: czy Giselle byłaby zdolna do zabicia kogokolwiek?

Poczułam szarpnięcie.

– Wstawaj, Aga!

Rejs po oceanie na bielutkim jachcie i powiew zachodniego wiatru na twarzy rozplynęły się w ułamku sekundy.

– Dzwoni komisarz Guide!

Koszmar minionej nocy powrócił w jednej chwili.

– Odbierz telefon! – Nade mną stała rozczochrana Nicole.

Nie do końca rozbudzona podeszłam do słuchawki. Zegar na ścianie wskazywał siódmą dwadzieścia.

– Brawo, pani Agnieszko! – usłyszałam. – Mamy ten adres! Po Giselle wprawdzie nie ma śladu, ale ją znajdziemy. Chciałem pani podziękować.

– I w tym celu mnie pan obudził? – Ziewnęłam.

– Nie tylko. Przeszukaliśmy mieszkanie i... – Nawet nie mruknęłam. O tej porze potrafiłam wyłącznie ziewać. – ...znaleźliśmy coś ciekawego.

– Co takiego?

– Czy może pani przyjechać dziś do prefektury?

– A załatwił mi pan przedłużenie wizy?

– Sprawa jest w toku.

– Nie chcę kłopotów.

– Proszę przyjechać. Jestem pani winien wyjaśnienia.

– Dobrze, będę.

Sabine uwijała się w kuchni. Poczułam zapach świeżo mielonej kawy i pomarańczy.

O dosypianiu mogłam zapomnieć, więc odświeżyłam się i zeszłam na śniadanie.

Nicole pomagała matce nakrywać do stołu, tego samego, przy którym jeszcze tak niedawno siadywał Marian. Ileż bym dała, aby dymek z jego fajeczki znów unosił się w powietrzu!

– Siadaj, Aga – nakazała Nicole. – Kawy?

Do prefektury dotarłam przed dziesiątą. Nicole chciała pojechać ze mną, ale wybiłam jej to z głowy. To nie była wyprawa na zwiad pod Verdun, a jedynie wizyta w paryskiej siedzibie policji, więc nic strasznego. Mimo to, idąc po schodach do gabinetu Guide'a, czułam na plecach ciarki.

Skinął zapraszająco ręką, a ja usiadłam na znanym mi doskonale wiekowym krześle.

– Napije się pani kawy?

– Dzięki, jestem po śniadaniu.

– Kolejny gorący dzień? – zagaił.

– Z całym szacunkiem, panie komisarzu, ale chyba nie wezwał mnie pan po to, aby rozmawiać o pogodzie?

– Ma pani rację.

– A zatem czym mogę panu służyć? Bo przyznam, że udział w tym śledztwie przestał mnie bawić. Moje małżeństwo się wali, matka pyta, kiedy wrócę, a pan nie potrafi załatwić mi przedłużenia wizy! Nie mam pieniędzy, mieszkam u przyjaciół, ale ile tak można? Więc niechże mi pan wreszcie, do jasnej *merde*, powie, co jeszcze muszę zrobić, żeby spokojnie wyjechać z Francji?

Guide podniósł na mnie zmęczone oczy. No tak, jemu też nie jest lekko... Ściągnięto go do roboty z emerytury.

– Nie będę pani długo zatrzymywać – odezwał się w końcu. – Tylko tyle, ile trzeba. Znaleźliśmy w mieszkaniu tej Giselle kilka listów od jej ojca. Z więzienia. Namawiał ją w nich, aby znalazła sposób na wyciągnięcie z Pierre'a juniora przyznania się do winy. Cóż, kiedy dziewczyna najwyraźniej się zakochała. Świadczą o tym zapiski w jej pamiętniku, Podejrzewam, że nie robiła ich wyłącznie z myślą o przeszukaniu – roześmiał się.

– Więc Giselle nie zabiła Pierre'a Drugiego? – zapytałam z nadzieją w głosie.

Widziałam ich przecież razem na Montmartrze. Wydawali się tacy szczęśliwi!

– Wprawdzie wszystko na nią wskazuje, ale nie sądzę, żeby to zrobiła. Owszem, Bertrand naciskał na córkę, ale nie przewidział miłości. Rosjanie mawiają „*liubow chuże sraczki*”. Słyszała pani to powiedzonko?

– Nie tylko słyszałam. Znam to z autopsji – odparłam.

– Młodego Pierre'a zabił zatem ktoś inny. Albo chłopak targnął się na życie, w co jednak bardzo wątpię. Ale Giselle przepadła. Nie wiemy, gdzie jest. A inni podejrzani też nie pchają się drzwiami i oknami...

– Więc Seurat musiał mieć jeszcze jednego współlnika.

– Albo syn Napoleona zabił się sam.

– Nie ma mowy!

– Skąd ta pewność?

– Poznałam go. On kochał tę Giselle. Troszczył się o nią. Poza tym...

– Słucham, słucham. – Komisarz nadstawił ucha.

– Był pełen chęci do życia. Nie wstrzyknąłby sobie śmiertelnej dawki narkotyku.

– Być może, ale to wyłącznie pani ocena.

– A czy mogę mieć inną niż moja własna? – odparowałam sarkastycznie.

Guide przeszył mnie lodowatym spojrzeniem.

– Dobrze. Dziś jest pani wolna, ale proszę jeszcze przez kilka dni pozostać w Paryżu.  
– A moja wiza?  
– Dobrze, że mi pani przypomniała! Moment. Tylko wykonam jeden telefon.  
Zadzwoił, porozmawiał. Po chwili odłożył słuchawkę.  
– Załatwione. Może pani pozostać jeszcze przez tydzień. Jutro dostarczymy pani stosowny dokument.  
– Znow mam tu przyjechać? – Skrzywiłam się.  
– Nie musi pani. Kogoś do pani podeślę. Na adres tych przyjaciół, jak sądzę?  
– Nie. Do hotelu Ritz na placu Vendôme. – Pozwoliłam sobie na złośliwość. Dodatkowy tydzień? Boże, a co ja z nim pocznę? Kątem u ludzi, bez pieniędzy? Weszłam do katedry Notre-Dame, czując, że nieprędko znow będę miała okazję. No tak, zero kasy na świeczkę! A miałam taką ochotę ją zapalić! W intencji odnalezienia wreszcie swego miejsca na tej planecie...  
Musiały wystarczyć mi cisza, mrok i ogrom majestatu. Uklęłam w jednej z tylnych ław i pograżyłam się w modlitwie. Także za Giselle, aby dziewczyna okazała się niewinna. Gdyby miało być inaczej, przestałabym wierzyć w miłość.  
Ale przecież widziałam jej oczy, tam, na placu, obok fontanny! I Pierre'a też. Patrzyli na siebie z uczuciem. Nie, na pewno się nie myliłam!  
Wracałam jak zwykle, na piechotę, przez most nad Sekwaną. Turyści dopiero się rozkręcali.  
W Paryżu zaczynał się kolejny zwariowany gwarny dzień. Zewsząd dochodziły kuszące zapachy. Trudno, przyjdzie mi wrócić na Montmartre na głodniaka. Pozostawałam na łasce Nicole i jej matki.  
Minęłam restaurację, w której trzy lata temu piłam kawę z Bertrendem. Gdy omal nie uwierzyłam w jego niewinność!  
Dość tego! Śledztwo pozostawiam paryskim flikom. Mnie już nic do tego. Spędzę jeszcze kilka miłych dni z Nicole, po czym wsiądę do pociągu i do domu!  
Jeśli mam tu kiedykolwiek wrócić, muszę najpierw wyjechać.  
U Nicole już czekała na mnie niespodzianka – przedłużenie wizy. Trzeba przyznać, że komisarz uwinął się z tym nadzwyczaj sprawnie i przed obiecany terminem.  
Moja przyjaciółka ucieszyła się szczerze.  
– I co z tego, że mogę zostać? – zapytałam. – Ja naprawdę muszę wracać.  
– A co z Marco? – wypaliła.  
– *Merde*, Nicole! Nie pytaj mnie, co z Marco! Sama tego nie wiem!  
Rozpłakałam się.  
Objęła mnie. Co więcej mogła zrobić?  
A jednak mogła.  
Zaciągnęła mnie wieczorem na plac, zamawiając wcześniej stolik i każąc się ubrać w najładniejsze ciuchy. Wymogła na mnie profesjonalny makijaż, zaprzęgając do tego Sabine.  
Nie miałam pojęcia, po co te tortury.  
– Masz być piękna, a nie zapłakana – usłyszałam.  
Dogadywały się przy tym jak nigdy.  
Zasiadłyśmy wreszcie pod markizami na placu w ciepłą letnią noc. Nicole i ja. Nasz znajomy kelner aż gwizdnał z zachwytem. Znał nas od tak dawna, że mógł sobie na to pozwolić.  
– Co panie zamawiają? – zapytał z przesadną kurtuazją.  
– A co masz najlepszego? To nasza pożegnalna kolacja – oznajmiła Nicole.

– Pożegnalna? Och, to przykre! Mamy dziś doskonale steki z pieczonymi ziemniakami i sałatką.

– Może być. I wasze najlepsze bordeaux!

Napawałam się chwilą. Nad głową miałam gwieździste niebo, wokół szumiały rozmowy we wszystkich językach świata, pod stopami trwał odwieczny paryski bruk. Ten sam, po którym stąpali wielcy artyści: Renoir, Pissarro, Toulouse-Lautrec. Na którym rozkładaliśmy z Ewką nasz majdan i rysowałyśmy portrety. Dołożyłyśmy się do jego oszlifowania w mikroskopijnym stopniu, ale zawsze!

Zapaliłam gitana. Dymek poszedł w górę, zawirowały zgrabne kółeczka.

– Wiesz, że nie stać mnie na taką rozpustę. – Spojrzałam na zastawiony pysznościami stół.

– Wiem. Tylko na bilet powrotny. Ale chyba mi nie odmówisz? – zapytała Nicole.

– Och, Nicole...

– Dobra, dobra! Lepiej nie kończ!

– Twoje zdrowie! – Podniosłam kieliszek.

Co ona knuje?, pomyślałam jednocześnie.

Z kłębiącego się na placu tłumu turystów zniecka wynurzył się Marco. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi.

– Skąd ty... – wykrztusiłam zaskoczona.

– Myślałaś, że uda ci się wyjechać bez całusa na drogę? – roześmiał się.

Uśmiech Nicole wygrałby konkurencję z uśmiechem Mony Lisy...

Wieczór upłynął nam na ucztowaniu i cudownie odprężającej rozmowie. Takiej jak dawniej, kiedy jeszcze nie nosiłam w duszy tylu trosk. Jedzenie było fantastyczne, wino najlepsze pod słońcem, Nicole troskliwa i mądra, zaś Marco wpatrzony we mnie jak w obrazek.

Czy mogłam chcieć więcej ostatniej sierpniowej nocy w Paryżu?

- Jajecznicza z pieczarkami? Skąd ja znam ten zapach?  
 Ocknęłam się w paryskim lokum mojego ukochanego.
- Kawa czy może herbata z cytrynką? – zapytał na widok mojej zdziwionej miny.
  - Kawa.
  - Jak dobrze, że nie muszę cię wieźć w trybie pilnym do prefektury! – zażartował, wystawiając głowę z kuchni.
  - Moja stopa nie postanie tam już nigdy więcej! – zawołałam radośnie.
  - A wczoraj mówiłaś, że sprawa wciąż pozostaje niewyjaśniona?
  - Bo nie jest. Nie znaleźli tej Giselle. I nadal nie wiadomo, kto pomógł Pierre'owi w zejściu z tego świata.
  - Tragedia – powiedział Marco. – Najpierw ojciec, teraz syn. A może łączyło ich coś więcej niż pokrewieństwo?
  - Co masz na myśli? – zapytałam, smarując grzanekę masłem.
  - Coś więcej niż geny – sprecyzował.
  - Na przykład?
  - Może młody dostał coś od ojca przed śmiercią? Nie wiem, tylko głośno myślę.
- A Bertrand miał na to coś chętkę? Przecież sama mówiłaś, że on i Napoleon przemycali z Egiptu jakieś cenne przedmioty...
- Marco poszedł do kuchni po kawę.
- Nawet jeśli, Bertrand siedzi w więzieniu. Po co mu tam...
  - Ale spodziewa się kiedyś wyjść – mruknął Marco, nalewając śmietanki do kawy.
  - Niech sobie Guide sam odkrywa prawdę! – powiedziałam. – Ja zrobiłam, ile mogłam.
- I zamiast bawić się w policjantkę, nareszcie mogę spokojnie zjeść z tobą śniadanie!
- W tej samej chwili zadzwonił telefon.
- Spojrzałam na Marco podejrzliwie.
- Co? – Wzruszył ramionami.
  - Mam złe przeczucia! – jęknęłam.
- Marco odebrał.
- Nicole informowała nas, że komisarz właśnie odnalazł Giselle i uprzejmie prosi, abym natychmiast przyjechała do prefektury.
- Nie!
- Podobnie jak kiedyś, Marco przedzierał się „księżniczką” przez poranne korki.
- Stałam przed obliczem Guide'a niewyspana.
- Musi pani potwierdzić tożsamość świadka – powiedział komisarz, nie zwracając sobie głowy konwenansami.
  - Co takiego?
  - Giselle jest na razie wyłącznie świadkiem. A pani uczestniczyła w tworzeniu jej portretu, prawda? Musi pani teraz potwierdzić oficjalnie, że to ona.
  - Ale po co? Zgubiła dokumenty czy co?
  - Nie zgubiła, ale nas obowiązują procedury. A skoro już pani tutaj jest... Proszę – powiedział z westchnieniem.
- Dobrze, że Marco czeka na dole, pomyślałam. Obiecał, że beze mnie nigdzie się nie



ruszy.

Guide zaprowadził mnie do sali z weneckim lustrem. Wśród zgromadzonych po drugiej stronie kobiet od razu rozpoznałam dziewczynę Pierre'a.

– Ta z numerem trzy. To Giselle.

Myślałam, że to koniec, że wszystko gra, ale kto powiedział, że będzie łatwo? Guide poprosił, abym była obecna przy rozmowie z córką Seurata.

– Ale po co? I czy to w ogóle jest zgodne z przepisami? – broniłam się zaciekle.

– Przepisy proszę zostawić nam, pani Agneszio. Proszę, aby wystąpiła pani w charakterze wolnego słuchacza.

– Jezu, dobrze! Jak tak dalej pójdzie, beze mnie runie cały system francuskiej kryminalistyki!

Guide nie podjął żartu.

– Piętro niżej, sala dwieście trzynaście. Idziemy.

W sali 213, w towarzystwie młodego policjanta, siedziała za stołem Giselle. Alberto Mancini?, zdumiałam się. No nie, sami znajomi! Pomyślałam, że znam stanowczo zbyt wielu francuskich flików!

Dziewczyna wyglądała na mocno przestraszoną. Była blada, z rozmazanym tuszem pod oczami. Przypominała jedną z porcelanowych lalek na wystawie w sklepiku na Montmartrze.

Komisarz zadawał pytania. Całe mnóstwo. Gdzie była? Co robiła? Czy ojciec wydawał jej polecenia? I na koniec: czy zabiła Pierre'a?

Znałam ten ton z autopsji. Guide był mistrzem świata w wywieraniu presji.

A z każdą minutą Giselle robiła się coraz bledsza.

To nie było przesłuchanie, to był atak.

Znienacka wkroczył do akcji przystojniak Mancini, pocieszając dziewczynę i wmawiając jej, że wie, co ona czuje po śmierci ukochanego. Natychmiast pojęłam, że bawią się w dobrego i złego glinę. Alberto miał być tym dobrym. Ale kompletnie nie pojmowałam swojej roli w tym przedstawieniu.

– Owszem, Bertrand Seurat to mój ojciec – przyznała zapłakana Giselle. – Ale nie skrzywdziłam Pierre'a! Kochałam go.

Jej rozpacz była tak naturalnie szczera, że aż przykro było patrzeć.

Mancini podał jej chusteczkę. Dżentelmen, nie ma co!

– W takim razie kto go skrzywdził? – zapytał tak łagodnie, jakby czytał dziecku bajkę na dobranoc.

– Nie wiem kto. Naprawdę – rozszlochała się Giselle.

Miałam się wprawdzie przypatrywać i nie zabierać głosu, ale nie wytrzymałam.

– Giselle, pamiętasz mnie?

Guide przeszył mnie wilczym spojrzeniem, ale zmilczał.

– Pamiętasz nasze spotkanie na placu przy fontannie?

Kiwnęła głową.

– Ja myślę, że nie zrobiłaś nic złego. Ale ktoś to jednak uczynił. Jeśli chcesz, aby śmierć Pierre'a nie poszła na marne, powiedz, co wiesz. Może twój ojciec znał jeszcze kogoś, kto mógłby...

– Mój ojciec to zły człowiek – wyszeptwała.

– Tak czy inaczej jesteś jego córką i nie chcesz mu zaszkodzić, prawda? –

Zaryzykowałam. – Rozumiem cię. Tyle że twój chłopak nie żyje. Poznałam Pierre'a i bardzo go polubiłam. Martwił się o ciebie, kiedy byłaś w szpitalu. Ale już go nie ma, bo ktoś wydał

na niego wyrok. A może sądzisz, że Pierre strzelił sobie w żyłę samodzielnie?

Guide już otwierał usta, ale Mancini uciszył go gestem.

- Nie! On nigdy by tego nie zrobił!
- Też tak sądzę. – Pokiwałam głową.

Giselle najwyraźniej miała dość.

– Kazał mi przeszukać mieszkanie Pierre’a...  
– Twój ojciec? A czego szukałaś?  
– Jakiejś bransolety, która podobno należała do samej Kleopatry! Uznałam, że mój ojciec bredzi i nic takiego nie istnieje, on jednak uparcie twierdził, że ta rzecz była w posiadaniu Napoleona. I że on mógł ją przekazać synowi. Ale ja nic nie znalazłam! Słowo! Mój ojciec chyba oszalał w tym więzieniu! Wspominał wyprawy do Egiptu, opowiadał rozmaite historie, ale sądzę, że je wyłącznie zmyślał. Któregoś dnia podczas odwiedzin powiedziałam mu, że mam tego dość i nie zamierzam więcej szpiegować, a tym bardziej skrzywdzić Pierre’a. Wrzeszczał na mnie. Krzyczał nawet wtedy, gdy wychodziłam.

– Co mówił?  
– Nie pamiętam dokładnie, ale coś w stylu: „Jeśli nie ty ją znajdziesz, znajdzie ją ktoś inny!”.

– I od tamtej pory nie kontaktowała się pani z ojcem?

– Nie.

– Jak pani sądzi, kogo mógł mieć na myśli?

– Nie mam pojęcia. I nic nie zrobiłam Pierre’owi, przysięgam!

Opadłam na krzesło. Guide i Mancini milczeli.

Powietrze w pokoju przesłuchań zgęstniało.

– Wystarczy – zdecydował komisarz.

Marco krążył przed prefekturą jak lew po klatce. Na mój widok natychmiast zapytał, co się działo, ale ja już siedziałam na motorze. Westchnął i odpalił z kopyta.

Opowiedziałam mu wszystko dopiero przy kawie na placu du Tertre.

- Też myślę, że to nie ona. – Pokiwał głową po zakończonej relacji.
- Więc kto?

To był naprawdę najostatniejszy z moich „ostatnich” dni w Paryżu przed wyjazdem. Pociąg odjeżdżał nazajutrz o ósmej rano.

Jedliśmy z Marco lunch na lewym brzegu Sekwany, w przytulnej małej knajpce, od podłogi do sufitu oblepionej starymi gazetami. Jej okna wychodziły na Saint Michel, ulicę pełną tradycji i turystów. Marco nie odstępował mnie na krok.

– Jutro wyjazd, Agus – stwierdził raczej, niż zapytał. – A co potem?

– Zamierzam się rozwieść. To potrwa. Muszę przekonać rodziców i braci. Muszę...

Do diabła! Muszę porzucić pracę na uczelni!

– Może znajdziemy inne rozwiązanie?

– Jakie?

– Ja rzucę wszystko i przyjadę do ciebie.

– Zwariowałaś?

– Tak.

– Masz tu prawdziwy raj. Uroczy dom, fajną pracę, spokój i... wolność. W Polsce będzie ci tego brakowało.

– Wiem. Ale to się chyba w końcu zmieni? Zależy mi na tobie. Bardzo.

– Muszę wrócić, by uwolnić się od wielu spraw. Między innymi od Artura. A potem się zobaczy.

– Obiecuj, że nie zmienisz zdania.

Spojrzałam w zielone oczy, które mnie nigdy nie zawiodły, mimo że sądziłam, że tak było. Gdy kiedyś nie przyjechał, by mnie pożegnać na dworcu, okazało się, że miał wypadek. Wysyłał listy, które do mnie nie docierały. Czekał na mnie, galerię w La Baule nazwał moim imieniem. Nie ożenił się, choć ja, durna, wyszłam w tym czasie za Artura.

Wreszcie pojęłam, ile jest mojej winy w tym, że nie jesteśmy razem. Ilu szans nie wykorzystałam.

– Obiecuję – powiedziałam cicho.

Tego wieczoru poszliśmy na długi spacer naszymi uliczkami na szczycie Montmartre'u. Nie mogłabym wyjechać bez wejścia do Sacré Coeur i choćby krótkiej chwili spędzonej na schodach przed bazyliką, z których po raz pierwszy w życiu podziwialiśmy z Ewką panoramę miasta. Zakochałyśmy się w Paryżu na zawsze.

Wokół kłębili się turyści. Siedzieli na schodach, obejmowali się, robili zdjęcia albo zwyczajnie, chłonęli atmosferę chwili. W dole, tętniło paryskie codzienne życie. Pędziły auta, ludzie przebiegali przez ulice, rodziny spotykały się w domach przy kolacji, ożywały nocne kluby, restauracje serwowały dania dnia, kłozardzi popijali na ławeczkach tanie wino wyciągnięte z poszarpanych kieszeni.

Niebo poróżowiło, przecięła je pozioma wstęga pomarańczowego blasku zachodu słońca. W oddali lśniła wieża Eiffla i nieco niższy wieżowiec Montparnasse. Gdzieś obok niego, choć niewidoczny z tego miejsca, stał hotel Sheraton, od którego wszystko się zaczęło.

Siedziałam, oparta o ramię mężczyzny, w którym zakochałam się na samym początku mojej paryskiej przygody. Myślałam, że uczucie przeminie, ale trwało. Sześć lat idiotycznych prób ucieczki od przeznaczenia. Może nie warto walczyć z nieuniknionym?

Tkwiliśmy nieporuszeni, aż wieża Eiffla zajaśniała tysiącem światełek.

– Dzięki! – wyszeptałam.

Niby do Marco, ale naprawdę do miasta w dole.

Zeszliśmy po krętych schodkach, pod prąd rozwrzeszczanego tłumu, pnącego się radośnie pod górę.

Jutro będę już daleko stąd, pomyślałam.

I nastalo moje nazajutrz.

Gare de l'Est, siódma trzydzieści. Znajome odgłosy, świst pociągów, tłum ludzi.

Nienawidzę pożegnań!

Wśród ludzkiej rzeszy Marco i Nicole.

Skład ruszył o czasie i już po chwili obie najdroższe mi istoty zamieniły się w maleńkie punkciki. Te francuskie pociągi odjeżdżają stanowczo zbyt szybko!

Kierunek wschód.

Zapewne nigdy nie dowiem się, co się stanie z Giselle. Czy Guide oczyści ją z zarzutów? Kto zabił młodego Pierre'a? Wyjeżdżałam z Francji z wieloma bolesnymi znakami zapytania. Pociąg mknął jak strzała wprost ku szarej rzeczywistości, a ja oddawałam się świeżym wspomnieniom. I bałam się spotkania z Arturem. Obawiałam się nawet rozmowy z rodzicami. Bo Francja stała mi się bliższa niż Polska. Mimo wszystko obawiałam się, że stchórzę, że poddam się i ulegnę szarej rodzimej rzeczywistości.

Po trzykroć wolałabym kanałowe leczenie zęba niż te dylematy!

Mama powitała mnie łzami w oczach, kopytkami domowej roboty i wołową pieczenią, obiadem okupionym potężnymi wyrzeczeniami. Oczywiście na taką wyzerkę przybyła również reszta rodziny.

Wyciągnęli ze mnie wszystko, kompletną historię Napoleona i jego syna. Kiedy doszłam do przesłuchania Giselle, Anka odłożyła sztucce.

– Więc nadal nie wiadomo, kto zabił? – zapytała.

– Nie.

– Boże, to niesamowite! – wykrzyknęła.

Artur dłużej w talerzu. Dzielnie udawał, że jesteśmy razem, choć oboje wiedzieliśmy, że czeka nas poważna rozmowa.

– Jak dobrze, że w końcu wróciłaś! – cieszyła się mama.

– W tym Paryżu to tylko wpadasz w kłopoty – dorzucił odkrywco ojciec.

– A wiesz, że tata zrobił przedpłatę na malucha?

– A co z wartburgiem? – zapytałam.

– Sprzedamy.

– I dobrze. Zawsze mnie mdliło od oparów w tym dwusuwie.

– Ojciec już się umówił ze znajomym z politechniki...

– I nawet wymienił olej i wypucował silnik! – Wszedł mamie w słowo Waldek.

– A co, miałbym sprzedać brudasa? – oburzył się ojciec.

I tak dalej, i tak dalej. Rozmawialiśmy o kartkach i nowym sklepie na osiedlu, w którym podobno zawsze bywały świeże bułki. Artur świetnie grał rolę stęsknionego małżonka. A ja nawet nie miałam czasu, by wdepnąć do naszego mieszkania! Prosto z dworca przyjechałam na obiad do rodziców, gdzie wszyscy już na mnie czekali jak sępy na łatwą zdobycz. Jakbym wracała z kolonii karnej na Kołymie, a nie z cudownych, choć okraszonych smutkiem, wakacji w Paryżu.

Bałam się dalszego ciągu wieczoru. Przed oczami ciągle miałam Paryż o zachodzie słońca, a w uszach gwar paryskich ulic po zmroku. Jeszcze dudniły koła pociągu i szumiał w głowie atlantycki wiatr. Czulałam zapach Marco i smak jajecznicy, której nie zdążyłam dojeść

przez Guide'a.

Wciąż byłam TAM.

Dwie godziny później wyciągałam brudne ciuchy z plecaka i ładowałam prosto do pralki w naszej miniaturowej łazience, nie zwracając uwagi na niedomytą wannę i zapyziałą mydelniczkę. I na włosy w umywalce. Parę lat temu zrobiłabym o to karczemną awanturę, teraz jednak cieszyłam się z dodatkowych argumentów przeciw. Bo co mi po bułkach z nowego osiedlowego sklepu, jeśli mój mąż nie potrafi umyć wanny po kąpielu?

I się zaczęło.

W naszym mieszkaniu na trzecim piętrze wybuchła tego wieczoru mała Etna. Wylała się cała lawa naszego nieudanego związku.

Lecz wreszcie, gdy za oknem już świtało i być może otwierano nawet ten nowy sklepik ze świeżym pieczywem, podjęłam decyzję, na którą nie było mnie stać przez lata.

## Epilog

Rozwód ciągnął się przez ponad pół roku, bo sądy miały w tym czasie sprawy ważniejsze. W Polsce rozpoczął się karnawał „Solidarności”.

Rodzice uznali, że zwariowałam, moi bracia również. Jedna Anka rozumiała mój wybór. Tylko ona wspierała mnie w tych trudnych miesiącach.

Ponieważ mieszkanie było Artura, nie musiałam włączyć się po sądach ponad miarę i dzielić majątku. Na uczelni powiedziałam prawdę: chcę wyjechać na stałe. Rektor próbował mnie zatrzymać, kusząc lepszą pensją, ale odmówiłam – te większe pieniądze i tak oznaczały klepanie biedy.

W połowie czerwca uściskałam rodziców, obiecując solennie, że będę przyjeżdżać, i z ogromną walizką wsiadłam do pociągu zmierzającego na zgniły zachód. Ćwiczyłam to już nie raz.

Nie ukrywam, że płakałam jak bóbr za znikającymi polskimi pejzażami, ale przecież nie zostawiałam ich na zawsze! Wszystko wskazywało na to, że niebawem w moim kraju zapanuje demokracja i będę mogła przyjeżdżać, gdy tylko zechcę.

Pociąg pędził przez schludne niemieckie wioski, a ja myślałam o Ewce, która zakotwiczyła w Ameryce na dobre. Pisała niedawno, że zdobyła nagrodę za najlepsze wnętrza biurowe w Chicago. Była szczęśliwa. Jeśli więc ona była, to może i ja?

W Paryżu spędziłam dobę, w towarzystwie Nicole i Mario, w samym środku nowego sezonu w modzie. Para zamierzała wkrótce zalegalizować swój związek, co odłożyła w czasie ze względu na śmierć Mariana, i właśnie wila sobie gniazdko w jednej z kamienic na lewym brzegu Sekwany. Zostałam zaciągnięta na próbę pokazu jesiennej kolekcji. Jak to zwykle bywa na wiosnę...

Wieczorem poszłyśmy z Nicole na Montmartre. W Sacré Coeur zapaliłam tym razem świeczkę za moje nowe życie, z dala od rodziny. Bałam się bardzo, tęskniłam. Wiedziałam, że odtąd już zawsze będę rozdarta, ale czy nie byłoby podobnie, gdybym pozostała w Polsce? Przysiadłam na chwilę na znajomych schodach i zapatrzyłam na skrzące się milionami światełek miasto. Pojęłam, że tym razem nie wyjechałam do Paryża, a po prostu do niego wróciłam.

Przenocowałam w dawnej mansardzie Nicole na rue des Trois Frères, a rano wsiadłam w TGV i pomknęłam nad Atlantyk.

Na peronie w La Baule przywitał mnie upalny, słoneczny dzień i lekki wiatr od oceanu.

Na Avenue des Platanes 10 Carolle od razu zaciągnęła mnie do kuchni. Dwie godziny spędzone z nią i Yannem nad smacznym posiłkiem były dla mnie kwarantanną pomiędzy tym, co zostawiłam za sobą, a tym, co mnie czeka. Bardzo ich polubiłam.

Po południu Yann wrzucił do auta mój bagaż i po raz kolejny zawiózł mnie na wybrzeże.

Nie uprzedziłam Marco ani o terminie przyjazdu, ani o tym, czy przyjadę w ogóle. W ostatnim liście napisałam tylko, że jestem już po rozwodzie. Ucieszył się i odpowiedział, że czeka. Powinnam była przynajmniej zadzwonić, pomyślałam. A co jeśli akurat wyjechał? Albo zmienił zdanie i nie chce mnie widzieć?

Dopiero teraz, gdy już nie miałam odwrotu, pojęłam, jaką jestem ryzykantką...

Zza pagórka wyłonił się kamienny dom na klifie. Poczułam tępy ucisk w żołądku.  
Auto zatrzymało się na żwirowym podjeździe. Yann wyczuł mój lęk. Wysiadł pierwszy,  
obszedł samochód i otworzył mi drzwi.

Na drżących nogach podeszłam do domu i zastukałam kołatką.

Drzwi uchyliły się natychmiast. Ujrzałam znajome zielone oczy.

Szczęśliwe.

– Witaj, Aguś! – usłyszałam.